

Dr. W. MIKLASZEWSKI!

# DIASPORA

(TUŁACZKA w ROSJI 1915 — 1918 r.)



I-szy tysiąc

Dr. W. MIKLASZEWSKI

dupl R 73119

Dr. W. MIKLASZEWSKI

# DIASPORA

(TUŁACZKA w ROSJI 1915 — 1918 r.)

*„Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany  
Deptać musiałem obcych ludzi łany  
I słyszeć zdala tych tyranów wycia,  
Co moją ziemię okuli w kądany.  
Jak Dant przez piekło przeszedłem za życia...”*

R 73 119  
R 94 799

dubl  
1919

---

WARSZAWA — 1929

— ~~NAKLADEM~~ AUTORA ~~—~~ —

1292

**Towarzyszom Tułaczki,**  
którzy zachowali  
„dawną Polaków dumę i szlachetność“  
pamiętnik ten poświęca

A U T O R



924864

---

Druk. „SIEA“ Marszałkowska 71, Telef. 334-48.

W 450/2006

## Zamiast Przedmowy.

Im bardziej oddalamy się od naszych przeżyć, tem słabiej zarysowują się one w naszej pamięci. Na podobieństwo miasta, widzianego z oddali, gdzie nad szare tło wznoszą się pojedyncze wieże i kopuły, zlewa się cała nasza przeszłość w jeden krąg powszedniości, nad którym górują poszczególne wydarzenia, śmiesznie małe w retrospektywie, choć w okresie ich przeżywania zasłaniały nam nieraz widnokreśli swą wielkością.

To spostrzeżenie z odległości nie daje wlernego obrazu. Nasze oko i nasz umysł są nastawione na bliską metę. Łudzimy się, że stwarza to szerszy horyzont, bezstronniejszy sąd. Bynajmniej. Jest to tylko ziarno, wyłuskane z łupiny, z którego nie odtworzymy drzewa, jego rodziciela. Przeciętny zjadacz chleba uzna, że drzewo nic go nie obchodzi, a tylko owoc jego ma wartość. I przeciętny dziejopis powie, że z tysięcy przeżyć jedno warto utrwalenia na kartach historii. To też, gdy je czytasz, zda ci się, że tworzą ją króle i cesarze, wodze i bohaterzy, dla których cała ludność jest tylko bezwartościowym tłumem.

Przeczytaj własny list, pisany przed laty do ukochanej osoby, a odżyją w tobie dawne uczucia. I poczujesz się znowu człowiekiem żywym, a nie jakimś manekinem, spełniającym ślepo nakazy dnia. Dlaczego? Bo w tym pożółkłym papierku odnajdziesz znów siebie i swych ukochanych, jako jednostki czujące i myślące. Może uśmiechniesz się nieraz nad sobą, nad swą młodzieńczą łatwowiernością i niepohamowaniem. Lecz częściej stanie ci w oku łza

wzruszenia, żeś i ty niegdyś umiał się wznieść nad szarzyznę dnia.

Jeszcze bardziej wzruszy cię pamiętnik, który zawiera twe ważniejsze przeżycia. Staną one w twej pamięci, jak żywe. Dziś będziesz je oceniał z pobłażliwością doświadczonego ojca, patrzącego na swe dzieci. wyobrażające sobie, że są dojrzałymi ludźmi.

Jeżeli pamiętnik sięgnie poza domowe ognisko, obejmie widnokreśli ważnych wydarzeń dziejowych, oświetli działaczy, wpływających na bieg wypadków, wskaże rysy właściwe gromady, jej kształtowanie się w zorganizowaną całość, to każdy odnajdzie tam i siebie. I będzie mógł powiedzieć słowami testamentu Słowackiego:

„Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami“.

Może w tym pamiętniku być dużo podmiotowego, na co po latach spojrzysz inaczej. Jednak będą oddane wiernie przeżycia w tej postaci, w jakiej kształtowały się w twym umyśle. A to daje wierne tło obrazu, na którym przesuwający się działacze nabierają właściwego wyrazu.

Nieraz, słuchając akcji na scenie, ma się wrażenie: „de me fabula narratur“. To samo dotyczy pamiętnika, zakrojonego na szeroką skalę społeczną. Wielu może w nim odnaleźć siebie, choć jest się tam nieznanym żołnierzem, który swą pracą bezimienną buduje dzieje. Nie to sito z dużemi otworami, zdolne zatrzymać jadyntę jednostki potężne, nie ono tworzy dzieje; chyba — że jest to podręcznik dla analfabetów. Lecz — te zdjęcia migawkowe z gromady, w których każdy mógłby dostrzec siebie i powiedzieć: byłem nieznanym żołnierzem, brałem udział w wydarzeniach, które stworzyły lepsze życie. I moja jest w tym gmachu cegiełka.

Nasze pokolenie przeżyło wydarzenia, wypatry-

wane z utęsknieniem przez pięć ostatnich pokoleń. Ta tęsknota ich do utraconej wolności była tak wielka, że kilkakrotnie występowały orężnie w jej imię. Tysiące żyć legło na ołtarzu upragnionej Ojczyzny. Ta ofiara stała się posiewem, z którego wyrosło szczęśliwsze pokolenie, mogące dziś śpiewać: „z naszego trudu i znoju powstała Polska, by żyć“. W tych wspomnieniach czynów chcemy widzieć i siebie. To, czego nie daje historia, musi nam dać pamiętnik.

Przed kilku laty, zwiedzając ruiny zamku siewierskiego, dojrzałem w cegle nad bramą wjazdową odcisk palców strycharza, który tę cegłę lepil; to cały spadek po nieznanym pracowniku. Ten ślad bezimienny i dzieje zamku natchnęły mnie do dwu sonetów (Myśl Niep. 1911 r.). Jeden z nich kończy się strofą:

„...Głaz ten krwią ociekł w przywilejów straży z woli biskupów, książąt na Siewierzu. A krew to była polskich nowinkarzy. Więc że dziś kraj nasz w ciemnoty bezbrzeżu, czyż od nich z wstrętem nie odwrócisz twarzy? Chyba, żeś polskość utopił.. w pacierzu“.

A drugi głosi w końcu:

„...O, bezimienny, to jest jego imię. Ślad ręki w glinie — jedyne wspomnienie. W wieczystym zamku, jak w wieczystym Rzymie, śnił może całe ziemi swej zbawienie, wierząc, że raczej niechaj krew popłynie, niż nowinkarstwa wyklęte strumienie!“

Te ruiny, to również pamiętnik. Niech budzi umarłe do życia niech żywe broni od zagłady!

*Dr. W. Miklaszewski.*

Warszawa, 11/XI 1928 r.

4 Września 1915 r.

Dzięki poparciu pana Slizewicza przyczepiono dla nas do pociągu wagon 2-iej klasy. Zajęliśmy jeden przedział do wspólki z pp. D. i B. Po ciepłuszce, którą dojechaliście do Smoleńska, odpoczniecie teraz w dalszej drodze do Moskwy.

Pocziwy Stanisław zajął się naszymi rzeczami a potem zegnał się cichaczem. — Szczęśliwej podróży, Ale proszę o mnie niewspominać nikomu.

— Nie pojedziecie z nami? Trwacie w zamiarze odwiedzenia swoich stron? Mogą przyłapać i będą sądzili, jak zbiega.

— Musi się udać! Od czego głowa na karku. Nie widziałem swoich cały rok. Nie schowają narzędzi, płótna. A Niemcy już blisko.

— A jeżeli złapią: kula, lub gałąź!

— Nie złapią! Pan Bóg pomoże, — mówi S., zegnając się raz jeszcze.

Odszedł. Pocziwe Litwinisko! W ciągu tych kilku tygodni, kiedy pełnił u mnie obowiązki deńszczyka, pisywał on listy do rodziny, pouczając, jak mają zakopać w beczkach całe mienie, albo sypiać snem sprawiedliwego, marząc o swej wiosce pod Smorgonią, albo czytał pisma i książki, jakie wpadły do ręki, i modlił się gorliwie z wiarą prostaczka. Ocieżały, niezgrabny, niewymowny, był jednocześnie



rzutkim, przedsiębiorczym, gadatliwym, żądnym poznania, pełnym zapału i energji, gdy sobie coś zakarbował.

Żegnaj go już tylko wzrokiem. Idzie szybko, wmieszał się w tłum. Znikł, jak dzika kaczka w trzcinie. Ujdzie strzału myśliwego... Wrócił

Przyszli na pożegnać pp. Siiziewiczze i zapraszają na podwieczorek do siebie. Nigdy jeszcze nie doznałem tyle grzeczności, ile od tych ludzi... A to wszystko za to, że opiekowałem się ich synem, gdy leżał u mnie na oddziale i nie dałem Bogdanowowi skrzywdzić tego młodego porucznika. Ludzkie obojętności z chorym oficerem musi stanowić rzadkie zjawisko, skoro S. uważają się wciąż jeszcze za moich dłużników. Świadczyło się ludziom nieraz z wysiłkiem, a zawsze z wielkiem zadowoleniem. A jednak przychodziły chwile, gdy postanawialiśmy oboje nie sprawić sobie tej przyjemności. Ale postanowienie bywało zwykle niewykonane, bowiem współczucie dla potrzebującego brało górę nad obawą niewdzięczności. I chociaż w języku ludzi praktycznych „dobry“ znaczy „głupi“, choć dyplomacja nauczyła dużo obiecywać, uważając nadzieję za pokarm bardzo posilny, — i tego, że na potrzebujących robi się najlepsze interesy, — jednak nie zmienimy chyba nigdy naszego postępowania, a przejawy wdzięczności pp. S. będą dla nas zjawiskiem wyjątkowym.

Jeszcze jeden rzut oka na Smoleński, gród warowny, otoczony średniowiecznymi murami, na jego baszty, przerobione na kapliczki. Nad miastem góruje katedra. Jej kopuły czernią się od kawek i wron, które obrały sobie tę nieprzystępną siedzibę. Na froncie bieleje tablica, głosząca, że cerkiew została zbudowana na pamiątkę wypędzenia Polaków w 1612 r. A wewnątrz katedry szczyli się ołtarzem lipowym i cudownymi sandałami oraz hełmem Śtgo Merku-

rego, skutecznymi przy... bólach głowy. A tam za Daleprem wznosi się cerkiew cybulasta na pamiątkę uchwały, zabraniającej handlu w dni świąteczne ku wielkiej radości świętych w niebie i popów na ziemi. Zaś nieopodal — więzienie, jako widoczny znak władzy ludzi nad ludźmi. Rzecz pewna, że tak bogobojny naród musi zwyciężyć. Czyż Niemiec uszanuje święto. Sam widziałem, jak w dzień uroczysty, gdy w Grünewaldzie pod Berlinem bawiły się setki tysięcy wycieczkowiczów, gdy piwo lało się z beczek, a kielbasa lała sama do ust, widziałem, jak kilkunastu pludrów z fajkami w zębach machało kosami po koniczynie. Takich gwałcicieli święta czeka kara. Wprawdzie i w Smoleńsku malowanie dachów, ciosanie belek, rąbanie drzewa odbywa się zawsze w niedzielę, ale...

A jak było z Polską od drugiej połowy XVIII wieku? Czy dbałość o formalne przestrzeganie obrzędów i strony zewnętrznej nie górowała nad obowiązkiem pracy dla kraju, a chociażby dla własnej rodziny? Czy magnaci i szlachta nie zwalali całych ciężarów pracy na chłopą pańszczyźnianego, pozostawiając sobie wyłączną troskę o... hulanki, pijatykę, rozrywki, przyjemności, niezakazane żadnymi prawami boskimi i ludzkimi? Kto wie, czy te rubieże dawnej Rzeczypospolitej nie przeżywają obecnie podobnego okresu upadku z tą różnicą, że samowładztwo caratu zrównało rody z resztą poddanych i otacza przywilejami tylko popa, żandarina i czynownika.

Pociąg rusza. Jedziemy przez ziemie, zjednoczone pod władzą książąt moskiewskich, które stały się zazwiązkiem cesarstwa. To scalanie odbywało się przez setki lat. I ciągle główna cecha tych księstw udzielnych, dziś zjednoczonych, to: ubóstwo, ciemnota, bezczynność, pop i urzędnik. Każda okolica mówi innem narzeczem, ma swe własne zwyczaje,

każda patrzy niechętnie na sąsiadkę, z którą nic jej nie łączy.

Wzdłuż plantu kolejowego ciągną się nieskończone przestrzenie, porośnięte krzakami, wśród których skubią trawę nieliczne krowy. Na tych dzikich polach założylby napewno kolonista niemiec folwarki, ogrody, szkółki, lasy, młyny, tartaki, obory, fabryki. Roiliby się tu od osad, wsi, miasteczek. A dziś? Gdzieś w oddali czernieje łatka świeżo podoranej ziemi, z 10 morgów, otoczona krzakami, bagniskami, wygonem. Nie dojrzysz nigdzie miedzy, kopca granicznego. Natomiast koleje, wyłobione w różnych kierunkach, świadczą, że jeździ się tu „naprostki“. Gdzieś ukaze się grupa chat pod strzechami, nad którymi wznosi się kopuła, wymalowana jaskrawo na niebiesko, czy zielono. U nas nietylko chłop, ale i dziedzic, walczą o każdą skibę ziemi. Tu zaś niema podstawy do gniewu, walki i obrazy boskiej, bo niewielu wie, gdzie się kończy jego pole, a zaczyna sąsiedzkie. Jakąś sennością, martwością wieje od tej pustki, na której nie widać ludzi. Czy wojna powołała ich do szeregów, a baby zawodzą po chatach nad swym losem nieszczęsnym? Czy mór przeszedł tędy, zabierając obfitą dziesięcinę? Czy może tylko sen roztoczył tu swe królestwo?

O te dzikie wydmy toczyła przez wieki walkę Ruś z Polską. Pierwsza zawładnęła niemi i dierży pod skrzydłami dwugłowego orła. Kraj śpi! Czy nie obudzą cię odgłosy dział? Nie. Sen ten jest głęboki i długi. Mędracy wschodu uważają go za błogosławieństwo.

Miasteczka, spotykane co paręset wiorst, wyglądają jak wsie poleskie: domki niskie, drewniane, kryte słomą, ciągną się dwoma szeregami wzdłuż pasa wolnego, miejscami brukowanego kamieniem polnym, poprzecinanego gdzieś rowami. To się zowie goś-

ciniec. Jest on pełen śmieci, brudu, odpadków. Przy każdym powiewie podnosi się cała chmura tego bogactwa i napełnia powietrze wonią śmietniska.

Od czasu do czasu trzeba wysiadać na stacjach, aby się zaopatrzyć w żywność, której wzięliśmy na dwa dni, a w drodze jesteśmy już pięć. Ale na postojach można dostać najwyżej kielbasy, nie wzbudzającej zaufania. Z upragnieniem oczekujemy Wiaźmy. Ale i tu na stacji jest niewiele. Wyruszam więc po zapasy do miasta. Wygląda ono strasznie. Główna ulica jest jednym cuchnącem śmietnikiem. Domki niskie, obdrapane, z małymi okienkami nie rokują dobrego zdrowia mieszkańcom. Szukam sklepów spożywczych. Jest ich sporo. Lecz brak mi odwagi wkroczyć do tego przybytku brudu. Wybieram najpokaźniejszy sklep. Na stołach leży mięso, wędliny, herbata, cukier, tytoń, bryły masła, w skrzyniach — mąka, kasza, groch, owoce, w beczkach — olej, nafta, smary, dziegieć, mleko, śmietana... słowem: czego dusza zapagnie. I nie trzeba się zbytnio męczyć, bo wszystkie te produkty są obok siebie. Z ulicy spływają tumany kurzu i miliony much, które raczą się temi smakołykami. Nabywcy obmacują każdy przedmiot rękami, mytemi prawdopodobnie ostatnio przed świętem urrzystem.

Tak wygląda stolica dawnego księztwa, wcielona od kilku wieków do cesarstwa, które miało zapewnić mu potęgę, kulturę. Gdzie jest ten dorobek? Gdzie są działacze, twórcy postępu społecznego? Pójdź do środka miasta: ujrysz tam bogate domy, w których mieszkają dostojnicy świeccy i duchowni, — cerkwie, wymalowane barwami jaskrawymi, kina, oblepione sensacyjnymi plakatami... Czyż to nie dowód, że miasto idzie za postęmem? I czego trzeba ci więcej? Tak powie mieszkaniec Wiaźmy z gwiazdką na czapce i naszywkami na wyłogach

mundura. — A jeśli ci tego mało, jedź do stolicy. Zobaczysz.

Doprawdy ciekaw jestem, jak wygląda Moskwa. Petersburg zrobił na mnie wrażenie miasta, skopjowanego na wzór Berlina dumnego z ilości nagromadzonej cegły, żelaza, drzewa, kamienia, bogactw, które można nabyć za pieniądze w obcych krajach.

Jedziemy dalej. Okolice jest coraz bardziej pusta. Co robią mieszkańcy? Jaką rolę odgrywają w życiu państwa?

Wreszcie docieramy do Moskwy. Pociąg zatrzymuje się na jakiejś linii zapasowej, skąd przestawiają nas na coraz inne bocznicze. Trwa to cały dzień. Wreszcie zatrzymują nas na stacji towarowej kolei Razańskiej. Na widnokreśgu rysują się liczne wieże i kopuły.

Jesteśmy u celu podróży.

10 Września 1915 r.

Wysiedliśmy na dworcu Razańskim. Trzeba znaleźć dach nad głowę, bo naczałstwo nie zatroszczyło się o jego wyznaczenie. Ale gdzie szukać, nie znając miasta, ani jego warunków życia? Hotele i zajazdy są pozajmowane do ostatniego kąta. Ludność podwoiła się i przekracza dwa miliony. Mieszkań pustych niema zupełnie. Spekulacja odnajmowania wre. Za pusty pokój żąda się 40 rubli miesięcznie, a za łóżko i imbryk wody gorącej rano i wieczorem, usługę, opał drugie tyle. Na każdej kartce, zapowiadającej odnajęcie pokoju, jest dopisek: „dla odinokich” (samotnych). Jak na scenie powtarza się to samo w każdym zwiedzanem mieszkaniu:

— Z rodziną? z dziećmi? Takich nie przyjmujemy, — mówi tęga gospodyni, nie wstając z krzesła.

— Gdzież więc mają się podziąć ludzie rodzinni, wysiedleni tu przymusowo?

— Cóż to nas obchodzi? „Bieżeńcy” obsiedli nas jak szarańcza.

— Nikt tu nie przyjechał dobrowolnie.

W innym miejscu stróż wskazuje mi ciemną suterynę, skąd wieje zgnilizną.

— Pan nie wynajmie? — dziwi się. — Teraz nawet generałowie nie grymaszą.

— Być może. Jednak nie mogę skazywać rodziny na choroby.

— Głupstwo! Przywykną, — mówi stróż.

Wreszcie wynajduję na jakimś zaułku dwa pokoje za 80 rb. Gospodyni godzi się nawet z tem, że mam czworo dzieci i nie żąda, abym przynajmniej dwoje utopił. Sama jest uciekinierką z Warszawy gdzie zostawiła trochę rzeczy i dużo miłych wspomnień.

— A co porabia pani mąż? — zagaduję dobrodziejkę, która godzi się nawet na użyczenie z kuchni wbrew zasadzie powszechnej, zabraniającej wstępu do tego sanktuarjum.

— Mój mąż zajmuje bardzo odpowiedzialne stanowisko w żandarmerji.

Zrobiło mi się fioletowo, jakgdyby mnie wzywał na badanie pan w mundurze fiołkowym o wzroku przenikliwym. Myśl, że mogę skazać rodzinę na stały dozór żandarmski, kazała osiedlić się raczej gdziekolwiek na przedmieściu

I znów jestem na ulicy. Idę przed siebie, odczytując nieliczne kartki przy bramach Zaglądam do hoteli, pokojów umeblowanych i nabieram coraz większej pewności, że wypadnie zamieszkać pod gołym niebem, sub Jove. Bogi, czy też nogi wyprowadziły mnie na Dominikówkę. Dziwna nazwa jak na Moskwę. Może tu kiedy gospodarzyli „Domini canes” (psy Pana), lub może jaki Dominik zasłużył sobie na uwiecznienie na tym zaułku, złożonym z obdrapanych, brudnych, cuchnących deanków, wyboistych jezdni i chod-

ników, oblamowanych wonnemi rynsztokami. Są kartki przeważnie wydarte z notesa lub kajetu z napisem: „kojka“ (łóżko), albo: „kąt w izbie“, lub potrzebny „wspónik do pokoju“. Lecz oto karta zielona: dwa pokoje! Wchodzę na dziedziniec: jestto wielkie śmietnisko, gdzie leżą kupy gruzów, popiołu, odpadków kuchennych i innych bogactw dymisjonowanych. Może określenie jest nieściśle, bo dymisjonowany generał przeszedł w t. z. „stan spoczynku“; zaś stopy odpadków i wielkości poniżonych na tym dziedzińcu są niepokojone przez: psy koty, świnię, kury, gołębie, poszukujące posiłku, i przez dzieci, wyciągające ze śmiecia kawałki obicia, blachy, drzewa. Przy poruszeniu tych tworów rozchodzi się woń zgnilizny, mającej tradycje wiekowe. Chyba ostatnim wylawiaczem był tu Napoleon, podczas którego odwiedzin Moskwa zgorzała. Od tego czasu zapewne żadna ręką nie uczyniła świętokradzkiego zamachu na te relikwie.

Cofnąłem się z tego dziedzińca, pełnego pamiątek. I tu nie możemy zamieszkać.

Wchodzę na zaułek Dokuczajewski.

Na rogu pokoje umeblowane „Kisłowock“. Chłopak w czapce z galonami pokazuje mi mały pokoik, przepierzony w taki sposób, że łóżko i mały stolik wypełnia klitkę, a w pozostałej mieści się mała kanapka, parę krzesel i szafka. Jedna osoba może się tu pomieścić. O rodzinie niema mowy. Opłata wynosi 4 rb. dziennie... Ruszam dalej. Znowu „kojki“, „kąty“, „połupodwały“ (sutereny). Nagle „dwa pokoje“ Wejście z dziedzińca przez ciemną, smrodliwą kuchnię. Dwa duże, przyległe pokoje, odrapane, ciemne, choć dwuokienne. Podłoga jest na poziomie podwórka, czyli wilgoć musi być obowiązkowo. Jednak wynajmuję te pokoje za 50 rb. miesięcznie, obowiązując się brać po 3 obiady od gospodyni, która służy swych mieszkańców.

Śprowadzamy się nazajutrz, spędziwszy noc w wagonie. Pani Titowa nie wpuszcza jednak naszych rzeczy, dopóki nie zgodzimy się na ustąpienie jednego pokoju. Trudno! Godzimy się. Nasze mieszkanie przypomina przytułek: cztery łóżka pod ścianami, piąte rozkładamy na noc. We wnętrzu ustawiamy kufer i walizki. Pod oknem mamy komodę, pomiędzy oknami — stolik do kart, który nam służy do pracy, na pomieszczenie naczyń i statków i za miejsce posiłku. Jest ciasno, duszno, bo cała wentylacja sprowadza się do dwu siatek w podłodze, przez które wiej stęchlizną. Otwieramy więc stale okno, a na noc t. z. lufcik, czyli małą szybkę o powierzchni pół łokcia kwadratowego w dole okna. Przez ten otworek nie zdoła ulotnić się powietrze zepsute, więc musimy się zatruwać. Ogromny piec kaflowy pociesza, że wyrówna krzywdę, wynikającą z niskiego położenia podłogi, straszy jednak, że jest żarłoczny na paliwo. Cóż to wszakże znaczy wobec świadomości, że się ma dach nad głową! Powtarzamy więc sobie z dziećmiakami: „miej ty sobie pałace, ja — mój domek ciasny, prawda, że nie wspaniały, szczupły, ale własny.

Zaczynamy nowe życie. Byle nie było żółwie. Zanim szpital zacznie swą działalność, ma się trochę czasu rozporządzalnego. Trzeba go użyć należycie. A więc do pracy!

15 Września 1915 r.

Co rano zbieramy się w kancelarji szpitala, oczekując na zarządzenia. Koledzy samotni rozmieścili się dość wygodnie w pokojach dla „odinokich“, których nazywam w wolnym przekładzie: „jednookimi“, a rodzinni zamieszkują chwilowo hotele. Wszyscy wyrzekają na drożyznę i wielkie niedogodności. Rachmanow wyszukał dla Bogdanowa obszerne mieszkanie. Szumski i urzędnicy dostali mieszkania rządowe.



— Jak się pan urządził? — pyta mnie Erykson w kancelarji, umieszczonej w walącym się drewniaku na śmietniku.

Gorzej, niż za czasów studenckich: jeden pokój na sześć osób.

— Niech pan poszuka większego mieszkania. Moskwa jest duża.

— Jest przepelniona. Zresztą cóż mogę dostać za 25 rb., które daje mi na ten cel szpital?

— Dostaje pan „po czynu”, więc niema pan prawa narzekać.

— Znam to dokładnie. Panowie wywieźliście z Warszawy całe mienie, a nam zabroniliście wziąć nawet pościeli. Za nasze mieszkania w Warszawie musimy płacić. Nasze pieniądze w bankach zostały uwięzione wobec moratorjum; straciliśmy dochody z praktyki. Za co to wszystko?

— Każdy ponosi ofiary dla ojczyzny, — dowodzi pan na krzywych nóżkach.

— Dość jest takich, którzy robią na wojnie afery. Zresztą moja Ojczyzna jest już w rękach Niemców.

— Pańska ojczyzna jest tu, bo jesteś poddany cesarza rosyjskiego!

— A moję ojcowiznę zrabowali i spalili koźacy.

— Z takimi oskarżeniami radzę być ostrożnym! — woła radca stanu, który dowiódł niedawno swego patriotyzmu, zmieniawszy luteranizm na prawosławje.

— Pan widocznie nie wie, co się dzieje z majątkami przy odstępowaniu?

— Ostrzegam pana, że o tem mówić niewolno!

— Palić i rabować wolno, a niewolno o tem mówić? Myli się pan najzupełniej, bo nawet wolno złożyć żądanie o odszkodowanie za straty, tylko że

czynownictwo stworzyło tu znowu masę trudności aby poszkodowany nie otrzymał zbyt dużo i zbyt, prędko...

Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Gorący patryjota zrozumiał, że chodzi tu o urzędniczą dziesięcinę, o której pisze się w rubryce spraw sądowych, ponieważ nie opiera się ona na przykazaniach kościelnych. Nie przystoi jednak mówić o tem w środowisku szpitalnem, jak o sznurku w domu wisielca, albo jak uderzać w stół, gdzie leżą nożyce.

— A czy kolega widział na własne oczy, że kozacy palili wasz majątek? — pyta mnie po rosyjsku Kr., Polak, obecny przy rozmowie, ratując przykre położenie Eryksona.

— Byłem podówczas w Smoleńsku. Ale mają rodzinę wysiedlano, gdy kozacy palili wszystko dokoła. Jednak widziałem na własne oczy łysych i brodatych kolegów, którym drżały łydki, gdy odważyłem się mówić prawdę wobecności radcy stanu.

— Poco ich drażnić, — tłumaczy się po chwili Kr. — Co do mnie nigdy nie oponuję. Mam sobie z nimi psuć krew? Niech ich licho weźmie!

— Ja zaś postępuję wręcz przeciwnie: za wszelkie nastawanie na godność Polaka i moją osobistą sam psuję im krew i mam zadowolenie, że bierze ich licho. Bierność, pokora, „słuszajnictwo“ rozzuchwała najbardziej czynowników.

Odwiedzam teraz kancelarję najrzadziej. Czas wolny używam na zwiedzanie z dziećmi miasta. Jest ono dziwne. Lapitarnie nazwałbym je wielkiem śmietnikiem, na którym wśród krętych zaułków i zaniedbanych domostw wystrzeli naraz jaki pałac, dom wielopiętrowy, lub cerkiew o barwach jaskrawych. Ale cechy śmietnika górują zawsze i wszędzie i to nietylko na dziedzińcach i ulicach, lecz i w mieszkaniach zawsze brudnych i zapluskwionych. Nietylko

chałupy i lepianki, lecz nawet domy okazałe posiadają piętra dolne poniżej poziomu ulicy. Są to najszerze sutereny, nie nadające się na mieszkania, jednak zajęta teraz nawet przez ludzi zamożnych. A że brak urządzeń do odprowadzania wody zaskórnej, więc wilgoć podnosi się nawet na wyższe piętra. Place nie są doprowadzane do poziomu, lecz buduje się na nich domy, jak się chce. To też nietylko ulica jest łamana, lecz nieraz z jednej strony domu okna są na poziomie ulicy, a z drugiej o parę łokci poniżej. Na Roździestwience znajduje się np. hotel, gdzie schodzi się do pokoi mieszkalnych parę pięter w dół. Jeden z moich chorych mieszkał tam na głębokości trzeciego piętra.

— Uskarża się pan na duszność,—mówię do niego.—Ja sam duszę się w tej wilgoci i stęchliźnie. Pierwsza rada—wyprowadzić się stąd.

— Brak mieszkań,—biada żona chorego.—Obiecano nam pokój o piętro wyżej.

— I tam będzie nie lepiej. Wobec stanu płuc chorego pobyt jego w Moskwie jest przeciwskazany.

— Niestety muszę tu pozostać. Przyzwyczaję się, jak inni.

— Wydaje mi się, że zachorowalność i śmiertelność muszą być w Moskwie znacznie wyższe, niż w Warszawie.

— Klimat ostrzejszy. Ludzie się częściej zaziębiają,—mówi chory.

— Zaziębienie unosi się tu w powietrzu w postaci tumanów kurzu i pyłu za każdym tramwajem, samochodem, wozem. Ten kurz i pył przenika przez szczeliny do mieszkań, osiada na odzieży, pokarmach i jest przenosicielem rozmaitych zaraków. Moskal nie otwiera okien, aby zmniejszyć dopływ kurzu zzewnątrz. Ale to pomaga niewiele.

— Ja się zaziębilem, wyszedłszy wieczorem bez palta,—mówi chory.

— Czy pan widział, jak świecą latarnie po zachodzie słońca?

— Tak. Mętne. Muszą mieć złe palniki.

— Wszystko to sprawia kurz, który opada wraz z rosą, tworząc mgłę, którą wdychamy. Można zapewne się do tego przyzwyczaić. Lecz przystosowanie to jest nietylko jedzenie na tułaczce pół porcji, zamiast całej, noszenie łatanej odzieży i obuwia. Jest niem również choroba ze wszelkimi jej następstwami. Zima z jej mrozami jest dla Moskwy zbawienna, bo przez pół roku kurz leży pod śniegiem i lodem.

24 Września 1915 r.

O ile heraldyka rodowa nie rozczuła mnie nadmiernie, a herby, przydomki i inne oznaki „dobrze urodzonego“ nasuwają nieraz wątpliwości, czy dobrze, że się ich posiadacz urodził, o tyle dzieje miasta, zapisane na jego murach, przykuwają uwagę bardziej, niż okazy nowego budownictwa.

Podążam więc przedewszystkiem do Kremla. Cała ta dzielnica jest otoczona zębatym murem ceglany z licznymi wieżycami. Od południa Kreml wychodzi na rzekę. Książęta i carowie nie lubili snać pofalić się z poddanymi, bo ten obszar jest odosobniony, niedostępny. Parę bram fortecznych łączy go z miastem. Bramy są wąskie, ciemne, brukowane kamieniem polnym. Nad nimi założono kapliczki. Jedna z nich, uchodzi za świętą. Przechodnie zdejmują przed nią czapki, wielu żegna się i wybija pokłony.

Płaszczyzna Kremla jest trójkątna, poprzecinana nieforemnymi uliczkami, placami, zaułkami. Wygląda to tak, jakgdyby budowano nie poto, że dany gmach jest potrzebny, i nie w miejscu wypatrzonem, lecz tak

sobie na los szczęścia. Na prawo ciągnie się arsenał, a na lewo senat, obydwa ciężkie o wyglądzie koszarowym. Przed arsenałem leżą długim szeregiem działa z wojny Napoleońskiej. Wśród paru setek jest kilka polskich z napisami: „za naszą wolność i za waszą“. Te działa mają wskazać podobnie, jak napis pod cudownym obrazem, który miał uniknąć zagłady w 1812 r., że Kreml jest niezwycięzalny.

Na placu za arsenałem ustawiono armaty świeżo zdobyte na Austriakach. A dalej widnieje sławne działo z końca XVI wieku, nazwane: „car—puszka“. Jestto ogrom, jak na owe czasy, bo ma ważyć 2400 pudów, średnica lufy wynosi 80 ctm., kula zaś waży 120 pudów. Ale to działo straszne jest tylko na oko, bo nigdy nie próbowało prochu. Zwiedzający zdołali już wyłobić w lufie bruzdę przez ciągłe dotykane jej podobnie, jak wierni, którzy odcałowali palec posągu Ś-go Piotra w Watykanie.

Na końcu wąskiej uliczki wznosi się dzwonnica Jana Wielkiego. U jej podstawy stoi „car—kołokoł“, wielki dzwon, który spadł podczas pożaru i rozłupał się. Dziś imponuje on swym ogromem i wagą 12,327 pudów. Serce ma niebywale wielkie, ale zapewne nie gorętsze, niż serce cara...

Z wieży roztacza się rozległy widok na setki kopuł i dzwonnicy Moskwy, która szczyty się posiadaniem ich czterdzieści razy po czterdzieści. Jest to więcej, niż polskie „trzy po trzy“. Te wyniosłości błyszczą w słońcu o parę wiorst. Najjaskrawiej rzuca się w oczy nowa świątynia Zbawiciela. Błękitna smuga rzeki, ciągnącej się od południa, nie nadaje obrazowi życia. Jakąś dziwną martwością wieje od tych budowli, porozrzucanych bezładnie, od tych kopuł, krzyżów, których zadanie sprowadza się jedynie do błyszczenia. Nawet gdy z wież zabrzmia dzwony nie wnoszą życia, lecz, jakiś jęk kurczowy zdła-

włonej piersi, który zdaje się przedrzeźniać i ośmieszać małe dzwonki o wysokim tonie i wielkiej krzykliwości. O, jak inny widok roztacza się z wieżyc katedry Medjolańskiej, z baszty na placu Marka, z kopuły Ś-go Piotra, z wieży trynitarzy w Kopenhadze? Tam tętni życie; ludzie przy pracy, konie w zaprzęgu, wozy w ruchu, statki, łodzie suną po wodach, komin-y fabryczne zieją smugami dymu. A tu? Garść zwiedzających stoi przy carze-puszcze, przy carze-kolokole, garść siedzi w podsieniach pomnika Aleksandra II, na dalszym planie widać już tylko mury, dachy, drzewa, nigdzie człowieka i jego działania. Nawet gładź rzeki odbija tylko brzegi, a nie dźwiga łodzi i statków. A dymy, ścielące się z kominów, nie nastroczają wątpliwości, że ludność gotuje „szczy“ na obiad, uważając je za najbardziej wartościowy wytwór.

Dziwnie martwo wygląda Moskwa z wieży Jana. Wszak jest to miasto dość ruchliwe, zwłaszcza w dzielnicach środkowych. Czy Kreml nie znosi przejawów życia, energii, działania? Odgrodził się od miasta murem i placem Czerwonym, na którym carowie ścinali śmiałków, dążących do przewrotu. Czyżby spadły wszystkie głowy zapalone na „łobnem“ miejscu? Czy wyginęły te pokolenia, pozostały zaś niewolniczo-pokorane, gotowe pójść na śmierć beznadziejną, gdy to nakaze tron? Może wojna obecna, której „plac czerwony“ rozciągnął się na tysiące kilometrów, da na to odpowiedź.

Zegar kurantowy na wieży Kremla wydzwonił południe. Tarcza jego błyszczy złotemi kręgami, cyframi i wskazówkami, dzwony i dzwonki pieścą ucho srebrzystemi tony, zarysy wieży pociągają szlachetnemi linjami renesansu. Zapominam, że jestem w Kremlu. Zda mi się, że oto rycerze ze spiżu uderzają młotem w dzwon zegara na placu Marka.

Ale z ostatnim dźwiękiem ginie złudzenie. Jestem na Janie Wielkim. Wokół panuje martwota, jak w Tunisie w południe, gdy cała ludność kładzie się spać. Tak dzieje się o 19<sup>o</sup> południowej od Moskwy. Ale tu, gdzie słońce grzeje ledwo przez parę miesięcy, powinien mieszkaniec wchłaniać jego promienie. Jednak wyraźnie ich unika, nie znosi ciepła i światła. Moskal przystosował się do śniegu i zimna, jako hyperborejczyk chroni się od słońca. Niech okno jego domu wypadnie na południe, napewno okratuje je, zasłoni, ocieni drzewami, wzniesie ścianę lub parkan o parę kroków. I to nie tylko w zwykłej chałupie, taksamo dzieje się w „osobniaku“, domu bogaczy na jedną rodzinę.

Z wieży Jana roztacza się daleki widnokrąg. Krzyże i kopuły rzucają blaski oślepiające, a niziny są ciemne i ponure. Taksamo wygląda ustrój socjalny tego państwa. Od złota błyszczą korony, berła, mundury, ryzy, a lud jest brudny i obdarty. Niekiedy błysnie imię pisarza, poety, artysty, rzadko—uczonego; a ogół jest pozbawiony polotu, nie pragnie niczego, prócz codzienności. Ale niech zjawi się jaki umysł niezależny, środowisko odepchnie go od twórczości i kaze mu ukorzyć się przed twierdzą ciemnoty. Stoi ona niewzruszenie, dowodząc przez to, że porządek, ustalony w Rosji, jest trwały, oparty na pierwiastku, którego widocznym wyrazicielem jest car.

Jeżeli masz co do tego wątpliwości, zajdź jeszcze do pałaców, przyjrzej się pomnikom zmarłych władców, odwiedź ich prochy w cerkwiach. One przekonają cię, że wszelkie marzenia o wolności są tylko złudą, a prawda niewzruszona jest tam, gdzie jest potęga i bogactwo.

Tak mówi Kreml. Idziesz za przewodnikiem, patrzysz i słuchasz, co ci prawi. A on stara się olśnić cię liczbami. Mówi więc, że pałac zajmuje 10,000

sążni kwadratowych, liczy 700 pokoi i sal, kosztuje sumy bająnskie. Wielki pałac, zbudowany za Mikołaja I, szczyli się salami kawalerów orderu św. Jerzego, Aleksandra Newskiego, Andrzeja, Katarzyny. Ściany ich są pokryte nazwiskami mężów zasłużonych tronowi, wśród których widnieje i spoliczkowany Apuchtin. Sala tronowa, sala cesarzowej i wiele innych uginają się pod brzemieniem złocień, bronzów, bogactw, które cię pytają: widziałeś kiedy coś równie cennego? Przeciętny poddany cesarza schyla głowę pokornie, jak przy: „hospodi pomiluj!” i szepce w zachwycie: nigdzie na świecie niema takich bogactw, jak u naszego carabatuszki. A gdy ten wierny poddany wejdzie do dalszych pokoiów, gdzie mieszkali książęta moskiewscy przed 300 laty, gdy zobaczy „granawitą” izbę, „teremny” pałac, zachowane i odbudowane w dawnym stylu po odwiedzinach Napoleona — to patrzy na nie z taką dumą, jak rzymianin na szczątki forum romanum, lub weneccjanin na pałac dożów.

Ale na tem nie koniec. Oto w soborze archangielskim jest święty obraz Jana Chrzciciela z kroplą jego krwi (I), szczątki książąt Dymitra i Michała, straconych przez tatarów, grobowce wielu książąt i carów, ewangelja z XII wieku, rękopisy starożytny. W katedrze błagowieszczeńskiej jest cudowny obraz Dońskiej Matki Boskiej i kawałki Krzyża Chrystusa. W katedrze uspienskiej, założonej w XIV wieku i spustoszonej przez Francuzów, którzy mieli wywieść stąd 300 pudów srebra i 18 złota, znajdują się ikony Włodzimierskiej Matki B., malowanej przez św. Łukasza (II), część szat Chrystusa i Marji (II), kawałek krzyża, grobowce patriarchów... Dalej idą cerkwie pałacowe z wszelkiemi świętościami.

W tem środowisku doznaje człowiek prawosławny potężnych wzruszeń, wybijając tysiące pokłonów, powtarzając po tysiąc razy: „hospodi pomiluj”, sta-



wiając ile zdoła świeczek, całując nagrobki, ikony, „przykładając się” z istną namiętnością manjaka. A po chwili, gdy spełnił te wszystkie ceremonie, wraca przeciętny poddany do swej zwykłej beczynności, przeplatanej pićciem herbaty, wódki i wszelkimi grzechami powszedniemi.

Coś z wegetacji ma w sobie to życie. Tak właśnie drzewo, początkowo cienkie, gibkie i chwiejne, pokrywa się coraz obfitszą zielenią, aż przyjdzie dzień, gdy nie pochyli go już wiatr. Wtedy zapatrzone w gąszcz swych gałęzi, w liczebność nawarstwionych słoí pnia, prawi ono pokoleniom młodszym o burzach przeżytych, o potężnych piorunach, o Bogu-słońcu życiodajnym, o dwu państwach: światłości i cieni, prowadzących bój odwieczny, o ofiarze liści i płodów dla przebłagania potęg tajemnych... W tem zapatrzeniu się w siebie nie czuje drzewo, że czerw toczy jego ciało i siekiera zbliża się do jego pnia. I oto przyjdzie chwila, gdy nagle runie całym swoim ciężarem w momencie kontemplacji swej potęgi.

Ale człowieka rosyjskiego nie niepokoją takie myśli. Stanął przed pomnikiem Aleksandra II. Na cokole wielka figura z brązu zabitego cara, nad nią baldachim i piramida czteroboczna, a na jej wierzchołku orzeł dwugłowy. Dokoła krużganek z mozaikowemi podobiznami książąt i carów. Czy to ujęcie dziejów Rusi w ten pomnik nie przekonywa, że są one trwałe, jak spiż? A pomnik ostatniego cara, Aleksandra III, przy świątyni Zbawiciela, czy nie potwierdza tej samej myśli?

Car siedzi na wysokim cokole z granitu na wygodnym fotelu jak bożek perski, wsparty na ramionach, trzymając berło i kulę, w koronie, w płaszczu gronostajowym. U jego stóp orły dwugłowe zrywają się do lotu w cztery strony świata. Mając takich obrońców,

może car siedzieć spokojnie, choć zginął po zamachu pod Borkami.

A świątynia Zbawiciela? Moskwa chęłpi się nią, jako cerkwią największą, najwyższą, najkosztowniejszą, skarbnicą sztuki, miejscem obchodów uroczystych. Położona na wzgórku, jest widzialna zewsząd. Zbudowana w postaci krzyża równoramiennego, ma pośrodku wielką, złożoną kopułę i cztery mniejsze po bokach. Ściany barwy piaskowca ozdobione licznymi płaskorzeźbami. A wewnątrz pokryte jest freskami, wyobrażającymi świętych w stylu bizantyjskim. Od tej ikonografii akademików, szablonowej, bezdusznej, odróżnia się na pierwszy rzut oka parę fresków Siemiradzkiego i Makowskiego.

Bardzo oryginalna jest cerkiew Wasyla na placu Czerwonym, zbudowana za czasów Jan Groźnego, który był tak zachwycony tym tworem w stylu indyjsko-bizantyjsko-gotyckim, że budowniczemu kazał.. wylupić oczy. Ta osobliwa łaska carska mogła się powołać na Homera, który zalecał tkaczowi pasa, aby nie zaczynał nowego, bo nie zdoła stworzyć nic równie pięknego. Groźny poszedł dalej. Tak trzebili władcy Rusi poloty jednostek.

Ta cerkiew robi wielkie wrażenie przez mnogość kształtów, linii, barw, zlewających się harmonijnie. Liczne kopuły o zarysach strzelistych przypominają las wieżyczek gotyckich katedry Medjolańskiej; łuki i ornamenty mają coś wspólnego z bazyliką Marka, kolory jaskrawe wskazują na pochodzenie azjatyckie. Przy oświetleniu bocznem o wschodzie lub zachodzie wygląda ta cerkiew czarodziejsko. Wprawdzie przewodnik nie będzie mógł tu imponować: „kosztuje 15 milionów, na kopuły użyto 18 pudów złota“... ale turysta zatrzyma się przed tym zabytkiem i nieraz doń powróci, widząc w twórczości najwyższy przejaw ducha.

Wnętrze cerkwi Wasyla zachowało cechy dawne: ciasnota, ciemność, zaduch, nagromadzenie przeróżnych ikon, grobowce mężów zasłużonych i ta specyficzna atmosfera cerkiewna, w której wyziewy „bogomolcow“, pomieszane z kopciem i przypalonym łojem świeczek, przyprawiają o zawrót głowy. I naród prawosławny wybija pokłony, żegna się, przykładą, całuje świętości, przeświadczony, że jego modlitwa jest gorąca. A to tylko w tej ciemności i ciasnocie jest... duszno i parno.

28 Września 1915 r.

Okres bezczynności trwał niedługo. Po dziesięciu dniach zostałem przydzielony do szpitala ewakuacyjnego wraz z kolegą B., jako stały uczestnik komisji. Reszta kolegów zażywała wciąż jeszcze wyczasów. Moje władze nie umiały mi nawet wskazać adresu tego szpitala, dowodząc, że obowiązany jestem sam go wyszukać. W inspekcji lekarskiej podano mi adres: koszary Krutilskie w południowo-wschodniej części Moskwy, co wynosi 10 wiorst od mego mieszkania.

Tramwajem jedzie się tam przez słabo zabudowane ulice o wyglądzie przedmieść: domki, a właściwie chałupy, parkany, place, gdzieś tam fabryka, czasem „osobniak“. Skręcamy na jakąś ulicę, gdzie napisy narożne są pozrywane, kilka domów spalonych, dużo okien i drzwi powybijanych. To ulica Niemiecka. Została ona zniszczona na wiosnę przez ludność. Było to świetne zwycięstwo nad wrogiem, bo nawet nazwę „starto z oblicza ziemi“. Za to „starcie“ będzie musiał rząd grubo zapłacić. Ale czyż nie warto podniecić uczuć patriotycznych ludu?

Mijamy potok Jauzę, wpadający do rzeki Moskwy. Jest to właściwie głęboki parów, przez któ-

ry płyną cuchnące odpadki i wydaliny, pomieszane ze ściekami i wodą zaskórną. Brzegi, powyrywane przez wodę, są wielkim śmietniskiem, porośniętym marną trawą, którą skubią krowy i kozy. Jest to naturalna „cloaca maxima“, wyzyskana przez ludność okoliczną do... prania bielizny. Co na to władze sanitarne?! Milczą. Snać uważają, że poddanemu trzeba pozostawić trochę „wolności“.

Docieram do Taganki, placu, przypominającego warszawską Żelazną Bramę z przed 30 lat. Podobny okrągłak z setką rozmaitych sklepów i kramów, straganów, przekupniów, wozów. Na tym rynku panuje brud i nieład nieopisany. Można też tu się przekonać, jak wielkie jest podobieństwo pomiędzy kupcem moskałem, a żydem: takie same długie, nieczesane brody, wytłuszczone kapoty, przypominające chałat, choć nieco innego kroju, podobne czapki, nigdy nie zdejmowane, nawet w mieszkaniu, a nadewszystko — wschodnie niechlujstwo. Moskał jest tylko spokojniejszy, załatwia kupującego w kilku słowach i nie ciepła się natrętnie jego rękawów.

Tu kończy się połączenie tramwajowe. Dalszą drogę trzeba odbyć na piechotę. Przez wązkie zaułki docieram do koszar Krutickich, położonych nad rzeką. Zajmują one obszar paru włók i mieszczą kilkanaście instytucyj. Najruchliwszy jest tu urząd naczelnika wojskowego.

Lekarz główny szpitala ewakuacyjnego, człowiek młody w randze radcy kolegjalnego, przyjął nas bardzo uprzejmie. Wśród kilkunastu kolegów spotykam jednego pacjenta, mającego długi wdzięczności. Moje obowiązki są niezbyt mozolne. Posiedzenia komisji zaczynają się o 11-ej pp, Przeglądamy około 150 żołnierzy w ciągu 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> do 2 godzin. Są to przeważnie ranni z zabliźnionymi uszkodzeniami. Daje się im urlopy i uznaje za niezdatnych do dalszej służby, lub

odsyła z powrotem do pułku. Jeden lekarz bada, drugi zapisuje orzeczenie na kartce, trzeci z udziałem felczera wpisuje je do ksiąg i na blankiety oraz przykłada cały szereg stempli, skrócających pisanie. Jako starszy wiekiem zostałem powołany do badania; ale co kilka dni muszę załatwiać i czynności kancelaryjne. Patrzę z podziwem, jak kolega B. przykłada pieczęcie z takim wdziękiem i lubością, jakgdyby terminował przez parę lat na poczcie.

— Mile życie? — pytam go z uśmiechem.

— Wolicie dyżury w Ujazdowie, lub nauki Bogdanowa?

— Tego nie mówię. Ale czyż naszej wiedzy nie można zużytkować bardziej celowo? Wszak do tej roboty wystarczy zwykły gryzpiórek. Mają widocznie za dużo lekarzy.

— Jaby tak pieczętował do końca wojny, — mówi B., uśmiechając się dobrotliwie. — Ależ uważajcie! Przykładacie pieczęć do góry nogami.

— Umyslnie! — wołam rozdrażniony. — Nie uczyłem się tej sztuki, nie jestem więc obowiązany ją posiadać.

— Wolicie pisać od ręki? — mówi B., przykładając pieczęć z taką lubością, z jaką jego przodek wodził pendzlem po płótnie.

Rozumiem, że nie mam słuszności, jako że „człowiek zdobi miejsce”. A swoją drogą nie mogę pogodzić się z myślą, żeby poto zdobywać w mozole wiedzę, aby wreszcie wypełnia taką bezmyślną i śmieszoną rolę.

Po skończeniu obowiązków wracam najczęściej na piechotę, codzienną inną drogą, aby poznać miasto. Koryto Moskwy ujęte jest w bulwary kamienne. Wiele barek, tratw i berlinek przywozi tu drzewo, kamienie, cegłę. Moskwa, choć wązka rzeka, stanowi ważne połączenie z Oką. Jest tu nawet szpital, urzędzo-

ny na statku. Na to jednak jest rzeka za mała, bieg jej za powolny, naświetlenie za słabe, bo wydaliny paruset chorych muszą odbić się szkodliwie na ludności, którą zaopatruje rzeka w wodę.

Im bliżej Kremla, tem porządniej zabudowane jest wybrzeże. Jeden z największych gmachów to Mikołajewski dom wychowawczy; zajmuje kilkanaście morgów i ma wygląd zupełnie nowoczesny.

Z paru mostów roztacza się rozległy widok na Kreml, który wygląda mi teraz nieco inaczej. Zaznacza się bowiem niestosunek pomiędzy masą, a wytworzonymi linjami i kształtami, ubóstwo pomysłów, brak czegoś naprawdę narodowego, poza... orłami dwugłowymi i zamilowaniem do barwy ceglastej, która nadają gmachom wygląd koszarowy.

Co dnia, wracając od obowiązków, zwiedzam jakieś osobliwości. Oto klasztor nowo-dziewiczny w pobliżu Taganki, otoczony murem i basztami. Przez dzwonnice, na której jest wzorowana baszta na placu Saskim w Warszawie, przechodzi się do wnętrza. Korytarze i podsienia są ozdobione szablonowymi freskami. Wstęp dalej jest wzbroniony. Ile jest tu mniszek, skąd się rekrutują, co robią nie można się dowiedzieć. Są to tajemnice. To pewna, że ten olbrzymi klasztor wygląda zupełnie niewspółcześnie. Można by też urządzić z wielkiem powodzeniem szpital dla chorych i rannych, zamiast zajmować na ten cel szkoły i inne domy w śródmieściu. Takie zośrodkowanie szpitali wojennych dałoby prócz oszczędności jeszcze i większe bezpieczeństwo dla ludności miasta, narażonej na rozmaite choroby. Któż jednak ośmieliłby się podnieść rękę na nietykalność klasztoru? Przeciw takiemu zamachowi powstałoby nietylko przeorzy i popi, lecz cały naród prawosławny. Co prawda klasztorów jest w Moskwie kilkadziesiąt, bogactwa ich są niezmierne i nic z nich nie zostało użyte na

wojnę. Jednak modły mnichów i mniszek warte chyba nie mniej, niż krew żołnierzy i pot robotników, pracujących dla armji. Niemasz dziś śmiałka, który by postawił wniosek zbadania, czy liczni mieszkańcy klasztorów nie nadawaliby się pod broń, wiele bogactw — na potrzeby żołnierza, a same budynki — do pomieszczenia chorych. Ale taki śmiałek może się czasem znaleźć. Dziś bogacze i łowcy orderów wolą wynajmować całe domy na zakładanie małych szpitalików, których utrzymanie pochłania ogromne pieniądze i wprowadza duży zamęt, bo z tych zakładów korzystają przeważnie osobistości, pragnące się ukryć.

5 Października 1928 r.

Po dwu tygodniach zajęć komisyjnych szpital dostał w nocy nakaz telefoniczny wyniesienia się dokąd mu się podoba, bo jego pomieszczenie będzie zajęte na... więzienie. Od rana zaczęło się pakowanie mienia, przewożenie na skład i ewakuowanie chorych. Zostaliśmy chwilowo bez zajęcia do czasu wyszukania nowego pomieszczenia. Inspekcja zda się o tem nie wiedzieć. Snać musi być dużo lekarzy bezczynnych. Kolega B. obawia się, aby go nie przeniesiono do armji czynnej. Stara się więc o powrót do szpitala Ujazdowskiego, który ma niebawem otworzyć swe podwoje w gmachu kolei Razańskiej. Rzecz dziwna: wszyscy wyrzekają na Bogdanowa, a jednak obawiają się przeniesienia do innego szpitala, aby nie dostać się z deszczu pod rynnę.

Bogdanow dostał awans na rzeczywistego radcę stanu. Czerwona podszywka zdobi już jego szynel, z którym się nie rozstaje pomimo niezwykłych upałów. Jako prawdziwe prewoschoditelstwo dmie się teraz, jak kogut na płocie. I ma się wrażenie, że całe otoczenie patrzy dziś na niego, jak na całkiem

nową, potężną osobę. Miałem wielu pacjentów generałów i nigdy nie przeszło mi przez głowę, aby ich ranga nadawała im jakieś cechy niezwykle, chociaż w Rosji człowiek zaczyna się od radcy stanu, podobnie jak w Galicji — od hrabiego. Uroczystość rodzinna z wynajętym generałem stanowi dotychczas zbytek dla ludzi próżnych w takiej samej mierze, jak kolacja cukrowa i szampan na weselu, choćby nowożeńcom miało nazajutrz zbraknąć na kartofle.

Zaszedłszy po pensję do kancelarii, spotkałem Bogdanowa. Przywitałem się jak zwykle, choć otoczenie stało na baczność. B. mówi do mnie: — Niebawem otwieram oddział oficerski i będę musiał pana odwołać.

— Wolałbym pracować w oddziale żołnierskim, — odpowiem, dowiedziawszy się, że kierownikiem oddziału oficerskiego ma zostać Rachmanow.

— Jest pan jedynym internistą, któremu mogą powierzyć tak odpowiedzialne stanowisko.

— Wiedza i doświadczenie są tu zbyt cenne, — odpowiem. — Konieczna jest wysoka ranga.

— Włęcz pan uchyla się od propozycji?

— Mógłbym ją przyjąć jedynie pod warunkiem, że będę zupełnie samodzielny, lub że mój zwierzchnik będzie ode mnie bardziej doświadczony.

— Zastanowię się nad pańskim życzeniem, — odrzeczę Bogdanow.

Rachmanow jest zdetonowany, lecz zarazem rad, że dobierze sobie kogo uległego. Łoktiew jest zdumiony, że mówię z generałem, jak ze zwykłym śmiertelnikiem i nawet wygrażam mu jego własną bronią. Ja zaś jestem rad, że uwolnię się od opiekunów, którzy mnie prowokowali do walki w imię dobra chorych.

Doprowadzenie mienia szpitalnego do porządku posuwa się rażno naprzód. Sprzęty drewniane są przeważnie połamane, szklane — potłuczone, meta-



lowe — pogięte. Dużo rzeczy zaginęło, między innymi — kilkudziesięcio pudowy dzwon z kaplicy. Szumski jest tem zaniepokojony, poszukuje winnego i nawet ofiarowuje pieniądze na kupno nowego brząkadła, byle się znalazł chętny na.., winowajcę zaginięcia tego nie-breloka. Ale chętnych niema. Radczenko odmawia wręcz, uważając, jako liberał, dzwon za rzecz... świętą. W dodatku złośliwe języki głoszą, że żydzi odprzedali stop Niemcom. Autorem jednego „dzwonu zatopionego” jest Hauptman, a drugiego — podobno sam Szumski.

Na uruchomienie szpitala będzie potrzeba paręset tysięcy. Nikt się tem nie martwi, bo chodzi o za imponowanie szpitalom miejscowym. Za wydatki na ucieczkę z Warszawy, przejazd do Smoleńska, potem do Moskwy, za naprawy, pobory personelu i t. d. można by założyć nowy szpital. Lecz te rachunki będą robione chyba dopiero po wojnie. Okaze się wówczas że ród Hauptmanów jest liczny i że mu się dzieje dobrze.

15 Października 1915 r.

Główny ośrodek kolonji polskiej to kościółek na Milutińskim zaułku i przyległy dom Polski. Odwiedzamy go dość często. Budynek w stylu romańskim stanowi prawdziwą oazę zachodu na tle wszechwładczego bizantynizmu. W tem odosobnieniu przemyśliwa się krytycznie pogląd o łączności polskości z katolicyzmem. Na obczyźnie uwydatniają się jaskrawo różnice kultur na tle odmiennych kultów. Najlepszy dowód stanowi kościółek kolonji francuskiej, położony nieopodal na Małej Łubiance: przy wspólności kultu widzimy tu olbrzymie różnice kultury. Trudno wprawdzie porównywać Francuzów, osiadłych w Moskwie, z wygnańcami Polakami. Jednak nawet wtedy

gdy zbiera się sama inteligencja, różnice są wyraźne.

W dni świąteczne zapelnia się pobożnymi nie tylko kościół i dziedziniec, lecz i cała ulica. Jedni modlą się o skrócenie ich tułaczki, drudzy płaczą i zawodzą uważając siebie za najbardziej pokrzywdzonych, inni poszukują w tłumie znajomych i zawierają znajomości. Cała ta ciżba nacechowana jest smutkiem, cierpieniem, zdenerwowaniem.

Od tych ludzi dowiaduję się, że część ich mieszka w schroniskach Komitetu Polskiego, który otrzymuje na pomoc dla ofiar wojny środki z komitetu wielkiej księżniczki Tatjany. Chcąc wziąć udział w tej pracy dla rodaków, zapisując się na członka wydziału zdrowia. Biuro jego mieści się na zaułku Ułańskim. Prezesem jest budowniczy Kontrym. Wśród członków jest kilku lekarzy z Moskwy oraz kilku przyjezdnych.

Na pierwszym posiedzeniu jest mowa o zapewnieniu pomocy lekarskiej w schroniskach, rozrzuconych na krańcach miasta. Zakresu działania lekarza nieokreślono. Podjąłem się jednak opieki nad dwoma schroniskami.

Pierwsza wizyta na Bożedomce przekonała mnie, że organizacja jest zupełnie wadliwa. W drewniaku pośród wyjątkowo brudnego podwórka mieści się w kilku izbach po kilkadziesiąt osób obojej płci i różnego wieku. Brak tu łóżek, tapczanów, nawet pryczy. Kto dowiózł jaką pierzynę, poduszkę, kołdrę, zajmuje miejsce pod ścianą; reszta sypia na podłodze, gdzie się trafi. Poza gołemi ścianami schronisko daje po 40 groszy dziennie na wysiedleńca. Z tej dziadowskiej zapomogi można się zaopatrzyć najwyżej w chleb i wodę gorącą, którą nabywa się w herbaciarni po 6 groszy za imbryk.

— Czemu nie poszukacie roboty?—pytam paru kobiet, wyrzekających na nędzę. Jesteście bezdzietne, Czyż nie lepiej coś dorobić? nie macie obowiązków.

— Wygnali nas. Niech teraz dadzą wszystko, co potrzeba,—mówi młoda kobieta, siedząca na podłodze.

— Nie łudźcie się, aby wam dano lepszą pomoc. Musicie sami o sobie pomyśleć, bo zginiecie.

— Niech mi założą sklep,—mówi krawiec, któremu proponowano zarobek po 3 rb. dziennie.—Pracowało u mnie po kilkunastu czeladzi. Czy mam teraz sam zostać czeladnikiem?

Podobnież uchylają się od pracy murarze, szewcy, ślusarze. 19-to letni chłopak oświadcza:—dają nam zarobek o połowę mniejszy, niż moskałom. Za 40 rb. miesięcznie niewarto pracować, bo zniszczy się więcej ubrania.

Inni powiadają, że brak im obuwia i odzieży, więc nie mogą nawet szukać pracy. Ci ludzie muszą mieć jakieś zasoby, bo wielu wydaje na same papierosy więcej, niż wynosi zasilek. Niezadowolone jest powszechne a skierowane nawet do mnie, który przychodzę bezinteresownie pomóc chorym. A jest ich sporo.. Na 60 wysiedleńców w jednym schronisku choruje 12, a w drugim również około 20<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, zwłaszcza dzieci, wśród których panują choroby gorączkowe. Niewiadomo, co począć z niemi; szpitale są przepełnione, a w schroniskach zaraza szerzy się szybko?

Poruszyłem to pytanie na posiedzeniu Wydziału. Po długich naradach postanowiono kwalifikować tych chorych do szpitali. Ale do umieszczenia jeszcze daleko. W dodatku czem przewozić chorych zakaźnych? Dorożką niebezpiecznie i drogo, a karetki szpitalne nie chcą jeździć na krańce miasta.

Schronisko na zaułku Pierejasławskim wygląda na norę bandycką. Drewniak nawpół zgniły na małym podwórku, będącym istnym śmietnikiem i dołem kloacznym, robi wrażenie odrażające. W dodatku mieści się tu pralnia, przez którą przechodzą setki pudów bielizny szpitalnej. Sama styczność dwu takich zakładów stanowi wykroczenie przeciw zdrowotności. A cóż dopiero powiedzieć o gromadzeniu wody z pralni w dołach kloacznym i pompowaniu całej ich zawartości co kilka dni do rynsztoków!

Schronisko jest przeludnione. Tułacze są rozgoryczeni i zdenerwowani.

— Poco Komitet zawraca nam głowę?—mówi jeden młodzian.—O nic nie można się doprosić, a coraz jakiś kontroler lezie tu do nas. Pan zapisał receptę, a nim dostanę lekarstwo, choroba mnie zeżre! Wielcy dobroczyńcy...

W tych cierpkich słowach jest dużo słuszności. Niedość powtarzać: „darowanemu koniowi...” Trzeba dać najskromniejszą pomoc, ale wartościową. Postawa i zachowanie się chorego są takie, jakgdyby chciał wziąć się niebawem do mnie, jako przedstawiciela źle zorganizowanej pomocy. Inni mieszkańcy przytułku wtórują choremu w tym samym tonie. Podniecenie rośnie. Rozumiem, że lada chwila może wypadnie mi bronić się przed napastnikami. A jednak pojmuję, że nie mogę zataić przed tułaczami, że się myślę, sądząc, iż Komitet powinien zabezpieczyć im wszystkie potrzeby materialne, nie zażądawszy od nich wzamian pracy. Oparłszy się więc na wszelki wypadek o ścianę i położywszy rękę na gardzie szabli, powiadam do wzburzonej grupy:

— Pojmuję wasze rozgoryczenie, jako że jestem sam, jak i wy, tułaczem. Kazano mi opuścić Warszawę, gdzie mieszkałem wygodnie i dostatnio. Moja rodzina uciekła ledwo z życiem ze spalonego majątku.

I dziś mieszkamy tu w sześćcioro w jednym pokoju zubożeli, podupadli na zdrowiu. A jednak widzicie mnie dziś wśród siebie. Czemu? Bo poczucie łączności z rodakami każe mi przyjść z bezinteresowną, dobrowolną pomocą tym, którzy są w gorszym położeniu odemnie.

— Wszyscy bierzecie dobre pensje z funduszków, przeznaczonych dla nas,—przerywa drągał, uważający siebie za najbardziej wyzyskanego.

Zrozumiałem. Pisma podają wiadomości o setkach tysięcy, przeznaczonych dla tułaczów, którzy dostają po 40 groszy dziennie. Gdzież podziwia się reszta?—Kradną!—I ja jestem w oczach ich również jednym z tych, którzy żyją ich kosztem.

Jesteście w błędzie, moi kochani. Za moją pracę nie pobieram żadnego wynagrodzenia. Jeżeli wszakże nie potrzebujecie mej pomocy, przestanę was odwiedzać.

Parę kobiet z choremi dziećmi i paru chorych, którym udzieliłem porady, błagają, abym ich nie opuszczał. Korzystając z tego mówię dalej:

— Nie możemy przewidzieć, ile czasu potrwa nasza tułaczka. Kto chce z niej powrócić do swej ziemi, musi sam dbać o siebie, nie pokładając całej nadziei w Komitetach pomocy, zdolnych tylko wesprzeć częściowo. Musicie więc wziąć się do pracy zarobkowej, która nietylko da wam lepsze warunki materialne, lecz nadewszystko zabezpieczy od gnuśności i zniechęcenia.

— Niema tu dla nas pracy! — krzyknął drągał, opuszczając izbę.

— Jest jej dość. Zresztą nie wszystko kończy się na Moskwie. Powiem wam nawet, że wobec oczekiwanych nowych poborów bezpieczniej jest dostać się do fabryk, pracujących na potrzeby wojny.

Na tę wiadomość reszta niezadowolonych zmie-

niła postawę wyzywającą. Zaczęto rozpytywać, do jakiej fabryki najlepiej się dostać, prosić o radę i wskazówki. Otacza mnie już teraz koło współziomków, zaniepokojonych o los swych rodzin. Mówię z nimi w tonie serdecznym. Nie mam już potrzeby cisnąć się pod ścianę i trzymać ręki na gardzie. Ci biedacy mają już domnie zaufanie.

Przy następnych odwiedzinach tych schronisk utrwalam się w przekonaniu, że należy opracować regulamin dla pensjonarzy. Wydział zdrowia zgodził się na to. Układam więc projekt, wychodząc z założenia, że schronisko może być stałym punktem oparcia tylko dla niezdatnych do pracy: starców, kalek, matek z kilkorgiem dzieci, z niemowlętami; inni mogą korzystać ze schroniska tylko czasowo, najwyżej przez trzy tygodnie do chwili wyszukania pracy. Prezes nie podziela tego stanowiska, zasłaniając się kompetencją Wydziału schronisk. Inni członkowie nie doceniają również sprawy konieczności pracy zarobkowej dla tułaczów. Wobec tego żądam porozumienia z Wydziałem schronisk i zostaję powołany na delegata. Ale oto odbywa się zebranie walne Komitetu.

W Bibliotece Polskiej zgromadziło się około 800 przedstawicieli kolonji i wysiedleńców. Przy stole prezydjalnym zasiedli prezesi Wydziałów i inni dostojnicy, nieznanymi mi ani z nazwiska, ani z działalności. Po krótkim przemówieniu v.-prezesa zarządu zaczęto odczytywać sprawozdanie z działalności Wydziałów. Sprawozdawcy należą do stałych mieszkańców Moskwy, jak widać z ich wymowy i języka. Podczas odczytywania trzeciego sprawozdania wchodzi na salę prezes Lednicki i obejmuje przewodnictwo, witany gorąco przez panów, siedzących za stołem. Po odczytaniu każdego sprawozdania zapytuje prezes, czy nie chce kto zabrać głosu. Uczestnicy milczą. Bie-

rze mnie ochota parę razy poruszyć niektóre braki, lecz czekam, azali nie znajdzie się ktoś, znający lepiej stosunki miejscowe. Ale nikt się nie zjawia. Odczytują sprawozdania Wydz. Schronisk. Dano dach 5.000 tułaczów, płaci się im strawne po 1000 rb. dziennie, ustalono opiekę: gospodarzy, dozorców, w porozumieniu z Wydz. Zdrowia — pomoc lekarską... Słucham.. Wygląda, jakgdyby skołatani wygnańcy znaleźli tu wreszcie punkt oparcia, który pozwoli im zapomnieć o niedoli osobistej, o rodzinach, pozostałych w kraju, dzieciach pogubionych w drodze... O jak inna jest rzeczywistość!

— Czy życzy kto zabrać głos w sprawie schronisk?—pyta p. Lednicki.

Chętnych brak. Słuchacze są zadowoleni ze sprawozdania

— Proszę o głos,—odzywam się z końca sali, wstając z miejsca. Czuję, że setki oczu zwracają się ku mnie. Czytam w nich zdziwienie, że może tu być coś dopowiedzenia, lub obawę, aby zebranie się nie przeciągnęło. Nie zrażam się i zaczynam:

— Najważniejszą troskę dla wysiedleńców w Moskwie stanowi zdobycie dachu nad głową. To też zasługa Wydziału schronisk jest tu niezaprzeczona. Jednak doświadczenie, zdobyte w Warszawie, oraz dotychczasowa znajomość schronisk tutejszych skłaniają mnie do ostrzeżenia Wydziału, aby się ustrzegł błędów, które popełniliśmy u siebie w kraju. Wysiedleńiec i tułacz nie powinni żyć beczynnym, oddając się jedynie rozmyślaniom o swej niedoli. Toteż schronisko winno być tylko czasową przystanią dla bezdomnych; dopóki nie znajdą pracy zarobkowej, konieczny tu jest współdziałanie Wydziału wyszukiwania pracy. Ale i sami wygnańcy winni się koło tego zakrzętnąć. Niestety dzieje się inaczej: oto rozmawiałem wczoraj ze stróżem schroniska na Bożedomce,

który ubolewał, że trzech zdrowi murarze odmówili roboty płatnej po 3 rb. dziennie. Na moje zapytanie odpowiedzieli ci tułacze, że taka robota się nie opłaca. Wielu innych wysiedleńców uchyla się również od pracy. Jest to stan zatrważający. Wprawdzie przybysz może być wyzyskany, może obniżyć cenę rynkową, co jest niepożądane; jednak być bezczynnym znaczy zdać się na ślepy los.

Nie o to chodzi, że może zbraknąć środków na utrzymanie tych rzesz, i nie o to, że warunki ich zdrowotne są okropne, lecz, — że jest to jałmużna, niezdolna pokrzepić słabego i chorego, i demoralizująca zdatnego do pracy. Podejmując pomoc dla rodaków, czem winniśmy się rzędzić? Miłosierdziem? Niel Korzyścią Ojczyzny. Ci wygnańcy powinni powrócić do kraju nie jako bryły cielesne, lecz jako dzielni pracownicy, zdolni odbudować to, czego należy strzec narówni z życiem. Niedołężni, wyczerpani, gnuśni niech raczej tu pozostaną. Niedola, jaką przeżywamy, niech będzie dla nas skalą Tarpejską, o którą rozbije się to, co bezwartościowe, a zachowa się celne. W trudnych warunkach, w jakich się znaleźliśmy, musimy zdobyć się na twórczość Robinsona, zamiast biadać i złorzeczyć. Podobnie należy oddziaływać na biedaków, będących pod naszą opieką. Dajmy skołatany parę tygodni na przyjście do równowagi. Niech one wszakże będą użyte na poszukiwanie pracy, bez której nawet zdrowy i silny musi podupaść. Chorzy, starzy, matki z małymi dziećmi, niedołężni muszą otrzymać lepszą pomoc, niż daje ją dzisiejsze schronisko. Minimum potrzeb ludzkich winno być uwzględnione, więc jakiś tapczan z siennikiem, najprostszą strawą, kawałek chleba, 10 mtr.<sup>3</sup> powietrza na człowieka. Nie o umieszczenie największej liczby w schroniskach powinno nam chodzić, lecz o uratowanie tych, których można i należy uratować. To też powtarzam raz jesz-



cze, że nasze zadanie to nie ocieranie łez, lecz rozbudzanie Robinsonizmu i ratowanie od gnuśności i zagłady tych, którzy winni powrócić do Ojczyzny!

W miarę rozwoju mojej myśli widzę, jak twarze słuchaczy zwracają się do mnie z zajęciem. Po chwili czuję, że jestem wyrazicielem poglądów wielu obecnych. Kończę. Grzmą długotrwałe oklaski. Ale stół prezydjalny jest niezadowolony. Zabiera głos p. Lednicki i dowodzi, że postępowanie z wygnańcami w Warszawie nie może być miarą dla Moskwy, że ludzi skolatanych drogą, niemożna zaprzęgać do pracy, że środki na utrzymanie muszą się znaleźć. Przemówienie nacechowane jest rozdrażnieniem. Sala odpowiada na nie milczeniem. Tylko prezydjum robi anemiczną „klakę”. Jest mi przykro, bo nie zamierzałem nikogo urazić, zwłaszcza mecenasa Lednickiego, który oddany jest gorliwie sprawie pomocy dla rodaków:

Po odczytaniu sprawozdania Wydziału wyszukiwania pracy chcę zabrać głos. Ale prezes zarządza przerwę, podczas której pyta mnie: — Czemu pan nie złożył wniosku w poruszonej sprawie dwa tygodnie przed posiedzeniem walnem? Byli byśmy nad nim dyskutowali.

— Te sprawy poruszam od paru miesięcy w Wydziale zdrowia, więc pan Kontrym mógł je zarządowi przedstawić.

— Nic o nich nie wspominał. Ale pan może jeszcze rzecz naprawić. Proszę przysłać na moje ręce projekt. Zaprosimy pana z głosem doradczym na posiedzenie zarządu, na którym będziemy rozpatrywali ten elaborat.

— Nie mam na to wszystko czasu. Jeżeli zabierałem głos, to tylko, aby ostrzec młodą instytucję przed starymi błędami. Nie przypuszczałem, że moje wystąpienie może kogo dotknąć

— Ależ bynajmniej, — zapewnia prezes na roz-  
stanie.

Znajomi i obcy wyrażają mi uznanie, że wytknąłem błędy instytucji, która uważa siebie za niepodlegającą krytyce. Teraz dopiero zrozumiałem zachowanie się prezydium. Nawet przewodniczący Wydziału zdrowia uczuł się dotkniętym i zaczął lekceważyć moje wnioski na posiedzeniach. Sekretarz, p. Wiśniewski, z zawodu podobno nauczyciel ludowy, podziela moje stanowisko, gdy rozmawiamy w cztery oczy, ale przy p. Kontrymie basuje mu i spełnia jego zlecenia na skinienie. Ha, płatny urzędnik...

Komitet musi posiadać duże zasoby pieniężne. Ale do biedaków dochodzą one tylko w postaci 40-o groszowego strawnego i niewyszukanych pomocy w naturze. O daniu im zarobku nie myśli się tak dalece, że nawet do malowania ławek i stołów w biurze Wyd. zdrowia wynajęto moskali, chociaż te kilkadziesiąt rubli przydałoby się niejednemu mieszkańcowi schroniska.

Niezadługo potem odbyło się posiedzenie Wydziału schronisk, na którym odczytałem mój projekt regulaminu. Wydział obstawał przy pozostawieniu obecnego stanu rzeczy, uważając, że ludzi można tłoczyć w norach, ile się zmieści; ponieważ są nie z gumy, więc nie grozi im niebezpieczeństwo pęknięcia. A jeżeli się rozchorują, to — do szpitala, o ile będzie miejsce.

Pomimo stawianych trudności — przeforsowałem wniosek co do uzgodnienia Wydz. zdrowia z Wydziałem schronisk. Wniosek mój, złożony na piśmie, został przyjęty przez zebranie. Powołano mnie i kolegę Białobrzeskiego na delegatów do Wydz. schronisk, gdzie mieliśmy popierać ten wniosek. Gdy po kilku dniach odczytałem go na posiedzeniu w tym wydziale, wystąpił przeciw niemu współdelegat Bia-

łobrzecki, dotknięty podobno tem, że nie on go referował. Wobec tego Wydz. schronisk uchylił się od proponowanych zmian, a Wydz. zdrowia przeszedł do porządku dziennego nad niesumiennym postępkim jednego delegata.

Przekonawszy się, że nie zdołam osiągnąć żadnych zmian w schroniskach, które będą rozsądnymi chorób, przyszedłem do wniosku, że moja rola, jako lekarza, jest niewdzięczna, bo nie zdołam nic zarządzić. Wobec tego zrzekłem się mego stanowiska, co prawda z przykrością, bo szkoda mi było pozostawić tułaczów bez opieki. Jednak nie mogłem brać za mą pracę bezpłatną odpowiedzialności za gospodarę, nie liczącą się z opinią chociażby bezpośrednio zainteresowanych. Wszak ci biedacy nie wystawiali sobie, abym pracował honorowo, skoro za sam samochód dla prezesa, odwiedzającego schronisko, płaciło się po kilkadziesiąt rubli na raz. Nie zamierzam zdzierać wawrzynów, które rosną dla budowniczego Kontryma i innych prezesów. Ale nie chcę, aby w tym wieńcu miał być i mój listek.

Dobroczynność, oparta na miłosierdziu, przeżyła się już na zachodzie. Zastępuje ją opieka społeczna. Ale Moskwa i jej ludność zarówno rdzenna, jak i napływowa z przed dziesiątków lat, należy do wschodu. A tam nie dotarły jeszcze te nowinki.

1 Listopad 1915.

Dowiedziawszy się ze sprawozdania na walnym zebraniu Komitetu Polskiego o założeniu szkoły 4-o klasowej na ul. Dołgorukiego, pospieszyłem tam, aby zapisać syna. Ledwo odszukałem ten zakład, zajmujący parę małych pokojów. Okazało się jednak, że sprawozdawca podniósł dwuoddziałową szkółkę koedukacyjną do godności progimnazjum. Na szczęście powstaje w Moskwie polskie gimnazjum z ramienia Centr. Komitetu Obywatelskiego. A więc Szczęsny

będzie mógł uczyć się może skuteczniej, niż w pierwszym roku wojny.

Współistnienie dwu polskich komitetów w Moskwie, mających też same zadania i czerpiących środki z tego samego źródła, komitetu ks. Tatjany, uważam nie za dwa grzyby w barszczu, lecz za niewłaściwość. Wątpię, czy na tem wyjdą dobrze wysiedleńcy. Pierwsze zamierzenia nie zapowiadają nic dobrego. Na jednym z posiedzeń obradowaliśmy nad kupnem dwu samochodów do przewożenia chorych do szpitali. Byłem przeciwny temu zamierzeniu, ponieważ koszt przejazdu wypadłby kilkanaście rubli, a w dodatku najbardziej potrzebujący chorzy zażalni mieli być wyłączeni.

— Nie wiem, jakie środki posiada C. K. O., — tłumaczę, — jednak wobec oplakanego stanu schronisk uważałbym za bardziej celowe zorganizowanie np. pomocy żywnościowej, kuchen ruchomych, któreby dowoziły raz na dzień strawę gotowaną za opłatą podług ceny kosztu, albo za bonami, wydawanymi zamiast części strawnego.

Projekt spotkał się z opozycją, lecz potem rozpatrywano go łącznie z pomocą samochodową, przypominającą coraz bardziej przysłowiowy kwiatek przy kożuchu. Rozmach organizacyjny jest szeroki. Oto ma powstać polski szpital na paręset łóżek, fabryka środków lekarskich, których brak w Rosji, szkoła pielęgniarzy, sanitariuszy i szereg innych instytucyj. Słuchając tych zapowiedzi, pytam: Skąd na to środki? Gdzie można to wszystko założyć w przeludnionej Moskwie? Czy są to istotnie rzeczy najpotrzebniejsze dla wygnańców? Ale że jestem poza organizacją i nie wiem nawet, kto ją stanowi, więc poprzestaję jedynie na ocenie rzeczy najbardziej wybujałych, wobec których schroniska dla tułaczy wyglądają jak czarna plama.

W tych dniach odbyło się zebranie organizacyjne szkoły w gmachu, przeznaczonym na internat dla uczniów. Pan Jan Lutosławski, kierownik administracyjny spraw oświatowych, oprowadza nas po „osobniaku“. Jest to budynek, odrapany nazewnątrz, pretensjonalny wewnątrz, chaotyczny co do rozkładu i planu. Z sieni na poziomie chodnika prowadzi wejście do niskich suferyn i na szerokie schody do wielkiej sali z kolumnami pośrodku i galerją po bokach. Pozatem jest parę innych sal i pokoików z wyraźną wilgocią. Na piętro wchodzi się po wąskich schodach. Są tam tak niskie pokoiki, że niemożna się swobodnie wyprostować. Ten dom o niskich suferynach, niezwykle wysokim parterze, i o zaduszonych klitkach na piętrze, daje bardzo niekorzystne warunki ogrzania tembardziej, że drzwi i okna są nieszczelne.

Na posiedzenie zebrało się kilkanaście osób, zaproszonych na nauczycieli szkoły, której dyrektorem jest Kazimierz Kulwieć, nauczycie botaniki z Warszawy. W zagajeniu przedstawił on trudności jakie wypadło zwalczyć, aby otworzyć szkołę. Największe stanowią: brak odpowiednich pomieszczeń, polskich podręczników i przyborów szkolnych. Jednak potrzeba szkoły średniej jest nagląca.

Istotnie trzeba było dużej sprężystości, aby stworzyć w krótkim czasie dwa zakłady naukowe dla 360 chłopców. Dobór nauczycielski zapowiada się nieźle. Jestto zagadnienie najpoważniejsze. Na tułaczce, gdzie skala naszych potrzeb zmniejszyła się kolosalnie, trudno wymagać, aby tylko szkoła miała mieć urządzenia wzorowe. I uczniowie muszą się przystosować do tych trudnych warunków.

W sprawach wychowawczych i organizacyjnych przemawia przeważnie ks. Lutosławski, Jestto młody człowiek, który był na wydziale lekarskim w Szwaj-

carji, a potem wstąpił do seminarjum; święcenia otrzymał podobno niedawno. Podpisuje się: „ks. dr.“ a to nasuwa wątpliwości, czy medycyny, czy teologii? W jego przemówieniach główna troska dotyczy spraw religijnych. Zakupione przez niego książki są to 75<sup>0/0</sup> katechizmy i historie święte.

W połowie Października szkoła została otwarta. Uroczystość zaczęła się od mszy w obecności nauczycielstwa, uczniów i rodziców. W południe wypełniła się sala reakracyjna po brzegi. Przy zaimprovizowanym ołtarzyku odmówił ks. Lutosławski modlitwy a potem przemówił w duchu nad wyraz klerykalnym, stawiając sprawy katolicyzmu ponad wszystkie zagadnienia, dotyczące naszego kraju. Sala przyjęła to przemówienie głębokim milczeniem. Znaczenie tego milczenia zarysowało się zwłaszcza, gdy po przemówieniu Jana Lutosławskiego, nacechowanem miłością Ojczyzny, zagrzmiały oklaski. Mam wrażenie, że ksiądz był nieprzyjemnie zaskoczony temi oznakami uznania dla brata, który jest słabym mówcą i właściwie nic nowego nie powiedział.

Dalej przemawiał dyr. Kulwieć, zaznaczając, że wyczytał z oczu chłopców pragnienie nauki.

Oby ta księga nie była zawodna!

Mam bowiem wrażenie, że młodzież nie docenia naszego położenia i przystosowuje się gorzej do nowych warunków, niż starsze pokolenie.

W imieniu rodziców mówił p. Karpiński, dziękując C. K. O. za otwarcie szkoły i zachęcając uczniów do pilności. Rzecz była wypowiedziana gładko, dobrym językiem i zostało przyjęte przez salę z uznaniem.

Szkoły się zaczęły. Mam uczyć higieny w klasie VI oraz być lekarzem szkolnym. Układam więc program i biorę się do pisania podręcznika. Nie mam tu ani książek, ani czasu do siedzenia w bibliotekach. Wszystko trzeba poczerpnąć z własnej głowy. Jednak

przystępuję do pracy z wiarą, że napiszę rzecz zajmującą i pouczającą, właśnie dlatego, że nie będzie tam wiadomości suchych, przepisanych od innych autorów, lecz że ujmę bardzo ważne zagadnienia zdrowia w oświeceniu, dającem pojęcie o zasadniczych prawach przyrody. Ta dziedzina leży odłogiem i grzęźnie w przesądach. Rad jestem, że tułaczka zmusza mnie do napisania tej książki, od której odrywały mnie w ostatnich latach inne zagadnienia. Podnoszę tę pracę do godności obowiązku społecznego i w tej myśli zaopatruję ją dewizą wieszczą:

„O czem tu marzyć“ na Moskiewskim „bruku“?

8 Listopada 1915

Nie mam już czasu na pamiętnik, tyle zebrało się pracy. Od rana chodzę znowu do szpitala Ujazdowskiego, koło 1-ej podążam do szkoły na zaułek Milutyński, około 4-ej na obiad do domu, potem do chorych, na posiedzenia, zebrania... A kiedy dzieci ułożą się do snu, zasiadam do pisania mego podręcznika: „Człowiek w przyrodzie.“ Stolik do kart, przy którym skupia się w dzień cała rodzina, czasem i goście, jest teraz mem biurkiem, przy którym wre praca, pochłaniająca mnie tak dalece, że nie słyszę za drzwiami gry na balabajce, tańczonego „kozaczka“, niezbornych śpiewów „kursistów“, ich dzikich wrzasków bijatyk, przekleństw. Moskale nie odznaczające się kulturą. Jednak to, co słyszemy przez ściany pokoju, przewyższa wszelkie granice. Młodzież jest przyjezdna i kształci się w szkole handlowej, albo na kursach buchalterji. Jej poziom umysłowy i obyczajowy jest nadwyraz niski. Poza odrabianiem lekcji nic ich nie zajmuje. Nawet nie czytują pism i książek. Natomiast tęsknota do „kazionki“ (wódki) jest tak wielka, że na jej cześć wyśpiewują pieśni przy dźwiękach balabajki,

mandoliny, lub harmonji. A jeżeli tęsknotę uda się ukoić choćby spirytusem skażonym, ściany trzęsą się od wrzawy i loskotu. Dziewczęta, których kilka mieszka w pokoju przechodnim, prowadzą się również niezbyt spokojnie. Czasami zdaje się, że nie wytrzymam tych popisów. Stukanie w ścianę, lub skarga do gospodyni pomagają tylko na chwilę. Zwykła odpowiedź w takich razach: nie dogadza państwu, to proszę się wyprowadzić! Dla braku mieszkań musimy znosić nietyło ciasnotę, wilgoć, chłód, niepokoje, lecz i obiady, które są obrzydliwe. Gdyby nie zapobiegliwość żony, która gotuje na maszynie spirytusowej rozmaite potrawy, napewno pochorowalibyśmy się wszyscy.

Poszukuję ciągle mieszkania. Idzie to bardzo opornie. Wypadkiem natrafiam na zaułku Gołowina na 8-m pokoi po zwiniętym warsztacie szewckim. Właśnie kończą jego odnawianie. Układam się z właścicielką za 125 rb. miesięcznie. W dodatku mam dostać 8 łóżek, kilka stołów i krzeseł. Najgorzej będzie z opałem, którego wyjdzie bardzo dużo. Gdybym zatrzymał dla nas 3 pokoje, a resztę odnajął, wypadłoby brać za 1-o okienny pokój 25 rb., a za 2-u okienny 40 rb. Ale jakich dostanie się lokatorów? W dodatku właścicielka żąda opłaty za  $\frac{1}{2}$  roku z góry i umowy rocznej. A jeżeli wojna skończy się za parę miesięcy, będę bardzo stratny. Wobec tego proponuję p. Janowi Lutosławskiemu odstąpienie pięciu pokoi na potrzeby C. K. O. L. godzi się na to chętnie. Jednak po kilku dniach oświadcza mi, że zajmie całe mieszkania, bo instytucja ma pierwszeństwo przed osobą prywatną. Dowiedziawszy się, że moje pokoje ma zająć pani Jętkiewiczowa, oświadczam:

— Daruje pan, ale nie uważam pani J. za instytucję publiczną. Z wynalezionego przez siebie mieszkania ustąpiłem panu 5 pokoi. O ile umowa nie będzie dotrzymana, cofnę ją.



Pan Jan zmienił ton. Proponują odszkodowanie, mieszkanie w drugim końcu Moskwy darmo za opiekę lekarską nad internatem i t. p. Oświadczam:

— Wprawdzie studenci moskiewscy biorą po kilkaset rb. za wyszukanie mieszkania, ale ja jestem lekarzem warszawskim. A pieniądze publiczne, przeznaczone dla wysiedleńców, uważam za nietykalne.

Właśnie zgłosił się domnie redaktor Buchner z propozycją, bym mu ustąpił 5 pokoi. Uważa on wydawanie „Muchy“ za obowiązek obywatelski, bo może to być hamulcem przy wielu poczynaniach na tułaczce. Jednak odmówiłem mu wobec zapewnień p. Jana, że mieszkanie jest potrzebne na internat dla ochroniarek. Zrzekłem się też moich 3 pokoi, zastrzegłszy sobie jedynie używalność wynajętych sprzętów, bo o nabyciu nowych trudno myśleć. Może stało się dobrze. Stała styczność z różnorodnymi mieszkańcami, zwłaszcza we wspólnej kuchni, mogłaby dać powód do nieporozumień. A że trafiło się na Dokuczajewie w tym samym domu w drewnianej oficynie małe mieszkanie trzypokojowe, więc: „miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny, prawda że nie wspomniały, szczupły, ale własny“.

Niebawem przenosimy się do drewniaka. Piec chlebowy, t. z. ruski, ogrzewa trzy klitki. Ale po pokoju,, w którym przesiedzieliśmy w sześcioro całe dwa miesiące, będzie to prawdziwy apartament. Niech żyje skromność wymagań!

16 Listopada 1915 r.

Mamy uroczystość rodzinną: Aldona kończy cztery lata. Kochana dziecina wypoczęła już po drodze i niewygodach pierwszego mieszkania. W nowym mieszkanku ma swój kącik, w którym ustawia fotelik i stolik, otrzymany od pani Daneckiej. Na obiadach

domowych które gotuje żona, wracamy wszyscy do utraconych kształtów okrągłych. Służąca, przywieziona ze wsi, uchyla się od swych obowiązków. Zaznajomiwszy się z uczenicami na poprzednim mieszkaniu, przejęła się ich trybem życia, zarzuciła kurtkę z samodziału i zaczęła stroić się po miejsku, pudrować i malować, nie poprzestając na buraczanej barwie twarzy, którą obdarzyła ją przyroda. Zdradza również zamiłowanie do sztuk pięknych: bałajki, kozaczka i żołnierzy. Wpływ środowiska na tę dziewczynę jest zgubny. Zdaje się, że pójdzie na śliską drogę. Natura poskąpiła jej urody i rozumu. Ale Moskwa nie ma pod tym względem dużych wymagań.

Rozmieściliśmy się wygodnie w trzech pokojach. Wprawdzie sprzętów mamy mniej, niż za czasów studenckich, bo tylko jedno łóżko, dwa stoły i cztery stolki. Ale też przekonywamy się, że bez wielu rzeczy można się obejść. Kupiliśmy samowar, dwie lampy, trochę naczyń, więc Robinson mógłby nam pozazdrościć. Dzieci nauczyły się robić sprawunki w pobliskich sklepach. Jednem słowem radzimy sobie.

Paru kolegów przeniosło się do innych szpitali. Mamy więc teraz częstsze dyżury. W oddziale żołnierskim, gdzie obecnie pracuję, jestem jedynym internistą. To też muszę oglądać wszystkich chorych wątpliwych i leczyć obłożnych a prócz tego jestem wzywany do oddziału oficerskiego, odległego o wiorstę. Praca nie męczy mnie, tylko przykrości służbowe. Stosunki z żołnierzami są o wiele łatwiejsze i przyjemniejsze, niż z oficerami. Bogdanow, odkąd został prewoschoditelstwem, daje się we znaki dyżurnym, którym każe „spotykać“ władzę w przedsioku. Giętycy w karku wystają tam niekiedy po parę godzin wraz z odźwiernym. Ja zaś stawiam się tylko na głos specjalnego dzwonka. Otrzymuję też wymówki za spóźnianie się. Odpowiadam na to, że na

przejście 150 kroków potrzeba przynajmniej minuty, ani zaś mój wiek, ani obowiązki dyżurnego nie pozwalają mi warować w przedsiönku.

Niedawno Boganow przyszedł do przekonania, że zamało jest jednego dyżurnego i wyznacza po trzech. Ta parada zmusza nas do mozolnego a bezcelowego wysiłku co 5 dni. Proponuję, abyśmy wystąpili z protestem do inspekcji, jako że w innych szpitalach zniesiony jest ten dziki obrządek. Ale koledzy... boję się.

Dyżury we dwóch są stratą czasu, bo schodzą na czczych pogawędkach. O ile jestem sam, piszę pamiętnik lub podręcznik. W dodatku za przepierzeniem dyżuruje oficer, który poszukuje również towarzysztwa. Czasem rozmowa jest zajmująca. Niedawno dyżurowałem z oficerem, przemysłowcem z Moskwy. Oburzał się na zarządzenia rządu i dowodził, że Polacy powinni iść wraz z kupiectwem moskiewskiem przeciw władzy.

— Wybaczy pan, lecz nie mogę dopatrzeć się u kupiectwa nastrojów lewicowych.

— O, wszyscy jesteśmy niemal rewolucjonistami. Bo niech pan zważy: w mojej fabryce brak mi surowców, robotników zabrano mi pod broń, opału niema, robocizna dwa razy droższa. Chcą, bym przestał wyrabiać sukna damskie, a wziął się do roboty bomb i szrapneli.

— Wszystko dla wojny. To hasło chwili. Elegantki mogą wstrzymać się do zawarcia pokoju.

— Przemysł ma upaść, a my... z torbami?

— Nie grozi wam to. Ceny towarów łokciowych podniosły się w trójnasób. A kapitały możecie umieścić w 5% pożyczkach.

— Dziękuję! To nie dla nas interes!

— W imię patriotyzmu możnaby je popierać,

— Przemysłowiec musi mieć przynajmniej 25 %

i obrócić kapitałem dwa razy na rok. Choć prościej narobić długów i potem przepisać majątek na żonę.

— A pomnik Minina i Pożarskiego nie zachęca teraz nikogo do ofiar?

— Poezjal Życie wymaga trzeźwości. Patriotyzm to sposób wyłudzenia ofiar, których się nie chce dać samemu. Doktor dał co na wojnę?

— Przedewszystkiem — siebie, bo mogłem się uchylić od mundura. Dalej — tułaczę wraz z rodziną, mienie w Warszawie i w Grodzleńskim...

— To Polacy mają jeszcze ziemię na Rusi?!

— Nie wszystko nam skonfiskowano.

— Polacy ją skolonizowali. To jest ziemia ruskal

— Gdzież pański rewolucjonizm? Mówisz jak zwykły czynownik, wysłany do Królestwa Polskiego, kształcony na historii Iłowajskiego, „Kołokole”, „Naszem Znamieni”. Wiedz, że cała Ruś była częścią składową Polski, zanim księżęta moskiewscy zaczęli „zbiierać” ziemię.

Rewolucjonista, który przed pół godziną zachęcał do walki Polaków z rządem, dowiedział się, że należy do najbardziej prawicowych żywiołów, popierających ten rząd.

1 Grudnia 1915.

Wątpliwości moje co do mieszkania na Gołównie były słuszne. W pokojach, które zastrzegłem dla siebie, zagospodarowała się jako zarządzająca internatem p. Jętkiewiczowa; mieszkanie ma szykowne, w salonie stoi pianino. Bogato, jak na tułaczkę! Dwa pokoje zajęły gospodyni i dozorczyńni, jeden pokój zajęto na stołownię, a w pozostałych umieszczono kilka uczennic zamiast zapowiadanych 30. W mieszkaniu na dole, wynajętem dodatkowo za 130 rb. miesięcznie, ulokowano tolarza moskala, który ma robić łóżka do internatu. Czy niema stolarzy Polaków? Czy godzi się zajmować na warsztat takie pomieszczenie? Łóżka że-

lazne w internacie dla chłopców zostały prędko zniszczone. Takież los spotka łóżka drewniane, wykonane bardzo lichy. W dodatku okazało się, że stolarz jest nałogowy pijak. Co za lekkomyślność!

Mieszkanie można było wykorzystać znacznie lepiej. Pomimo to wskazałem C. K. O. jeszcze jedno pomieszczenie na urządzenie ochrony. Moja była gospodyni zaczęła tracić na swym pensjonacie, z którego ubywało coraz więcej uczniów. Namówiłem więc ją, aby odnajęła całe 6-cio pokojowe mieszkanie z meblami za 225 rb. miesięcznie. Pan Jan podniósł tę opłatę do 250 rb, i przeprowadził kosztem C. K. O. odnowienie mieszkania, elektryczność, telefon. Znowu nakład jest ogromny.

Ochroniarką została żoną nauczyciela ludowego K. Są oni skolatani i biedni; przez pierwsze dni pobytu musieliśmy ich żywić. Jednak największą troską jest to, że pan Jan chce ich rozdzielić, bo wysyła młodego męża do Razania.

Ochronka na Dokuczajewie nie spotkała się z życzliwym przyjęciem u okolicznych wysiedleńców. Zgłoszeń jest bardzo mało. Matki, przyprowadzające swe dzieci, żądają np., aby dziecko uczyło się po rosyjsku, albo są niezadowolone z jedzenia, wydawanego bezpłatnie trzy razy na dzień, albo chcą, aby odprowadzono jej dziecko do domu. Słowem „Pociej Macieja ma za dobrodzieja”. Proponowałem, aby ogłosić w kościele o otwarciu ochrony, ale proboszcz uznał to za niemożliwe. Ogłoszenie w „Gazecie Polskiej”, która zaczęła właśnie wychodzić, nie odniosło skutku. Zebrało się zaledwie 12 dzieci zamiast zamierzonych 30. Rozdałem na własną rękę kilkanaście kartek, napisanych osobiście. Jednak liczba dzieci nie przekroczyła 40. Wobec licznych zgłoszeń, aby dzieci umieścić na stałe, przeznaczono na ten cel dwa pokoje. Znowu kupiono 28 łóżeczek na krzyżakach,

tyleż materacy, kołder, duże zapasy bielizny, wszystko zaś dziwnie drogo i niepraktycznie. Sprzeciwiam się przeludnieniu ochrony, jednak bezskutecznie. W pokoju, gdzie mieszkaliśmy w sześcioro, jest 14-o dzieci; to też zaczęły się choroby, zwłaszcza zapalenie gardła, odra, płonica.

Ochrona posiada kilka opiekunek. Jedna z nich p. Ł. wodzi rej, wtrąca się do wszystkiego, traktuje ochroniarki i dozorcynie, jak Bognanow felczerów, każe oddawać sobie honory i stać na baczność. Pewnego razu pani Ł., wdowa po lekarzu policyjnym i żona jego następcy, zmieniła moje zarządzenie, oświadczając, że tylko lekarze zacofani stosują dziś olej rycynowy. Wobec tego poleciłem ochroniarkom, aby na przyszłość w sprawach lekarskich słuchały wyłącznie moich wskazówek. Przy jednej bytności w ochronie spotkałem tę opiekunkę. Jestto osoba, dobiegająca 60-ki, o włosach malowanych na kolor kasztanowaty rozmaitych odcieni. Młody jej mąż jest lekarzem policyjnym na prowincji. Są oni w zażyłości z panią J., która popiera tę parę. Pan Ł. ogłasza się co dnia w gazecie, jako specjalista w chorobach nerwowych. Przed wojną nie spotykałem się z jego działalnością naukową i praktyczną w tym zakresie.

Opieka lekarska w internacie dla chłopców na zaułku Rzewskim zajmuje mi kilka godzin. Kierowniczką jest p. R., kobieta energiczna i wymowna, oddana uczuciom, jak własnym dzieciom. Dużo chłopców choruje, zwłaszcza na zapalenie gardła. Zdarzyło się parę przypadków płonicy. Do oddzielenia chorych przeznaczył pan Jan dwa pokoiki na piętrze. Są one zupełnie nieodpowiednie na ten cel, jako niskie, ciemne, chłodne. Wobec tego chorych trzeba umieszczać w szpitalu. Szpitale miejskie są przepelnione, a szpital C. K. O. nie przyjmuje chorych za-

każnych. Jestto niezrozumienie najbardziej naglących potrzeb. Chwilami wydaje mi się, że patrzę zbyt krytycznie na rozmaite poczynania, że należałoby się zadowolić tem, iż coś się wogóle przedsięwzięło. A jednak nie mogę powstrzymać się od wielu uwag, bo przeciwieństwo pomiędzy tem, co jest przedsięwzięte, a tem, czego żąda życie, jest nader rażące.

16 Grudnia 1915 r.

Czas upływa bajecznie szybko, bo wypełniony jest pracą. Gdyby nie dyżury co 5 dni, możnaby się pogodzić nawet z przykrościami, jakich się doznaje od Bogdanowa. Po dyżurze jest się niezdolnym do niczego, choć nie robiło się nic właściwie. Jednak ciągną szarpanina, raporty, oglądanie produktów, wazenie brudnej bielizny do prania pochłania tyle sił, że nawet niemożna zasnąć, choć oczy się kleją.

Dość często zajezdza do szpitala wieczorem Bogdanow. Dzwonek donośny zwiastuje ten przyjazd. Zaczyna się zwykła ceregiela raportowa, potem szukanie nieprzrądków. Zawsze się coś znajdzie, za co odpowiada dyżurny. Najwięcej kłopotu ma się z oficerami wenerycznymi, mieszczącymi się na 4-em piętrze. Codziennie kilkunastu oficerów ma wychodnie do miasta do 4-ej po południu, wracają jednak przeważnie o 8-ej. Dyżurny obowiązany jest kontrolować ich i donosić. Rola jest niemiła i właściwa raczej dla dużurnego oficera lub odźwiernego.

Druga przykra czynność to przeszkadzanie tym rycerzom, postrzelonym nie przez Niemca, lecz — Wenerę, grać w karty. Jednak hazard kwitnie. Setki rubli przechodzą z rąk do rąk, najczęściej — do paru syfilityków.

— Jak panom nie wstyd wyłamywać się z pod przepisów, — mówię, widząc iskrzące oczy chorych,

zapatrzonych w kupy pieniędzy, którzy zdążyli już zmarnować swe zdrowie.

— Czyż mamy się poddać każdemu głupiemu rozporządzeniu? — odpowie młodzian o nosie zapadłym i łysej głowie, pokrytej ciemnymi bliznami.

— Panowie narażacie mnie. Gdyby kto to zobaczył, jabym odpowiadał.

— To niech doktor siada z nami do puli. Bez ryzyka...

— Pańskie nazwisko? — pytam dowcipnisia, który detonuje się, zaczyna się tłumaczyć przeproszać. Gracze oświadczają, że zaniechają gry. Jednak nie dotrzymują słowa. Ta kategoria chorych jest wyzuta z czci. Kolega K. który ma przykrość ich leczyć, powiada, że chory, zwolniony do miasta, powraca nieraz z inną chorobą weneryczną, czyli nietylko pogorszył własny stan zdrowia, lecz zaraził inną osobę. Syn okrutnego cenzora Dragamirowa, zarażony świeżo przymiotem i dawniej rzeźączką, spowiadał się przed K: „ja upotrzebił niewinnuju gimnazistku“ (użyłem niewinnej uczennicy). Takie zezwierżeczenie nie może być wynikiem wojny. Ci ludzie musieli mieć podobne zasady i podczas pokoju. To właśnie tłumaczy, czemu ich panowanie było dla nas ciężkie, a współżycie — zgoła niemożliwe.

Niedawno odwiedził mnie podczas dyżuru Szumski, zerkając, czy nie ujrzy czego niedozwolonego. Jakoś zaczęła się rozmowa na temat ostatnich wydarzeń. Autor „dzwonu zatopionego“ mówił:]

— Przyczyną naszych niepowodzeń jest brak patryjotyzmu. Niemiec poświęci dla ojczyzny majątek, życie. U nas wielu pragnie się wzbogacić na wojnie i na niedoli powszechnej.

— Ma pułkownik słuszność, — mówię, patrząc mu uporczywie w oczy, które on spuszcza po chwili. — Złodziejstwo, zdrada!



Urywam, przypomniawszy, jak straszył mnie grzywną 3.000 rb. za szerzenie „wieści fałszywych“ przed poddaniem Brześcia.

— W obecnych warunkach, każdy poddany, czy Rosjanin, czy Polak, żyd, cygan powinien zapisać się na pożyczkę wojenną, która może jeszcze dużo naprawić i pozwoli odzyskać prowincje utracone.

— Pożyczka jest rzecz ważna. Wartoby zachęcić do niej oficerów z 4-ego piętra, bo mają dużo gotówki. Ale niemniej ważne byłoby przemówić do tych, którzy okradają skarb. Oto niedawno rozmawiałem z chorążym, który uważa patriotyzm za fantazję, bez której Rosja może się obyć, byle...

Urwałem. Szumski wbił we mnie swe oko skośne, oczekując dalszego ciągu. Wreszcie, nie doczekawszy się, pytał: — byle... co?

— Jestem Polak. Mogę się nie znać na potrzebach Rosji, więc poprzestaję na wielokropku i na stwierdzonym przez pułkownika braku patriotyzmu.

Kandydat na Minina opuszcza pokój niezadowolony. Trudno. Osoby z wyższą rangą są również niezadowolone z wielu rzeczy pod słońcem. Tylko rangi niższe, albo wogóle „słuszajuszniki“ nie mają prawa wyrażać swej oceny, bo to jest przeciwdziałanie władzy, utrudnianie jej zadań, czyn przeciwpatriotowy, niepatriotyczny.

31 Grudzień 1915 r.

Kończy się rok. Wojna trwa już 17 miesięcy. W Moskwie jest dopiero 18 grudzień. Kalendarza juljańskiego przytrzymuje się i szkolnictwo polskie, choć Europa zachodnia zamyka dziś roczne rachunki. Wypadają one kiepsko. Zapowiadano nam wigilię w Warszawie. Jednak wątpię, byśmy mieli tam dzielić się jajkiem święconem. Może to i lepiej. Pokój w warunkach obecnych byłby klęską dla naszej sprawy.

Zajęcia szkolne są w biegu. Wbrew zapowiedziom nie widać, aby uczniowie pałali nadzwyczajną gorliwością. Sprawowanie ich pozostawia wiele do życzenia. Ks. Lutosławski założył w szkole harcerstwo. Należenie doń jest nieobowiązujące, jednak prawie wszyscy chłopcy biorą w niem udział. Harcerstwo moskiewskie wygląda osobliwie, Podział na zastępy ma cechy militarne. Zastępowi są wyznaczeni przez ks., a nie wybierani, i nadużywają swego stanowiska, traktując towarzyszków, jako swych podwładnych, którzy mają zjawić się na zbiórkę na każde żądanie i pozostawać w szeregach, dopóki zastępowy zechce. W klasie III jest zastępowym starszy syn dyrektora, chłopak 15-letni, zapóźniony pod względem umysłowym, choć dobrze rozwinięty cielesnie.

Poza gimnastyką i mustrą harcerze robią wycieczki świąteczne, najczęściej do pobliskich Sokolników. Zaczęła się jazda na nartach, której chłopcy oddają się z przyjemnością. Jesień przeszła na podchodzeniach i śpiewach chóralnych. Byłoby to bardzo pożyteczne, gdyby nie pewne nietakty. Z jednej strony C. K. O. jest wyraźnie rusofilskiej orientacji i basuje swym protektorom, ale z innej śpiewa się w hufcach pod komendą księdza parafrazę marsza Dąbrowskiego: „Jeszcze Rosja nie zginęła, ale zginąć musi. Czego Niemiec nie wybije, cholera wydusi“.

Ze względów wychowawczych taka dwulicowość jezuicka jest niedopuszczalna. Wprowadzać do szkoły politykę, uczyć dzieci fałszu, znaczy je demoralizować. Najgorzej przedstawia się VI klasa filologiczna, w której gospodarzem jest ksiądz L.

Kurs higieny oparłem na podstawach biologii. Naprzód zaznajamiam uczniów z komórką i jej życiem, a potem rozwijam stopniowo znajomość budowy ustrojów złożonych, ich funkcji i zbroceń. Szkoła

realna słucha wykładu z zajęciem i nieraz po lekcji prowadzi ze mną rozmowy. Natomiast wychowankowie księdza zachowują się na wykładzie, jak w karczmie. To samo powtarza się na innych lekcjach.

Przystąpiłem do badań antropometrycznych uczniów i ich stanu zdrowia. Wyniki dotychczasowe wyglądają mniej korzystnie, niż w Warszawie. Chyba nie tułaczka jest tego powodem, lecz prawdopodobnie zgromadził się tu gorszy materiał ludzki. Dodam, że synowie szlachty mają przewagę liczebną.

Z prawdziwą przyjemnością wykładam higienę na kursach ochraniarskich. Do dwu pierwszych grup zgłosiło się 60 dziewcząt, przeważnie z ukończoną szkołą średnią. Dziś przygotowują się one do pracy zarobkowej. Na zebraniu organizacyjnym tych kursów poruszano rozmaite zagadnienia wychowawcze. Okazało się, że poziom umysłowy wykładowców jest bardzo różny. Kierowniczką pogadanek chce zachęcać dzieci do zbierania kwiatów na łące, aby zrobić z nich podarek matce. Oponuję przeciwko temu nieposzanowaniu cudzej własności (łąka), której niewolno deptać i niszczyć, narażając się przytem na ukąszenia komarów, których jest najwięcej w nizinnych częściach gospodarstwa. Pozatem kwiat nie jest, jak mówi pani Jętkiewiczowa, stworzony do uprzyjemnienia człowiekowi życia, lecz jest narządem rośliny, której nie godzi się zabijać dla własnej, lub cudzej przyjemności. Zwolenników rządów opatrnościowych, przy których człowiek ma być królem stworzenia, znalazło się dużo. Jednak mój pogląd zwyciężył.

A dalej oponowałem co do tendencyjności przy nauczaniu dziejów Polski, co do przedstawieniu ich, jako kryształowo piękne, a naszej niewoli — jako męczeństwa dla zbawienia ludzkości. Dzieciom niemożna dawać fantastycznych i fałszywych poglądów, które skoryguje niebawem życie i poderwie zaufanie do

szkoły. Nie powodzenie oręża i nie zabiegi dyplomatyczne królów należy wysuwać, jako strony dodatnie naszej przeszłości, lecz tolerancję, skromność potrzeb i wymagań, gotowość do obrony swobody i Ojczyzny. Należy oświetlić bezstronnie rolę katolicyzmu, kalwinizmu, luteranizmu, obrzędu wschodniego, mahometanizmu, judaizmu...

Pani Jętkiewiczowa jest niezadowolona z tego programu. Nie przejmując się tem, mówię dalej o roli żydów w Polsce, zastrzegając się, że nie chodzi o ich wyznanie, lecz o stworzenie przez nich getto, o czynniki, które wzbudziły do nich nlechęć i nienawiść. Znowu pani J. jest niezadowolona, choć milczy; jednak ogół nauczycielstwa zaczyna coraz bardziej dzielić moje stanowisko.

Na kursach ochroniarskich mam wykłady dwa razy na tydzień po dwie godziny. Jestto bardzo mało. W ciągu 8 godzin trzeba dać uczniom pojęcie o biologji, anatomji, fizjologji i higjienie. Wobec słabego przygotowania uczenic ułożyłem kurs, uwzględniający najważniejsze zagadnienia higjieny wychowawczej. Będzie to kąpiel ożywcza po nauczaniu dziejów Polski przez panią J.

C. K. O. jest nawskroś zachowawczy. Może się wydawać, że taki właśnie duch panuje u ogółu wysiedleńców. Jednak powierzchowna analiza wskazuje, że chodzi tu o stronnictwo narodowej demokracji, jako organizacji, która otrzymała prawo rozporządzania funduszami dla tułaczów, mając na czele Stanisława Grabskiego, posła do dumy. W okręgu środkowym wodzą rej czterej bracia Lutosławscy: Marjan jest prezesem Komitetu centralnego, Jan zarządza sprawami gospodarczemi, ks. Kazimierz — szkolnictwem, Józef jest pełnomocnikiem w Razaniu. Wspólna cecha tych wielkorządców — to bezwzględność, która budzi powszechne niezadowolenie. Jego odgłosy za-

znaczą się w prasie. Zwłaszcza „Mucha“ pakuje od czasu do czasu pikę w bok rycerzom z Drozdowa, — których browar miał duże powodzenie u piwoszów. Ale to, że się warzy dobre piwo, nie uprawnia jeszcze do zajmowania się polityką, bo się w niej napewno „nawarzy piwa“.

Pomiędzy Komitetem moskiewskim a warszawskim niema zgody, nawet wre walka. Lednicki jest co do przekonań „kadetem“, czyli postępowcem i opozycjonistą wobec rządu. A endecja popisuje się swą lojalnością, trącącą lokajstwem. Wyrzicielką tego jest „Gazeta Polska“ pod redakcją pp. Sądżewicza i Hłaski. Jej orientacja jest nawskroś rusofilską, choć nieraz trąci tak wyraźnie nieszczerością, jakgdyby redaktorzy należeli do chóru, śpiewającego warjacje ks. L. z mazurka Dąbrowskiego. Dwulicowość szkodzi tylko naszej sprawie i jest wytykana przez dzienniki rosyjskie, jako dowód fałszywości Polaków. Przeciwiństwo stanowi „Dziennik Petersburski“, z którym walczy „Gaz. Polska“, Nieraz napaści mają cechy denuncjacji. Ale „Dziennik“ odwzajemnia się ostrą krytyką działaczy N.—D., zaczawszy od Dmowskiego, Grabskich i innych przywódców.

Lednicki wydaje „Echo Polskie“, tygodnik niezależny, mało poczytny. Dla ludu wydaje N. D. pi-semka w duchu klerykalno-wsteczniczym. Słowem na widowni są dwa stronnictwa. A co się dzieje poza widownią, na to się zamyka oczy.

15 Stycznia 1916 r.

Mamy zimę w całej pełni. Jest podobno wyjątkowo łagodna. Może moskalom jest cieplej, niż zwykle, ale dla nas wygląda ona osobliwie: te masy śniegu, leżące od początku grudnia, powiększane przez coraz nowe opady, dochodzące pokładu metrowego,

który zbija się w jedną masę lodową, to naprawdę północ. Poziom jezdni, chodników, placów podnosi się do wysokości okien, nieraz je zasłania. Powierzchnia tej masy jest bardzo śliska, co przy licznych wybojach naraża przechodniów na ciągłe padanie. Ruch tramwajów ustaje podczas zasp, dopóki szyny nie zostaną oczyszczone. Na przystankach oczekują pasażerowie nieraz całymi godzinami i wreszcie ruszają pieszo, lub zaczynają przetarg z sankarzem, który żąda za 2 wiorsty 1½ rubla. Moskal nie lubi chodzić. Biedni jeżdżą tramwajem za 10 groszy około 3 wiorst, a większą odległość za 16 do 26 gr. Jestto tanio. Jednak można wydać dziennie po parę rubli, bo odległości są ogromne. Dochód z tramwajów jest pokaźny. Uposażenie służby ma być niskie. Z tego powodu są często bezrobocia. Jedno z nich trwało niedawno 10 dni, narażając miasto na stratę 600,000 rubli, a mieszkańców na ogromne kłopoty. Ten okres błogosławią sankarze i drą ze skóry ludność. O, jak podobni są do nich niektórzy nasi działacze!

Podczas świąt urządzono w szkole jasełkę. Dzieci uczyły się ról przez kilka dni. Lekcje poszły w ką. Występ odbył się w obecności rodziców i gości. Przy żłobku siedzi dziewczynka z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Gra Matkę Boską.

Przed nią zjawiają się kolejno Królowie polscy, wielcy wodzowie, recytując głosami dziecięcymi o swych czynach. Są wzruszeni i przejęci widokiem publiczności, niezwykłą odzieżą, perukami, brodami. Głosami się im, ruchy są niezgrabne. Jeden z uczniów, grających Ks. Józefa Poniatowskiego, wywiązuje się poprawnie, choć wiersz jest wprost niemądry i niewłaściwy dla 13-letniego chłopca. Dalej tańczą cztery pary krakowiaka. Wśród nich dwie córeczki pani Jętkiewiczowej, śniade, zwinne. Z sali woła ktoś: brawo Salcza i Ryfka! Potem deklamuje uczeń

VIII klasy. Jeden z nauczycieli odczytuje głosem bezbarwnym wiersz o wigilji staropolskiej. Nakoniec na scenie zjawia się pani Jętkiewiczowa. I znowu głos z sali woła: Salce zatańczy. Kilka osób wybucha śmiechem. A p. J. przemawia swobodnie, z pewnością siebie w duchu ultra-klerykalnym na temat uroczystości.

Dopiero teraz spostrzegam jej rysy semickie, jej dziwnie wypukłe oczy, bardzo niski wzrost. Niebawem też dowiaduję się, że jest ona neofitką. W komunikatach, ogłaszanych w „Gazecie Polskiej“, wyczytali uczniowie jeden, głoszący, że p. Rapoport z Łodzi jest pełna niepokoju o swą córkę, Zofję Jętkiewiczową i trzy wnuczki, które wyjechały do Rosji. Nie ulega już wątpliwości, że stroskana babcia niepokoi się niepotrzebnie, bo jej ukochanym jest lepiej, niż w Łodzi. Rozumiem teraz jej gorliwość nowej miotły. Jednak stanowisko braci Lutosławskich jest dziwne. Pani J. cieszy się ich zupełnem zaufaniem i wiele spraw załatwia się podług jej życzenia wbrew opinii reszty nauczycielstwa. Uposażenie pani J. wygląda również niepomrotnie suto. Nadewszystko jednak jest rażące to, że p. J. uczy języka polskiego. Nie przesądzam jej wiadomości i przygotowania. Jednak, aby się wczuć w „Pana Tadeusza“, którego się przechodzi w 4-ej klasie, trzeba mieć większe tradycje, niż... sklepik z towarami łokciowemi. Czyż nie byłoby właściwiej, gdyby uczyła dzieci arytmetyki i języków, do których żydzi mają wrodzone zdolności?

Pani J. wyręcza księdza L. w nauczaniu religji. Przychodzi to jej z łatwością, bo niedawno musiała wtajemniczać się w arkany katechizmu, dziejów biblijnych oraz obrzędów. Tych rzeczy można się nauczyć. Ale polskość trzeba mieć we krwi, otrzymać ją w wychowaniu domowem, rozwijać ją przez obcowanie z rodakami, z którymi łączą nici szeregu po-

koleń. Dlatego też nie mogę zrozumieć, jak przedstawiciele stronnictwa, szczującego na żydów, nie zawahali się postawić panią J. na tak odpowiedzialnem stanowisku? Czyżby to była taka sama maskarada, jak w wojsku rosyjskiem?

Znawcy stosunków zapewniają, że to „similis similibus gaudet”. Podobno rodzina Lutosławskich jest też semickiego pochodzenia. Nie mam zamiaru badać ich rodowodu. To jednak pewna, że są to antropologicznie typy niesłowiańskie. Zwłaszcza ksiądz ma wygląd rabina z Koziej Wólki. U całej rodziny przeważają typy ciemne, a jeżeli zdarzy się jasny to z rudawym odcieniem. Są przeważnie wzrostu niskiego, jak semici, a właściwości psychiczne, ruchliwość umysłowa, umiejętność wyciągnięcia ze wszystkiego korzyści, zapalczywość, nastawienie do abstrakcji, połączone z fanatyzmem, nie przebieranie w środkach, byle przeprowadzić swoje zamierzenie, stawia ich na poziomie przeciętnego talmudysty. Ma się poważne wątpliwości, czy są to najodpowiedniejsi obrońcy... polskości na tułaczce.

Byłem na uroczystości powitania nowego roku według starego stylu. W Domu Polskim zebrało się kilkaset osób. Słuchaliśmy popisów koncertowych. Na zakończenie było parę przemów. Miciński mówił dość chaotycznie jakąś legendę, z której wyprowadził nieoczekiwany wniosek, zresztą słuszny, że Polacy na wygnaniu powinni żyć skromnie, nie trwonić pieniędzy, nie uczestniczyć w zabawach publicznych, bo na nich jest zwrócona uwaga otoczenia, a zasoby należy użyć na potrzeby kraju. To pytanie jest na czasie, ponieważ garść klas posiadających zachowuje się wyzywająco, nie licząc się z otoczeniem, które gotowo uważa nas za naród hulaszczy. A co gorsza, że niektórzy z tych panów trwonią pieniądze, otrzymane jako odškodowanie za zniszczone majątki.



Wielu obywateli, wyrzuconych na bruk, kołacze na-próżno do komitetów obywatelskich, bo panowie prezesi rozdzielili już pomiędzy sobą fundusze, wyznaczone przez rząd, jako zaliczki na odszkodowanie. W Komitecie Grodzieńskim gospodarzą w taki sposób pp. Delasy, Puzyna, Krasicki i inni. Właściciele zniszczonych majątków narażają się tylko na stratę czasu i pieniędzy, zwracając się do tego komitetu o pomoc. Również C. K. O. wydaje za dużo na rzeczy zbędne. Może się to skończyć skandalicznie przy rewizji. Dziś rodacy szemrzą, a moskale wytykają palcami złotych panów, mówiąc: — ginieemy z głodu, ubóstwa, poborów wojskowych, a ci „inorodcy” czerpią ze skarbu na rozpustę. Czas się z nimi rozprawić.

Prasa czarnosecinna podburza czerń. Niebezpieczeństwo jest nie mniejsze, niż w 1915 r., gdy w Moskwie rozgromiono ulicę Niemiecką. Ale z tem nie liczy się nasza młodzież pozłacana, choć warunki istnienia stają się coraz trudniejsze. Zajdźcie, panowie hulacy i szafujący mieniem publicznem, do naszej chałupy. A zobaczycie w niej nietylko pogrążonego w pracy gospodarza, dźwigającego ciężary wojny, związane z mundurem wojskowym, lecz i jego żonę, wykonującą własnoręcznie najcięższą robotę gospodarską, zaczawszy od porządków, a skończywszy na gotowaniu i praniu. Zobaczycie i dzieci, które mimo swego wieku młodocianego, pomagają matce w gospodarstwie, odkąd służąca nas opuściła w pogoń za hulankami podług waszego wzoru. Spójrzcie, jak żyje rodzina myśląca o powrocie do pracy w Ojczyźnie... Jestem pewien, że się będziecie... śmieli do rozpuku....

30 styczeń 1916.

Wiadomość o pochodzeniu pani J. rozeszła się piorunem pomiędzy uczniakami. Przedrwiwają ją

z tego powodu, najczęściej zza płota. Pani J. zachowuje się taktownie, jakgdyby nie słyszała przycin-ków, lub nie wiedziała, że są skierowane do niej. Jednak chęć odgrywania roli, wtrącanie się do rozmaitych spraw, wpływ na braci Lutosławskich i korzyści osobiste z położenia uprzywilejowanego koła w oczy wielu. Wpływa to ujemnie na uczniów, którzy lekceważą nauczycielkę i nadają jej przydomki. Nie wydaje mi się, aby p. J. mogła się wczuć w „Pana Tadeusza“ i zaszczerpić polskość na jego podstawie. Z natury rzeczy ciągnie ją bardziej do Jankieła, niż do Soplicy, lub Wojskiego. Gdyby porównała dwa koncerty, to Wojski, grający na rogu bawolim, wypadłby, jak dziki przedpotopowiec: „wzdął policzki, jak banie, w oczach krwią zabłysnął, zasunął wpół powieki, wciągnął wgląd pół brzucha...“ A Jankiel gra na cymbałach, jak człowiek o wysokiej kulturze: „Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia. Spojrzał z góry, instrument dumnym okiem zmierzył, wznosił ręce opuścił razem, dwa drążki uderzył. „Róg Wojskiego:...“ przeraźliwie wyje; znuwu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło, ryknął, potem beczenie żubra wiatr rozdarło“. A kto tej wrzawy słuchał? „...powtarzały ją dębom dęby; bukom buki“. A Jankiel gra... poloneza 3 maja: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Bo jest dobrym Polakiem, jak i jego współwyznawcy. A słucha go cała Polska, sam generał Dąbrowski, do którego on przemawia: „Ciebie długo Litwa nasza czekała, długo, jak my żydzi, Mesjasza... Żyj, wojuj, a ty nasz!“

Z tego zestawienia wypadłoby niezawodnie, że sam Mickiewicz przyznawał, że „Litwa nasza“ i „Ty--nasz“, czyli Polacy przywłaszczają sobie ich niesłusznie. Żydzi są skromni i cisi. „Jankiel grać nie chce i panów się wstydzi“. A kiedy „Dąbrowski mu podał rękę i dziękował, on, czapkę zdjęwszy, wodza

rękę ucałował" Kontrast w porównaniu z butnym, hardym, samolubnym, gwałtownym Wojskim jest uderzający. I któryż z nich, moi uczniowie,—powie p. J., zasługuje bardziej na naszą miłość, na uznanie, który z nich jest wyższy pod względem kultury, uspołecznienia?

Następstwa jasełki, są naogół nieszczególne: chłopcy opuścili się w naukach, a laury aktorskie zachęcają ich do odgrywania jakiejś niewyraźnej roli w stosunku do kolegów i nauczycieli. Kilku jasełkowiczów rozhukało się i rozzuchwaliło. Są to najgorliwsi harcerze, basujący księdzu w oczy i drwiący z niego za plecami.

Na posiedzeniach wychowawczych porusza się te pytania. Ale dyrektor i szereg nauczycieli porzeczają na zmniejszaniu stopnia ze sprawowania i groźbie wydalenia, nie chcąc wiedzieć, że źródło wykroczeń jest w samej szkole. Jako środek zaradczy stoje ks. L. rekolekcje i spowiedź, a dyrektor kożę, które wszakże zawodzą zupełnie.

Błędy wychowawcze mszczą się. Kilku pedagogów jest niezadowolonych z takiego stanu rzeczy, jednak nie mogą nic zdziałać, ponieważ dyrektor jest zupełnie zależny od Lutosławskich, którzy faktycznie kierują szkołą, mając w nim tylko figuranta za sutą opłatą, podobno 10,000 rb. rocznie prócz mieszkania, światła, służby i dochodów pani Kulwieciowej, jako nauczycielki i kierowniczkii kursów ochraniarskich. O takich dochodach pp. Kulwieciowie nigdy nie marzyli. Jeżeli tak jest istotnie, a sprawdzić tego nie można to zaprawdę ciężki jest wóz, który muszą ciągnąć polscy tułacze.

14 Luty 1916.

Skończyłem mój podręcznik i oddałem go dyr. Kulwieciowi w celu wydania przez „Radę Zjazdów“.

Po kilku tygodniach K. proponuje mi parę zmian w książce. Proszę o ich wskazanie.

— Pan Zdziechowski przeglądał rękopis i uważa, że rozdział o komórce jest zbędny. Jabym go skrócił przynajmniej o połowę.

— Wszak panowie nie jesteście lekarzami, ani higienistami. Coby pan powiedział, gdybym przerabiał jego pracę botaniczną, albo panu Z. ekonomiczną?

— Poza to, — ciągnie K., — powołuje się pan często na własne prace. To wygląda na reklamowanie siebie.

— Nie mam pod ręką biblioteki, z której można by zaczerpnąć cytaty. A to, że w tej dziedzinie dużo pisałem, to chyba nie zarzut. Zresztą piśmiennictwo polskie jest tu bardzo ubogie.

— W wielu miejscach są potrącone sprawy przyrodnicze, społeczne, ekonomiczne: — mówi K., — to trzeba skreślić. Obecnie rękopis jest u drugiego referenta, potem pójdzie do trzeciego.

— Przepraszam ale w naszej umowie nie było o tem mowy. Co ma zresztą do powiedzenia w tej sprawie chirurg? Może trzecim referentem będzie adwokat, rejent, sędzia, komisarz policji, ksiądz, kupiec i orzeką, że higiena jest zbędną stratą czasu?

— Drażliwość autorska, — zapewnia K.

— Nie! To jest tylko zrozumienie, że wypadkowo zajmowane stanowisko nie upoważnia do zabierania głosu w sprawach, na których się ktoś nie zna. To nie wojsko rosyjskie, gdzie o wszystkim stanowi czerwona podszewka.

— Jak pan chce. O ile zmiany nie będą porobione, książka nie może być wydrukowana, — oświadcza Kulwieć.

— Będzie wydrukowana, ale nie przez Radę Zjazdów. Proszę więc o zwrot rękopisu.

Czekam nań już kilka tygodni i jestem, w stra-

chu, że zaginął. Nie puściłybym tego płazem. I oto Jan Lutosławski zwraca się do mnie telefonicznie z propozycją:

— Pan napisał jakąś broszurkę z higieny. Możeby pan ją przerobił dla ochroniarek ot tak na parę arkuszy druku.

— Jest pan w błędzie: napisałem podręcznik 15—16 arkuszowy. Przerabiać go nie zamierzam. A o napisaniu czegoś nowego proszę porozumieć się ze mną osobiście i zawczasu omówić zakres.

— Czy pan nie posiada tyle uczuć obywatelskich, aby uczynić zadość takiej naglącej potrzebie?

— Obowiązków obywatelskich może mnie pan nie uczyć, bo w ich zrozumieniu napisałem i darowałem szkole polskiej tę książkę. I teraz nie uchylam się od nowej pracy. Nie pozwolę jednak, aby niepowołani mieli ją oceniać i orzekać o jej wartości. Jeżeli panu zależy na nowym podręczniku, proszę zgłosić się do mnie w tej sprawie i dokładnie określić przedmiot. A może zresztą napiszą to umiejętniej moi nieproszeni krytycy?

Pan Jan się nie zjawił. Czyżby to była nowa próba zachęcenia mnie do pracy, aby ją potem wiewsekować?

Im bliżej stykam się z działalnością braci Lutosławskich i ich zaufanych współpracowników, tem jaśniej rozumiem, że jest to zwarta klika. Zależność od niej krępuje mnie ogromnie, ponieważ zachowanie się tych panów jest takie, jakgdyby uważali każdego nauczyciela w szkole i funkcjonariusza w zakładzie za niewolnika. Gdybym zajął się praktyką za przykładem innych kolegów i ogłaszał się w „Gazecie“, czego nie popełniłem ani razu w życiu, zarobiłbym niewątpliwie znacznie więcej i uniknął wielu przykrości. A jednak niemiło byłoby mi rozstać się ze szkołą, która zmusza do przewartościowania posiadanych wia-

demości i zastosowania ich do poziomu przygotowania rozmaitych słuchaczy, do ujęcia całości w 8, 12, 20, 30 wykładach. Tu uczę się sam, co jest najważniejsze, a co tylko ważne, wprawiam się w dobieraniu wyrazów i wyrażeń, oddających najwierniej myśl, zdobywam umiejętność czytania w oczach moich słuchaczy, czy mnie rozumieją i czy wykład ich zajmuję. A w dodatku wiem, że tym słuchaczom mówi się zbyt wiele w duchu zupełnego wstecznictwa. Niech więc musknie ich choćby zlekka zefirek postępu i współczesności. Może to dlatego właśnie cieszą się moje wykłady dla ochroniarek dużym powodzeniem.

Najniechętniej patrzy na mnie ks. Lutosławski. Już to księża nie bardzo mnie kochają za moją działalność wolnomyślicielką. Szczycę się nią jako dowodem, że wyzwolenie Polski widziałem zawsze w jej wydobyciu się z poglądów średniowiecznych, z obskurantyzmu i we wprzężeniu się do rydwanu postępu, który znamionuje narody kulturalne. O ile to łatwiej ułożyłoby mi się życie, gdybym płynął za ogólnym prądem zamykania oczu na zło i... robienia kariery, na wzór moich rówieśników. Jednak wolałem zawsze płynąć pod prąd, nie bacząc na trudności i niebezpieczeństwa. I dziś nie zamierzam ustąpić ani o jotę z obranej drogi, uważając, że może nigdy, jak dziś trzeba mówić tym skołatany rzeszom prawdę, czystą prawdę, choćby miała nawet być im przykra. Obłądą i kłamstwem karmiono je zbyt długo.

To właśnie nie podoba się księdzu L., który chciałby: jeszcze raz do koła, raz do koła! Jako były student medycyny uważa się za powołanego uzgadnić ją z teologią, jako najlepszy medyk pośród duchowieństwa. Niewdzięczna praca takie uzgadnianie!

Wyrazem zastrzeżeń co do działalności braci L. jest cięty wiersz, który właśnie zjawił się w „Musze” p. n.: „Familijka” na nutę znanej operetki.

„Wśród trosk przeróżnych ste-  
[ku,

Gdy jaśniał Trzeci Maj  
Miał w osiemnastym wieku  
Familję Polski Kraj.

Dziś, gdy znów trosk nawala,  
Gdy wojna sprawia chszest,  
Pociecha nasza cała,  
Że familijka jest...

Ona wie dzie wśród dróg,  
kto nie z nią — Polski  
[wróg!

Jest czterech dzielnych braci  
W frazesu strojni szych  
Bezwzględni zuchowaci  
I wszędzie pełno ich,

To boczek, to obcesem  
Swych działań snują nić,  
I każdy z nich prezesem,  
Gdziekolwiek musi być.

I ten, co żel-bet ma,  
I ten co głupi pcha,  
I ów i tamten też.  
Pełno ich wzdłuż i wszerz

Obsiedli komitety,  
Są w gronie sekcji, rad.  
A przy nich dla socjety  
Druch, kuzyn, kum, lub swat,

Stworzyli klikę rojną  
Która w ich dudka gra,  
I każdy z nich dostojną  
Ministra minę ma.

I ten, co stawia strop,  
I ten co zżyna snop,  
I ten, i tamten też  
Patrzą, jak z szczytu wież.

Zarówno w wojny dobie  
Jak wśród pokoju dni,  
Wciąż rządzą sami sobie,  
Bo Polska ich — to „my“

Chcą wszędzie trzymać prymy  
I wszystko wziąć do rąk,  
I samochwalcze dymy  
Puszczają butnie wkrąg.

I ten, co żel-bet ma,  
I ten co plugi pcha  
I ten i tamten mąż  
W chór sławią siebie wciąż

Po tym wierszu zaszumiało w C. K. O. jak w przy-  
gżanym kotle. Przez kilka dni bracia L. chodzili struci.  
Marjan specjalista od żelazo-betonu, Jan rolnik, ksiądz  
dr. Kazimierz — polityk mieli podobno wyznaczyć na-  
grodeę za wykrycie autora satyry. Nagroda miała być nie-  
byle jaka: przejażdżka samochodem, służącym do włas-  
nego użytku prezesów. Atrakcja niebywała! A może jest  
to jeden z tych samochodów, które miały przewozić  
chorych... niezakaźnych?

W tych niezdrowych stosunkach wytwarza się na-  
strój iście urzędniczej zależności od presów. Gdyby to  
miało być wzorem dla przyszłych naszych urzędów, sta-  
libyśmy się biurokratami, nie lepszymi od moskiewskich,  
austryjackich i pruskich.

29 Luty 1916.

Rok przestępny wypadł nam na Moskwę. Iście przestępny rok! Całe szczęście, że pracy ma się po uszy, więc czas płynie szybko, chociaż dokoła ludzie jęczą pod brzemieniem nostalgji, w której poza wszelkimi składnikami ukochania swego jest i element... bezczynności, próżniactwa. Rachubę czasu stanowią dla mnie dyżury, wypadające co 5 dni, które poza nocą nieprzespaną i przykrościami utrudniają inne obowiązki. Najgorzej jest z wykładami, które wypadają zawsze w określone dni. Muszę więc układać się z nauczycielami o zamianę. Ale to niezawsze się udaje. Dodałem więc jedną godzinę bezpłatnie na wykłady zapasowe oraz szukam zastępcy do internatu na zaułku Rzewskim. Kolega B. zgodził się na to stanowisko, lecz zrzekł się go niebawem w obawie płonicy, która się tam zagnieżdżyła. Polecilem na swe miejsce kolegę Daneckiego, który zastępował mnie przez parę tygodni, wywiązując się sumiennie ze swych obowiązków. Okazało się jednak, że są inni kandydaci. Jednego z nich R. musiałem zdyskwalifikować, bo jest 25 lat lekarzem kolejowym i nie zajmował się nigdy szkolnictwem. Pewnego dnia telefonuje do mnie Jan Lutosławski, abym stawił się o 4-ej w internacie i przekazał opiekę lekarską koledze Ł. Odpowiadam, że tego dnia być nie mogę i wyznaczam inny termin.

— Proszę się zastosować do terminu, wskazanego przez dra Ł., — żąda p. Jan.

— Nie mogę, — odpowiadam, — i nie będę. Daję do wyboru niedzielę o 4-ej, albo poniedziałek o 5-ej.

— Ależ on jest wziętym praktykiem, nie ma czasu do rozporządzenia.

— Z większą słuszością mógłbym to powiedzieć o sobie i proszę zastosować się do jednego ze wskazanych dni.



A więc lekarz policyjny, którego czynności nie mają nic wspólnego z lecznictwem i który, jako młody, korzysta dziwnym sposobem z przywileju nienoszenia munduru wojskowego, ogłaszający się codzień w gazetach, aby zdobyć praktykę wśród tułaczów, ma teraz zostać opiekunem lekarskim 60 chłopców! W dniu, kiedy miałem mu przekazać obowiązki, wypadły mi niespodziewanie dwa konsylja, skutkiem czego spóźniłem się o pół godziny. Kolega Ł. tłumaczył się, że przyjmuje stanowisko na usilne żądanie Jana L., ale nie zamierza go zatrzymać, o ile znajdzie się ktoś na stałe. Oświadczyłem mu, że szukałem sam zastępcy, nie mogąc poświęcić internatowi dość czasu. Jestem więc wdzięczny koledze Ł., że mnie wyręcza, choć zachowanie się Jana L. uważam za niewłaściwe.

— Nie znałem go, — mówi Ł. — Przed kilku dniami zjawił się u mnie i błagał, abym zajął to miejsce. Mam wrażenie, że pragnął pozbyć się pana, choć nie wiem, dlaczego.

— Ja mam to samo wrażenie. Ale w danym razie nie mogę istotnie podolać wszystkim obowiązkom i dawno postanowiłem ustąpić tem bardziej, że nie należę do kliki i mam z tego powodu sporo przykrości.

Na rozstanie żegnam chłopców i chcę pożegnać opiekunkę. Jest ona skrępowana, mówi półsłówkami, straciła pewność siebie, jakgdyby poczuwała się do winy, że sprawa mojego następcy została załatwiona niewłaściwie. — Upewniam panią, że musiałem usunąć się z internatu dla braku czasu. Chciałem jednak aby mój następca uważał to stanowisko za placówkę społeczną. Jan L. zdaje się traktować ją jako synekurę za... 30 rb. na miesiąc.

— Ach, — wzdycha pani R. — zdaje się, że i ja tu nie wytrzymam: tyle przykrości, trudności, nawet... poniżej! Funduszemi publicznymi szafuje się conaj-

mniej... nieogłędnie. Jeżeli zaprowadzą kontrolę, to może...

— A mnie się wydawało, że pani patrzy zupełnie inaczej na działalność braci Lutosłowskich, że uważa ich pani za bardzo dzielnych...

— W języku, — prostuje R. — A gdy chodzi o czyn obywatelski, nigdy ich niema. Ot ksiądz peroruje na temat obrzędów, obowiązków względem kościoła, nakazuje spowiedź i sakramenty, jak przystało na kapłana Polaka. Ale oto umiera w szpitalu na płonicę młody uczeń, Golcz i błaga o pociechę religijną. Zwracam się do ks. Lutosławskiego. Obiecał przyjechać z Panem Bogiem. Wieczorem tknęło mnie coś, więc telefonuję do niego. Odpowiada: — Jestem bardzo zajęty i trochę niezdrów, więc odłożę do jutra. — Ależ chory może dziś umrzeć! — To zatelefonuję do kolegi, aby go wyspowiadał. — Niech pan sobie wystawi: żaden ksiądz nie przybył! Nazajutrz ks. L. wymówił się znowu i chłopiec umarł bez pogodzenia się z Bogiem!

Łzy stanęły pani R. w oczach. Nie przekładałem więc jej, że Bóg nie jest biurokratą i przebaczy wykroczenia 14-letniemu chłopcu, którego sumienie nie jest chyba zbyt obciążone. Zrobiło mi się żal pani R., która mówiła:

— Jak pan sądzi: czemu on nie pojechał? Bał się, stchórzył przed szkarlatyną.

— Czyżby nie umiał się zabezpieczyć? Wszak był podobno na medycynie?

— Oni byli... na wszystkim, ale... Jezuita świętoszek! Wszystko dla pozoru, a grunt to... Czytał pan w „Musze”: „Familijkę”. Ciężka, ale możnaby dużo dodać. Doigrają się!

— Szczerze pani dziękuję za tę otwartość, bo uspokaja mnie ona, że to nie ja tylko patrzę tak krytycznie na sprawy... opiekunów naszej tułaczki.

15 Merzec 1916.

Idzie ku wiosnie. W Polsce słońce grzeje już dość silnie. Czuć powiewy zachodnio-południowe, roślinność rusza się z uśpienia. A w Moskwie zima trzwa w całej pełni. Stary kalendarz opóźnia się w porównaniu z zachodem nie o jakieś 13 dni, lecz przynajmniej o miesiąc. Może to wpływa na opóźnienie kultury o całe wieki. Śnieg utracił już swą białość i przeobraził się w brudną masę lodowatą. Co parę dni spada nowa warstwa, której barwa szybko się zacierza. Czy nie grozi nam, tułaczom, niebezpieczeństwo podobnego zeszkaradzenia, jak temu śniegowi tembardziej, że przybyliśmy tu nie tak biali, jak on?

W tych dniach rozpakowano kilka skrzyń z narzędziami przywiezionymi z Warszawy. Wyglądają one jakgdyby przyniósł je lodowiec. Snać pakowali to „soldatiki“ pod komendą felczera, lub „profesora klinicznego“, bo nie powylewano nawet płynów gryzących z baterji galwanicznej, nie owinięto chociażby papierem szklanych elementów i zapakowano je razem z mikroskopami i chemikaljami. Lepiej było pozostawić całe to mienie Niemcom, lub sprzedać je za byle co, niż przywozić skorupy potłuczone, które dziś... wykreśla się z inwentarza szpitalnego. Ale administracja lubi wszelkie naprawy, przeróbki, odnawiania, bo dają one duży obrót. Oto właśnie chodzi bardziej, niż o narzędzia, nikomu niepotrzezne, chyba że są to maszyny do pisania. Ale jakżeś tam mikroskopy, hematometry, sfigmografy, oscilometry i tysiące innych to tylko balast dla moskala, u którego śnieg leży przez pół roku, a on przez cały rok gnuśnieje.

Przy ostatniej wizycie zastał mnie „prewoschoditelstwo“ przy analizie soku żołądkowego. Bogdanow był zdziwiony, że mieszanina dwu płynów bezbarwnych może dać piękne zabarwienie różowe, ametys-

towe, czerwone. Czy nigdy się tego nie uczył, czy też blask czerwonej podszewki zaćmił mu wszystko, jak luna pożaru zaćmiewa gwiazdy? Te piękne odczytne barwy dały Bogdanowowi podstawę do podziwienia mojej wiedzy i umiejętności. Musiałem go wyprowadzić z błędu, bo te wiadomości obowiązują już studenta.

Bardziej wytrawny jest Bogdanow w sprawach gospodarskich. Oto przeprowadził analizę szaf sióstr oddziałowych i znalazł w nich... watę, używaną na okłady rozgrzewające. Byłóż tam krzyku i wymówek! Głównymi winowajcami byli, rzecz prosta, ordynatorzy, którzy winni byli wiedzieć, że wata jest droga i że należy ją zastąpić...

— Czem?—pytam Bogdanowa.—Flanelji, sukna brak, a okłady gorące i rozgrzewające trzeba robić.

— Ze starzyzny!—krzyknie prewoschoditelstwo.

— Nie otrzymujemy jej na oddziale,—odpowiem, sądząc, że jest to przymówka do mojej garderoby wojskowej, która zdążyła już pokryć się dziurami podczas 20-o miesięcznej służby. Wprawdzie obeszło się szczęśliwie bez otrzymania cięcia, jednak „szaszka“ wyżłobiła dziury po lewej stronie munduru i spodni. Gdyby nie dbałość mej żony, która wstawiła kilka łąt, byłbym zmuszony wydać ze 100 rb. na nowy uniform. Ostatnie łąty na ubraniu miałem za czasów studenckich, więc odzwyczaiłem się od t. z. okularów i monokli, jednak służba wojskowa nauczyła mnie, że jaka płaca, taki i mundur. Byle guziki trzymały się na miejscu przepisanem, rozumie się nie te, które bronią od „upadku“, lecz te z orłami dwugłowymi, świadczące o służbie państwowej,—to niema strachu. No i barwa munduru musi być „zaszczytna“, a tej części garderoby, z którą miał przeprawę Grzela Wilkońskiego,—czarna, lub granatowa. Ale dziś barwa ich zmieniła się tak wyraźnie, że o „zaszczytacie“ nie

można mówić. Tylko paru kolegów, otrzymujących.. dodatki, wyglądają, jak z igły. Niektórzy sprawili sobie nawet futra z wcięciem, prawdziwy „tułup“. Ja zaś dźwigam moje toporne szynelisko, płaczące się między nogami, lecz zato nie zabezpieczające od utraty ciepła. Pomaga ono często do przewracania się na ulicy z powodu ślizgawicy, wybojów i różnych pułapek. Wobec tego przenieśliem szlify do fokowego futra i zacząłem w niem paradować. Żołnierze przestali mi salutować, uważając pana w czarnem futrze z takimż kołnierzem i mankietami za urzędnika administracji. Jestem z tego zadowolony, bo mogę nie wykonywać ruchów prawą ręką do daszka. Oficerowie patrzą na mnie, jak na Robinsona, Eskimosa, czy Patagończyka. Konduktorzy tramwajowi znają mnie już tak dobrze z futra, że nie zapytują o bilet na przednią platformę. Jestem popularny. Nic mnie to nie wzrusza. Wszak armja Napoleona, uchodząc z Moskwy, była przybrana w ornaty, ryzy, watówki kobiece, chałaty, tułupy. I co? Nikt jej tego nie wytykał. A pensja, którą mi płacą, nie wystarcza na utrzymanie rodziny. Więc o sprawieniu nowego szynela nie może być mowy.

Pewnego razu spotyka mnie Bogdanow i robi minę zdziwioną:

— Ale też się pan ubiera?!

— Jedna z rzeczy, którą zdołałem wywieźć z Warszawy,—odpowiem, sądząc że jest to okrzyk podziwu nad futrem, połyskującym jak aksamit.

— Ależ to zupełnie „nie po formie“. Wygląda pan na polskiego legjonistę.

— Raczej na tułacza z lepszą przeszłością. Bo też wojna sprawiła zupełny przewrót: kto miał futra fokowej bobrowe nie ma teraz czego włożyć na grzbiet, a tacy, którzy chadzali w dziurawych butach, dziś jeżdżą powozami i samochodami.

— Gdyby pana spotkał generał gubernator, to by pociął futro pałaszem, a pana—na odwach.

— Jestto sposób prostszy, niż uposażyć odpowiednio lekarza. Ale cóż ja na to mogę poradzić? Chyba przestanę chodzić do szpitala z powodu braku ciepłego szynela.

— Tego nie wolno,—zastrzega Bogdanow.

Po monitach za watę polecił Bogdanow zbadać maski przeciwgazowe. Tych masek sporządzono miliony, zużywszy na nie masę gazy, gumy, nici, chemikaljów. Każda maska kosztuje  $\frac{1}{2}$  rubla, a wartość jej jest żadna, bo raczej sprzyja uduszeniu, niż zabezpiecza od gazów. Materiały pokrajane są tak, że nic z nich zrobić niemożna. Do roboty tych masek byliśmy wzywani przed  $\frac{1}{2}$  rokiem do Mińska. Szczęściem uznał nas Zawadzki za ludzi w wieku podeszłym, nieodpowiednich do nasycania gazy odczynnikami przy wysokiej ciepłocie. Kto wie, czy nie zwałonoby potem na nas odpowiedzialności za zmarnowanie ogromnego kapitału. Możeby więc i moje piękne futro poszło na pokrycie szkód, wyrządzonych skarbowi przez... niedbalstwo, bo o nieumiejętności nie może mówić lekarz w wojsku, obowiązany słuchać rozkazów: umieć na pamięć tom XVI kodeksu. Pytanie, kto odpowie za maski? Zawadzki wykręci się napewno: zbyt dawno nosi podszewkę czerwoną.

Kalendarz wskazuje na d. 4 Marca św. Kazimierza, patrona Litwy i dyr, Kulwiecia oraz ks. dr. Lutosławskiego. Tak uroczysty dzień uczczono przez zawieszenie nauki w szkołach C. K. O., chociaż świąt i galówek jest bez liku, a chłopcy są bardzo zapóźnieni. Delegaci uczniów poszli złożyć adres i życzenia tym dostojnikom. Dwaj solenizanci, trzymając się pod rękę, słuchali powinszowań, recytowanych, jak lekcje na stopień. Zwierzchnicy ocenili dobre chęci młodzieży i zapowiedzieli jej gorące... przyjęcie. Ale

skończyło się na tem, że nie dano nawet zwykłej herbaty południowej.

Również nauczyciele musieli składać życzenia na wniosek paru kolegów, należących do kliky. Oświadczyłem, że jest to uroczystość rodzinna a nie szkolna, dziwne więc jest, iż wprowadza zamieszanie w szkole. Zgadzano się ze mną. Jednak uchwalono składać życzenia w pojedynkę. Honory domu robiła p. Kulwieciowa, zapraszając do stołu bogato zastawionego ciastami, tortami i innymi smakołykami. Patron Litwy i dyrektora musi się cieszyć, że tak dobrze zaczęło się dziać jego imiennikowi.

Imieniny dyrektora wskazały, że ciało nauczycielskie jest niezespalone, że ma swą prawicę, należącą do kliky, centrum basujące jej i schlebiające, i małą lewicę opozycyjną. Na szkolnych zebraniach i posiedzeniach styczność nauczycielstwa jest przygodna. Powstała więc myśl, ażeby urządzić zebranie towarzyskie. Projekt restauracji na szczęście upadł. Po długich naradach postanowiono zebranie składkowe w sali rekreacyjnej szkoły. Dowiodło ono, że jesteśmy naprawdę rozbici. Nuda, pustka, brak myśli przewodniej znamionuje te 50 osób, które nie mają tematu do wspólnej rozmowy, lub obawiają się wypowiadać, chyba w kółeczku zaufanem, które kryje się na osobności. Podają kolację. Majonez i polędwica z groszkiem jednoczą wszystkich we wspólnym... brzęku sztućców, łyżek, noży, talerzy. Jeden z nauczycieli odczytuje wiersz, napisany na temat szkoły. Treść jest nudna, forma — niewyszukana, rym — częstochowski. Zebranie przechodzi nad nim do porządku, czyli... pije w milczeniu herbatę. Zda się, że każdego z nas dławi jakiś kamień. Znamy go dobrze przy ognisku domowym. Ale tutaj te kamienie tworzą wielką stertę, nie do przebycia! To jakaś piramida, a w jej wnętrzu my — mumje...

O tak! Nie jest nam do zabawy. Troska gości na naszych czołach. Niepokją nas losy kraju, rodziny, ukochanych, myśl, czy i kiedy powrócimy. W każdym słowie i czynie czuć, że jesteśmy w obcym środowisku. Tylko klika rządząca jest wesola i rozmowna. A stanowi to takie przeciwieństwo, że jednostki wrażliwsze cofają się w zacisze swego ja. Nawet śpiew chóralny pieśni polskich nie zdoła nas zespolić. Wielu wysuwa się cichaczem po kolacji, złorzecząc, że się dali wciągnąć.

— Słyszeliście? — pyta jeden z wychodzących. — Zabawna historia.

— Cóż takiego? — pytają towarzysze na ulicy.

— Kto ma szczęście do interesu, nawet muchy nań orzą, — mówi powolnie nauczyciel niemieckiego. — Lutosławscy przywieźli z sobą jakąś starą kuzynkę i znaleźli dla niej tu kawalera.

— A co? Wojna to pociecha dla starych panien.

— A tak. Pociecha! I wiecie, że ten pocieszyciel zostanie naszym... kolegą w szkole?

— Za cenę... sakramentu posada w przedsiębiorstwie braci Lutosławskich! — sarknął jeden z obecnych.

Rozchodzimy się pod przykrem wrażeniem nowego poniżenia tułaczów.

28 Marzec 1916 r.

Wydział sanitarny C. K. O. rozpoczyna nowe wykłady. Mamy przygotować sanitariuszów do dawania pierwszej pomocy chorym. Sanitarjusz będzie musiał zastąpić niejednokrotnie lekarza. To przygotowanie ma on zdobyć w ciągu 10 tygodni.

Projekt wydaje mi się niefortunnym. Lekarz nie powinien popierać partactwa, a tem mniej stwarzać pracowników niedowarzonych, bo już z felczerami, zna-



chorami, owczarzami nie może sobie dać rady. Czegoż może się nauczyć człowiek bez wykształcenia w 2 i pół miesiąca? Pielęgniarz wojenny, który ma pracować pod kierunkiem lekarza, albo ochraniarka, która ma się orjentować przy wykonywaniu przepisów, są w innych warunkach. Ale przygotowywanie ludzi do samoistnego dawania pierwszej pomocy, która przekształci się z konieczności na leczenie, nie zgadza się z przepisami obowiązującymi. Lepiej byłoby już powołać paru lekarzy, wyznaczyć im okręgi pracy i dać im pomocników w razie potrzeby. Świadectwo z ukończenia takiego kursu będzie bez wartości.

Pomimo tych zastrzeżeń, na które godzą się koledzy, kurs zostaje wyznaczony. Nie odmawiam udziału w wykładach, mając na względzie zawsze danie słuchaczom czegoś więcej, niż sucha teoria i praktyczne wskazówki. Tułaczowi brak najczęściej uogólnienia zjawisk, zrozumienia własnego położenia i tych rzesz, które stoją bezradne, skazane na narzucony im kierunek. Wobec czynników, rozbijających gromadę na małe grupki, dla których hasłem staje się: „ratuj się, kto możesz“, potrzeba czegoś, co mogłoby je znowu zjednoczyć. Należy im wyjaśnić, że cierpienie jest nie tylko przekleństwem rodzaju ludzkiego, lecz i początkiem myśli, która zrozumiałaby jego istotę i przeciwdziałała jego przemożnemu wpływowi.

To oświecenie wnoszę do wszystkich moich wykładów zarówno dla uczniów szkół średnich, jak i dla ochraniarek i nauczycielek. Te same poglądy rozwijam i w artykułach, których napisałem kilkanaście do pisma pedagogicznego i kurjera, wydawanego przez Komitet Polski. W jednym z nich wspominam o ciężkim okresie cholery 1892 r. Byłem wtedy lekarzem epidemicznym w Białaczewie w pow. Opoczyńskim. Ludzie mrą setkami. Lęk i zwątpienie ogarnęły masy.

Rzuciłyby ziemię i chaty, byle uciec od moru. Ale przejazd jest wzbroniony. Pewnego razu, wzywają mnie do umierającego staruszka. Jadę z proboszczem Laskowskim. Nie zastajemy chorego na tapczanie. Syn szuka go napróżno wkoło domu. Słyszę kołatanie na strychu. Tam jest stary. Sprowadzamy go do izby. Ledwo dyszy. Pytam:

— Po co ociec łazicie po górze?

— Buza... zerwała kawał strzechy, — mówi stary, ledwo dosłyszalnym głosem. — Tsa byno założyć kuliki, coby dzieciom nie wiano, kaj pomre...

Nazajutrz stary życie zakończył. A dach był znowu cały...

I z naszego domu ojczystego zerwała zawierucha dziejowa całą strzechę. Nas samych rzuciła na obczyznę. Legliśmy pokotem, jak te łany żyta, które czekały już na sierp.

I niemasz wśród nas nietylko już starca, dobywającego ostatnich oddechów, lecz nawet pełnego sił i zdrowia młodzieńca, którzy wiązaliby kuliki na poszycie, by dzieciakom nie wiało, by ich nawałnica nie zmoczyła? Czyż naprawdę nie masz ich?

25 Kwietnia 1916

Śniegi stopniały. Przez trzy dni płynęły potoki wód, ciągnąc za sobą masy brudu, odpadków, śmieci. Ulice zamieniły się w rzeki, a na rogach przy spadkach tworzyły się formalnie wiry. Gdzie zbiorą się te wody? Wszak nie sama Moskwa musi się ich pozbyć, lecz całe te olbrzymie przestrzenie mają ujście do tej jedynej rzeczki, która nie spieszy się podczas lata z rzuceniem się w objęcia Wołgi.

U nas w Polsce już od miesiąca kąpie się ziemia w promieniach słońca, a zieleń wydobywa się na powierzchnię pól i łąk. Tu skorupa zlodowaciałego

śniegu trzyma się uporczywie, jakgdyby nie widziała, że słońce wschodzi już o parę godzin wcześniej, że dosięga w południe pięćdziesięciu kilku stopni i trzyma się nad widnokręgiem już 14 godzin. I oto nagle te martwe przestrzenie budzą się ze snu półrocznego, zrywają się do życia i działania, jakgdyby chciały powetować w przyspieszonym tępie czas przespany gnuśnie. Ruszyły śniegi i lody. To nie jest płynna woda, gotowa być dziś tu, jutro tam a potem wzniesć się nad rozpostarcie niebieskie aby patrzeć z wyżyn na człowieka i jego dzieła, czy też... nicosć Nie. To młodsze, żywsze czynniki, które ledwo liznęły promieni słońca, podważają stare warstwy, które powołują się na swe doświadczenie, na swe przeżycia i mądrość zdobytą, że szczęście jest w spokoju i zapomnieniu. Niel wołają młode wody. — Niel W ruchu i czynie! I oto bryły zlodowaciałe ruszają za prądem młodocianym. Toczą się z wyżyn ulicy w jej dół i rozbijają się na drobne bryłki o spotkane przeszkody. A potem płyną już z potokiem wód, nie pytając dokąd, lecz świadome, że tak być musi.

Patrzę z dyżurki na ten ingres wiosny. I oto wspominam rozmyślania zeszłoroczne nad jej przyjściem, a potem unoszę się pamięcią do czasów młodocianych. Siedzę na ławce szkolnej. Wykłada August Kreczmar odę Horacjusza:

„Diffugere nives, redeunt iam gramina campis,  
arboribusque comae.

Mutat terra vices et decrescentia ripas  
flumina praetereunt...”

Dziś po 30 latach recytuję tę odę na pamięć z niemniejszym przejęciem, niż wówczas, gdym starał się ją spolszczyć, aby inni poznali jej myśl głęboką. Pamiętam te pierwsze porywy poetyckie. Brzmiało to nieudolnie, lecz było pełne zapału:

„Śniegi już roztopniały i trawy na pola wracają,  
 drzewa w zieleni już.  
 Ziemia wygląd swój zmienia, a wody do rzeki spływają,  
 ona zaś spieszy do mórz.  
 Gracja z nymfami już może powrócić do śpiewu i tańca  
 i znowu weselić nas.  
 Nie sądz jednak, by szczęście miało trwać bez końca  
 mknący doradza czas.  
 Zefirki chłody wyгнаły. Po wiosnie spieszy się lato,  
 którego nadejdzie kres,  
 Gdy jesień przyniesie daninę swych płodów bogatą.  
 Znow dzika zima, jak zwierz:  
 I księżyc zmienia lunacje, lecz znowu do dawnych powraca.  
 A my, gdy nastanie nasz dzień,  
 Jak ojciec Eneas z ginie, lub boski Tullus i Ankus  
 Zostaje z nas popioł i cień.  
 Któż nam zaręczy, czy bogi dodadzą jeszcze dni parę  
 do tylu ubiegłych już lat?  
 Spiesz się i użyj rozkoszy! Na mienie twe pozostałe  
 czycha twój chciwy brat.  
 Bo kiedy umrzesz i Minos cię wezwie na sąd wspaniały,  
 ani wymowność twych słów,  
 Ni sława imienia, ni żywot twój doskonały  
 do życia nie wrócą cię znow!

Wznawiam w pamięci młodociany przekład. Ile przeżywało się wtedy porywów i uniesień. Jak prostem zdało się życie, zamknięte w małym kręgu zadań, celów, pragnień, pożądań! Horacjusz opiewa świat władców i milczy o świecie niewolników. Władcy kierują życiem i czerpią z niego rozkosze, dopóki nie przyjdzie moment; kiedy łzawią:

„Jam mihi canities, pulsus melioribus annis, venerat, antiquam miscueratque comam“. (Przyszła na mnie siwizna, bom przeżył lepsze dni, i starcze włosy na głowie złośliwie splątała mi!)

Rozpaczył Bo władcą żył tylko własną rozkoszą nie przypuszczając, aby, było coś po za nią. Przyszła istarość a z nią; *vanitas vanitatum et omnia vanitas* „ingnoramus et ignorabimus“. A niewolników trzy-

mał przy życiu instynk samozachowawczy i nadzieja, że przyjdzie czas, gdy stanie się zadość sprawiedliwości. Mijały pokolenia, stulecia, tysiąclecia. Księżyc zmieniał lunaje i znowu do dawnych powracał. Wiosny radowały serce zielenią i nadzieją, lata i jesień darzyły obfitością plonów, zimy straszyły śniegiem i lodem. I każdy przeżywał wiosnę własnego życia, niektórzy dociągali do martwoty zimy. Przemijali reformatorzy życia społecznego, twórcy nowych idei, założyciele nowych religij. Ich nauki pozostawały w księgach, które podnoszone do godności mądrych filozoficznych, świętych. A życie płynęło dalej swym szlakiem znużenia skutkiem nadużyć i wyczerpania pracą niewolniczą.

Czy się to kiedy zmieni?

Spoglądam przez okno. Wartki potok uliczny niesie wielką bryłę lodu, która zda się mówić: — nieś mnie, niewolniku, bo oto przyszła na mnie siwizna. Potok pieni się, szumi. I oto uderza bryłę o kamień narożny. Plusk, jęk... I niema już bryły. Rozpadła się w miazgę. Woda kotłuje się, wiruje i pędzi na oślep przed siebie. Zapewne do rzeki, do morza, bo to droga utarta. A może na pola, łąki, aby je zatopić i zmyć z nich odwieczne nawarstwienie, dać im nowe życie nowy wygląd?...

Wpatruję się w głaz, o który rozbiła się bryła lodowa. Stoi nieruchomy obojętny, jakgdyby nic nie zaszło. Skąło! Wszak zniszczyłaś bałwana samolubstwa, którego poniosły wartkie potoki wiosennego porywu. Tego bałwana zdruzgotałaś, który śpiewał: „Spiesz się i użyj rozkoszy; na mienie twe pozostałe czycha twój chciwy brat“.

Głaz nie docenia swego czynu. Musi wiedzieć że tych bałwanów lodowatych jest jeszcze bardzo wiele, że zniszczyć jeden to nie jest jeszcze zwyciężać.

Wpatruję się w płynące potoki. To wiosna zwiastuje potęgę swej twórczości. Spieszy się, bo jest za późniona w porównaniu z zachodem. Czy go dopędzi? Mam wrażenie, że się z nim zrówna. A może wyprzedzi?...

20 Maj 1916

Wielkanoc minęła tak, że jak Moskwa Moskwą nie było nic podobnego. Przedewszystkiem nie dzwoniło we wszystkie dzwony czterdziestu po czterdzięci razy cerkwi zapewne ku wielkiemu zmartwieniu świętych, których ominęła ta piękna symfonia. Powtórnie nie było wódki, jaj i mięsiwa, a inne wiktuały kosztowały bardzo drogo. To też ruch na ulicach był mały, spotykało się niewielu zataczających się przechodniów, a leżących w rynsztoku najwyżej po paru na bocznych ulicach. Potrzebie — pogoda była niepewna, a roślinność nie spieszyła się okryć zielenią, jak gdyby w obawie współzawodnictwa z barwą licznych kopuł i dachów. To też moskale wyrzekali, że nie pamiętają podobnie marnych świąt i czynili za to odpowiedzialnymi "bieżeńców".

W życiu szpitalnem mieliśmy na „Chrystos woskres” dwie niespodzianki. Popierwsze wielkie szpitale wojskowe przeniosły do nas swoich chorych, aby zapewnić sobie wypoczynek świąteczny. Powtórnie... Ale tego niemożna wypowiedzieć jednym słowem. Od rana funkcjonariusze szpitalni zdradzali wielką wesołość. Czyżby już zdołali sprawdzić zawartość butelki? Na ich obliczach maluje się niezwykła radość.

— Zapewne wybieracie się panowie na śniadanie do prowoschodistelstwa? — pytam.

— Pan nie wie nic? — śmieje się Radczenko.

— Wczoraj w cerkwi Bogdanowowi trysnęła z ucha krew. Ma gorączkę...

- Pierwsze słyszeł jak tak nagle.  
— Nie domagał kilka dni; teraz kto wie, może wypadnie zbierać na wieniec, albo co?  
— Wrazie wianka składka podług pensji a nie porówno, — zastrzegam.  
— Na taki cel dam składkę podwójną, zapewnia trzeci.  
— Nie łówcie ryb przed niewodem, — poucza inny.  
— To prawda, że odpocznjemy ze trzy tygodnie. Tak zapowiada dr. Zięciakiewicz.

— Warte tyle co pół urlopu!

Nie przypuszczałem, aby Bogdanow miał tylu wrogów nawet wśród urzędników, z którymi służył kilka lat. Zwłaszcza od czasu podszewki czerwonej naraził się im swym tonem ministra i traktowaniem starych znajomych, jak przybłędów, choć go mogli zagnać łatwo do wilczych dołów.

Obowiązki lekarza głównego objął Łoktiew. Ustały szykany, znęcanie się i czepianie byle głupstwa. Praca szła zwykłym trybem, może nawet lepiej, bo spokojnie.

Chory zaczął się poprawiać dzięki leczenia kolegi Zięciakiewicza, który odwiedzał go codziennie, choć sam nie uporał się z własnem uchem. Nieoczekiwanie zostałem również wezwany do prewoschoditelstwa. Właśnie wypadł mi dyżur; odłożyłem więc wizytę na jutro. Pozatem zażądałem przysłania po siebie koni. Niech Bogdanow wie, że: 1) nauczyłem się, iż dyżur jest rzeczą najważniejszą, 2) uważam go za takiego samego pacjenta, jak innych, którzy muszą czekać na swą kolej, i 3) nie mam obowiązku ponosić kosztów przejazdu.

Prewoschoditelstwo mieszka w północnej części miasta na wązkim, brudnym zaułku w obskurnym domku. Po wązkich schodkach docieram do kuchni i korytarza, a stąd do salonu o trzech oknach. Me-

ble, wywiezione z Warszawy, dywany, portjery, obrazy pasują do tych niskich pokoi, jak okręt do strumyka. Wygląda to raczej na skład, niż na mieszkanie.

Przez drzwi widzę jakąś postać, leżącą na otomanie. Spuszcza ona nogi w pantoflach i posuwa się w moją stronę. Odziana jest w jasną szatę w wielkie kwiaty barwne, na głowie ma biały czeppek. Długi nos schodzi się z brodą.

— Czy pan dr. Bogdanow jest w domu?—pytam tę postać, gdy się do mnie zbliżyła, uważając ją za ciotkę, lub babkę.

— Pan mnie nie poznaje?—odpowie dobrze znany mi głos prewoschoditelstwa.

Ledwo powstrzymałem się od śmiechu. Przedemną stoi Bogdanow we własnej osobie, ten sam, który przymawiał mi nieraz, że nie mam wyglądu wojskowego. Zdobi go długi damski szlafrok flanelowy, opatrunek na głowie, zawiązany w postaci czepka, pantofle kolorowe. Nadęcie generalskie znikło. Nawet twarz utraciła swą pergaminowość.

— Istotnie nie poznałem pana, bo widzę go po raz pierwszy „nie po formie“.

Wybuchliśmy obadwaj śmiechem. Po chwili weszła żona B., kobieta trzydziestokilkoletnia o powierzchnowości ujmującej. Jest bladawa, choruje kilka miesięcy i wreszcie postanowiła prosić mnie o radę.

— Nie służy pani Moskwa?

— Nie przypuszczałam, aby tu miało być tak źle: mieszkanie wilgotne i zimne, drożyzna; dzieci chorują przez całą zimę. Sama ledwo chodzę. Czy wrócimy kiedy do Warszawy?!

— Ile cię cenić trzeba ten tylko się dowie, kto ciebie stracił, — zaświtało mi w mózgu. Rzekłem więc:—Co do mnie, wrócę napewno, o ile mnie tu nie zamordują. Co do państwa—wątpię. Ale chyba



w Rosji znalazł się miasto zdrowsze od Moskwy?

Pani Bogdanowowa jest matką 8-ga dzieci żyjących i 3-a zmarłych. Jak na 13 lat życia jest to porcja przykładna. Snać przewoschoditelstwo jest akuratny i pracowity nie tylko w kancelarii szpitalnej. I podobnie, jak nam, nie daje wypoczynku i własnej żonie. A dzieci boją się go, jak niejeden lekarz, powołany do armji.

— Czego siedzisz w salonie!—Komenderuje generał, przebrany za starą ciotkę.

Mizerny chłopczyzna wychodzi pędem, wiedząc snać, że po ruchach języka papy zwykły nieraz następować ruchy rąk. Ale po chwili zjawia się drugi, jeszcze mizerniejszy i znika niebawem pod grozą samego spojrzenia ojca i dobitnego „won“!

— Powinna pani poleżeć parę dni, aż gorączka przejdzie.

— Nie mogę. Nie mam nawet bony. Porzuciła. Pan wie, ile jest pracy przy dzieciach: umyć, ubrać, oszyć, nakarmić.

— Z nią zawsze tak!—woła Bogdanow,—a twarz jego traci słodki wyraz ciotki i staje się pergaminowa.—Ciągłe się szwęda, niepokoi, wszystko robi sama, jak gdyby nie było kucharki, deńszczyków. Wieczne o to spory domowe!

— To się państwo dobrali: mąż jest również gorliwy, wszystko sam sprawdza, wszystkiego sam dotknie.

— A ja mam za to ciągle wyrzuty.

— I my otrzymujemy nagany za brak gorliwości.

Trzeba zapisać receptę. Kartkę wydarto z jakiegoś zeszytu, a pióra niemożna znaleźć. Wyciągam więc swoje złote pióro. Rozkręcam. Lecz oto atrament leje się mi na ręce, a z nich na dywan salonu. Pani spieszy mi z pomocą, zapewniając, że wywabi

plamę na kobiercu. General jest zły, lecz opanowuje się.

— Dokąd pani wybiera się na lato?—pytam na odchodnym, widząc, jak kilkoro drobiazgu czepia się spódnicy matki.

— Nie mogę zostawić męża samego. Urlopu napewno nie dostanie.

— Ale i dzieciom się coś należy. Chorowały przez zimę. I pani potrzeba powietrza.

— Niema zaco,—twierdzi generałowa.—W roku zeszłym jeździliśmy z jednym dzieckiem po Woldze. Te trzy tygodnie kosztowały 1.000 rb.

Popatrzyłem na nią badawczo. Po tem, co się słyszało o dochodach Bogdanowa, o sumach, umieszczanych na imię żony, o kupowaniu wygranych bileletów loteryjnych, wygląda mnie to zwierzenie na dyplomację dziedziczki z Koziej Wólki, która nie płaci umyślnie rachunków parorublowych, aby ludność nie domyśliła się, że ma ona gotówkę w ponczosze. Ale twarz generałowej jest spokojna. Nic z niej nie mogę wyczytać. Abo ja wiem? Może to wszystko tylko plotki i obmowy? Więc i ci, co mnie mówili sami, że dali łapówki byli by... Stanowczo nie mam sprytu żandarmskiego.

Po kilku dniach byłem znowu u p. Bogdanow. Przyjęto mnie z wdzięcznością, bo pani zrobiło się lepiej. Wskazówki co do dalszego leczenia zostały wysłuchane. Sam generał zasięgnął również mej porady. Sądziłem, że powinny teraz ustać rozmaite zwykany. Ale gdzie tam! Ledwo wyzdrowiał odwiedził mój oddział. Byłem dyżurny i badałem chorych na drugim piętrze. Wtem przybiega posługacz z wieścią, że prewoschoditelstwo przyjechało i wchodzi już na schody. Podążam z raportem i spotykam władzę na drugiej kondygnacji. Nie chciałem wysłuchać tej zajmującej formuły:

— Na dole, w sieni! Tam miejsce na raport.  
Nieporządek zupełny!

— Nie mogę jednocześnie badać chorych na drugim piętrze i siedzieć beczynn timer na dole.

— Obowiązkiem dyżurnego jest „spotykać“ władzę. Ale to go nie zwalnia od innych obowiązków.

— Nie umiem być jednocześnie w dwu miejscach. Jeżeli raportowanie ma się odbywać obowiązkowo w przedsionku, nie będę na przyszłość opuszczał pokoju dyżurnego nawet na wezwanie do chorych.  
Zaczęło się chodzenie po salach.

— Co to za chory?—pyta B., wskazując pierwszego z brzegu żołnierza.

— Był wczoraj na komisji, — odpowiem, zapamiętawszy przypadkowo rudobrodego.

— Co mu jest? Co orzekła komisja? Czyj chory?

—Przez komisję przechodzi 150 chorych dziennie więc nie sposób wszystkich pamiętać. To jest w jego aktach.

— Proszę przedstawić jego akty.

— Niemoże ich być w oddziale. Są odesłane do kancelarji, bo dziś chory opuszcza szpital.

Bogdanow zapytuje żołnierza. Okazuje się, że moje informacje są ścisłe.

— Co to za pudełko?

— Własność chorego,—odpowiem.—Nie mogę o niem wiedzieć, mając obowiązek siedzieć w dyżurce.

— Jak pan pozwala na to. Co tu trzymasz?

— Masło,—odpowie chory.

— Otwórz!

Żołnierz otwiera, próbuje się tłumaczyć, lecz krótkie: milczeć! zamyka mu usta. Posługacz zostaje skazany na 3 dni kozy.

W innej sali leży na stoliku bandaż świeżo zdjęty. I znowu winien jestem ja, siostra, posługacz i musimy wysłuchiwać publicznych nagan. Nie po-

zostawiam ani jednego zarzutu bez odpowiedzi, a to doprowad B. do wściekłości, bo chciałby słyszeć: „słuszajus“, które nie przeszłoby mi nigdy przez gardło.

Po skończonych oględzinach wraca B. do gabinetu lekarskiego. Siada na fotelu. Lekarze czekają na pozwolenie, aby usiąść i zapalić papierosa. Usłużny Juluś podsuwa B. gorejącą zapalniczkę i popielniczkę; zgiąwszy się uniżenie, dopytuje się o zdrowie szanownych dzieciak i otrzymuje lekceważące odpowiedzi. Nastrój jest przygnębiający. Wreszcie generał odchodzi. Jako dyżurny mam obowiązek mu towarzyszyć. Inni robią to.. z amatorstwa. Na schodach B. daje jeszcze nauki:

— Panowie mówicie felczerom: „wy“ (pan), Tego niewolno. Po za służbą możecie się z nimi całować, ale na służbie — obowiązkowo: „ty“.

— Trudno się nałamać do takiego traktowania ludzi starszych, — robię uwagę pożegnalną.

— Trzeba! — mówi B., — drużba drużboj, służba służboj!

— Do drużby (przyjaźni) nigdy u nas nie dochodzi, — mówię, wyprostowawszy się i patrząc wprost w oczy, jak przy raporcie. — I nigdy nie dojdzie.

Koledzy są niezadowoleni z mej śmiałości. Bogdanow wychodzi przez drzwi generalskie, wyłącznie dlań otwierane. Czuje się triumfotorem: świta kłania się nisko, wołając: „zdawja żelajem wasz. przew...“, Pówóz zajeżdża z szykiem. Nastrój psuje jeden oporny. Najlepiej byłoby go powiesić.

1 Lipiec 1916 r.

Odpoczynek trzytygodniowy nie powiódł się Bogdanowowi. Wyprawa na Wołgę nie doszła do skutku, bo matka rodziny nie zgodziła się na wyjazd bez

dzieci, a w drodze do Niżniego zachorował syn. W dodatku niemożna było dostać biletów na statek. Wobec tego i wobec nieustannych deszczów prewoschoditielstwo przesiedziało cały urlop w domu, zajęte podług opinii swego zastępcy... pluciem przez okno. Inni znawcy stosunków zakulisowych dowodzą, że ustępuje Mirtow, inspektor okręgowy, a naszemu władcy pachnie zajęcie tego stanowiska.

Trzy tygodnie zażywał szpital spokoju. Ale ten wypoczynek duchowy skończył się wreszcie. Pewnego poranka zjawił się Bogdanow w oddziale. Był dziś niezwykle zrównoważony i spokojny, nie zrobił nikomu przykrości. Obeszło się też bez zwiedzania sal szpitalnych. Natomiast wezwano nas wszystkich na naradę.

— 13 Lipca ma się odbyć obchód stulecia szpitala Ujazdowskiego, — oznajmia prewoschoditielstwo. — Musicie panowie przygotować się godnie do tej uroczystości, w której będą brali udział rozmaici dostojnicy...

Zrozumiałem co znaczą gwałtowne porządki, trwające od tygodnia, zaopatrywanie chorych w nową pościel i bieliznę, nadawanie salom wyglądu uroczystego. A Bogdanow zaczyna wywiad, w jakiej mierze możemy przyczynić się do uświetnienia obchodu.

— Czemu właściwie nie bywacie panowie na nabożeństwie w cerkwi? Wygląda to, jakgdybyście bojkotowali religię. Czy katolik, czy prawosławny powinni bywać w cerkwi. Tego wymaga prawo.

— A praca w szpitalu? — pytam.

— Tym razem musicie być wszyscy.

Po paru dniach zasięga języka Radczenko. — Jak pan sądzi? Po nabożeństwie — obiad, czy śniadanie składkowe? Trzeba się pokazać...

— Komuż to? — pytam.

— Będzie generał-gubernator, archierej, może wielka księżna...

— Czem możecie ich zadziwić? Napewno jadają lepiej na codzień, niż wy w święta.

— Można się postarać. Zbierzemy po kilka rubli składki...

— Przypuśćmy, że ugości pan tych dostojników świetnie. I cóż z tego?

— Zyskamy ich uznanie, może nagrody, łaski, ordery...

— Za smaczny obiad, nie za pracę? Mnie to nie pociąga. W dodatku zwierzchnik jak zwykle zostanie odznaczony. A pracownicy? Niech liżą swoją łapę, bo nie umieli lizać cudzej.

— E, doktor zawsze... Choć słusznie: co za przyjemność spotykać się z takimi osobistościami? Nazłazi się popów, bo to do wyżerki zawsze gotowi, generałów, przed którymi trzeba „na wytiażku“, dostojników, których głupich mów trzeba wysłuchiwać i choćby ci wnętrzności przewiercały, kiwaj głową potakująco.

— Co do mnie, sędzę, że mówić głupstwa z urzędu, to nie jest jeszcze zbrodnia, bo niejedyn jest przynajmniej w zgodzie z sobą. Ale kiwających należałoby umocować za szyję, aby kiwali całym ciałem, a nie tylko głowami.

— Brawol — woła Radczenko. — Na stryczek. Naprzód popów, a przedewszystkiem naszego. To numer. Nie chodzą do niego do spowiedzi. Jeszcze dr. Zawadzki pytał: — czemu nie chodzisz? może i ja powinienem go omijać? — A ja na to: radzić nie mam prawa, ale sam — wolę u innego.

— Zatem sam pan widzi, że niema co urządzać obiadu. Za te kilka rubli lepiej sprawić... podzółwki, niż przykrość, — powiadam na zakończenie.

Koledzy są tegoż zdania. Staje więc na tem, że nasz udział ograniczy się do tego, co będzie nakazane. Zrozumiał to i Bogdanow. Nakaz wzywał nas na nabożeństwo na d. 12.VIII o 6-ej pp. w kaplicy szpitalnej i nazajutrz o 10 rano w mundurach, przy orderach, w rękawiczkach, długich butach z ostrogami, słowem, jak do fotografii. Na specjalnem posiedzeniu wyklada B., jak należy raportować, jak się kłaniać, jak tytułować rozmaitych dostojników, jak odpowiadać na ich pytania.

— Jeżeli wielka księżna raczy przybyć, dyżurny nie raportuje nikomu poza nią i nie odstępuje jej na krok. Gdy poda mu rękę, winien ją ucałować, bo tego wymaga dobre wychowanie w stosunku do dam. — To mówiąc wpił we mnie swe mongolskie oczy, jakgdyby chciał powiedzieć:

— Jesteś bez wychowania, bo nie ucałowałeś ręki mojej żony, gdy ci ją podała.

— Dobre wychowanie wygląda inaczej na wschodzie, niż na zachodzie, — myślę.

— Odzwyczajcie się panowie od pochylania się przy ukłonach. Niektórzy sądzą, że im niżej się zegną, tem lepiej. A to akurat na odwrót. Jeżeli będą was pytali, odpowiadajcie bez namysłu odrazu, krótko, po wojskowemu. Lepiej jest zelgać, byle prędko, niż powiedzieć prawdę po namyśle. „Toczno tak wasze...” to doskonała formuła.

Szmer zadowolenia przeszedł po zebranych A. Bogdanow prawi:

— Lekarz powinien posiadać wygląd prawdziwie wojskowy. Zwracam na to uwagę przede wszystkim d-ra Miklaszewskiego.

Koledzy buchnęli śmiechēm. I ja się śmiałem, patrząc na radcę stanu na krzywych nóżkach, o niskim wzroście, przypominającego raczej dzokieja, niż lekarza prawdziwie wojskowego. Chcąc zaś popisać

się kwalifikacjami, zdobytemi w ciągu dwu lat, rzekę: — Rad saratsa.

Koledzy zaśmieli się. A gdy zostaliśmy sami powiada kolega Z: — Wy jedni pozostaliście sobą i z całą godnością lekceważycie napaści czynownictwa. Nas wszystkich urobił „Bodzio” na uległych baranków.

— Nie u wszystkich gatunków przeobraziła się struna grzbietowa na kręgosłup. U niektórych skostnienie jest słabe, więc są zbyt giętycy.

— Należy przystosować się do warunków, dowodzi kolega o gibkości lancetnika; gdybyś nie był oporny, Bodzio dałby ci dawno awans. Zawsze 100 rb. miesięcznie więcej to nie do pogardzenia.

— Farys powiada: „sprzedawać miłość hańba kobiecie, sprzedawać wiersze hańba poecie” Ja dodam za nic czci Polak nie sprzeda na świecie.

15 Lipca 1916

Jak głosił nakaz zebraliśmy się 12|VII o 6-ej wieczorem w kaplicy. Pierwszy raz w życiu paraduję w orderach. Zdaje mi się, że się oglądają za mną na ulicy, mówiąc: — A chce świat zadziwić? Wchodzę więc do pobliskiej bramy, odpinam Stanisława i Annę umocowane na agrafkach i chowam do kieszeni. Świećcie w ciemności!

Zaczęła się „wsienosznaja”. W kaplicy stoją szeregi żołnierzy. Nasze miejsce jest przed nimi. Jestem poraz pierwszy na nabożeństwie prawosławnem. Koledzy wyglądają odświętnie. Ordery zdobiją ich piersi. Stajemy szeregiem. Przed wrotami carskimi płoną świece i lampki. Obrazy kaplą od złota. Pop i djakon głoszą, wołają, wzywają, a chór żołnierski zawodzi jednostajnie: „Hospodi, pomiluj”. Co chwila, który z radców stanu pochyla się w pasie,



jak cywilny przy ukłonie, robi znak krzyża i powtarza te same słowa. Najzwinniej i najczęściej wykonują te ewolucje aptekarz, znacznie rzadziej i z powagą Bogdanow. Pod ścianą Rachmanow ze swą połowicą sprzedają świeczki. Robi on wrażenie przyłapanego na gorącym uczynku: jest czerwony, oczy spuścił do dołu, unika naszego wzroku, gorączkowo wydaje świecę, pokłonów nie wybija i, zda się, chętnie by się schował pod ziemię. Natomiast pani „ktitorowa“ jest bardzo czynna: jej pełne oblicze, jak czerwona georginja, zwraca się do każdego wchodzącego, a oczy wypatrują, ile też wysupła za świeczkę; czarna, krótka suknia odsłania wysokie buciki, będące ciągle w ruchu: krok w tył, naprzód, w bok. Handel idzie ospale, a święci nie mogą się wydziwić, że tak mało gore świec, choć od pierwszego szeregu bije łuna orderów.

To jest szereg inorodczy. Przyszedł tu na rozkaz swej władzy, a nie gwoli zaspokojenia.. Czego? Patrzą na popa, zapowiadającego od czasu do czasu: „pomolimsia..“, na djaka, który recytuje, wzniosłszy stulę prawą ręką do góry: „za...“, na chór powtarzający co chwilę te same zaklęcia, na uczestników, bijących pokłony. I nie mam wrażenia, aby to była modlitwa, którą uważa się za wzniesienie myśli do Boga. W tych jednostajnych procedurach nie umiem uchwycić jakiejś ciągłości. Wydaje mi się, że w każdej chwili może się skończyć całe to nabożeństwo i koniec nie będzie się różnił od początku. Kiedym był wśród Murzynów, doznawałem wrażenia, że otaczają mnie tysiące kopij tego samego oryginału. Dopiero z czasem nauczyłem się odróżniać osobistości. Tak też i tu wsłuchuję się, czy nie dopatrzę się jakiegoś biegu myśli. Daremnie. Co chwila widzę jeszcze jedną odbitkę tej samej fotografii.

Pamiętam, jak w dzieciństwie i młodości

odmawiałem pacierze i modliłem się z książki. Była to albo prośba, albo uwielbienie. I te szeregi dewotek, klęczących w kościele z różańcem w ręku, odmawiających całe kopy „zdrowasiek“, były mi wyraziicielkami tychsamych zadań modlitwy. A msza, chociaż niezrozumiała dla wielu, wyrażała jakąś myśl, jakąś akcję: oto ksiądz idzie na prawą lub lewą stronę ołtarza, zwraca się do ludu, żegna, czyta, klęka...; tu wstają pobożni, bo odczytuje ewangelję, tam klękają na głos dzwonka. Na wsienosznej nie umiem dopatrzeć się nic z tego. I mam wrażenie, że szeregi stojące odczuwają to samo. Nazwa oznacza, że nabożeństwo ciągnie się całą noc. Tak było niegdyś. Ale nawet najpiękniejszej melodji niemożna słuchać bez końca, bo wreszcie jednostajność wywoła sen. I te szeregi w kaplicy wyglądają na śpiące, zahipnotyzowane.

Nagle robi się ruch przy wejściu. W drzwiach staje Jurasow, który pełni po ucieczce z Warszawy obowiązki pomocnika inspektora lekarskiego. Zamiast kary za samowolną pierwszą ewakuację do Białegostoku i nieformalne przeniesienie się do Moskwy, otrzymał on czerwoną podszewkę. Roztył się, twarz ma czerwoną, podbródek fałdzisty, kark, jak poleć słoniny, a brzuch trzęsie się mu przy każdym kroku. Nie zważając na popa, nabywa świeczkę u „ktitora“, wita się z nami kolejno, wreszcie zaczyna wybijać pokłony. Łoktiew szepce mi do ucha:—Utył. Można by zrobić z niego futerał na każdego z nas.

— Widocznie,—odpowiem,—znosi lepiej tył, niż front.

Całkiem nieoczekiwanie chowa się, pop za wrota carskie. Koniec. Można wracać do domu? Niel Teraz będzie „panichida“. I rzeczywiście po godzinie zaczyna się nowe nabożeństwo, podobnie zupełnie do poprzedniego: to samo wyliczanie osób, za

które mają się modlić wierni, to samo: „Hospodi, pomiluj!“ te same śpiewy, kadzenia, pokłony. Nie rozumiem nic po dawnemu, jednak podziwiam wytrwałość popów, pracujących w pocie czoła, i odporność żołnierzy, stojących jak wmurowani. Dopiero koło 9-ej pozwolono nam opuścić szpital. Bogdanow jest zły, bo oprócz Jurasowa nie zjawił się żaden dostojnik.

Wracam zwykłą drogą. Ściemnia się. Ulice toną w kurzu, poprzez który nie widać gwiazd, a latarnie otaczają kule mgliste. Ruch pieszy i kołowy jest ospały. Nikt się nie spieszy, ani do pracy, ani do wypoczynku. Tylko garnkuchnie są wypełnione wyrobnikami, woźnicami, przekupniami, siedzącymi przy herbacie, chlebie, kiełbasie i innych zakąskach. Goście nie zdejmują czapek i „tułupów“. Siedzą rozparci, niemi, zapatrzeni w parę, unoszącą się z imbryków. Tylko przy niektórych stołach toczy się rozmowa, lecz jest ona ospała jak gdyby ci ludzie upadali ze znużenia. Dawniej było tu weselej, bo była wódka. Trudno obejść się bez niej moskalowi. Pod oknami garnkuchni snują się ulicznice i wycierusy, szukając poczęstunku i zarobku... O, jak czcze, bezmyślne bywa życie!

Nazajutrz podążam znowu do kaplicy szpitalnej. O 10-ej stoją tam już szeregi żołnierzy i grupka urzędników. Bogdanow przechadza się gorączkowo, pełen niepokoju, czy uda się cała parada. Lekarz dyżurny raportuje poprawnie w przedsionku każdemu przybywającemu generałowi. Dyżurni są dziś wyznaczeni specjalnie: w gmachu głównym lekarz policyjny B., wyszkolony znakomicie w rozmowach ze zwierzchnością, i kolega Ł. W oddziale oficerskim dyżuruje radca od bólu zębów, a w żołnierskim—radca stanu W., wyznaczony zamiast mnie z obawy, abym przypadkiem nie powiedział czego za dużo. Przedsiónek przybrano krzewami w donicach, poręcze — wieńcami

z liści. W kaplicy rozłożono kobierce dla dostojników, ustawiono wzniesienie ze stółcem dla arcybiskupa, który odprawia modły w asyście trzech popów, kilku djaków i kleryków, paradujących w szatach zielonych z licznymi gwiazdami złotonemi. Z lewej strony śpiewa chór żołnierski, a po prawej trzech chłopaków i dziewczyna ciągną dyskantem pod dyрекcją jakiegoś jegomości. I znowu powtarzają się bez końca te same zaklęcia, wezwania, pokłony z tym dodatkiem, że co pewien czas zdejmują popi biskupowi koronę, nakładają mu na kark jakąś kapę, kłaniają się mu, całują ręce i sami odbierają od niego pocałunki. Na stole płoną świeczniki. Jeden z trzema świecami, skręconemi razem, drugi z dwiema takimiż. Biskup bierze je kilkakrotnie, macha niemi, jak kropidłem do przodu, na boki, potem na krzyż, wymawiając zaklęcia. Wosk kapie na kobierce. Zebrani wybijają pokłony a my, inowiercy, nie wiemy nawet, co wypada nam robić, więc stoimy, jak senatorzy rzymscy.

Około 11<sup>1/2</sup> zjawia się pierwszy gość w stroju generalskim. Jest to inspektor szpitali. Wita się z władzą i staje samotnie na kobiercu pod oknem. Po jakimś czasie przybywa Mirtow ze swym pomocnikiem Boncz — Bryjewiczem, którego nie znosi Bogdanow. Wreszcie o 12<sup>1/2</sup> wchodzi gen. Mrozowski. Zapowiedzią jego przybycia jest ruch w przedśionku.

— Idzie, idzie, szepczą, a głowy zwracają się ku drzwiom, gdzie miał się ukazać ten, na którego imię uczuwa wielu mróz na plecach i drętwienie w łydkach.

W drzwiach robi się rojno. Patrzę, przecieram oczy... kroczy mężczyzna wysoki, barczysty, postawny, krokiem pewnym, sprężystym. Z rysów i postawy wybitnie polskich przypomina mi tak dalece mego zmar-

łego teścia, że odruchowo zwracam się, aby go powitać. Opanowawszy się powiadam do sąsiada:

— Typowy szlachcic.—A potem myślę: a może to Wallenrod w służbie moskala. Szukam, azali niema przy nim Halbana. Towarzyszy mu łysy kapitan, nie wyglądający na wajdelotę. A może to tylko: „tempora mutantur et nos in illis. Dość! Muszę się dowiedzieć, kto jest Mrozowski? Że jest Polak, przynajmniej z pochodzenia, to jest wypisane w jego rysach i postawie. I gdyby był zaprzańcem, który poświęca dla kariery wszystko, co najdroższe dla człowieka, nie zatrze cech polskości.

Mrozowski trzyma się prosto, nie wybija pokłonów. Przeżegnał się raz jeden i stoi spokojnie. Z poza wrot wysuwa się trzech urzędników szpitalnych z tacami. Na przedzie kroczy nieśmiało Radczenko. Mrozowski rzuca mu na tacę trzyrubłówkę, inni kładą przeważnie znaczki kopiejkowe, i ja wyłaniam dyskę, żałując że nie posiadam drobniejszego papierka. Po chwili Rachmanow oblicza połów i zapisuje dochód do książki. Oboje małżonkowie są uszczęśliwieni.

Biskup Józefat chowa się za wrota. Jeszcze jakieś śpiewy, znowu pocałunki. Zdaje się, że to już koniec. Ale gdzietam: na dywanie pod wrotami ustawia służba jakiś stół, przykryty kapą. Po chwili staje przed nim nasz pop szpitalny i przemawia o stuletniej rocznicy. Głos jego jest niepewny, często się załamuje, brak mu wyrazów do oddania myśli. Jednak przemówienie godne jest uwagi nie przez to, co zawiera, lecz—czego w niem brak.

— Największe zasługi dla szpitala położyli... Myślę: gen.—Mrozowski, że tu raczył przybyć, inspektor lekarski, jego pomocnik, może Bogdanow... Bynajmniej! Wbrew formom obowiązującym i dobremu wychowaniu: — niżnije czyny (żołnierze), któ-

rych praca przy ratowaniu chorych towarzyszków jest cięższa, niebezpieczniejsza, niż w okopach...

Słusznie, czy nie, to inne pytanie. Jednak nie przypuszczałem, aby pop mógł postawić na pierwszym miejscu żołnierza, którym pomiata nawet kapral. A tu pop stoi twarzą naprzeciw generała artylerji, radcy tajnego, paru radców rzeczywistych... Wywrotowiec! A pop ględzi dalej:

— Następne miejsce wśród zasłużonych zajmują... siostry. S'-temu Janowi przyśniła się precudna dziewczica, której się wyrzekł, lecz wraz z nią ocierał łzy cierpiącym. To jest zadanie sióstr, z którego wywiązały się należycie! Dalej zasłużyli się lekarze przez swą wiedzę i sumienność, chociaż ich zwierzchnicy wymagają od nich rzeczy nadzwyczajnych, przeciążają ich sprawami, nie mającemi nic wspólnego z lecznictwem... Jeszcze parę komplementów banalnych pod naszym adresem i... koniec. Ani słowa o zasługach Bogdanowa, Łoktiewa, nawet małżonków Rachmanow, ani Szumskiego, Aleksandrowa, Radczenki i tylu innych, którzy wypłynęli na widownię w szpitalu, jak żaby o zmroku na powierzchni sadzawki, gdzie zapewniają swym rachotem gwiazdy na niebie, że sadzawka zginęłaby napewno, gdyby one, gady o nią nie dbały. Ale w rozgwarze dnia, gdy promień słońca przenika najgłębsze tajniki, prowadzą z sobą mieszkanki sadzawki tylko ciche rozmowy.

I ani słowa uznania dla dostojników, którzy sprzyjali rozwojowi szpitala, ani dla tych, którzy przybyli na uroczystość, ani dla cesarzów, za których panowanie pozostał ten zakład, najlepszy... w państwie.

Nie wiem, czy to przemilczenie było umyślne, czy skutkiem braku ogłady. Ale Bogdanow czerwienił się i bladł. Skandal! Pop lekceważył sobie czynownika. Może to za tych świętych, pozostawionych Niemcom, których B. nazwał krótko: „drań“?

Po małej przerwie przemówił biskup Józefat. Z jego uśmiechniętej twarzy, siwiejącej brody nie można odczytać, że jest to polakożerca i obrusiciel.

— Początkowo szpital Ujazdowski był mały, — mówi biskup, — bo nie było potrzeby utrzymywania w zdobytym kraju dużo wojska. Ale walki 30 i 63 roku dowiodły, że państwowość rosyjska nie umocniła się jeszcze tam dostatecznie. Trzeba było utrzymywać większą załogę wojskową...

Po chwili, nagadawszy wiele niepotrzebnych i nieprawdziwych rzeczy, prawił, wciąż uśmiechając się słodko i zwracając we wszystkie strony nos krogulczy: — Rosja musiała prowadzić wojny nietylko zewnętrzne, lecz i wewnętrzne, np. w 30 i 63 r., aby stworzyć państwo potężne, ujarzmić wrogów wewnętrznych.

Nie mogę słuchać tych szyderstw i urągania. Wychdżę z kaplicy. Niezadługo kończy się cała ceremonia. Skierowują nas na dziedziniec. Żołnierze ustawili się wzdłuż dwu ścian w dwa szeregi. Nam wyznaczono miejsce przy trzeciej ścianie. Na środek dziedzińca wychodzi Mrozowski, za nim jego adjutant, lekarz dyżurny, generałowie. Dowodzący komendą chorąży występuje naprzód marszem ceremonialnym i raportuje: „Wasze wysokoprewoschodicielstwo. W szpitalu Ujazdowskim...“ Każde słowo brzmi, jak wystrzał: równy, krótki, doniosły, suchy. Generał kiwnął głową, oficer wraca do szeregu. Wszystkie oczy skierowane są teraz na Mrozowskiego. Czekają od niego słowa.

— Winszuję wam uroczystości stulecia, — mówi on płynnie, — i życzę powodzenia w dalszej pracy. Oto otrzymałem telegram od ministra wojny, który poleca mi załączyć jego pozdrowienie.

Tu odczytują depeszę i... hura, a, a! na cześć cesarza, potem: „Boże cesarza chroń“, dalej hura, a, a, a! na cześć ministra...

Nasze skrzydło stoi nieme. Tylko paru „istinych“ śpiewa i ciągnie: al a! al Reszta trzyma ręce przy daszkach..

Wallenrod, czy zwykły karjerowicz? — zastanawiam się, wpatrzony w piękną postać szlachcica, przybranego w mundur generalski i ciągnącego: a, a, a, al Mirtow komenderuje: — Na cześć p. gener.-gubern. Moskwy: Ura, a, al

I koniec, Do nas, nawet do Bogdanowa, te honory nie dochodzą. Po dwu latach pracy niewolniczej doczekaliśmy uroczystości, kiedy mamy prawo krzyczeć: al a! al na cześć rozmaitych dostojników.

Akt ostatni rozgrywa się na drugim piętrze. W sali szpitalnej zastawiono stół z przekąskami, soczystymi dla dostojników, do których nie zaliczono nawet ktitora, i skromnemi dla nas.

— Jak się panu podobało przemówienie biskupa? — pyta dr. Ławiagin.

— A panu jak? — zagadnę.

— Bardzo zręczne. Poruszył sprawy drażliwe i nikogo nie dotknął.

— Nie mogłem tego przemówienia wytrzymać. Wołałem wyjść — odpowiem.

— A to czemu? — wtrąca dr. Gincburg, niedawno przechrzczony na Prigradowa. — Mógł przecież powiedzieć, że to były bunty przeciwpaństwowe, a nazwał to wojną wewnętrzną.

— Zupełnie zbędnie. My Polacy nazywamy rok 30 rewolucją, a 63 powstaniem.

— To chyba pan! — woła Prigradow, rycerz o niskiej postawie, krogulczym nosie i wygiętych nóżkach. — Polacy, których ja znam, pragną, aby zarzut buntu i przestępstwa państwowego był im zapomniany.

— Nie wiem, jakich pan znasz Polaków. Może tych z policji? Są różni. Naszych ojców sprowokowano do zrzucenia jarzma, na co nie mieli dość sił.



Jednak z tych wysiłków jesteśmy dumni, bo były one dowodem umiłowania Ojczyzny i wolności. Za podobną sprawę zaliczyła Ruś ks. Aleksandra do rzędu świętych. Tylko izraelici woleli, uciekając z domu niewoli, sprowadzić na Egipt plagę: myszy, robactwa, ciemności, moru, zagłady pierworodnych, niż wystąpić mężnie z mieczem i okrzykiem: „umrzeć, lub zwyciężyć“

Rozmówcy zrobili kwaśne miny, lecz bronili dalej biskupa. Ja zaś kończyłem:

— Po nowych ofiarach, które ponosi Polska w walce o swe istnienie, przyszedł czas, gdy rozmaici wynaradawiacze winni przyznać: „zbrodnia, której dopuściły się na Polsce państwa rozbiornicze, mści się na nich po dziś dzień“. A my będziemy powtarzali dzieciom i wnukom naszym: „dziadowie wasi zasłali własnymi kośćmi pola bitew, krainy tułactwa, przestrzenie nieprzebyte Sybiru, bo wskrzeszenie Ojczyzny było im droższe nad życie. Pomnijcie więc i wy, że wszystko, co dla Ojczyzny uczynicie, to nie poświęcenie, lecz słodki obowiązek, wyzwolenie z pod przemocy.

Rozmówcy zajęli się zdobyciem kawałka tortu, owoców i herbaty. Jakże nie przekąsić w taką rocznicę? Nie wadziłoby i wypić, tylko że Mrozowski nie pozwala... Sto lat! Niel 99 i jeden na tułaczce. Z nich 15 pod rządami polskimi, 32 -- mieszane, po powstaniu jeszcze przewaga Polaków w szpitalu Ujazdowskim. Dopiero od zaprzańca Hurki, zaczyna się wasza era, czynownicy rosyjscy! Niema więc co przesadzać. Ale że wypić lubicie przy każdej okoliczności, przeto niemiły wam jest ten generał o wyglądzie szlachcica polskiego, który rzekł krótko: — Bez szkła! w myśl nakazu trzeźwości płynącego z góry.

A może to jest naprawdę współczesny Walenrod?

Pod wpływem Bedekera i innych przewodników włożył się podróżny do wyszukiwania i podziwiania osobliwości wskazanych jako najważniejsze.

— Wspaniały, — zachwyca się dama w galerji. Uffizi, — co za koloryt, perspektywa...

— Ależ Kostusiu, to Nr. 277 a nie 274, — robi uwagę towarzysz, — patrz, on tam wisi.

— Prawda! Mogliby robić lepsze napisy.

Ta rozmowa, podsłuchana przypadkiem w galerji Florencji, przypomina się mnie nieraz. Pewnego razu, gdym sfotografował bazylikę Marka, mozaiki w jej wnętrzu, konie bizantyjskie, gzymsy, wieżycy, pytam znajomego, co by utrwalić jeszcze na kliszy?

— Widok z pańskiego pokoju, — odpowie.

— Co ten szereg brudnych dachów, zasłaniających widnokrąg?!

— Tak. To jest prawdziwa osobliwość Wenecji.

Dałem się namówić. I dziś oglądam z prawdziwą przyjemnością wspomnienia zatęchłej wilgoci, ziejącej z kanałów miasta, z jego zapleśniałych ścian, zdaje się słyszeć plusk wiosel gondoliera w ciszy, nieznaną turkotu i wrzawy.

Zgodnie z tem doświadczeniem otwieram okno mego pokoju, aby zrobić zdjęcie. Jedna klisza nie zdoła objąć całego obrazu.

Skierowuję aparat na prawo. Parkan, a za nim kamienica nietynkowana. Są to małe mieszkanek, bo widać kilka par schodów i co parę okien inne porządki. Z tego okna dochodzi nieustanny turkot maszyny do szycia i co chwila miga ręka z igłą. Następne okna pokryte drutem, nigdy nie otwierane. Dalej idą dwa okna, zawieszane firankami, z poza których ukaże się czasem chuda matka z niemowlęciem. Dalej wystawione żurnale i często ukazują się

twarze pracownic igły. Tam okna otwarte stale uprzyjemniają mieszkańcom czas nieustannem wy-ciem okropnego gramofonu, który upodobał sobie monologi i śpiewy cyrkowe.

Któregoś ranka wstrząsnął podwórkiem donośny brzęk. Oto krawiec otwierał okno, którego rama rozeszła się na spojeniu. Szyba spadła na kamienie. Mieszkaniec popatrzył, poskrobał się w głowę i... I upłynęło już 3 miesiące, a szyby nietylko nie wsta-wiono, lecz nawet nie naprawiono ramy, która, po-chylając się coraz bardziej, wybiła podczas wiatru szybę w drugiej połowie okna. Pomiędzy właścicie-lem domu a mieszkańcem musiała wrzeć przez ten czas długa walka, czym kosztem ma być napra-wione okno. Mieszkaniec dowodził napewno, że nie może odpowiadać za zgniłe ramy. Los trzymał wyraźnie jego stronę, bo oto w oknie, prowadzącem do sieni, zdarzyła się podobna katastrofa i część ramy wisi beznadziejnie, grożąc drugiej szybie.

Nieraz myślę, ileby to kary nałożył Niemiec na kamienicznika i mieszkańca za niedbalstwo? Moskwa jest wyrozumialsza. Razu pewnego wezwano mnie do chorego do tej kamienicy. Otóż przyszedłem do prze-konania, że spór pomiędzy kamienicznikiem a mie-szkańcem to tylko płód wybujałej wyobraźni. Przez drzwiczki w parkanie dostaję się na wązkie podwór-ko, na którym rozłożyło się parę chałup. Przy naj-bliższej leżą stosy śmieci i odpadków kuchennych. Gospodarzą tam psy, kozy, drób. Przeciskam się po-śród tych kup do sieni. Jest tam zupełnie ciemno, cuchnie aż do odurzenia. Idę. Raptem noga wpada w dół wielkości paru łokci, przykryty częściowo most-kiem z desek. Schody nigdy nie zamiatane, nie my-te, z wyżłobionemi stopniami prowadzą do brudnych mieszkań. — Gospodarz i mieszkańcy muszą tu żyć w zupełnem porozumieniu. Inaczej mieszkać niemo-

zna. Wszak z czasów przedhistorycznych zachowały się stosy kuchenne, a uczeni są z tego bardzo zadowoleni, bo mogą odtworzyć człowieka z przed kilkudziesięciu tysięcy lat. Współczesne żądania policji, aby wywozić te pozostałości, są wyraźnym nieposzanowaniem interesów nauki, nowatorstwem, wywrotem życia, które wytworzyło się samorodnie, nie małpując obcych wzorów, np. ni stąd, ni zowąd hasło trzeźwości, skasowanie monopolki. Człowiek ruski nie znosi tych przewrotów, ma swoje przyzwyczajenia, a ty „nie leż ze swoim kodeksem do cudzego klasztoru“! A że szyby wypadły z okien, to i coż: bez woli Bożej włos z głowy nie spadnie.

Tyle daje mi zdjęcie po prawej stronie mych okien. Resztę zasłania parkan. Przed nim na miejscu poczesnem znajduje się śmietnik w postaci wielkiej skrzyni, do której zsypują kuchty codzien rozmaite odpadki. W porównaniu z dziedzińcem sąsiednim jest to postęp wywrotowy. Niejedna zwolniczka starych, wyprobowanych wzorów wysypuje śmieci około skrzyni, snąc wychodząc z podobnego założenia, jak chłop poleski, patrzący na wygodkę we dworze: „pany zamykajut na zamok toje, szto muzyk pokydaje za chatoj, albo w rowi, a słonina u nich otworina“.

Na śmietniku gospodarzy od rana kogut; jest to jego stacja, z której rozpatruje wąski pasek nieba i zawiadamia swój harem o stanie pogody, jako mąż dbały o zdrowie swych żon, aby się wypadkiem nie przeziębily.

— Karolino, będzie deszcz, — mówię do służącej, bo kogut pieje gwałtownie.

— Co on się zna, — odpowiada babina.

— Nie zna się, mówicie? Nie ubliżajcie mu. Spójrzcie na jego grzebień czerwony i korale jaskrawe, jak wyłogi podszewki prewoschodzitielstwa Bo-

gdanowa. Przyjrzyjcie się, jak spogląda to jednym, to drugim okiem na podobieństwo generała. Wszak przysłowie mówi: myślą tylko indyki i generałowie. Powiecie że kogut to jeszcze nie indyk. Ale inne przysłowie mówi: na bezrybiu i rak ryba. Czy myślicie, że gdyby nie wojna, to Bogdanow dostałby podszewkę czerwoną? Siedziałby w kancelarji, pisał „bumagi“ byłby „güter Mensch“ Nalewek podczas poboru i wyczekiwałby orderów za wysługę lat, dopóki by go nie złapano na jakiej aferze. I kogut może być podniesiony podczas wojny do godności indyka. Mało to cielęciny podają teraz w jadłodajniach jako drób?

— Co też pan mówi! Kogut nie zna się na pogodzie,

— Generał zna się na wszystkim. On rozstrzyga w nauce, sztuce, zwłaszcza... kulinarnej. Oto raz pouczał mnie B: mówisz pan, że kotlet dla tego chorego jest za tłusty? Każ mu zrocić kotlet na rosole. Powtórzyłem to zarządzenie siostrze kuchennej, Czau-sowowi, kucharzom. Wszyscy śmieli się do rozpuku. — Panowie, — rzekę im, — to rozkaz prewoschoditelstwa. — Powiadam wam, jak nożem uciął, wszyscy odrazu umilkli. Czy was to nie przekonywa, że generał zna się na wszystkim? Mam zamiar nawet wypróbować to wydarzenie, jako zabieg leczniczy przy napadach nerwowego śmiechu.

— Skąd jednak kogut może przewidzieć pogodę?

— Dbalność o harem, o jego przyzwoity wygląd. Wszak „zmokła kura“ stała się przysłowiową, a kogut nie może narażać swego rodu na śmieszność. Znów cecha wspólna z generałem. Oto przed paru dniami zatrzymał mnie B., że byłem w kamaszach i spodniach „zaszczytnego“ koloru. Tego niewcześnie, to jest lekceważenie armji... Co pan ma dziurę w bucie?! Odpowiadam: — niedługo zostanę bez butów i bez „zaszczytów“, bo pensja nie wystarcza na utrzymanie

siebie i rodziny. Ale generał, dbały o piękny wygląd armji, napisał mnie naganę w rozkazie dziennym. Tę smutną wiadomość przyniósł nazajurrz Łoktiew. Odpowiedziałem mu: zaprawdę przykro mieć buty dziurawe. Niech jednak Bogdanow dotrzyma obietnicy i da mi awans, to warunki materialne poprawią się. Natomiast zupełnie niezaszczytnie dzieje się w szpitalu Ujazdowskim, że oddział wewnętrzny prowadzi specjalista od chorób wenerycznych. Oto przysłano mi oficera, który leżał tam 3 tygodnie, jako chory nerwowo, gdy dotknięty jest wadą serca. Tu chodzi już nie o formę, lecz o istotę naszej działalności. Tego nie schowam do kosza. Łoktiew się stropił, oponował, lecz nie dałem się przekonać, aby życie i zdrowie wojskowych było mniej ważne od koloru spodni i rodzaju obuwia. Musiał się też naradzać z Bogdanowem, bo wymówka nie zjawiła się w rozkazie dziennym, lecz została rozesłana sekretnie bez wskazania przestępcy urzędnikom szpitala, choć nikt nie miał wątpliwości, o kogo tu chodzi, bo brutalne uwagi były mi robione publicznie.

Wracam jednak do mego podwórka. Poza śmietnikiem wzdłuż parkanu ciągnie się placzyk nie brukowany, otoczony niską barjerą. Na powierzchni 150 łokci kw. rośnie tu sześć mizernych osin i stoi ławeczka. Ta przestrzeń, czasowo pełniącą obowiązki ogródka, przypomina mi ogródki z mego dzieciństwa, gdzie na parkanie były namalowane drzewa, a stołki dla gości, którzy schodzili się tu na piwo bawarskie, były malowane na zielono. Językowo jest to w porządku: ogród znaczy przestrzeń ogrodzona. Ale praktyka życiowa skaziła o tyle czystość języka, że wprowadziła osłonę, aby zabezpieczyć roślinność od szkodników. Mie mogę więc nadać innego miana tej przestrzeni pomiędzy śmietnikiem, a bramą. Wszak i prewoschoditielstwo było: „czasowo” pełniącym obowiązki“ po

ustąpieniu Zawadzkiego, a dziś jest awansowane na „pełniącego obowiązki“.

W tym czas. pełn. ob.“ ogródku bawi się młode pokolenie całego domu. A jest go, nie licząc ochrony, 40 do 60 dzieci. To też w dniu słoneczne przejść tędy niemożna, jako że młodzież gra na chodnikach w klasy i piłkę. Od czasu do czasu brzęknie przy tem szyba w oficynie, ciągnącej się równolegle do parkanu. Wtedy młódź pierzchnie we wszystkie strony i nikt nie znajdzie winowajcy. A po zachodzie słońca zbierają się na ławeczce pary, mające sobie dużo do powiedzenia, przeważnie cichym szeptem. Potem zaś przychodzą artyści miejscowi. Jeden wygrywa na harmonji chrapliwej nieskończonego kozaka, drugi wtóruje głosem krzykliwym: „hu, ha, hu, ha,“ a trzeci dreczcze, wybijając obcasami i wykonywa prysiudy. Okna oficyny otwierają się wtedy i moskiewskie Julja podziwiają swych Romeów. A kiedy upojenie dojdzie do szalu, a po nim zjawi się bezwład słodki, z okien zabrzmie śpiew syren, podobnych do tych, przed którymi nawet przebiegły Ulistses odczuwał dreszczyk i kazał się przytroczyć do masztu i zalepić uszy woskiem. Słodycz tego śpiewu jest tak wielka, że harmonja zaprzestaje kozaka i.. zaczyna walca. Do późnej nocy tchnie podwórko występami artystycznymi, które nie wprawiają w zachwyt tylko nas, przybyszów z zachodu i paru innych mieszkańców, którzy na złość puszczają w ruch gramofon.

Tak wygląda część podwórka na prewo od mego okna. Dodam jeszcze, że w tamtą stronę idzie spadek. To też podczas deszczu spływają tam potoki wód i pędzą wartko przez bramę na ulicę.

A teraz nastawiam mój aparat na wprost okna. Stoi tu niski budynek, opatrzony w dwa małe okienka i dwa kominki blaszane, skąd bucha dym gryzący. Jest to pralnia do wygody mieszkańców. O klucz do

niej walczą stale gospodynie. Gorzej jest z jedyną górami, której niemożna zająć wyłącznie dla siebie i zamknąć na kłódkę. To też w porze cieplejszej suszenia bielizny odbywa się koło śmietnika, lub pod płotem. Przypomina to Neapol. Tylko że niebo nie jest błękitne i nie słychać poszumu morza. Ale trudno wymagać tożsamości. Przyroda jest twórcza i na drzewie, jak zapewniają ciotki, niema dwu jednakowych liści.

A dalej ciągną się drwarki aż do końca podwórka. W najbliższej jest skład ceraty mieszkańca zpoza nas. Wozi on ją na targ Sucharowski co niedzielę, a resztę tygodnia wypoczywa po tej pracy. Akurat naodwrot, niż Stwórca w tygodniu stworzenia. Co niedzielę o 7-ej rano zajeżdża na podwórko wóz i zabiera kilka obdrapanych skrzyń, z których układa się na placu stragan. W nim rozkłada się kilkadziesiąt wałków ceraty, sprowadzonych z fabryki. O 5-ej po południu towar wraca do komórki w ilości niezbyt mniejszej. Przewóz kosztuje 3 rb., za miejsce pod stragan płaci ceratnik 500 rb. rocznie, czyli koszt jednorazowy wynosi przynajmniej 13 rb. Ile musi zarabiać przekupień na poszczególnej ceracie, aby utrzymać żonę, troje dzieci i matkę, na co potrzeba przynajmniej 100 rb. miesięcznie. Najsłabiej budżet ceratnika wynosi 1200 rb. na utrzymanie, 400 na stragan, 150 rb. przewóz, tyleż wydatki nieprzewidziane, ogółem 2000 rb. rocznie, czyli 40 rb. na tydzień. Za ceratę otrzymuje po 3 rb., płaci zaś zapewne 2 rb., czyli musi sprzedać ich po 40 na raz. A na to nie wygląda. Musi więc brać więcej za pośrednictwo: czyli kupujący przepłaca, ponieważ przekupień praucje tylko jeden dzień w tygodniu i to właśnie ten, który Stwórca przeznaczył na odpoczynek.

Byłbym jednak niesprawiedliwy, pomawiając tego przekupnia o lenistwo. Od rana otwiera on drwal-



kę i wycina naręcze drzewa. We dnie przesiaduje na dziedzińcu, dozoruje swe dzieci i politykuje z innymi mieszkańcami, najczęściej z dymisjonowanym majorem, osobą kompetentną w sprawach wojny. Po odczytaniu telegramów zaczyna się rozprawa podłojami oknami.

— Świnie Niemcy, — gromi major.

— Świniel — wtóruje krzykliwie ceratnik. — Ale my im sadło omacamy!

— Wojowałem z turkami. Dzielni, nie kartoflarze... — prawi major.

— Tak, świnie, tuczone kartoflami.

— I co? Anglik był wtedy nasz wróg, pomagał turkowi. A nie daliśmy się! — I teraz zakłójemy świnię kartoflarza! Ot Brusilow. Zuch! Tylko patrzeć: Lwów nasz.

— O tak! Lwów był zawsze nasz, będzie znów nasz!

— Polaki chcieli go wziąć. Nie udało się. Naród prawosławny...

— Tak, tak — powtarza major.

— Polaki, Niemcy, żydzi — wszystko łajdactwo. Rząd cecka się z nimi — ubolewa major. — Głupiol

— Daje im zapomogi. „pajok“, szkoły, a oni obsiedli nas, podbili wszystkie ceny, zjadają nasz cukier, mięso..

— Za moich czasów Polaka posyłano na front: niech się bije za Rosję. Dziś nie rozumiem. — Przekupili rząd! Miasojedowy, Renenkampty, masa zdrajców. Wszystkich wieszają. My się z nimi rozprawimy. Zapomnieli już, jak zrobiliśmy w Maju?

Co dnia pod memi oknami rozbrzmiewa podobna rozmowa z udziałem i innych mieszkańców. Ceratnik ma zawsze pierwszy i ostatni głos. Jest on niski, ma twarz pociągłą, wygoloną; odzież jego nie sprawia zaszczytu Moskwie. Jest silny i umie porąbać jednego dnia całą furę drzewa. Gada nieustannie.

Brzezina kosztowała 5 rb, Polaki podbili do 28.

— Niech tych bieżęców wezmą djablił woła baba.

— My ich musimy przetrzepać — zapewnia ceratnik.

— Żyliśmy dobrze i szczęśliwie, nim przyciągnęła ta szarańcza.

— A jakie to harde na rządowym żołdzie! Ot ta ochrona. Zajęli najlepsze mieszkanie, zaprowadzili sobie elektryczność, telefon, gramofon; każde dziecko ma łóżko z materacem, poduszki, dostaje mleko, zupę, chleb. Nasz dzieciak dobrze, jeśli prześni się przy matce na tapczanie, przegryzie chleba z wodą, My cukru, mleka, mięsa nie możemy dostać, a oni żrą — biada ceratnik. — Nasze dzieci nie mogą nawet bawić się na dworze. Wylegnie ta hołota, to przejść niemożna. A jak zaczną śpiewać pieśni rewolucyjne, „Boże coś Polskę“, to choć stójkowego wołaj.

— Słyszała pani, że oni te dzieciaki na Krym wywożą?

— A ile to razy zajeżdza tu samochód z prezesami, ot tak, dla przejażdżki.

Koło ceratnika zbiera się tłum mieszkańców. Dziedziniec wrę nienawiścią do tułaczów. I nie bez racji. Ochrona utrzymywana kosztem 1000 rb. miesięcznie daje schronisko 23 dzieciom stałym i 30 przychodnim. Warunki zdrowotne są tu opłakane skutkiem przeludnienia. Żywienie dzieci jest niadostateczne: rano i wieczór herbata z mlekiem i chleb, na obiad — zupa i chleb. A koszt jest ogromny. Na co?

Dowiaduję się, że w rachunkach figuruje podobno wśród innych pozycja 300 rb. za wyszukanie mieszkania na ochronę, i tyleż za pomieszczenie na Gólowinie.

Zwracam się do buchalterji, aby to sprawdzić,

bo wszak ja wyszukałem te mieszkania i oddałem je bezinteresownie C. K. O. Chcę się dowiedzieć, kto otrzymał na mój rachunek faktorne. Ale buchalterja oświadcza mi, że nie może przedstawić ksiąg, bo..... zabronione. Tajemnica zawodowa! Odnowienie kosztowało ogromne sumy. Komorne wynosi 250 rb., choć ulżyłem je na 225 rb. Szereg niejasności...

Chcę zażądać od pana L. wyjaśnień, lecz zapytanie nie może mi przejść przez gardło. Wszak rachunki muszą zostać ogłoszone. Czyż mam się narażać na zarzut, że liczę się z plotkami?

I oto po 8 miesiącach istnienia ochrona zostaje nagle zwinięta. Sam osobiście zdejmuję drogie lampy, które miały pozostać przez.. zapomnienie.

Może p. Jan uląkł się pogrózek ceratnika?

20 Sierpnia 1916.

Od 7 tygodni pędzę żywot samotny. Żona i dzieci wyjechały do Sarapula nad Kamą, gdzie mieszkają od początku wojny p. B., sąsiedzi z Pińszczyzny. Mam tę pociechę, że wypoczniecie i odżywiecie się. Po Moskwie należy się wam odświeżenia. Zobaczycie przytem kawał świata i przejedzicie kilkaset wiorst statkiem: Szkoda, że nie mogłem zabrać się z wami. Ale urlopy są tylko dla ciężko chorych, albo wysoko postawionych. Nas pocieszają, że przyjdzie kolej nasza... po skończeniu wojny.

Praca nadmierna i ciągłe przykrości odbiły się fatalnie na mojem zdrowiu. Czuję się wyczerpany, zdennerwowany. Nie spieszę się jednak ze złożeniem podania o urlop, z którego korzystało już trzech kolegów po 3 tygodnie. Tak krótki wypoczynek nie przywróci mi zdrowia. W dodatku gdzie spędzić urlop? Na całym wschodzie leje nieustannie deszcz. Zimno jest, jak późną jesienią. Okolice Moskwy są przeludnione, koleje przepelnione, na statki dostać się nie-

można. Pojechałbym do Sarapula, choć sama droga zajmie parę tygodni, ale wprost... brak mi energii.

Trzeba jakoś radzić. Wszak mam prawo żądać zwolnienia z wojska. Ale dręczą mnie szkopyły: są koledy bardziej chorzy odemnie, jednak służą. Nie wypada. Cóż z tego że kilku lizusów i słuszajuszników otrzymało urlopy. Nie chcę należeć do tej grupy. A jednak dziś na obcym gruncie czy mogę być użyteczny sprawie polskiej? Więcej mogę zdziałać poza armją, niż w jej szeregach...

Po długich wahaniach decyduję się na podanie raportu o zwolnienie z wojska. Probuję gruntu. W obecności Łokiewa opowiadam dzieje zwolnienia kolegi M. pod wodzą Bogdanowa i przypominam że wtedy wyraziłem żądanie co do siebie, Łoktiew oświadcza, że zostały odwołane odnośne paragrafy. A przytem co by pan robił wtedy?

— Narazie leczyłbym się. A potem znalazłbym jakie zajęcie mniej wyczerpujące, a lepiej płatne.

— Tego niewolno. Lekarz zwolniony nie ma prawa nawet praktykować. Niedawno przysłano nam takiego na komisję.

— Zapewne płacą mu wobec tego pobory?

— A to dlaczego? Jeżeli stracił zdrowie na służbie, może dostać jakie odszkodowania. Ale tak...

— Niech umiera z głodu! Musi tu być coś nie w porządku. Wszak kolega M. nie zaprzestał praktyki.

Jestem pewien, że Bogdanow dowie się prędko o moim punkcie widzenia. Jakoż nazajutrz przyjeżdża generał do naszego oddziału. Wbrew zwyczajom nie psuje sobie i nam humoru odwiedzaniem sal. Niebawem wzywa nas na pogawędkę. Ma ona charakter miły i wesoły. B. prawi: — Szpital Ujazdowski cieszy się wyjątkowem uznaniem i zaufaniem władz. Wszystkie przypadki wątpliwe są do nas skierowywane. Bo

też ciągle uznajemy za zdatnych ludzi, którym inné szpitale wydają zwolnienia. Zwłaszcza celuje tu szpital Generalny.

— To dobre przedsiębiorstwo?—śmieje się Gincburg — Prygradow, mrużąc jedno oko.

— Do panów mam zaufanie, jak do samego siebie — prawi B.

— A może w innych szpitalach są bardziej doświadczeni lekarze? — wtrącam. — Może umieją rozpoznawać dokładniej chorobę.

— Zapewne — potwierdza Bogdanow. — Mają profesorów, najlepszych lekarzy. Jednak nasze przepisy mówią jasno, kto może być uwolniony. Na tych chorobach może się poznać każdy lekarz.

— Bezwarunkowo — basuje Gincburg Prygradow.

— Niezawsze to i u nas bywało, jak się należy. — Wiem o nadużyciach i w naszym szpitalu.

Jeden z uczestników rozmowy zaczerwienił się po uszy i opuścił oczy. Trwało to chwilę, ale dość jej było, aby się upewnić, że nie bez słuszności powoływały się Nalewki na niego. A generał przeciągał umyślnie ten moment, jak sędzia śledczy. Nasze spojrzenie skrzyżowały się. Ale sędzia przeniósł swój wzrok szybko na sąsiada, dojrzawszy w mej twarzy uśmiech ironiczny. Po chwili prawi wesoło:

— Było to tak. Mieliśmy młodszego ordynatora F., który chciał gwałtem zostać starszym, więc zasługiwał się, jak mógł. Razu pewnego wyznaczono go na członka komisji poborowej do Michowa. Stamtąd telegrafuje, że lekarz powiatowy proponuje mu łapówkę. Pobór wstrzymano, F. wrócił do Warszawy i złożył 300 rb. i listę kandydatów do zwolnienia. Za ten czyn przedstawiono go do orderu i awansu. Lekarz powiatowy dostał się pod sąd, gdzie oświadczył, że w Michowskim jest oddawna zwyczaj, że pobo-

rowi składają pewną sumę dla lekarzy, prosząc ich o badanie sumienne, ponieważ zwykle odbywa się ono niedbale. Tak było i tym razem. Jednak suma, dana lekarzowi F., wynosiła nie 300 rb. lecz 3300.

Koledzy wybuchają śmiechem, A generał kończy: — Nie udało się: order i awans przepadły. Ledwo wykręcił się od sądu. Tak, tak. Niebrak tu pokus. Mnie samemu zdarzyło się nieraz... Ale w przed-sionku gabinetu stawiam zawsze zaufanego denczyczka, aby rozprawić się z kusicielem. Oto razu jednego zjawia się żydek i prosi o rozmowę sam na sam. — O co chodzi? — pytam. — Mała grzeczność. Za nią złożymy w podarku serwis do herbaty na sześć osób. — Podarków nie przyjmuję! — Rzecz drobna: kto zasiada na jutrzejszej komisji? — Jutro niema komisji,—odpowiem.—Jest napewno! — twierdzi żydek. — Panie doktorze, serwis na 12 osób! — Za-glądam do papierów. Komisja jest jutro. Ale nie mogę zdradzić jej składu. — A żydek licytuje: serwis na 12 osób i całe umundurowanie z dobrego sukna.

Bogdanow opowiada z przejęciem o swych kuszeniach, jak co najmniej św. Antoni. Słuchacze są rozpromienieni. A ja zachowuję się, jak prawdziwy niedowiarek; założyłem ręce na piersi, opuściłem głowę i tylko czasem spoglądam z podełba na kuszonego, który jest pogodny, jak ten, kto opanował namiętności.

— Wytrawny aktor, — myślę; jednak w obawie, bym czego nie powiedział, opuszczam zebranie i wracam do swej pracy. Popis był na moją cześć, jako odpowiedź na to, com powiedział Łoktiewowi o zwolnieniu M. Zrozumiałem teraz, jak delikatna jest materja i jak wielkiej wymaga ostrożności. Występ spalił na panewce, jeżeli chodziło o mnie, choć wielu kolegów było uszczęśliwionych. Najgłośniej śmieli się i najbardziej basowali ci właśnie, których

nazwiska figurowały na liście łapowników. Tacy mogliby opowiedzieć bardziej zajmujące wydarzenia. Ich klientela mówi o targach i układach, o śrubowaniu ceny pod pozorem podziału łapówki pomiędzy kilku zainteresowanych, o niedotrzymywanie umowy, o pośrednictwie najciemniejszych osobistości. A te opowieści nie uspasabiają do śmiechu, lecz raczej do płaczu nad upodleniem sfer urzędniczych.

Bogdanow ufa swej szczęśliwej gwiazdzie. Niedawno przyszedł do wniosku, że nie przystoi mu jeździć parą koni, przywiezionych z Warszawy w liczbie 10-ciu, których utrzymanie kosztuje bardzo drogo, drożej niż 10-ciu ordynatorów, chociaż my orzemy, a one stoją bezczynnie. Posłał tedy Szumskiego po kupno nowej pary. Sprawiono dwa habety za 1.800 rb. Radczenko dowodzi, że w tak ciężkich czasasach niewolno było robić takiego wydatku. Gdyby dowiedział się Mrozowski, to Bogdanow dostałby się pod sąd. Ale przy takiej tranzakcji można dobrze zarobić. Nikt jednak nie kwapi się donieść o tem władzy, chociaż donosicielstwo jest obowiązkiem porządnego... poddanego.

System stwarza ludzi, starających się być w zgodzie z prawem formalnie, czyli zacierać za sobą ślady, a zarazem dowieść gorliwości. Tacy ludzie wyrabiają się szybko. Widzimy to np. w organizacjach polskich. Komitet Grodzieński dostał się pod sąd za nadużycia. Inne oczekują dnia i godziny, kiedy będą musiały zdać sprawę ze swych czynności. Rząd ograniczył znacznie środki na cele uchodźców. Komitety są zaniepokojone i wzywają Polaków do opodatkowania się na rzecz uchodźców. A jednak ofiarnych jest mało, bo brak zaufania. Pokątnie opowiadają sobie tułaczce straszne rzeczy, ale publicznie brak odwagi je wyjawić! Pracownicy C. K. O. dostają podobno po 60 rb. miesięcznie,

a w rachunkach, które sami księgują, ma figurować 90 rb. Niedobór ma być podobno przeznaczony na... gorące śniadania. Wydział szkolny miał wydać w roku ubiegłym 118.000 rb. Jednak do ksiąg niema dostępu, a bracia L. zabraniają informacyj i nie ogłaszają sprawozdań. Te 118.000 rb. nie mogą się mi pomieścić w głowie. Płace nauczycieli wynoszą 35.000, Kulwiec ma podobno 10.000 rb. mieszkanie, opał, światło kosztują 15.000. Z wpisów wływa 15.000. Na cóż więc rozeszło się 73.000 rb.? Mówią, że Jan Lułosławski pobiera 200 rb. miesięcznie za wyrobienie koncesji na szkołę. Jest to niezrozumiałe, bo szkoły na tułaczce nie można uważać za przedsiębiorstwo dochodowe za pieniądze publiczne. Cały budżet ochrony, internatów, do których dopłaca się chyba bardzo mało, kursów ochraniarskich można zamknąć w 12 do 15 tysiącach rb. Gdzie jest reszta?

Analogia pomiędzy gospodarką szpitalną a C. K. O., przynajmniej wydziału szkolnego, jest zupełna. I przyjdzie zapewne chwila, gdy nie tylko już mój ceratnik, ale cała Rosja, będzie plugawiła dobre imię Polaka za opieszałość, a może nadużycia jednostek o instynktach czynowniczych, o ile zarzuty są słuszne.

1 Wrzesień 1916.

Od paru miesięcy podjąłem się nowych obowiązków lekarza miejskiego szpitala pod Sokolnikami. Codziennie po zajęciach ujazdowskich wędruję tam na piechotę, bo brak połączenia tramwajowego. Do domu powracam koło 3-ej i jestem tak wyczerpany, że mogę najwyżej czytać pisma, lub opracowywać moje badania uczniów szkolnych; ta praca daje mi pewne ukojenie. Jednak po niej nie mogę już zasnąć. Straciłem 30 f. na wadze, podupałem na siłach, pamięć zaczyna mi nie dopisywać, a myśl wlecze się leniwie, że aż mi wstyd, gdy mam coś powiedzieć,



lub napisać. Nawet do Was, moi kochani, trudno mi jest skleić list. Nie chcę Was przerażać, by wam nie przerwać letniska, ale chwilami zda mi się, że już nie zobaczycie mnie żywego.

Kilku kolegów dostało urlopy trzytygodniowe. Miałem go również otrzymać, ale bardziej zapobiegliwi wyprzedzili mnie. Dziś nie staram się o ten przywilej, rozumiejąc, że tak krótki wypoczynek nie przywróci mi równowagi. Wobec tego składam raport motywowany, żądając zupełnego zwolnienia z wojska. Na skutek tego raportu wezwał mnie Bogdanow.

— Czy pan wie, że za ten raport może pan dostać się pod sąd wojenny za wyrażenie w nim skargi na złe uposażenie? Na zasadzie oświadczenia, że czujesz się zdenerwowany i wyczerpany tak, że możesz się dopuścić czynu niemotywowanego, można pana umieścić w szpitalu dla warjatów, gdy zaś okaże się, że nie jesteś chory, dostaniesz się pod sąd. O uwolnieniu od służby nie może być mowy, ponieważ odnośny paragraf został skasowany.

Siedzę, opuściwszy głowę, nie zadając sobie trudu słuchać, jakie jeszcze szpilki zechce mi wbijać generał. To znęcanie się trwa już ze 20 minut i zmierza do cofnięcia raportu.

— Oświadczałem panu dziesiątki razy, że praca nadmierna bez chwili wypoczynku w ciągu 25 miesięcy wyczerpała mnie doszczętnie. Doszedłem do okropnego stanu. Chwilami nie ręcę za siebie. Mój raport, z którego pokwitowanie mam w kieszeni, to ostrzeżenie władzy, która nie liczy się z memi siłami, i zarazem zabezpieczenie od możliwej odpowiedzialności.

— Nie rozumiem, po co pan miesza tu władzę: konsultant jest z pana zadowolony, mój pomocnik nie ma również nic do zarzucenia.

— Co do nich nie mam wątpliwości: oceniają moją wiedzę, sumiennosc...

— I ja mam dla pana uznanie, — zapewnia B., — jest pan jedynym internistą, z którego opinią się liczę. Wszak wzywam pana do wszystkich przypadków wątpliwych. Jest pan faktycznie naszym konsultantem.

— Przysparza mi pan tylko pracy. Rola konsultanta jest dla mnie właściwa. Ale do czynności, jakie mam sobie narzucone, wystarcza zupełności student.

— Każdy jest podczas wojny „ojczyste” na swoim miejscu właściwym.

— Tak, to jest dla mnie wojna „ojczysta”. I dlatego właśnie znoszę jej trudy, abym mógł powiedzieć potomnym słowami Eneasza: „gesta, quorum ipse pars magna fui”. Ale gdydym był przewidział, że moje przygotowanie lekarskie będzie tak użytkowane..

— Nie rozumiem pańskich pretensyj!

— Niedawno strofował mnie pan poraz czwarty, że trzymam przy raporcie rękę na gardzie pałasa. Był to dla mnie wstrząs. Wychodząc na wezwanie dzwonka z pokoju dyżurnego, powtarzałem sobie: już teraz się nie złapię. A po pół minuty ręka moja leżała już na gardzie. Miewałem wykłady i odczyty publiczne wobec tysięcy słuchaczy i wiedziałem nietylko, gdzie jest w danej chwili moja ręka, lub noga, lecz co myślą ci, do kogo przemawiam. Oto do czego doprowadził mnie szpital Ujazdowski!

— Czy aby on? Są rozmaite przyczyny zderzenia. Może pan oddaje się pijaństwu, rozpuście, karciarstwu...

W oczach mi pociemniało. Mięśnie ściągnęły się kurczowo i po chwili opadły bezwładnie. Krtań

zaciśnieła się, jakgdyby zdławiona powrozem. Z oczu  
polały się potoki łez, a z piersi dobyło się łkanie...  
Jaktó! Ten osobnik z wytartym czołem może bez-  
karnie mnie bezcześcić?! A ja doszedłem do takiej  
bezsilności, że nie wychwycę z pochwy pałasza  
i nie rozprawię się na miejscu z tym oprawcą?!  
Ujawniam wobec niego swą bezsilność, wyczerpanie?!

Bogdanow zgłupiał formalnie, zaczął mnie uspa-  
kając odprowadził na otomanę, podał szklanę wody.  
Czułem się upokorzony tym przejawem słabości. Jed-  
nak widziałem, że mój gnębiiciel żałował już swego  
postępowania i starał się sprawę jaknajprędzej umo-  
rzyć. Ile czasu trwała ta scena, co dalej zaszło, już  
nie zdołam przypomnieć.

Nazajutrz dowiedziałem się, że będę musiał po-  
leżeć jakiś czas w szpitalu i poddać się badaniu  
i orzeczeniu serdecznego przyjaciela, Rachmanowa,  
którego doświadczenie lekarskie „profesora klinicznego  
i sumiennosc radcy stanu każą orzec: „amicus Plato  
magis amica veritas“, czyli:— zdenerwowany jest dziś  
każdy, więc na uwzględnienie zasługuje zdenerwo-  
wanie osób wysoko postawionych, a jakiś tam ordy-  
nator niech., zażywa brom w dawkach podwójnych,  
kąpie się w zimnej wodzie i... nie zawraca głowy.

Ha zobaczymy. Czy wytrwam w tej walce? Mam  
w kieszeni pokwitowanie z raportu Nr. 20 i jego od-  
pis. Może niezawsze będę reagował na krzywdy  
przejawami słabości, lecz zjawi się nadpobudliwość  
psychomotoryjna. Wprawdzie uspokoiłem się nieco  
bo badanie wskazało, że niesłusznie podejrzewałem  
u siebie chorobę cukrową. Doczekam więc waszego  
powrotu. W otoczeniu rodzinnem powinienem popra-  
wić się prędzej, niż w samotności. Mam jeszcze du-  
żo obowiązków. Umierać, lub ginąć jeszcze mi nie-  
wolno. Czytam oto wasz list. Za dwa tygodnie powin-  
niście być z powrotem. Nie zadowolilo was lato, bo

było zimne, dżdżyste, pełne trudności. Tak. To jest tułaczka. Dziadowie nasi cierpieli jeszcze więcej i ojcowie — niemało. Trzeba jednak sobie powiedzieć, że musimy wytrwać. Taka autosugestia jest nierodzowna!

14 Września 1916.

Upływa dzień za dniem, a skutku raportu nie widać. Okazuje się, że Bogdanow nie ma prawa działać sam, lecz musi przesłać akty do głównego urzędu sanitarnego z opinią. Jaka będzie opinia i decyzja, nie wiem. B. opowiadał kolegom, że mnie złamał i że bał się, by mi serce nie pękło.

— O nic więcej się nie bał? — pytam, — nawet o siebie? Serce pęka tylko w romansach. Złamany nie jestem, tylko wyczerpany. A za takie pytanie, czy znuzenie ojca kilkorga dzieci nie zależy od nierządu, można obawiać się raczej rozbitcia czaszki oprawcy, niż pęknięcia serca ofiary.

Chodzę codzień do szpitala, gdzie pracy jest chwilowo nieco mniej. Przed paroma dniami zamknięto szpital pod Sokolnikami. Mam więc więcej czasu na odpoczynek. Czekam niecierpliwie na Wasz powrót. Urlop spędzę z Wami. Aldonka zajmie się swoim staruszką, opowie mu o swej podróży, ucałuje, pośpiewa, obsłuży. Będzie mi lepiej, niż na Krymie, lub Kaukazie. Zresztą środki nie pozwalają myśleć o nich. O ile wojna przeciągnie się, zima będzie ciężka. Dziś niemożna przewidzieć nic. To pewne, że Niemcy zajęli Polesie, Wołyń część Mińszczyzny. Moskal pociesza się, że do Moskwy nie dojdą, a na resztę napluć! My jednak rozumiemy, że tych wielkich obszarów niemożna zniszczyć doszczętnie i zrabować, więc Niemcy będą z nich ciągnęli przynajmniej środ-

ki spożywcze, a to musi odwlec wyczerpanie najezdźców.

Podczas ostatniego dyżuru dostałem wezwanie na komisję do głównego urzędu sanitarnego. A więc wyrokować będą o mnie nie koledzy z Rachmanowem, lecz ludzie obcy. Jest to pocieszające, bo „wśród najlepszych przyjaciół psy zająca zjadły! Kto będzie orzekał: czy lekarze wytrawni, czy też zwykli biurokraci? Chodzi mi nietylko już o wypoczynek, lecz przede wszystkim o to, aby ta wysoka instytucja nie uznała mnie wypadkiem za symulanta. Gdyby zapadło takie orzeczenie, musiałbym bronić już nie zdrowia, ale czci. Ale do kogo się odwołać? Tysiące giną od kul i chorób, a jedyna troska władz sprowadza się do... wykreślenia ich z list armji czynnej.

Koło północy odwiedził mnie kolega H., zadowolony, że się wycofał z Ujazdowa i powrócił na dawne stanowisko. Co do komisji jutrzejszej nie dodał mi otuchy: — Bydłęta! Niema z kim gadać. Najlepiej pójść zawczasu do Mirtowa i poprosić o względnosc.

— Tego nie uczynię. Jeśli są to bydłęta, wolę nie nasuwać im podejrzeń, uchybiających mej godności.

Rozmowa zatrula mi noc, którą spędziłem bezsennie. Rano zastąpił mnie kolega W. Poszedłem do domu, aby się umyć i przebrać i podążyłem na Ostozenkę. Jestem istotnie wyczerpany, bo nie znoszę już trzęsienia i łoskotu tramwaju. Wsiadam na pół drogi i wlokę się pieszo ze trzy wiorsty, chociaż i to mnie męczy.

W małej poczekalni urzędu siedzi paru interesantów. Do gabinetów przyległych wstęp jest wzbroniony. Woźny nie umie dać mi wyjaśnień. Wtem w drzwiach staje dr. Jurasow, pomocnik Mirtowa, Witam się z nim.

— Co pan tu robi? — pyta mnie rubasznie.

— Staję na komisję jako chory.

— Pan chory? Twarz rumiana brzuszek okrągły — dziwi się generał, którego oblicze niczem nie różni się od podszewki, szczytąc się trzema podbródkami, a tu łów ma kształt bizantyjskiego samowara. To mówiąc klepie mnie poufale po brzuchu, śmiejąc się ironicznie. — Co pan zrobił z brzuchem?

— Straciłem 30 funtów w ostatnich miesiącach. Nie żal mi ich, bo to zbędny balast. Jednak czuję się bardzo wyczerpany.

— Pierwsze spotkanie nie zapowiada nic dobrego. Zajmuje mnie pytanie, jak będzie wyglądał areopag? Po chwili wywołuje mnie woźny. W gabinecie zasiada pięciu lekarzy pod wodzą Jurasowa. Dziwią się, że jestem młodszym ordynatorem pomimo 25 lat praktyki. To uspasabia mnie dobrze. Jednak nie umiem odpowiedzieć nic ponad to, że czuję się wyczerpany, że przestałem panować nad sobą.

— Każdy z nas jest zmęczony, — powiada Jurasow. — To zjawisko normalne podczas wojny.

— Pracuję 26 miesięcy bez wytchnienia. W ostatnich czasach zabijają mnie dyżury co 2 do 3 dni i masa przykrości.

Przystąpiono do badania. Młody radca stanu osłuchiwał moje serce, stawiając słuchawkę w niewłaściwych miejscach. Ledwo powstrzymałem się, by tego nie zaznaczyć, bo byłaby to obraza majestatu. Potem osłuchiwał moje płuca, więc powstrzymałem oddech, aby się przekonać, czy jest badanie, czy tylko komedja. Po chwili radca oświadcza, że serce i płuca są zupełnie zdrowe. Byłaby to niewątpliwie wielka radość dla mnie, gdyby był nie umarł przed kilku dniami w poczekalni jeden badany w kilka minut po takim właśnie orzeczeniu. Badanie

układu nerwowego odbywa się z takim pośpiechem, jak dawniej na ekspertyzach sądowych, gdzie „specjaliści” załatwiali po kilku poszkodowanych na godzinę po 10 rb. od sztuki. Chirurg obejrzał mnie o kilka kroków i stwierdził obecność umiarkowanej przepukliny, która podług Jurasowa nie daje prawa do urlopu, a tembardziej do uwolnienia.

— Jednak na jej podstawie byłem uwolniony przed 12 laty, — oświadczam, przedstawiając „ukaz” cesarki.

Jurasow rozpatruje go i orzeka, że ma on wartość tylko historyczną.

— Swoją drogą przepuklina daje mi się dziś bardzo we znaki. Panowie nie stwierdzacie u mnie poważniejszych objawów chorobowych. A jednak oświadczam, że w takich warunkach dalej pracować nie mogę. Przed kilku dniami zauważyłem na rękach parę wrzedzonek. Wobec jednoczesnej poliurji przypuszczałem, że to...

— Skorbut? — pyta Jurasow.

Ledwo powstrzymałem się od śmiechu, choć był to nie dowcip, lecz... wiedza lekarska przewodniczącego komisji.

— Niel! Sądziłem, że to choroba cukrowa. Ale badanie dokładniejsze wskazało na szczęście, że się mylił. W takim stanie wyczerpania nie byłem jeszcze nigdy. Pracy nie unikam, bez niej nie mógłbym żyć. Ale marnować czas nie siły niewytwórczo w szpitalu Ujazdowskim, to jest konać powoli. Czyż moja wiedza i doświadczenie nie warte są niczego więcej, niż... raportowania lekarzowi głównemu, zajmowania się sprawami gospodarczymi, które może prowadzić z większym powodzeniem ucziwa kucharka? Czy celowe jest ze stanowiska korzyści armji takie marnowanie sił lekarskich? Jestem, jak zegarek, którym ucznik... łupie orzechy.

— O, służba w szpitalu Ujazdowskim jest trudna, — potwierdza Jurasow.

— Trudów się nie boję. Mogłem być zwolnić się na początku wojny. Nie uczyniłem tego, bo nie przystoi usuwać się od udziału w takim momencie dziejowym. Ale doznałem zawodu: z doświadczonego lekarza zostałem zdegradowany na pisarczyka. I świadomość, że praca marnuje się bezowocnie, stanowi jedną z najprzykrzejszych stron mego odczuwania. Dziś wartość moja, jako lekarza, jest znacznie mniejsza, niż przed dwoma laty. Natomiast doszedłem do takiego rozstroju, że nieraz nie mogę za siebie odpowiadać.

Badanie jest skończone. Mam wrażenie że światli koledzy uznają mnie za zupełnie zdrowego. Wracam do poczekalni. Jestem spokojny i zadowolony, że się wypowiedział. Spadł mi kamień z serca: nie mają teraz przynajmniej ci urzędnicy prawa zarzucić mi udawania. Jeżeli nie umrę w poczekalni, jak to uczynił jeden z moich „zdrowych“ poprzedników, to jeszcze nie racja, aby komisja była nieomylna. A gdyby zdarzyło mi się zareagować zbyt impulsywnie na czyny moich zwierzchników, to zawsze będę miał dowód, że uprzedzałem zacny areopag o mym rozstroju, ale on zlekceważył to oświadczenie.

Dzwonią. Wchodzę z powrotem do gabinetu. Jurasow oświadcza, że komisja przyznała mi urlop dwumiesięczny i pyta, dokąd pojedę na wypoczynek.

— Zapewne pozostanę w Moskwie, bo ani pogoda, ani zmęczenie, ani pensja poblerana nie pozwalają na podróż. O ile zdołam się oderwać od przykrości służbowych, wypocząć, wyspać, się to powinienem wrócić do równowagi.

— Niema to, jak Krym, — zapewnia jeden z radców stanu.

Dziękuję za względy rad, że przekonał kole-



gów, którzy nie wykryli w mnie żadnej choroby, że jestem chory. Przed urzędem spotykam Rachmanowa. Spóźnił się na komisję. „Sic me servavit Apollo“ — myślę, patrząc na suchą postać mego przyjaciela, który pyta mnie o wynik.

— Dwa miesiące urlopu. Do takiego stanu doprowadził mnie szpital! Byłem silny, odporny. Zdało mi się, że chyba piorun zdoła mnie powalić. A tu wycieńczyły mnie, wyczerpały... Machnąłem ręką, Pajac zapewnia, że to przeminie, byle zażywać duże bromu.

— A jeśli wojna się przeciągnie i wypadnie powrócić na niewłaściwe dla siebie stanowisko?

— Przez dwa miesiące można osiągnąć dużo, — zapewnia znawca... kancelarji.

Koledzy przyjęli wiadomość o urlopie z nietajoną niechęcią.

— Trzech tygodni niemożna dostać bez specjalnych starań i trzeba czekać kolei. A tu dwa miesiące! — prawi jeden ze „słuszajuszników“. — Powiniszować!

— Niezbyt po koleżeńsku, — dowodzi inny radca dworu, — będziemy musieli za kolegę pracować, oboć wszyscy jesteśmy zmęczeni.

— Przewidziałem to. Mój urlop nie przeszkodzi kolegom w otrzymaniu odpoczynku 3-tygodniowego, nawet ułatwi go, bo ubywam z ich listy. Sam zaś zacznę urlop dopiero, gdy dadzą zastępcę na moje miejsce.

— Jednak to nie każdy umiał się tak urządzić, — dowodzi lekarz policyjny, zasłużyny podczas poborów.

— O tak! — potakuję, patrząc mu prosto w oczy. — Jedni umieli się urządzić zawczasu w taki sposób, aby dostać starsze ordynatury, rangi, lepsze pobory i inne przywileje. To się nazywa po koleżeńsku. A wiece, eo zamierzam zaproponować, gdy Bogdanow

wypełni swe przyrzeczenie i da mi obiecany dawno awans? — Spoglądam po towarzyszach pracy, którzy pytają: — Cóż takiego?

— To, czego dziś nie mogę, aby się nie narażić na zarzut interesowności. Postawię wniosek, aby starsi ordynatorzy podzielili się nadwyżką swych poborów z młodszymi w imię równości.

Towarzysze z dwiema naszywkami wynieśli się pospiesznie z pokoju, nie chcąc poruszać tak drażliwej sprawy.

25 Wrzesień. 1916.

Zastępca dotychczas się nie zjawił. Więc pełnię nadal swe obowiązki, jednak staram się nie robić wielkich wysiłków. Rodzina powróciła z letniska. Mam więc już z kim pomówić. Z przyjemnością słucham opowiadań o Sarapulu i drodze do niego. Dzieciaki poprawiły się i rozrosły. Dziewczynki chcą się uczyć. Dzięki pomocy pani Zadarnowskiej, której wyszukaliśmy mieszkanie w sąsiednim domu, Grażyna dostała się do szkoły przygotowawczej w Sokolnikach. Co rano jeździ tramwajem pod opieką panny Heli i wraca dopiero na obiad. Dziewczyna jest uszczęśliwiona i pracuje bardzo starannie. Halina uczy się potrochu w domu, a Szczęśny powrócił do szkoły.

Prócz roskoszy rodzinnych urozmaicam sobie czas, wolny od zajęć, czytaniem czasopism i książek. Napisałem parę artykułów i większe studjum p. n.: „Rozwój cielesny uczniów szkół polskich w Moskwie”. Praca ta zainteresowała bardzo braci Lutosławskich. Chcą ją przedstawić na projektowanej wystawie C. K. O., jako owoc... jego działalności. Nie mam nic przeciw temu, zastrzegam wszakże prawa autorskie tembardziej, że jest to dalszy ciąg szeregu prac, które w tym zakresie wydałem.

Należę do grona kolegów, pełniących zastępczo

czynności lekarza teatru „Ermitaż”. Obowiązki moje polegają na bywaniu w dni oznaczone na przedstawieniach na wypadek zasłabnięcia kogoś z personelu. Za to otrzymuję dwa krzesła bezpłatnie, a właściwy lekarz — pensję. Z przyjemnością pełnię te obowiązki. Na opłatę kilku rubli za krzesło nie stać mnie, a tę rozrywkę bardzo cenię.

Byłem na paru sztukach angielskich, które są w modzie. Jedna z nich: „Mis Hobs” stara się ośmieszyć ruch kobiecy. Patrząc na tę niewybredną farsę, ma się wrażenie, iż zrodziła się ona nie w Angli, kraju sufrażystek, lecz że nasmarował ją ktoś z obozu „Kołokoła”.

Można nie sprzyjać ruchowi emancypacyjnemu kobiet, lecz trudno odmówić mu rozpędu, energii, idei, wobec których klub paru gąsek, postanawiających nie wyjść za mąż, ponieważ mężczyźni... i t. d. jak w „ślubach panieńskich” z przed pół wieku. Aktorzy grają naturalnie i poprawnie, więc nie psują sztuki. Ale oto w pierwszym akcie siwa lady powiada do swej siostrzenicy: „mąż wymierzył ci policzek—to przecież nie jest uderzenie”. Słuchacze są zachwyceni tym „dowcipem”; ja zaś pytam: czy jest to dodatek tłumacza, reżysera, aktora, czy też cała farsa jest podrobiona? Wyczuwa się jakiś nieprawdopodobny rozdźwięk z życiem Albjanu. Jedna z osób działających rznie np. takie subtelne maksymy: „zadanie kobiety polega na tem, aby rodzić zdrowe dzieci”... Nie zaprzeczam temu, bo uważam to za ważniejsze posłannictwo kobiety, niż rozbudzanie zmysłowości w mężczyźnie. Jednak nie wystawiam sobie, aby Anglik i panna dystygowana mogli, że tak powiem, łuskać orzechy zębami na podobieństwo Moskali, zajadających ziarna słonecznika na skwercach, w ogrodach i przy t. z. rozmowie syberyjskiej, polegającej na tem, że goście siedzą wkoło stołu całemi godzinami, nie

puszczając pary z ust, w które ładują niezliczoną ilość pestek.

Również nie po angielsku brzmi inna sztuka: Pigmaljon. Nauczyciel fonetyki i wynalazca metody urabiania głosu stara się przeobrazić krzykliwą dziewczynę uliczną na dobrze ułożoną miss. Chodzi mu o eksperyment, który udaje się świetnie... z woli autora, bowiem wymagania wielkiego świata sprowadzają się do poprawnego wypowiedzenia paru zdań szablonowych, niby raportu wobec przewoschditielstwa. Dwaj dziwacy zapominają, że poza wymową pozostaje jeszcze cały świat duchowy człowieka. To też kwiaciarka, wzięta z ulicy, zakochuje się w swoim nauczycielu, który nie wygląda ze swego zachowania się, sposobu mówienia, obejścia na wykształconego anglika; raczej możnaby go przyjąć za sprzedawcę kwiatów po północy, lub opiekuna ciem nocnych, zdolnego nauczyć wychowankę chyba swego nieustannego: „do diabła”. Postaci są karykaturalne i krzykliwe, gra rubaszna, niesmaczna, upiększoka policzkowaniem uczennicy, która nie chce opuścić domu nauczyciela po półrocznym pobycie.

W okresie porozumienia w związku z wojną jest zrozumiała chęć zaznajomienia szerokiego ogółu z piśmiennictwem angielskim. Jednak czy dobór sztuk jest nieudatny, albo celowo tendencyjny, czy też są one przystosowane do wymagań rosyjskich, dość że widz może stworzyć sobie zupełnie mylny pogląd, że Angla nie różni się niczem od Rosji po za językiem i wyznaniem. Takie sfalszowanie prawdy życiowej nie może odbić się korzystnie na kulturze Rosji, która stoi w tyle przynajmniej o kilka wieków.

W szeregu innych sztuk cieszy się dużem powodzeniem: „Ten, którego policzkują”. Atmosfera „artystów” cyrkowych, nasycona miłością do cyrkówki, współzawodnictwem o jej względy i pogonią za

dochodem. Fabuła w zasadzie możliwa, ale jej ujęcie i wykonanie wskazują, że właśnie w środowisku błaznów, skoczków, aktorów, ujeżdźaczy, atletów, baletnie tętni żywy strumień prawdziwej miłości.

Najlepszą sztuką, jaką widziałem w Ermitażu, jest „Kameleon“, osnuty na stosunkach urzędniczych Rosji, na karierowiczostwie jednostek o kręgosłupach lancetnika. Chwilami zdaje się, że główny bohater, to prewoschoditeľstwo Bogdanow, który nie poprzestaje na czerwonej podszewce, lecz „mietit w ministry“.

Z pośród innych teatrów na uwagę zasługuje mały teatrzyk Komisarzewskiej. Dają tam przeważnie jednoaktówki na małej scenie bez wszelkich dekoracji. Gra jest pierwszorzędna, pełna wyrazu i wyrobienia. Na dość wysokim poziomie artystycznym stoi również teatr ludowy.

Kinomatografów jest moc. Wszystkie jada na sensacji, pornografii, skandalu. Ich widzowie składają się przeważnie z półinteligencji, którą zajmuje jeszcze sama technika wyświetlania obrazów a pozatem żąda silnych wstrząsów.

Jeden z moich pacjentów, Polak R., jest współwłaścicielem wielkiego kina. Wywdzięczając się za opiekę lekarską, raczy on mnie biletami na każdą premierę. Czasem z nich korzystam dla rozrywki dzieci, częściej oddaję je znajomym. Dobór sztuk nasuwa przede wszystkim pytanie, gdzie można było wyprodukować tyle obrazów bezmyślnych, wyszukać tyle sytuacji nieprawdopodobnych przy wielkim nakładzie sztuki dekoracyjnej. Jeden z filmów przedstawia opryszków, dobierających się do mieszkań, uciekających ze zdobyczą po dachach i skaczących bez szkody dla zdrowia z wysokości 5-ego piętra na bruk. Widzowie są zachwyceni i sprzyjają tak wyraźnie zbirom, że ich ostateczne pojmanie wywołuje protest. Inny obraz przedstawia akrobatę, idącego po pochylej

linie na wysoką wieżę; gdy ma już dostać się do jej okna, ukazują się dwa potężne węże, które nasłał tam jego współzawodnik. Sala jest pochłonięta tem niezwykle zajściem i żąda bohaterskiego rozwiązania. Nieraz kilka obrazów, wyświetlonych w odstępach parodniowych, stanowi jedną opowieść, niby książkę wielotomową, której niemożna przeczytać jednym tchem. Największem powodzeniem cieszą się rozmaite głupstwa, uchodzące za dowcipne, choć nacechowane tylko płytkością, grubiaństwem, sztucznością. Widzowie sprzyjają wyraźnie wszelkim rycerzom półświatka, hazardu, występku. Apasz, nożowiec, zbir, złodziej, opryszek, byle śmiali, zręczni, ryzykowni są bohaterami widzów.

Po jednym takim obrazie pytam pana R., czemu nie wykorzysta kina do celów popularyzacji wiedzy, podniesienia poziomu moralnego środowiska, uprzystępnienia dla szerokich mas arcydzieł sztuki, piśmiennictwa, chociażby powieści Tolstoja Turgenjewa, Gogola?

— Probowałem. Ale nie szło. To jest handel, który musi iść. Dokładać do niego nie mogę. Kupiec musi dogodzić wymaganiom klientów, inaczej zginie.

Tak mówi przedsiębiorca. Ma ze swego stanowiska słuszość. Ale trzeba i jego prześwietlić. Kto on jest? Pochodzi z Podola z rodziny możnowładczej, której przodek wstawił się zdradą za Jana Kazimierza. Duży majątek dziedziczny przegrał w karty i przehulał. Ożeniwszy się z zamożną mieszczanką, przepuścił jej majątek i zaraził ją przymiotem. Ma czworo obarczonych dzieci. Sam dotknięty jest tabesem, tętniakiem aorty i... szalem karciarskim, który prowadzi do przegrywania po nocach po parę tysięcy rubli w nadziei wielkiej wygranej. Przodek podkanclerz knował przeciw Polsce ze Szwedami i kozaczyzną. Potomek nie zajmuje się polityką, lecz wysługuje się

„szanownej publiczności“, wsłuchuje się w jej wymagania i życzenia. Postawny, miły, układowy, delikatny cieszy się sympatją gdy stoi w przejściu i wskazuje gościom miejsca w krzesłach. Przodek był krojczym królowej; potomek po 270 latach jest starszym lokajem. Tempora mutantur...

R. wezwał mnie pewnego razu do swego brata, również zbankrutowanego obywatela z Podola, który prowadzi od kilku lat biuro filmowe. Ożenił się z Rosjanką, w domu mówi się wyłącznie po rosyjsku. Jedyny syn, chłopak 15-0 letni, jest skończony karciarz, złodziej, rozpustnik, łotr. A ojciec jest stary syfilityk, tabetyk, u którego wystąpiły niezwykle objawy porażenia przelyku. Grozi mu śmierć głodowa. Żywię go przy pomocy zgłębnika i doprowadzam do stanu względnej równowagi. Ale podczas choroby synek dopuszcza się złodziejstwa w biurze ojca, wyprzedaje część wartościowych filmów i doprowadza chorego do ruiny materialnej. Jedna siostra R. wyszła za moskala i od parę lat jest rozwódką, otoczoną paru adoratorami. Druga jest starą panną, nie mającą żadnego oparcia.

Tak zlikwidowały wieki rodzinę zdrajcy i syna jego prymana i kardynała, który w podłościach przesłignął ojca. Czy jest to cała rodzina? — niewiem. Ale i ta część, którą poznałem, nasunie badaczom obarczenia niewątpliwe wskazówki, że dziedziczność jest zjawisko realne, znajdujące swój wyraz w szeregu pokoleń. Przodek zasłużył sobie swemi podłemi czynami na wypędzenie z kraju, bo Polska była tolerancyjna i nie zażądała jego głowy pod miecz kata, albo nie skazała go na zamurowanie w wieży. Jakie losy były jego dzieci niewiadomo. W rodowód nie wgłębiałem się, a panowie R. nie wiedzą wiele więcej w tej sprawie, choć przyznają się do przodka zdrajcy i pieczętują się jego herbem. To pewna, że obe-

cne pokolenie jest obrazem zupełnego upadku cielesnego i moralnego. A nuż najmłodsze pędy tego drzewa genealogicznego zrodzą zdrowy owoc, który będzie okupem za przodków?

18 Października 1916.

Od dwu tygodni korzystam z urlopu. Jesień jest wilgotna, ponura, chłodna. Chciałoby się wygrzać na słońcu, zbliżyć do przyrody. Ale to pozostanie w dziedzinie marzeń.

Mam nowego współzawodnika, który ubiega się o stanowisko lekarza szkolnego. Popiera go p. Jętkiewiczowa. Kulwieć zaproponował mi, abym się zrzekł albo wykładów, albo opieki lekarskiej nad uczniami. Oświadczyłem, że uważam obydwie te stanowiska za nieodłączne i to nie, jako skromnie płatne dochodowe, lecz wychowawcze. Kandydat G. z Łodzi, specjalista chorób wenerycznych, nie jest na to stanowisko odpowiedni.

Zamach nie powiódł się. Jednak kompanja, uważająca każde stanowisko za synekurę, którą się oddaje swoim stronnikom, stara się mi dokuczyć. Właśnie wyszła w „Głosie Nauczyciela“ moja praca antropometryczna. Otóż ks. Lutosławski był dotknięty tem, że „Głos“ skrytykował jego działalność w harcerstwie, wykazując, że ksiądz uważa je jedynie za środek do wprowadzenia waśni partyjnej i polityki do szkoły, a zaniedbuje rozwój cielesny i towarzysko-społeczny druchów. Ten artykuł nauczyciela Jachny wywołał głośną polemikę w „Gazecie Polskiej“. Niebawem też bracia L. pozbyli się autora ze szkoły. Ja zaś spotkałem się z przykrościami za pisywanie do miesięcznika, który poważa się krytykować klikę i jej czyny. Pomimo trudności, stawianych mi na każdym kroku, postanowiłem wytrwać na stanowisku,



rozumiejąc, że jestem jednym z nauczycieli, od których uczniowie mają usłyszeć głos niezależny.

Na jednym z posiedzeń rady pedagogicznej rozdano nam regulamin szkoły, przyjęty przez radę nadzorczą. Kulwieć oświadczył, że kto chce pozostać na stanowisku nauczyciela, musi zastosować się w zupełności do tego regulaminu. Ale już to jedno, że otrzymaliśmy go po rozpoczęciu drugiego roku, wymagało przeprowadzenia dyskusji. Przy odczytaniu tego elaboratu okazało się, że szkoła braci Lutosławskich — to jej dyrektor, a rada pedagogiczna — to organ podwładny mu, obowiązany go słuchać. Rzecz prosta, że nauczycielstwo zaoponowało przeciwko takiemu samowładztwu. Kulwieć, zapędzony w kozi róg, zasłaniał się tajną umową z C. K. O. Jan Lutosławski potraktował nauczycielstwo, jako uciekinierów, którym C. K. O. daje zarobek podług swego uznania.

— C. K. O., ma zupełne zaufanie do p. Kulwiecia, — głędzi p. Jan, — znanego uczonego i pedagoga. A reszta panów, przygodnie zebranych w szkole do nauczania, nie może mieć głosu stanowczego.

To przemówienie wywołuje oburzenie powszechne. Kilku nauczycieli ma zasługi naukowe, inni pracują w szkolnictwie dziesiątki lat. O p. Kulwieciu wiedziało się tylko tyle, że był nauczycielem botaniki i brał udział czynny w Tow. Krajoznawczem. Ale to nie są ani zasługi wychowawcze, ani naukowe. Bo też tylko przynależność partyjna rozstrzygała o wyniesieniu go na takie odpowiedzialne stanowisko. Ale na jakiej podstawie zabiera tu głos piwowar z Drozdowa i pozwala sobie lekceważyć nauczycieli, których wartości nie jest zdolny ocenić?

Po długich rozprawach uznano regulamin za niemożliwy do przyjęcia. Członkowie rady pedagogicznej mieli zgłosić swe uwagi na piśmie. Następne

zebranie ma je rozważyć. Jednak niemoże się ono jakoś zebrać. Kulwieć zasmakował w przywilejach władzy i nie chce się ich zrzec, a właściwie jest parawanem, za którym bracia L. gospodarzą samowładnie. Gospodarka jest tajemnicza: ciało pedagogiczne nie wie o kosztach utrzymania szkoły, o których milczy buchalterja, jak zaklęta, milczą i kierownicy C. K. O. A chodzi tu nietylko o celowe użycie funduszków, lecz i odparcie zarzutów, rozbrzmiewających coraz głośniejsz i pobudzających Rosjan przeciw Polakom.

5 Listopada 1916.

Szkoła jest przepełniona. Liczba uczniów wynosi 640. Otwarto trzeci oddział. Pp.L. uważają to za dowód zaufania. Jednak zdaje się, że zaważyły tu inne czynniki: przeświadczenie, że wojna nie skończy się rychło, przepełnienie szkół rządowych, niechętny stosunek w nich do Polaków i uzyskanie praw dla maturzystów. Ale w szkole niema porządku. Chłopcy są rozhukani, hardzi, zuchwali. Nowi nauczyciele są przeważnie początkujący pedagodzy.

Dyrektor radzi sobie z chłopcami podług starej, wyprobowanej metody: za wykroczenia sadza się ich do kozy na 1 do 3 godzin i zmniejsza stopnie ze sprawowania. Nieraz kara jest wymierzana bez ustalenia winy. Tak było i z moim synem. Oto pewnego dnia dwaj dyżurni zostali skazani na kozę za krzyki w klasie IV, ponieważ nie umieli wskazać winowajców. Czterej koledzy zwrócili się do dyrektora z prośbą o zwolnienie dyżurnych, mieszkających daleko za miastem. Za to wstawiennictwo skazał ich Kulwieć również na kozę. Jeden z chłopców, oburzony tem za rządzeniem, napisał na ścianie atramentem: „osieł“. Kulwieć zażądał wskazania winowajcy. Ale nikt z sześciu uwięzionych nie chciał tego uczynić. Dyrektor uznał za sprawcę mojego syna i kazał mu wyskro-

bać napis. Chłopak nie zdołał tego uczynić, ponieważ atrament przesiąkł na tynk. Dyrektor oświadczył mu, że jest usunięty ze szkoły, obicie zaś będzie położone na jego rachunek. Na pożegnanie pchnął chłopca ze schodów.

Nazajutrz Kulwiec oświadczył mi, że syn mój jest wydalony ze szkoły za zrobienie napisu na ścianie i za nieposłuszeństwo.

— Pan jest pewien, że to jego sprawka?

— Napewno jego.

— To się pan myli najzupełniej.

— Któż więc to uczynił?

— Nie mam prawa zdradzać tajemnicy syna, bo straciłbym jego zaufanie. Wychowawca powinien umieć sam rozwiązać takie zagadnienie. Może jednak zechce pan wskazać, na czym polegało nieposłuszeństwo?

— Pan niechce wydać sprawcy? To jest utrudnianie pracy dyrektorowi.

— Pospieszył się pan z decyzją, którą teraz trzeba będzie cofnąć. Proszę się zwrócić do własnego syna, który jest dokładnie powiadomiony. A jeżeli za nieposłuszeństwo poczytuje pan to, że chłopiec odmówił skrobienia obicia bez jego uszkodzenia, to niezajomość sztuki tapeciarskiej nie jest dla ucznia karalnym przestępstwem.

Położenie Kulwiecia staje się śmiesznym.

Klasa jest oburzona i uchwała bezrobocie, o ile Szczęsny nie wróci do szkoły.

Autor „osła” przyznał się po paru dniach. Można było to stwierdzić natychmiast, obejrzawszy ręce sześciu chłopców, odsiadających kożę. Ale na to trzeba być wychowawcą a nie tylko... botanikiem. Po takiej kompromitacji dyrektor powinien był być odwołany, bo utracił zaufanie uczniów. Jednak bracia L. przeszli nad sprawą do porządku dziennego. K. miał

się tłumaczyć, że przyłapał Szczęsnego na pisaniu na ścianach, więc sądził, że i tu on zawinił. Ale tamto były znaczki harcerskie, zalecone przez ks. L., aby harcerze uczyli się spostrzegawczości. Dwaj wychowawcy: Kulwieć i ksiądz L. nie porozumieli się co do jedności kierunku i nie uzgodnili swych metod działania. Ładne wychowawstwo! Nie mogąc umieścić chłopca w innej szkole, zgodziłem się na przeniesienie go do nowootwartego oddziału. Jest tu najmniej harcerzy księdza L., natomiast większy ład i spokój. Oddział pozostaje pod kierunkiem pastora ks. Tosjo, człowieka energicznego. Kulwieć wskazuje na swą niezależność od braci L., bo powołał pastora na inspektora oddziału. Jest to istotnie krok niezwykły, ponieważ ksiądz Lutosławski pała nienawiścią do wyznań protestanckich. W kursie dla uczniów wypisuje rzeczy horendalne, np. „W stosunku do heretyków, którzy błąd swój z uporem utrzymują... sprawiedliwość wymagałaby najsurowszych kar... jak za inne zbrodnie przeciw bliźniemu i przeciw porządkowi publicznemu... i z tego tytułu nawet i kara śmierci najzupełniej byłaby sprawiedliwa“. Takie zasady wpaja się w młodzież na tułaczce. Co za talmudyczna nietolerancja!

25 Listopad 1916.

Zgon Sienkiewicza dał bodźca do poruszenia zagadnień ogólnopolskich. Pisma są przepelnione artykułami, podnoszącymi zasługi zmarłego. Dzwon pogrzebowy zagłusza nawet okropności wojny. Wydaje mi się jednak, że te dźwięki są niezupełnie czyste i... szczerze. Nawet potrąciwszy co należy na karb przypomnienia obcym o Polakach, i pogodziwszy się z tem, że każdy wybitny człowiek otoczony jest grupą aferzystów, ma się wrażenie, że tu chodzi o coś więcej, niż uczczenie pisarza. Jakikolwiek zasługi po-

łożył Sienkiewicz, wszystkie wysuwane są jako liście wawrzynu stronnictwa N. D.

Pamiętam, jakie porwy i zachwyty budziły we mnie w wieku młodzieńczym „Szkice węglem“ i „Trilogja“. Ale już „Quo vadis“, czytane po 30 r. ż., robiło wrażenie powieści tendencyjnej, niezgodnej ze światopoglądem byłego pozytywisty. Talent pisarski ukrywał szydło w worku, które jednak stale wylażyło. Ale przed dziesiątkami lat panował inny duch nietylko w Polsce. Pamiętam, z jakim entuzjazmem przyjmowali Włosi przekład „Quo vadis“. Nietylko w wielkich miastach, lecz i po wsiach spotykało się duże plakaty, głoszące o pojawieniu się tego utworu. Gdy raz pewnego uwięziła mgła okręt z Neapolu do Genui, a podróżni zaczęli z nudów nawiązywać między sobą znajomość, okazało się, że wśród kilkadziesiątu osób nie słyszał nikt o Polakach. Dopiero, gdym powołał się na Sienkiewicza, jako mego rodaka, dowiedziano się, że jest on nie Rosjaninem, i część jego chwały spłynęła na mnie. A kiedy zjawily się „Bez dogmatu“ „Rodzina Połonieckich“, nie miałem już żadnej wątpliwości, że pozytywizm Sienkiewicza stopniał, jak śnieg moskiewski na wiosnę, dążąc mętną strugą do utorowanego koryta. To właśnie uczyniło z tego utalentowanego pisarza ulubieńca naszych sfer zachowawczych, które nie rozumiały i obawiały się dążeń demokratycznych, sądząc, że Polska może być tylko szlachecka. Tu jest również podstawa jego działalności społecznej i politycznej, gdy pióro przestało już dopisywać. Stronnictwu potrzebne było takie głośnie imię. Chociaż Sienkiewicz się wyczerpał i powtarzał dookoła tą samą fabułę, uczyniono z niego wyrocznie.

Na tułaczce urządza się nabożeństwa, odczyty, pisze się masę artykułów, broszur, życiorysów Sienkiewicza, wysyła się depesze do Vevey do wdowy,

zbiera się składki na fundusz jego imienia... Wszystkie te wystąpienia cechuje iście pogrzebowa obłuda i śmieszna poza boleści. Szkoła C. K. O. przyjęła czynny udział w nabożeństwie, jako że, „gdzie konia kują, żaba nogę podstawia“. Wywołało to zamęt w lekcjach. Ale tego nie bierze się w rachubę. Sienkiewicz umiera tylko jeden raz. Ten moment trzeba wykorzystać dla celów stronnictwa. Już ze szkoły muszą chłopcy wynieść zasady, które stałyby się ich ostoją na całe życie. Nacjonalizm, nienawiść do demokracji, przejęcie się zachowawczością, klerykalizmem, wstecznictwem są ważniejsze, niż poprawne... mówienie i pisanie po polsku. Ono nie obowiązuje zresztą nie tylko uczniów, lecz i części nauczycieli, na wet samego dyrektora, któremu przytrafiają się w listach błędy w rodzaju „doktoże“ przez „ż“. Język polski jest traktowany nie lepiej, niż w szkole apuchtinowskiej. Uczy go neofitka, nie mająca właściwego czucia. Paru innych nauczycieli musi walczyć oto, żeby języka polskiego nie uważać za przedmiot drugorzędny. Kiedy zadałem tematy pisemne z higieny, połowa 6-stu klasistów napisała je z masą błędów gramatycznych. Ale p. Kulwiec nie rozczuła się tem. Czyż każdy sztubak ma zostać Sienkiewiczem? O, jak blisko siebie stoją szkoły N. D. i ś. p. Apuchtina!

10 Grudzień 1916 r.

Skończył się mój wypoczynek. Od wczoraj wróciłem do szpitala. Stan wyczerpania i podniecenia przeminął. Mogę już pracować bez wysiłku kilka godzin. Jednak równowaga nerwowa jest jeszcze chwiejna. Sama myśl, że będę miał do czynienia znowu z Bogdanowem, drażni mnie, choć chłodna rozwaga powiada, że nie ma się czem przyjmować.

Składam raport na piśmie. Bogdanow wzywa mnie do gabinetu. W kancelariach jest ciemno, duszno,

wilgotno. Urzędnicy pracują przy sztucznem oświetleniu. Wokół lamp tworzy się aureola. Mgła, stęchlizna, pył, kurz, wyziewy, dym czynią powietrze nieprzejrzyście. Jest tu, jak w więzieniu. Nie lepiej jest w gabinecie prewoschoditielstwa, który naradza się z Szumskim zapewne w sprawie ratowania, a może — rabowania ojczyzny. Wchodzę, uderzam piętą o piętę, głowę zadzieram do góry, chcąc wskazać, że nie zatraciłem dobrych manier wojskowych, szczepionych mi z takim wysiłkiem. Sądzę, że pantomina wykonana jest poprawnie. A tu pierwsze słowa Bogdanowa wskazują, że pozostaję nadal w błędach cywila.

— Pan zjawia się bez broni?

— Szaszkę zostawiłem w szatni, sądząc że nie będzie mi potrzebna.

— Zwierzchności należy przedstawiać się w formie zbrojnej — poucza B. A potem z miną wspaniałomyślnego wychowawcy pyta: — Jak się pan czuje po długim urlopie?

— Poprawiłem się znacznie. Jednak nie wiem, czy to jest stan trwały, czy choroba nie powróci w warunkach pracy szpitalnej.

— Inni koledzy pańscy dają sobie radę.

— Są młodzi, zdrowi, lepiej uposażeni, zajmują lepsze stanowiska, mają mniej liczne rodziny. Pracy ordynatora mogą podołać, ale dyżury co 3 dni działają zabójczo.

— Może koledzy zgodzą się pana zastąpić? Nie będę stawiał przeszkód — mówi B., uśmiechając się szyderczo.

— Nawet gdyby chcieli mnie wyręczyć, nie zgodziłbym się na taką ofiarę. Jednak nie mam żadnych złudzeń. Gdyby dyżur wypadł raz na tydzień, można by się z nim jakoś pogodzić. A można to łatwo uskutecznić, jeżeli, zamiast 4-ech będzie dyżurowało dwu lekarzy.

— Inspektor nie zgodzi się — łże B.

— Niech wobec tego dyżurują wszyscy koledzy, korzystający obecnie z przywilejów, lub niech pan zażąda paru młodych lekarzy na ten cel.

— Są to rzeczy niemożliwe. Brak lekarzy.

Posłuchanie jest skończone. Idę na oddział. Cieszą się z mego powrotu; bo... przybywa jeden pracownik. Mój zastępca ma dość Ujazdowa i pragnie powrócić na swe dawne stanowisko. Koledzy są znużeni, zdenerwowani i wyczekują końca wojny. Nic go nie zapowiada. Nie wierzy się już w zdobycze armji rosyjskiej, podawane w pismach. Czyta się tam o wzięciu do niewoli po parę set oficerów i kilka tysięcy żołnierzy, ale ma się ciągle wątpliwości, czy są to właśni, czy nieprzyjacielscy. Również działa, kartaczone, karabiny zostają zdobywane w takiej liczbie, że aż zachodzi obawa, aby się ziemia pod nimi nie załamała, albo nie zmieniło się położenie ośrodka ciężkości naszej planety. Pomimo tych zdobyczy wojska rosyjskie ustępują ciągle na zawczasu przygotowane pozycje, które zbliżają się stopniowo do Mińska.

Lepiej dzieje się na froncie francuskim. Verdun trzyma się wytrwale pomimo nader uporczywego ostrzeliwania. Podobno wielu Polaków zaciągnęło się do szeregów, jako ochotnicy po stronie Francji. Opowiada się, że Niemcy są wycieńczeni i wygłodzeni, pomimo zagarnięcia olbrzymich obszarów, na których zmuszają ludność do oddawania sobie całego plonu. Mają też zabierać mieszkańców do Pius i zmuszać ich do pracy w fabrykach, kopalniach i na roli. Ci przymusowi robotnicy na rzecz okupantów nie korzystają z praw, przysługujących obywatelom Niemiec, więc między innymi z kas chorych i z ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków. Pociąga to za sobą liczne ofiary w ludziach i wielkie niezadowolenie. Po długich walkach bezprawia te zostały czę-



ściowo załagodzone. Okupanci starają się usposobić Polskę przychylnie dla siebie. Mówi się podobno o wskrzeszeniu Królestwa z jednym z synów Wilhelma II na tronie. W listopadzie powołana została Rada Tymczasowa z biskupem Kakowskim na czele, z udziałem ks. Zdzisława Lubomirskiego, Ostrowskiego i prałata Chełmickiego, która ma reprezentować przyszlą Polskę. Jednak faktyczne rządy sprawuje generał Beseler, którego głównem zadaniem jest ogra- bić nasze ziemie z pożywienia, lasów, bogactw i wcią- gnąć sfery ugodowe do orjentacji niemieckiej. Swoją drogą oświata ma się szerzyć w niebywałem do- tychczas tempie.

Takie wieści dochodzą z poza frontu. A w Rosji niema żadnego zrozumienia dla spraw polskich. Okazało się, że odezwa w. ks. Mikołaja była czczym fra- zesem, na który odpowiedziały lojalnością lokajsko usposobieni wstecznicy. I na tem koniec. Natomiast Rosjanie ujawniają coraz większe niezadowolenie z rządów. Już nie szepcze się do ucha, lecz mówi się głośno o zdradzie, której ogniskiem jest caryca, i o gorszącem stanowisku Rasputina, który z sybe- ryjskiego popa wyrósł na kanclerza Rosji, dzięki... kwalifikacjom przyrodzonym. Nawet czarna secina ma tego już dosyć. Car jest zaślepiony. Żadnego posta- nowienia nie powéźmie, kroku nie uczyni bez zasią- gnięcia rady „starca“, który wyzyskuje miłość ojcowską Mikołaja do chorego na krwawiaczkę syna. Gdy cho- dzi o wymuszenie czegoś na carze, wywołuje się po- gorszenie, a potem Rasputin zamawia chorobą; od- bywają się tajemne posiedzenia, po których następuje poprawa, czyli zaprzestaje się dawania środka, sprzy- jającego krwawieniu. Car jest wodzony za nos przez carycę niemkinię i jej amanta, starca. Za to płaci Rosja podatek krwi i zniszczenia.

Dziwy opowiadają sobie poddani o tych osobi-

stosunkiach, wśród których rolę pokaźną odgrywa minister Styrmer. Znowu człowiek o nazwisku niemieckim stanowi o losach wojny. Poddani rozumieją to coraz dobitniej, bo niema już rodziny, która nie opłakiwałaby swych synów, ojców, żywicieli. I coraz częściej pytają się: po co? Czy Rosja nie może się obejść bez krajów zabranych?... Czy potrzebna jest jej polityka światowa, marzenia o Carogrodzie? Czy brak jej chleba, mleka, mięsa, wódki? Po co te ofiary? Czy dla nasycenia chuci carycy-niemkini?

20 grudnia 1916 r.

### Rasputin zabity!

Ta wieść spada na Rosję, jak trzęsienie ziemi, poprzedzone przez rozmaite znaki, których nie umiano zrozumieć. Dziś, gdy się stało (16 grudnia) rozpamiętuje się te wydarzenia i powiada, tak się stać musiało. Były zwiastuny.

Ten wstrząs zagłuszył wszelkie inne zagadnienia państwowe, społeczne, wojenne, gospodarcze. Gdyby poległ wódz naczelny, wyznaczyłby car następcę i... sprawy potoczyłyby się zwykłym korytem. Jednak tu chodzi o osobistość niezastąpioną, stojącą ponad generałami, ministrami, uczonymi, popami, wodzami, bo tak chciał samowładca. A gdy naród objawia swą odmienną wolę i popiera ją czynem pomocy nad znieawidzonym „starcem”, staje się jasnym, że zarysowały się podwaliny tronu

Od 200 lat nie umarł żaden car śmiercią naturalną. Jednak pozostawał po nim następca, więc władza przechodziła bez wstrząsów. Ludowi tłumaczyło się, że zdrajcy targnęli się na świętą osobę zastępcy Boga na ziemi. Ginęli za to na szubienicy i w katordze. A Rosja stawała się potężniejszą. Ale takiego zamachu, jak obecny, nigdy jeszcze nie było: dom

panujący żyje, ale zabity jest moralnie. Wprawdzie nie dbał on nigdy o autorytet i miłość wśród narodu. To zawodne nastawienie zastępowała z powodzeniem nahałka kozacka i wpływ umoralniający popa. Niewarto było robić jakichś wysiłków osobistych, aby zasłużyć sobie na uznanie. Po śmierci dostawało się po narażeniu familijnej przydomek: wielki, „twórca pokoju“. Za życia wystarczała świadomość, że na niezmiernych przestrzeniach Rosji rozbrzmiewa codzień we wszystkich cerkwiach modlitwa za cara i jego rodzinę.

Zabójstwo Rasputina jest niesłychanym ciosem. Car wierzy, że zerwano łączność jego z Bogiem, więc skazany jest na błędzenie na bezdrożu w tak ciężkim okresie wojny. Carya jest zrozpaczona, ponieważ „demoniczną siłę“, jaką obdarzony był „starzec“, spotyka się raz na sto lat. Dwór okryty jest żalobą i przesiaduje w kaplicy, gdzie złożono zwłoki ofary, modląc się o cud. Nie będzie to zmartwychwstanie, bo zwłoki są szczelnie zamurowane. Jednak podobno znaleziono już... następcę, który przechodzi próbę i zdaje egzamin demoniczności przed... damami dworu... Podobno próby wypadają zadawalająco. Może więc tę ranę uda się zabić...

Miljony ludzi poległy i zmarły na froncie. Zaspiewano im: „wieczną pamięć“, przybrano mogiły i... wrócono do codzienności. Ale śmierć „starca“ jest wydarzeniem, które pochłonęło uwagę zarówno dostojników, niepewnych jutra, jak i najbardziej uciemiężonych niewolników, których krzepiła nadzieja, że to jutro będzie lepsze. Szpital Ujazdowski jest jak po uderzeniu pioruna. Nie wiem jeszcze o zabójstwie, a czytam w tym środowisku, że zaszło coś przełomowego. Bogdanow nie wychodzi ze swego gabinetu. Radcowie stanu mają miny, jak po dużej dawce... rycyny. Szumski patrzy uporczywie w ostatni

guzik swego mundura, jak wyznawca Buddy. Urzędnicy z dwoma paskami na szlifach są milkliwi. Natomiast felczerzy i żołnierze mają rozpromienione oblicza. Ławiajin bierze na szczerłość i pyta:

— Co panowie o tem sądzicie?

— A pan co? — odpowiem. — My się nie mieszkamy do wewnętrznych spraw Rosji.

— Tego łajdaka należało zgładzić, — mówi Ławiajin. — Hańba Rosji! Ale co będzie dalej?

— Co ma być? — wtrąca Grynbaum — Prygradow. — Znajdą innego starca i zatka dziurę, jeśliby się zrobiła... w niebie.

— Są dziury, których się byleczem nie zatka, — mówię. — Po demonicznym starcu niemożna puścić na scenę w roli demona kogoś, kto będzie tylko otwierał usta, lecz nie wyda... dźwięku. Wygwizdzą...

— Podobno zamachu dokonał Puryszkiewicz, — ciągnie Ławiajin.

— Zuch! — woła jeden z obecnych.

— Jakto zuch?! — oburza się Prygradow. — Mordercę uważa pan za bohatera? Ho, ho!

— Jeżeli taki czarnoseciniec nie mógł wytrzymać, — powiadam, — cóż musieli odczuwać szczerzy demokraci?!

— Puryszkiewicz czarnoseciniec?! — woła Przygradow. — Proszę się liczyć ze słowami!

— Powtarzam to tylko, co sam o sobie mówię i czem się szczycę.

— Nieprawda! — krzyczy neofita.

Wycofuję się z rozmowy, mającej cechy prowokacji. Niema o co kruszyć kopji. Dzieje starca interesują mnie tylko, jako zwiastun zmian, jakie muszą nastąpić. Opinia publiczna jest wzburzona do głębi, jak pod koniec wojny japońskiej. Jest to wyraz wyczerpania, które wydobywa najbardziej ukryte pragnienia. Jak pijany wypowiada najskrytsze tajemnice,

tak też i zatruty rozpaczą i bólem powiada sobie: wszystko mi jedno, czy dziś, czy jutro zginąć muszę, więc niech ciemleńcy wiedzą przynajmniej, że ich nienawidzę! Tyle wysiłków i cierpień! I na co? Aby jakaś ciemna postać, syberyjski koniokrad, podpalacz, pijak, rozpustnik, wyszukany przez damę dworu, Wyrubową, stał się wielkorządcą Rosji z wysokości... sypialni carycy?!

Przez dwa dni pisze prasa o Rasputinie, dopóki nie spostrzegła się cenzura. Wiadomości są oględne, jednak odsłaniają nieprawdopodobne zepsucie. Prosty chłop bez elementarnej wykształcenia, sądzony kilkakrotnie za przestępstwa kryminalne, rządzi Rosją na podobieństwo Apisa. Źle mówię: wół, w którego miło się wcielić bóstwo, był narzędziem w ręku kapłanów i osłaniał tylko ich dążności teokratyczne. Zaś Rasputin, wprowadzony przez biskupa syberyjskiego, jako „natchniony“, działa na własną rękę, zmuszając cara, siedzącego pod pantoflem żony, do pokrywania jego imieniem dworskiej rozpusty i intryg.

Historja zna kurtyzany, wywierające przemożny wpływ na królów, cesarzy, papieży, wodzów, uczonych, artystów. Ale „starców“ mogła mieć tylko Rosja z jej bezgraniczną ciemnotą i samowładztwem, opartem na popach, czynownikach i żandarmach. Ten smok, uzbrojony tysiącami paszcz, rąk, macków, ssie poddanych w imię pomazańca cara. Oni nie mogą już unieść tego brzemienia, wyczerpani klęską wojny. A tu na dworze carskim rozgrywają się sielankowe sceny, jak gdyby to była szczęśliwa Arkadja. Słusznie mówili rzymianie: Jowisz, gdy chce kogo zgubić, pozbawia go rozumu.

Śledztwo w sprawie zapójstwa Rasputina wskazuje, że w sprzysiężeniu brały udział osoby, stojące blisko dworu, nawet członkowie rodziny cara. Nie jest to więc ruch rewolucyjny, ludu gniew, lecz wewnętrzny

na walka dworska. Tylko udział ks. Jusupowa i Puryszkiewiczza, wodza skrajnych nacjonalistów, oznacza zaniepokojenie tego obozu, aby nie zabrali głosu ci z pod czerwonego sztandaru, głoszący, że walczą o wolność. Jestto ostrzeżenie cara. Czy je zrozumie? Prawdopodobnie—nie! „Ciemne siły”, o których mówiono niedawno w Dumie, wskazując na zdrajców, przedawczyków, na Styrmera, chcącego zawrzeć pokój z Niemcami, na Protopopowa, spiskującego przeciw Rosji, na wodzów, kierujących wojsko świadomie na zagładę, kierowników zaopatrzenia armji, chcących ją zagłodzić i uczynić bezbronną, na kierowników skarbu, tłoczących bez kontroli ruble papierowe z temi samemi literami N. A. te ciemne siły muszą sprowadzić przewót. Głos z mównicy w dumie rozlega się po całej Rosji. Cenzura stara się go stłumić. Jednak to się nie udaje, ponieważ grzmia nietylko już socjaliści, rewolucjoniści, kadeci, lecz nawet najwsteczniejsi prawicowcy.

Czy Rosja zdolna jest do przewrotu?. Ten seny, ciemny, leniwy, opily lud, trzymany na wodzy przez popa i żandarma, pozbawiony ideałów ludzkich, pojęcia, co jest ojczyzna, wierzący że car to Bóg, ten różnojęzyczny lud na poziomie dzikusa może chyba zniszczyć, zdeptać, zrównać z ziemią to, co istnieje, na podobieństwo nieopanowalnych żywiołów. Czy jednak zdolny jest stworzyć na rumowiskach nowe życie? Czy nie zróśł się z niewolnictwem, bez którego nie wyobraża sobie państwa? Lud to tłum, który ma swą psychikę zbiorowości, wykonujący rozkazy jednostek. Na tle powszechnego rozgoryczenia łatwo znaleźć przekonywające hasło wyjścia z trudnego położenia, zerwania z tem, co się wystawia, jako przyczynę niedoli. Czy jednak jest to równoznaczne z pchnięciem życia na nowe tory? Naród ma władcę, jakiego jest wart. A że naród jest gnuśny, leniwy, ciemny, przesądny, opily, więc i car oddaje

się modlitwie i pijaństwu, które go krzepią w chwilach zwątpienia. Ufa, że Bóg mu sprzyja. Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie... Ale czy i cesarstwo ziemskie? Twarze żołnierzy i tych, którzy złożyli największe ofiary w okresie wojny, mówią: Nie! Tylko baby wykrzykują wciąż: „Modlimy się za jego cesarską wysokość... Hospodi, pomiluj!”

31 Grudzień 1916.

Trzy razy słońce przeszło już przez zwrotnik raka, odkąd grzmia działa i leje się krew. A końca tej hekatombi nie widać. Liczyło się na udział Ameryki, Japonji, Rumunii, jako na czynnik rozstrzygający. Jednak dotychczas brak owoców tego współdziałania. Podług wyliczeń Niemcy powinni byli już dawno umrzeć z głodu, a oni, jak na złość, nawet nie zeszczupleli, gdy my na tułaczce straciliśmy ze 30<sup>0/0</sup> wagi, jak po najlepszej kuracji odtłuszczającej. Nie zamierzam pisać elegji na temat znikomości... tłuszczu. Jednak przysłowie: „nim tłusty schudnie” ma na bruku Moskwy częste zastosowanie. Ludziska mrą skutkiem fatalnych warunków materialnych i zdrowotnych. Ruch z zaułka Milutyńskiego do krainy szczęścia wiekiustego jest niebywały.

Warunki życia są coraz cięższe. Ceny produktów spożywczych są bajeczne. Pud kartofli kosztuje około 8 rb., funt mąki 35—40 kop., masła 4 rb., mięsa wołowego 1 rb. W dodatku trzeba wystawać w kolejkach po parę godzin, aby dostać jak z łaski jaki ochłap. Cukier dostaje się tylko na kartki, albo w handlu wymiennym za... spirytus. Za butelkę wysokou, która kosztowała dawniej 60 kop., płaci się obecnie 15 rb., a za nią można dostać 10 funtów cukru. Jest to korzystna wymiana, bo za cukier bez kartek płaci się 2½ rb. Speculanci twierdzą, że wartość rubla spa-

dła do 17 kop. Jednak nasze pokory pozostają bez zmiany. Pochop do rzucania pieniędzmi jest powszechny. Oto staję przy straganie, aby kupić owoców dla dzieci. Targuję się, bo małe jabłka po 20 kop. uważam za zbyt drogie. Wtem zjawia się paru wyrostków, odpychają mnie bez ceremonji i zakupują po parę gruszek i jablek, płacąc 4 rb.

— Co to za obywatele? — pytam przekupnia, patrząc na oberwańców, spożywających owoce, jak wilki — barana.

— Z tej piekarni, — odpowie, wskazując wałący się budynek; — taki wyrostek zarabia 5 do 8 rb. dziennie i utrzymanie.

— Wartoby się przerzucić do piekarstwa, — myślę. — Ale Bogdanow nie pozwoli. Zbyt mnie cenil! A czy to ja nie zwoziłem podczas urlopu drzewa na zimę do naszej komórki? Dziwiono się, że oficer z szaszką fatyguje się, jakgdyby był własnym deńszczykiem. Ale cóż. Deńszczyka mi nie dają, każą czekać do końca wojny. Konia — również, bo wystarczyć powinien jego symbol, ostrogi. A uposażenie — gorsze, niż piekarczyka. Miałbym więc dla chwały munduru oficerskiego skazywać dzieciaki na mróz i brak strawy gotowanej z „ruskiej pieczki“, która jest jedynem ogniskiem opałowem w moich apartamentach? Nie! Tak dalece nie rozwinąłem w sobie poszanowania rosyjskiego munduru. Więc nietylko sprowadziłem sążęń drzewa, ale go osobiście porąbałem. Wszak i ceratnik, polityk pierwszej klasy, uczynił to samo. Miałżebym się wywyższać ja, którego stale poniżają? Nie! Rąbanie drzewa jestto bardzo miłe zajęcie: na pieńku stawia się prostopadle kłodę, mierzy się w nią siekierą tak, aby trafić w miejsce upatrzone, — to jak strzelanie do celu, lub krokietowanie kuli przeciwnika, albo bili na bilardzie, — rękojeść siekiery trzeba trzymać prosto, a jej pła-



szczyzna musi poruszać się stale w jednym kierunku, szybkość musi zwiększać się w miarę zbliżania się do kloca. Zaniedbaj jakiej z tych wskazówek, a rękojeść zadrży ci w dłoniach, jakgdybyś zetknął się z silnym prądem elektrycznym. Słowem jest to miły sport, lepszy od kopania piłki i jazdy na nartach pod komendą ks. L. i pani J. Dzieciaki moje zasmakowały w nim i często odbierają mi siekiere. A gdyby kogut, chodzący po dziedzińcu, doniósł koledze swemu, Bogdanowowi, że profanuję mundur oficerski, mam w zanadrzu gotową odpowiedź: Aleksander (nie Macedoński, lecz III, Wielki Twórca Pokoju) uprawiał z zapalem sport drwala, a Rosja była potężna i szanowana. A gdyby mi prewoschoditielstwo rzekło, że Mikołaj II nie uprawia tego sportu, powiem, że ma do wszystkiego swoich ludzi: Poliwanowa — do wojny, Styrmera — do spraw wewnętrznych, Rasputina — do spraw buduarowych, mnie — do przykładania pieczętek. Słowem podział pracy, jak w najlepszej fabryce. A że po rąbaniu drzewa palce trochę sztywnieją, skóra na dłoniach grubieje, robią się na niej bąble, boli nieraz w krzyżu i stawach, to drobnostka: wszak do przykładania pieczętek to nie przeszkadza. Mam pacjenta na poczcie, którego, jak się mówi, pokręciło na szczęt; a pieczętujel pierwsza klasa, niczem Szumski, albo kaprał oblicza niżnich czynów.

Kończy się rok. Pewne jest to tylko, że zacznie się następny, podług ery chrześcijańskiej 1917. I znowu szablonowe pytania i dociekania: co przyniesie? Wróżbici spodziewają się po nim wiele. Ale oko zwykłego śmiertelnika dostrzega tylko niezmierzone przestworza śniegu, poprzecinane zarysami budowli i drzew, zlewalące się z kopułą niebieską. Na tym widnokręgu poruszają się ludzie, przejęci zapewnianiem sobie jada, ciepła i uczyty wigilijnej. Któż mógłby mieć wobec tego wątpliwości, że życie jest

piękne, że tchnie poezją, która ma swój wyraz w łączności z przeszłością? Stół wigilijny, opłatek, pierwsza gwiazdka na niebie, choinka... W tym nastroju upojenia smakoszków, szukających, w tajemnicach przyrody wykładnika dla swych pożądań, widzę jak Andrzej Niemojewski podaje dłoń pani Jetkiewiczowej. Ich ręce wzniesione tworzą przecięcie sklepienia nieba. On rzecze: „choinka z gorejącymi świeczkami to sklepienie nieba gwiazdzistego“. Ona prawi: „urządze jasełkę na pamiątkę urodzenia naszego Zbawiciela“. A ja sobie stoję w kole i wybieram... Niel nikogo nie wybieram, lecz postanawiam być nadal sobą, chociażby zwolennicy szablonu użyli całego wysiłku, aby zatopić życie w mgłach form utartych.

15 Styczeń 1917

Trudno mi zasiąść do pamiętnika. Jestem już wyczarpany pracą i kłopotami. Warunki bytu stają się coraz uciążliwsze. Niedawno opuściła nas Karolina. Nie było z niej wielkiego pożytku, bo nie mogła zajmować się cięższą pracą, jako kaleka z przestrzeloną ręką. Jednak ta niewymagająca kobieta przynosiła produkty z targu, sprzątała, gotowała. Byliśmy zdziwieni że wybiera się do Smorgoni. Nie pomogły tłumaczenia, że jej tam nie przepuszczą, bo jest to pas okopów, że się naraża znowu na kule, głód, nędzę. Litwinka uparła się. Ale po kilku dniach okazało się, że nasza kaleka zgodziła się na służbę za znacznie wyższe wynagrodzenie. Licytacja idzie wzwyż całą parą, choć bezrobotnych jest bez liku. Córka Karoliny, którą umieściłem przed półtora rokiem za 3 rb. miesięcznie, doszła w 15 roku życia do 30 rb. Pytanie, jakie żądania będą stawiały służące po powrocie do kraju, ile wyniesie robocizna w gospodarstwie wiejskiem, w przemyśle?

Zostaliśmy bez służącej. O znalezieniu nowej niema mowy choćby dla tego, że nie zgodziłaby się mieszkać nawet w najlepszym naszym pokoju. Cały ciężar gospodarczy spada więc na żonę i córki. Szkoda mi was, moje kochane, ale cóż: na wygnaniu, trzeba się nałamać do trudnych warunków. To jest szkoła życia. Nie mają o niej pojęcia romantycy rozparzańce, oglądający się za pieczonemi gołąbkami. Najbardziej dają się nam we znaki ohydne warunki mieszkaniowe. Popękały skutkiem mrozu rury kanalizacyjne, a ich zawartość spływa z góry do kuchni i komórki. Gospodarz odkłada naprawę do wiosny, a my siedzimy w zaduchu i musimy własnoręcznie usuwać nieczystości. O znalezieniu innego mieszkania niema mowy, a pozostać w takich warunkach również niepodobna. Trzeba hędzie wysłać żonę z dziećmi do jakiego miasta prowincjonalnego.

Połowa stycznia. Śniegu leży na ulicach z łokieć. Na dziedzińcu dochodzi on do naszych okien. Od podłogi ciągnie zimno, przez szpary w drzwiach i oknach wieje. Szkła od lamp pękają co dnia a dostać nowe jest coraz trudniej. Cena ich podskoczyła z 5 do 50 kopiejek. W takich warunkach błogosławimy każdy dzień, że minął i że nas zbliża do końca poniewierki.

A jednak zima moskiewska ma swój urok: komu siwizna przypruszyła skronie, a mózg i mięśnie zachował sprawność, odczuwa jej piękno. Jeżeli widok z wieży Jana wieje w letni dzień martwoją, to dzień zimowy uderza powagą, majestatem, potęgą, które mówią przybyszowi: wyrzekasz, boś słaby, niedołężny, my — podołamy.

— I ja podołam!—odezwie się we mnie głos.— Nie tyle znosili dziadowie w Sybirze za sprawę Ojczyzny! Musimy wytrzymać. Praca dla rodaków niech

skróci naszą tęsknotę. Wpatrzony w grę barw, rozchodzących się od kopuł na tle błękitu nieba, zbieram nastroje do pracy „Nasza nostalgia“ („Głos nauczyciela № 15“).

Niewolno nam opuszczać rąk i głowy, że znaleźliśmy się w trudnych warunkach. Jak na pobojuwisku kruki i wilki, tak w naszej diasporze grasują osobniki, szukające dla siebie żeru. Pod pozorem dobra Ojczyzny działają oni na korzyść stronnictwa. Ogół nie orientuje się w tych sprawach i idzie na lep agitacji partyjnej. Najgłośniej zwalcza się akt niemiecki z d. 5 Listopada 1916. Nie wątpię, że ten akt jest nieszczerzy, że tumani w sprawie niepodległości Polski, że ma na względzie tylko korzyść Niemiec. A jednak rozumiem, że jest to pierwsze uznanie naszych nieprzedawnionych praw do przywrócenia Państwa Polskiego. Ani odezwa w ks. Mikołaja, ani obietnica Mikołaja II, ani deklaracja Styrmera, ani zabiegi Dmowskiego nie mogą porównać się z tym aktem. Można robić tysiące zastrzeżeń co do niego, jednak odrzucać, że pochodzi od Niemców, znaczy zagalopować się. Jeśli Ojczyzny nie są w stanie wskrzesić aniołowie, niech ją wskrzeszą djabli z Belzebubem na czele! Europy nie ruszyło sumienie wciągu 145 lat po naszych rozbiorach. I nie ruszy. Ale deklaracja największych naszych wrogów, że wskrzeszą Polskę, jest aktem olbrzymiej doniosłości międzynarodowej. Wrazie przegranej Niemiec będzie to punkt wyjścia do odbudowy Polski, a wrazie wygranej — podstawa do dochodzenia naszych praw. Mam wrażenie, że N. D. chce zaznaczyć przez zrzekanie się tego nieoczekiwanego aktu swą lojalność i wierнопoddanie carowi. Jego obietnica autonomji gospodarczej w stylu Stołypina jest przyjmowana z pokorną wdzięcznością, byle się miało zapewnione fotele w tym samorządzie. Ta służalczość jest za-

straszająca. Patrzymy, jak na tułaczce puszą się rozmaite osobniki na stanowiskach pełnomocników, prezesów, kierowników. „Familijka” trzyma w swych rękach sprawy społeczne i traktuje je, jak własne przedsiębiorstwo, pracowników — jak swych niewolników, a tułaczów, dla których ta organizacja istnieje — jako żebraków; daje się im coś z łaski, zależnie od protekcji, jaką posiadają. Każdy taki działacz, dorwawszy się do godności dostojnika w samorządzie, stałe się biurokratą nie lepszym, niż rosyjski, austriacki i pruski. Tęsknota do władzy, której nie piastowało się od pięciu pokoleń, jest dla N. D. widziadłem tak ponętnem, że wobec niego ginie Ojczyzna, wyzwolona z okupacji.

Cezar wolał być pierwszym na wsi, niż drugim w Rzymie. Tak też i N. D. gotowa jest zrzec się Ojczyzny, o ile nie będzie w niej pierwsza. Lepiej zapewnić sobie narazie władzę w samorządzie. A potem w razie sprzyjających warunków pomyśli się o zajęciu pokaźnego stanowiska, gdyby wypadkiem Polska została wskrzeszona. Tak to pies zgłodniały, straciwszy swego żywiciela, węszy, gdzie da się co pochwyć. Dusi więc ptactwo na własnym dziedzińcu i szuka padliny i odpadków na śmietniku. Głód jest mocarz i zły doradca. A tęsknota do władzy to bardzo męczący głód!

15 Luty 1917.

Od zabójstwa Rasputina zwiększył się ucisk we wszystkich dziedzinach życia państwowego. Naprzód odbiło się to na prasie, która ulega ciągłym prześladowaniom i konfiskatom. Coraz częściej zjawiają się dzienniki z pustymi szpaltami, z których cenzor wyluskał zdania lub artykuły zbyt wolnomyślne. Niewolno nawet drukować przemówień posłów w dumie, o ile żądają oni zasadniczej naprawy stosunków. Po-

licja, żandarmerja i ochrana są nader czynne, a rewizje, areszty i więzienia są na porządku dziennym. Tylko o zabójcach „starca” jakoś cicho. Wprawdzie niewolno o tem pisać i mówić, jednak wiadomo, że główny sprawca, należący do rodziny cara, zwłaszcza ks. Jusupow i Puryszkiewicz nie siedzą w więzieniu.

Fala ucisku doszła i do naszego szpitala. Bogdanow stał się jeszcze bardziej wymagający i bezwzględny. Po ostatnim dyżurze wezwał mnie do gabinetu. — Czemu pan odmówił przyjęcia ryb?

— Bo były nieświeże, — odpowiem.

— Teraz niema świeżego jedzenia, — prawi B.

— Zepsute ryby są straszną trucizną. Mieliśmy już z tej przyczyny 7 zgonów oficerskich.

— Cóż z tego? Żołnierze mają odporniejsze żołądki!

— Nie mogę brać takich eksperymentów na swe sumienie. Zresztą, gdyby zaszło zatrucie, byłbym odpowiedzialny.

— Komitet gospodarczy z prof. Rachmanowem na czele uznał ryby za nadające się do użycia.

— Czy po dokonaniu badań bakterjologiczno-chemicznych, czy też po osobistem spożyciu potraw z tych ryb?

— Po dokładnem obejrzeniu...

— W takim razie ten komitet będzie odpowiedzialny w razie zatrucia. Co do mnie wolalbym dać kaszy, kartofli, nawet herbaty z chlebem, niż trucizny.

— Zastrzegam, że na przyszłość niewolno panu brakować dostarczonych produktów spożywczych.

— Może zechce pan wydać to zarządzenie na piśmie, albo jeszcze lepiej przekazać czynności przyjmowania produktów komitetowi gospodarczemu. Będzie to o wiele właściwsze.

Bogdanow jest wściekły. Wystrzelał najbardziej

ciężkie pociski, a skutek jest nieoczekiwany: komitet gospodarczy orzekł, niech więc orzeka i na przyszłość. Coprawda chorzy nie dostali zakwestjonowanych ryb, bo nużby tak masowe zatrucie? Byłby poważny skandal. Lecz niech tam dyżurny dowie się przy tej sposobności, że żołnierz może żywić się padliną i zglinizną, bo jest... odporniejszy od oficera, i że rola dyżurnego polega na przyjmowaniu na siebie odpowiedzialności za wszystkich czynowników, których dochody są proporcjonalne do lichości dostarczonych wiktuałów.

Sprawa rozeszła się głośnem echem pomiędzy żołnierzami. Pewnego dnia zjawiała się u mnie delegacja z komendy szpitalnej i spośród chorych, żeby podziękować za obronę od choroby i śmierci.

— Moi kochani, to mój bezpośredni obowiązek. Czyż waw dziękuję, że utrzymujecie porządek na salach, obsługujecie chorych, walczyicie z Niemcami?

— My — co innego. „Niżnij czyn” to dziś jeszcze nie człowiek, ot, bydłę robocze, bydłę na rzeź...

— No, no. Jeszcze nie tak źle. Dawniej było gorzej.

— Trudno wytrzymać — mówi uczeń felczer-ski. — Ale bliski dzień, kiedy się to skończy...

— Nadzieja to pociecha. Ale czy się nie ludzicie?

— W wojsku wre. Caryca jawnie sprzyja Niemcom. W sztabie masa zdrajców, którzy pchają świadomie całe pułki na zagładę. Intendentura przekupiona opóźnia dostawę zapasów na front, przysyła pociski niewłaściwego kalibru...

— Czy to aby prawda?

— Tak jest. Pułki zaczęły się poddawać bez boju. Żądają skończenia wojny, usunięcia cara...

— Po wojnie japońskiej było to samo. I cóż? Z rewolucją załatwili się w parę tygodni, a duma, która miała ograniczyć samowładztwa, stała się narzędziem w ręku rządu.

— Teraz będzie inaczej. Chłop i żołnierz zma-  
drzeli. Zbyt wielu legło nadaremno.

— Tak się wam zdaje. Ale nie macie siły, aby  
zmienić obecny stan rzeczy.

— Wojsko ma broń. Rychło rozprawi się ze  
swymi ciemiężcami i skończy się ich panowanie.

— Dostaniecie się pod władzę Niemców. Z ni-  
mi gorzej.

— Z Niemcami poradzimy sobie sami. Bez  
zdrajców, poprowadzimy wojnę pomyślniej.

— Łudzicie się, moi drodzy. Sztuka wojenna  
to nie tylko umiejętność strzelania z karabinu i działa,  
władania bronią białą. Ona wymaga szerokich studjów  
strategicznych, wiadomości organizacyjnych, umiejęt-  
ności dowodzenia, utrzymania karności..

— Pan sądzi, że nie mamy po swej stronie  
oficerów. Ludzkich zwierzchników jest trocha w woj-  
sku. Oni spełnią, to, czego sam żołnierz nie zdoła.

Słucham z przejęciem tych wynurzeń. Czy są  
to halucynacje ludzi zboliałych, czy nadzieje świado-  
mych, że życia nie można oprzeć na przemocy i fał-  
szu? A jeden z delegatów wyjmuję z pod poły za-  
winiątko i podaje mi je.

— Co to takiego?

— Trocha masła. Pańskie dzieci dawno już  
masła nie jadły. Proszę przyjąć dla nich ten gościnniec.

Wzdragam się. Ale żołnierze zapewniają, że ma-  
ją dowód ze wsi, zapłaty przyjąć nie chcą. Wychodzą,  
pozdrowiają mnie serdecznie... Patrzą na bryłę ma-  
sła, ten dowód uznania „niżniego czyną“. Wart więcej,  
niż order w imieniu cara. Nie przyczepię tego dowodu  
uznania na piersi. Ale z jaką rozkoszą patrzeć będę,  
jak moje dzieci będą zjadały chleb z tą omastą!

16 Marzec 1917 r.

Moskwa.

Przewrót państwowy jest dokonany!  
Tak szybko?



Bez przelewu krwi? Cicho, spokojnie? Nie. To musi być tylko sen, który przeminie, przywracając ciężką, posępną jawę.

Oddawna rozumieliśmy, że dalsze trwanie dotychczasowych stosunków jest niemożliwe. Zwłaszcza po zgładzeniu Rasputina było widoczne, że tron ma nader kruche oparcie. Jednak zdawało się, że zawalić się musi z trzaskiem i hukiem. A tu spokój, jak gdyby nigdy nic. Przynajmniej tak podają rzecz pisma o tem, co się działo w dniach krytycznych w Piotrogradzie. Przyrodzenie przyjęło zaszłą zmianę, jak rzecz bez znaczenia. A poddani, wychowani w zasadach, że carat jest jedyną postacią rządów, ustanowioną przez samego Boga, pogodzili się odrazu z przewrotem dokonany.

Przeżywalismy rewolucję, po wojnie japońskiej w Polsce. Był to silny wstrząs. Moskwa wystąpiła zbrojnie. Lała się krew, miasto było pokryte barykadami. Wojska wierne tronowi musiały zdobywać te barykady. A tu cisza, jakgdyby car rzekł się tronu dobrowolnie, nawet z zadowoleniem.

Od kilku dni krążyły głuche wieści, że się zanosi na zmiany zasadnicze. Duma prowadziła bardzo ostrą walkę z rządem. Mowy wskazywały już nie błędy i uchybienia, lecz wykroczenia, nadużycia i zdradę. Te mowy brzmiały ostro i podniecająco nawet po przejściu przez cenzurę. Odgłosy ich rozchodziły się po całej Rosji. Poraz pierwszy od czasu pamiętnych karetek więziennych, które Stołypin sprowadził przez dumę, przemawiała ona z odwagą, godnością i patriotyzmem. Było rzeczą pewną, że дума zostanie rozwiązana. Jakoż 11 marca ogłoszono „ukaz” carski, zawieszający działalność obu izb. I nagle ucichły wszelkie wiadomości. Dopiero po dwu dniach dowiedziała się Moskwa, że Duma odmówiła rozejścia się, zawiązała komitet Tymczasowy i wyłoniła z niego

rząd ks. Jerzego Lwowa, który wydał odezwę do narodu i wojska. Odezwa została przyjęta z zapalem. Nawet kozactwo i pułki, faworyzowane przez cara, przyłączyły się do wystąpienia dumy. Ohrońcami cara w Piotrogradzie byli tylko siemionowcy, z którymi stoczyły bitwę pułki gwardji warszawskiej, litewski i wołyński, znane dobrze w Warszawie z okrucieństw podczas powstania i rewolucji 1905 — 07 roku.

Protopopow, minister spraw wewnętrznych, zamierzał wywołać rozruchy w Piotrogradzie, aby dać powód do zawarcia odrębnego pokoju. Ale manewr się nie powiódł. Mikołaj był podówczas w Mohilowie, w kwaterze głównej. Otrzymałszy depezę od Rodzianki, prezesa Dumy, że szykuje się przewrót, car pospieszył z powrotem. Jednak kolejarze nie przepuścili jego pociągu, który krążył przez parę dni w okolicach Pskowa, gdzie stał sztab gen. Ruzskiego. Tu przybywa delegacja rządu tymczasowego z Rodzianką na czele z propozycją zrzeczenia się tronu na rzecz syna, Aleksego. Mikołaj zgodził się, lecz potem odmówił pod pozorem, że nie może rozstać się z ukochanym synem. Sądził, że pokrzyżuje w ten sposób plany delegatów. Proponowano przekazanie tronu bratu, Michałowi, albo powołanie go na regenta. Ale i te zamiary nie powiodły się.

Ostatecznie pokazało się, że przewrót sięga głębiej, niż projektowała дума, która chciała tylko usunąć ograniczonego władcę, wyposażonego we władzę nieograniczoną, i podporządkowanego żonie Niemkini oraz kameryli, wyzutej z czci i wiary. Car zrzekł się tronu w imieniu własnym i syna. W tak spokojny sposób skończyło się panowanie dynastji. I oto Rosja dowiaduje się, że może istnieć bez cara, stworzyć republikańską formę rządu, nie pozostając w tyle za Chinami. Milukow, wódz stronnictwa konstytucyjno-demokratycznego, stara się utrzymać carat z władzą

ograniczoną. Ale nikt go już nie słucha. Nawet prawicowiec Gućzkow rozumie, że dynastia prześpiewała już swą pieśń. Dzienniki przytaczają masę szczegółów, wskazujących na carat, jako czynnik zdrady Rosji. Dziś dają folgę długo tłumionej nienawiści. Jeden z nich podaje obrazki zabytków z podpisami: „car — puszka“ nie strzela, „car—kołokol“ nie dzwoni „car Mikołaj II“ nie panuje. Wczorajsze hóstwo sponiewierane jest dziś przez tłum.

W dzień przewrotu dyżuruję w szpitalu. Ze stolicy nie nadeszły jeszcze pewne wieści. Jednak żołnierze już coś wiedzą: rozmowy, szepty, narady przeciągają się poza godzinę przepisaną. Czas iść spać. Nie słyhać jednak ani modlitw wieczornych, ani hymnu narodowego: „Boże cesarza chroń“. Nasłuchuję.. Cisza. A więc wiecie już, że cara niema? Skąd? Wszak w pismach nie było o tem wzmianki. Oficer dyżurny zmusza żołnierzy do śpiewania hymnu. Żołnierze protestują, niektórzy ulegają. Nad ranem zjawia się w szpitalu delegacja rewolucyjna i pociąga gorliwego chorążego pod sąd. Poraz pierwszy staje oficer przed sądem żołnierskim i uzyskuje przebaczenie, przyznawszy się do niewiadomości i przyjąwszy czerwoną kokardę na mundur. I oto armja, która miała ubóstwiać cara, zapiera się go zupełnie w ciągu dwu dni. Tylko dewoci, dewotki i popi płaczą dziś: całe życie modliliśmy się o zdrowie i pomyślność cesarza; o cóż teraz mamy się modlić?

1 Kwiecień 1917.

Niema końca manifestacjom. Miasto stroi się w barwy czerwone. Domy, pomniki, cerkwie, tramwaje, przechodnie mają jakąś oznakę rewolucyjną. Co chwila mknie samochód osobowy, lub towarowy z uzbrojonymi żołnierzami i czerwonym sztandarem. Nieraz jedzie pod strażą z obnażonemi pałaszami ja-

ki dostojnik z czerwoną podszewką do więzienia na Butyrki. Tasama podszewka, zawieszona na kij, wzbudzały zapal; wychylając się z pod szynela budzi gniew. Grupy manifestantów suną środkiem ulic ze śpiewem i sztandarami. Na płótnach szkarłatnych srebrzą się napisy: „Niech żyje wolność!“ „Precz z caratem!“ „Żądamy 8-io godzinnego dnia pracy!“ „Niech żyje Rzeczpospolita!“ „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!“ „Precz z wojną!“ i t. p. Roznosiciele gazet i dodatków nadzwyczajnych wykrzykują: „Rząd tymczasowy ks. Lwowa. Los rodziny cesarskiej! Areszt b. ministrów, pochwycenie Protopopowa, rozbicie i areszt policji i żandarmów, rozgromienie ochrony, wykrycie prowokacji, aresztowanie gener. Mrozowskiego...

Mrozowskij aresztowany! Ten postawny generał o wyglądzie szlachcica, w którym przed pół rokiem dopatrywałem się Wallenroda, oświadczył komisarzom rządu narodowego, że musi dochować przysięgi swemu cesarzowi!... O, jak zawodny jest wygląd zewnętrzny! Przeliczyłem się zupełnie, dopatrując się w tym generale działacza, budzącego nienawiść do caratu przez swe okrucieństwo. Jego postępowanie było więc tylko służalstwem stupajki. Typowy zaprzaniec, podobny do jednego z naszych sędziów, który na zapytanie Aleksandra III, jakiej jest narodowości, odrzekł: „niestety — Polak“.

Po paru dniach Mrozowski się rozmyślił i gotów był oddać się pod władzę nowego rządu. Snać zrozumiał, że to nie rewolucja 1906 r., którą można było uśmierzyć przy pomocy kozaków, wojska i obietnicy zwołania przedstawicielstwa narodowego. Przeliczył się, jak wielu prawicowców nietylko Rosjan, lecz i Polaków. Niestety było już zapóźno. Na dowodzącego wojskami wyznaczono pułk. Gruzinowa. A. Mrozowskij, uwolniony z więzienia, stracił swę po-

stawę rycerską i wygląda, jak po ciężkiej chorobie. Bo też cała czarna secina jest dziś, jak po ciężkim durze, czyli, jak się mówi, wyszła na durniów.

Podobny los spotkał Szebekę, generał-gubernatora moskiewskiego, również Polaka z pochodzenia. Miała to być istna hjena wojenna: powiadają, że sprzedawał mąkę z własnych młynów po cenach wygórowanych, a zapasy napływające rekwirował po cenie ustanowionej, potem zaś odprzedawał z zarobkiem. Wszelkie skargi pozostawały bez skutku. Dziś generał siedzi za kratą.

Cała Moskwa wyległa na ulice. Zwłaszcza przepelnione są bulwary. Manifestacje na każdym kroku. Niezgrabny pomnik Puszkina zdobią chorągwie czerwone i transparenty z napisami rewolucyjnymi. Z cokołu przemawia „towaryszcz“, obiecując złote góry wolnym obywatelom. Na „strastnym“ (namiętym) placu obok klasztoru żeńskiego, słynnego z namiętności, przemawia z konia pułk. Gruzinow do wielkiego tłumu. Słów nie słychać, choć głos jest doniosły. Jednak z gestów, z wyrazu twarzy mówcy i owacji ciżby widać, że skończyło się z caratem. Klasztor patrzy na ten niezwykle obraz martwołą ceglanych ścian i lekliwie zaryglowanych drzwi i okien. Z platformy samochodu robią zdjęcia kinematograficzne. Rozejdą się te filmy po całej Rosji, aby zawiadomić ją, że to nie sen, lecz rzeczywistość.

Z trudnością przeciskam się do pięknego pomnika Skobelewa, przybranego również w chorągwie czerwone. Znów stoi na cokole obok żołnierza z brązu mówca i prawi o zgniliznie caratu, o zasługach i cierpieniach socjalistów, proletariuszy, o nowym porządku, jaki teraz zaprowadzą.

— Witam pana, — odzywa się ktoś do mnie. Patrzą: pani Jętkiewiczowa we własnej osobie z trze-

ma córeczkami. Wszystkie przystrojone w czerwone kokardy.

— A kolor jego jest czerwony, — mówię, wskazując wstążki, — bo na nim robotników krew.

— A pan bez kokardy? — dziwi się pani J.

— Jestem czerwony od wewnątrz. Oznaki zewnętrzne są dla nowonawróconych na łono demokracji.

— Pan źle sądzi. Jestem szczerą demokratką.

— Narodową? Ta partja niema nic wspólnego z demokracją.

— O nie! Nasza partja nie jest wywrotowa. Ale my w drodze ewolucji osiągamy więcej, bo pielęgnujemy ducha narodowego, tradycje...

— Zajmujemy dobre posady, zdobywamy dla siebie przywileje, — ciągnę w tym samym tonie. — Ciekaw jestem, co też powie ksiądz L., gdy panią ujrzy z czerwoną kokardą?

— Z pewnością się ucieszy. Wszak pierwszym demokratą, nawet socjalistą był Chrystus.

— Znamy ten śpiew w chwilach kompromisów. Ale poza niemi N. D. zwalcza wszelki demokratyzm. Jednak dziś to jest niebezpiecznie. Najbardziej wywrotowe żywioły przychodzą teraz do głosu,

Po paru dniach spotykam panią Jętkiewiczową w szkole. — A gdzie kokarda czerwona? — pytam.

— Rewolucja to obraza Boska.

— Co za zmiana gwałtowna?! A może pani przeszła z wstążki na... bąbelki? — śmieje się, wskazując na dwie kulki czerwone przy staniku i domyślając się, że pani J. odbyła już konferencję z księdzem L.

— To guziki, — wyjaśnia p. Jętkiewiczowa

— Niech pani dorobi jeszcze pętelkę i będzie likwidacja demokratyzmu.

Pani J. broni się od posądzeń • sympatje dla

przewrotu, Nasi zachowawcy są w położeniu kłopotliwym, bo muszą udawać zwolenników rewolucji i przyjmować od niej nie tylko zapomogi, lecz, co gorsza, rozkazy. Jeden z pierwszych aktów nowego rządu to uznanie praw wszystkich narodów do stanowienia o sobie. Przeciwwstawiać się tym dobrodziejstwom byłoby błędem nie do darowania. A przemilczeć, że 27 Marca 1917 r. uchwaliła Rada Deputowanych żołnierzy i robotników odezwę o uznaniu niepodległości Polski wbrew życzeniu rządu tymczasowego, zwłaszcza Milukowa, i wbrew memorjałowi Koła polskiego, wręczonemu ks. Lwowowi dopiero 29 Marca, — byłoby ryzykowne. Ten doniosły akt, przesłany koalicji, przelicytował od razu manifest Niemiec i Austrii z d. 5 listopada 1916 r. i stworzył podstawę prawną wskrzeszenia Polski. O, jak przykro musi być naszym posłom do izb rosyjskich, że ten akt jest nie ich dziełem, jako partji N. D., nawet nie rządu tymczasowego, lecz najbardziej rewolucyjnej organizacji, która dopiero wypływa na widownię!

Zdawałoby się, że po uznaniu niepodległości Polski powinno Koło polskie złożyć od razu swe mandaty poselskie, zaznaczając w ten sposób, że nie wtrąca się do spraw obcego państwa. Koło mogłoby wziąć udział w pracach Komisji Likwidacyjnej, która została powołana przez rząd Kiereńskiego pod przewodnictwem mecenasa A. Lednickiego. Ale posłom jakoś niespieszno rozstać się z wygasłymi mandatami. Czyżby nie chcieli zostać bez poborów, a może sądzą, że ten przewrót nie ma zapewnionego jutra i że carat powróci?

Jestto jednak zgola niemożliwe wobec stanowiska, zajętego przez Lwowa, który pozostawił samorządom pełnię władzy, sprawowanej dotychczas przez państwo. Gubernatorzy zostali usunięci, a na ich miejsce mają samorządy wybrać zarządców.

Rząd centralny utracił odrazu cały wpływ i władzę wykonawczą i sam dostał się pod komendę nowej organizacji, Rady delegatów żołnierskich i robotniczych, która zawiązała się w Piotrogradzie w pierwszym dniu rewolucji. Z ramienia Rady wszedł do rządu Kiereński, jako minister sprawiedliwości, potem wojny. Za główne swe zadanie uważał on przemawianie publiczne do tłumu w duchu rozwoju rewolucji. Ten posiew dał szybko plon: najbardziej ucieszone dotychczas warstwy społeczne, dla których wyrocznią był... policjant, poczuły się teraz powołanymi do wyrokowania o sprawach państwa. Tego rozmachu koła rozpędowego nie powstrzyma byle jakaś grupka teoretyków.

15 kwietnia 1917.

Miesiąc swobód obywatelskich spowodował ogromne zmiany w całym życiu Rosji, przede wszystkim w armji. Żołnierz przestał być „niżnim czynem“ w myśl rozkazu No. 1 i zdobył prawa obywatelskie. Może nie salutować oficerowi, może palić papierosy na ulicy, chodzić do miejsc publicznych nawet z ręką z kobietą ze świata i półświata. Co za cios dla Bogdanowa! Przed dwoma miesiącami skazał on żołnierza z komendy na kozę, bo spotkał go na ulicy pod ręką ze swą kucharką. Dziś ten żołnierz ma prawo paradować z bliższą sercu Bogdanowa kobietą. Ma nawet przywilej jeżdżenia bezpłatnie tramwajami, czego nie posiada „towaryz” oficer, bo tak postanowiła Rada delegatów. Kiereński przykładą czynną rękę, a właściwie — język, do przekształcenia żołnierza na wolnego obywatela. Przemawia on do armji na froncie w takie słowa: „Najwolniejsi żołnierze świata! wszak waszym obowiązkiem jest wskazać światu, że podstawą, na których opiera się obecna wasza armja, są najlep-



sze. Czyż nie dowiedziecie innym monarchom, że nie pięść lecz rady żołnierskie stwarzają najlepszą armję?

Bogdanow przystosowuje się po mistrzowsku do nowych warunków, zwłaszcza od chwili, kiedy komenda poturbowała Szumskiego a potem oddała go w ręce Rady za nieprawne zajmowanie się... dentystyką. Co za gwałt! Tyle lat wybijał żołnierzom zęby i... nikt ani pisnął. A teraz na starość odzwyczaj się od nałogu, bo i sam masz jeszcze kilka zębów. Zapomniawszy o czerwonej podszewce, Bogdanow kokietuje żołnierzy, jak stara wdowa młodego studenta. A że największym rewolucjonistą jest żąładek, B. zagląda często do kuchni żołnierskiej, próbuje publicznie potraw z kotła, robi swe uwagi kulinarne, zezwala na dodatki, których dawniej zabraniał, daje rozporządzenia co do produktów i stara się przekonać żołnierzy, że ich żywienie leży mu bardzo na sercu. Podczas rozmów z żołnierzami nie żąda już: „ruki poszwam“. Kwituje z prewoschoditelstwa, zadawalając się współczesnem: „panie lekarzu główny“. Nie rewiduje już szuflad i stolików chorych, nie zagląda im pod poduszki ani pod łóżka, nawet pozwala na palenie tytoniu na salach wbrew mojemu zakazowi, zaleca też wbrew mnie wino. Od tykania żołnierzy odzwyczaił się generał tak szybko, jak gdyby nigdy nie był dotknięty tym nałogiem. Ale żołnierz nie w ciemię bity śmieje się z tej metamorfozy, dowodzącej niebyłe sprytu i zdolności aktorskich.

W stosunku do nas B. śpiewa o ton niżej. Zrzekł się nawet roskoszy raportów. Natomiast poleca manifestacyjnie uwzględniać życzenia żołnierzy zwłaszcza co do urlopów. Nawet żołnierze komendy są zwalniani teraz gromadnie, choć dawniej urlop dostawał tylko obłożnie chory. Mistrz karjery kokietuje i sfery wyższe. W pierwszych dniach rewolucji stawił się w radzie miasta i komisjaracie, gdzie wyraził zaufa-

nie do rządu tymczasowego i prosił o powołanie do przysięgi swych podwładnych. Jakoż niebawem musieliśmy ją składać przed księdzem w obecności B. Rota przysięgi brzmiała tak średniowiecznie, że wzbra-  
niałem się ją podpisać.

Powstają rozmaite związki i stowarzyszenia woj-  
skowe, rewolucyjne, republikańskie, lekarskie i t. p. Bogdanow bywa na posiedzeniach, zabiera głos, wkrę-  
ca się przez swych zauszniaków, zwłaszcza Rachmo-  
nowa, do prezydium i robi wrażenie człowieka do-  
świadczonego, wyrobionego, nieskazitelnego.

W wielu instytucjach wojskowych zaczęły się po-  
rachunki z dawnymi gnębiicielami. Pytam więc kole-  
gów, czy nie czas i na nas? — Siedzmy cicho, bo nas  
rozpedzą, — mówią. — Siedzmy cicho — modyfikuję, —  
to nas rozpedzą.

Oto przyszło zapytanie, którzy lekarze nie byli  
na froncie, i nakaz, by ich tam skierować. B. odpowia-  
da, że szpital Ujazdowski był pierwszy rok wojny  
w obrębie działań wojennych. Ale ta odpowiedź nie  
zadawała Okręgu. Zbieramy się na specjalną naradę,  
która ma wskazać ofiary dla Minotaura. Jako kryterja  
wysuwam stan zdrowia, wiek i położenie rodzinne.  
Bogdanow obstaje przy randze, zajmowanem stano-  
wisku, specjalności i konieczności danej osoby dla szpi-  
tala. Pokazuje się, że najmłodszy jest Rachmanow, że  
stan zdrowia, ani warunki rodzinne nie przeszkadzają  
jego wyjazdowi na front, ale, zdaniem B., jest.. nie-  
zastąpionym specjalistą(II) i nie może być dlań odpo-  
wiedniego stanowiska wobec rangi radcy stanu.

— Tak było za caratu. Dziś jest i naczej, —  
mówię.

Kilku kolegów 50-cio letnich musi poddać się  
badaniu komisji lekarskiej. Paru uznaje zgromadzenie  
za niezdatnych do służby na froncie. Ale i to nie  
przekonywa kolegów, że trzeba wystąpić czynnie prze-

ciw Bogdanowowi, który zaczął, nam dopiekać. Podczas ostatniej wizyty, gdym mu tłumaczył, że nie mogę dyżurować co 4, dni B. radził mi, bym się przeniósł dokąd indziej.

— Co do mnie mam nadzieję, że pozostanę tu do końca wojny, — odpowiem, patrząc prosto w oczy i robiąc długą pauzę po: „mnie“.

Była to przepowiednia mniej dobitna, niż ks. Piotra doktorowi u senatora, ale zawsze przepowiednia. Nazajutrz zwołano w szpitalu naradę pod przewodnictwem Ławiagina. Odczytano uchwałę komendy, żądającą usunięcia Bogdanowa, Szumskiego i urzędnika Emiljanowa. Zredagowaliśmy odezwę do inspekcji okręgowej i wysłaliśmy delegację z poparciem żądań żołnierzy.

— Mamy dziś 1 kwietnia — powiadam na zakończenie. — Takiego prima Aprilis Bogdanow jeszcze nie miał.

W tej chwili dwonek oznajmił przyjazd zdezonizowanego generała. Lekarz policyjny B. poszedł z ostatnim raportem. Swój do swego. Raport kończył się sakramentalną formułą: „żadnych wydarzeń nie było“. O jak kłamliwe są raporty! W życiu Ujazdowa była ranna uchwała czynem Krakusa w grocie na Wawelu, lub Tazeusza w Labiryncie.

W godzinę potem wezwał nas Bogdanow na naradę. Byłem zdania, aby nie pójść. Jednak koledzy mnie przegłosowali. Zjawiamy się w gabinecie. Strącone przewoschoditelstwo siedzi przy biurku, pijąc herbatę z miną filozofa. Wie już o uchwale, lecz nie daje poznać po sobie. Oficer dyżurny komunikuje właśnie skargę żołnierzy, że zmniejszono im porcję chleba. Generał wzywa Łoktiewa, który drecpcze zmieszany.

— Wszak zakazałem robić takich oszczędności?

— Brak nam chleba — tłumaczy się Łoktiew.

— Wezwij pan pułkownika Szumskiego.

Łoktiew wychodzi i pochwili wraca z Szumskim, zgnębionym, ledwo włóczącym nogami. Twarz mu zapadła, żandarmskie oczy przygasły, głowę zwiesił, jak pies z nogą przetrąconą.

— Wydać chleb dodatkowo! — poleca B.

— Słuszajus — odpowiada Szumski.

Zaczynamy posiedzenie. Chodzi o wybór delegata do okręgowego związku lekarzy. Bogdanow chciał się tam dostać. Dziś stracił nadzieję, ale pragnąłby mieć tam kogo ze swoich. Rachmanow oświetla ważność wyboru i proponuje, aby wybrano kogoś, obznajmionego dokładnie z prawodawstwem, więc zawodowego lekarza wojskowego. Co do formy zaleca rozdanie ostemplowanych kartek i zebranie głosów nazajutrz. Oponuję przeciwko obu propozycjom.

— Gdy chodzi o obowiązki, uważa się nas za lekarzy wojskowych, wkłada na nas najcięższe czynności i wyznacza najgorsze stanowiska. Jesteśmy obowiązani znać prawodawstwo, z którym zaznajomiliśmy się dostatecznie w ciągu trzech lat. Zresztą dziś jest to już tylko zabytek archiwalny. Niema więc podstawy do wysuwania wojskowych zawodowych. A formę wyborów uważam za niewłaściwą: kartki pieczętowane nie dają żadnej rękojmi. Wyboru możemy dokonać zaraz.

Bogdanow poddaje wnioski pod głosowanie. Mam większość za sobą. Ale B. nie uznaje jej. Żądam 5 minut przerwy w celu porozumienia się i wyjaśniam kolegom, że dziś możemy wybrać naszych kandydatów, a jutro Rachmanow wyrze wpływ na uleglejszych, aby głosowali za nim. Uchwalamy głosować na Ławiagina i Zurakowskiego. W tej chwili wchodzi Rachmanow i Łoktiew i przemawiają przeciw memu stanowisku. R. oburza się, że go nie zawiadomiono o rannem zebraniu. Koledzy dają odpowiedzi wymijające, że zebrał się przypadkowo,

że uchwał nie było, tylko przyjęcie postanowienia komendy...

— Jest to czyn niekoleżeński, — woła R.

— Koleżeńskich czynów dotychczas w naszym szpitalu nie było — odpowiem.

— Takie sprawy muszą być rozważane przez całe gremjum. Inaczy uchwały są nieważne.

— Naradzała się grupa kolegów, mających do siebie zaufanie — odpowiem. — Reszta lekarzy może się podpisać pod naszą uchwałą, a jeżeli tego nie uczyni, nie będziemy mogli pracować nadalrazem.

Rachmanow zrozumiał położenie i niebawem przyłączył się do grupy kolegów, mających do siebie zaufanie. Dodał jednak uwagę, że potrzebne są zmiany w administracji szpitalnej, zostawiając na wszelki wypadek furtkę, że nie dotyczy to przyjaciela i protektora Bogdanowa.

— Nim słońce dojdzie do zenitu, zaprzysz się mnie, profesorze! — może teraz powiedziec Bogdanow.

— Staraja chleb — sol zabywajetsia (zapomina się o dawnych łaskach) — odpowie ci doświadczony ktitor. Tak to z dwu tonących każdy zgodzi się, aby ten drugi został topielcem, byle samemu wypłynąć.

Wracamy na posiedzenie. Głosowanie jawne daje większość za mojami wnioskami. Przeciw nim głosuje tylko czterech radców stanu. Przy głosowaniu tajnem zostają wybrani nasi kandydaci. Bogdanow i Rachmanow dostają po jednym głosie. Rozchodzimy się bez pożegnań. Bogdanow udaje zajętego układaniem protokołu. Rachmanow kręci się przy nim z obliczem Judasza, mającego już w kieszeni srebrniki. Łoktiew ma mętny wyraz oczu, jak ten, który: „kryczyt karauł” (wzywa policji). Erykson wykonywa rękami swe zwykle ewolucje z przyspieszonym tempie. „Taki miał przebieg ostatni zajazd na Litwie” — dźwięczy mi teraz w uszach. — Takie było ostatnie posiedze-

nie z Bogdanowem... A może nie ostatnie? Może on wróci, by dokonać z nami porachunków? Nie! To być nie może! Chyba że carat zmartwychwstanie i wybaczy swoim czarnosecińcom, że przywdziali maski, aby ratować siebie i pracować potajemnie nad przywróceniem dobrych czasów dla czynownika, popa i „istinno ruskowo”. Ale to niemożliwe. Sprawy posunęły się zbyt daleko...

Sic transit gloria Bogdanowi... Tak propał generał. Prostożół żołdat jego pragnał. (Tak zginął generał. Wygnał go zwykły żołnierz).

1 Maj 1917.

Rozmach życia jest szalony. Stare formy załamują się i zapadają. Wyrasta nowe życie. Zgięty i pokorny poddany przekształca się na wolnego obywatela. Powstają kółka oświatowe, towarzystwa, związki, o jakich za caratu nie było mowy. Każde z nich ma zupełną swobodę działania, byle było jawne i nie popierało wstecznictwa.

Wśród tych instytucyj społecznych powstaje szeregi o charakterze wojskowym, między innymi Związek Wojskowych Polaków Okręgu Moskiewskiego. Grupka ludzi z rozmaitych oddziałów, umiejscowionych w Moskwie, krząta się przy zainteresowaniu rodaków sprawą skupienia ich w oddzielnych formacjach. Na kilku wiecach w wielkich salach kinowych od początku kwietnia gromadzi się po parę tysięcy Polaków w mundurach rosyjskich. Przewodniczy młody chorąży Zarębski, ruchliwy, szybko się orientujący, energiczny. Mówi bardzo źle po polsku, gorzej od przeciętnego kresowca. Jest to osobistość nieznaną, podobno obywatel z Podola. Ujmuje rzecz zupełnie dobrze: chodzi o to, by Polacy nie byli rozproszeni wśród rozmaitych narodowości w armji rosyjskiej, lecz skupili się oddzielnie. Na ten temat zaczyna się obszerna rozprawa. Zasada uznana jest za słuszną.

Jednak odrazu zjawia się pytanie, czy to ma być armja polska, czy też tylko zgrupowanie wysiedleńców, które zabezpieczyłoby ich od wpływów środowiska i ułatwiło powrót do kraju. I oto zaznaczają się dwa odrębne programy, wynikające z dążeń partyjnych. Za wojskiem, które ma wkroczyć na ziemie polskie i stoczyć walną bitwę z Niemcami, przemawiają przedstawiciele N. D. Przeciw odrębnej armji czynnej wypowiadają się żywioly demokratyczne, wskazując, że armja może powstać tylko we własnym kraju, że jej uzbrojenie i zaopatrzenie jest niemożliwe na obczyźnie, że Niemcy poradziliby sobie łatwo ze źle zorganizowanym wojskiem, że Rada Regencyjna znalazłaby się w trudnych warunkach. Powszechni mówcy wypowiadają się stanowczo z zasady przeciw wojsku, jako ostoji imperjalizmu i ucisku.

Jeden z żołnierzy opowiada, że ma suchoty w ostatnim stopniu, jednak gotów jest w tej chwili wstąpić do szeregów w obronie ojczyzny. Sala jest zachwycona i wstrząśnięta do głębi. Ja zaś czuję w tem teatralność, bowiem gruźlik jest tylko ciężarem dla wojska, a nigdy siłą twórczą. Mam wrażenie, że jest to osobnik, walczący w imię tylko programów stronnictwa, lecz niezdolny unieść miecza w obronie Ojczyzny.

Wiec kończy się uchwałą, że Polska powinna być wolna i zjednoczona. Do tej uchwały dodaje uzasadnioną poprawkę, że Polska winna być demokratyczna. Poprawka zostaje przyjęta. Jeden z mówców żąda, aby była socjaldemokratyczna.

Następny wiec jest organizacyjny. Wstęp mają tylko delegaci rozmaitych instytucyj, jednak uczestniczy masa osób postronnych. Jestem przedstawicielem szpitala Ujazdowskiego. Zaczynają się znowu przemówienia na temat wojska polskiego i przeciw niemu. Por. Matuszewski sprzeciwia się sporom i or-

jeńtacjaom i wznosi okrzyk: „Niech żyje generał Piłsudski”! Sala przyjmuje ten okrzyk oklaskami. Po długich, jałowych gawędach odczytuje chorąży Bisping projekt statutu Związku Wojskowych Polaków. Jako cel Związku wysunięta jest: realizacja niepodległości Polski, co przekracza siły nietylko Związku i wszystkich podobnych organizacyj polskich, lecz całego naszego wychodźstwa wojennego i przedwojennego. Proponuję więc dodatek słów: „Współdziałanie w...” Zostaje on przyjęty. I znowu pominięto tu uchwalony uprzednio dodatek do Polski: „demokratyczna”. Przypadkowo, czy celowo?

Następny paragraf mówi o zadaniach Związku. Mają one polegać na łączeniu się poszczególnych organizacyj wojskowych, wzajemnem ich wspieraniu się, rejestracji Polaków w armji rosyjskiej, szerzeniu oświaty, tworzeniu jednostek i oddziałów samodzielnych wszystkich rodzajów broni. Do tego paragrafu przyklejono zdanie: „Związek jest bezpartyjny”. Proponuję wyodrębnić je, albo połączyć z pagrafem 1. Projekt wymaga gruntownych zmian redakcyjnych i programowych, czego niemożna wykonać w tak liczmem gronie, ponieważ uczestnicy wnoszą szereg nierzeczowych uwag.

Przy rozprawach o szpitalnictwie wojskowem zaznaczam, że jest to jedno z zadań, które możnaby wypełnić odrazu. Najcelowiej byłoby zażądać oddania szpitala Ujazdowskiego, w którym możnaby roztoczyć opiekę nad chorym żołnierzem polskim, nad inwalidami i jeńcami. Ten szpital powinien wrócić z całym mieniem do Warszawy. Lekarzy rosjan możnaby przenieść, a do Ujazdowa zabrać naszych. Wniosek przyjęto jednogłośnie i proszono mnie o prace przygotowawcze.

Po odczytaniu dalszych paragrafów statut zostaje w zasadzie przyjęty, a przyszła Rada ma zająć



się jego zatwierdzeniem. Przy wyborach z zawczasu ułożonej listy przechodzą następujące osoby: generał Latour, pułk. Kiewnarski i Konosewicz, drzy: Mikłaszewski i Sobański, inżynier Ossowiecki, ks. Bujewicz, kap. Borkowski, podpor. Liebiech, chorążowie: Bisping Zarębski, Milkowski, Jakimowicz i Szpindler, żołnierze: Przemyski, Wasilewski, Kozłowski, Wierzejewski, Sikorski, Siarkowski, Pierzycki, junker Orleański, urzędnicy: Dybczyński, Pieńkowski, Górski i formaceuta Monikowski. Rada ma się zebrać nazajutrz w Domu Polskim. Akurat wypada mi dyżur, Proszę więc kolegę Daneckiego, aby mnie zastąpił. Po usunięciu Bogdanowa jest to dziś możliwe. Rada zbiera się z opóźnieniem i nie w komplecie. Nie znam nikogo z obecnych, bo nie stykaliśmy się z sobą poza kilku wiecami. Na prezesa powołujemy generała Józefa Latoura, na v-prezesów chorążych: Bispinga i Zarębskiego, d-ra Sobańskiego i żołnierza Wasilewskiego. W szeregu wydziałów stoi na pierwszym planie kulturalno-oświatowy. Zarębski proponuje miejscowego kapelana, ks. Bujewicza, na przewodniczącego. Zebranie przychyliła się do wniosku; ks. B. zgadza się pod warunkiem, że oświata będzie prowadzona w duchu katolickim. Rada uznaje to za nieulegające dyskusji.

— A czy mniejszości wyznaniowe będą wzięte za nawias? — pytam, zaskoczony tą uchwałą, nieodpowiednią nie tylko ze względów zasadniczych, lecz przede wszystkim — na duch okresu.

— Polacy są w przeważającej liczbie katolicy — odpowiada Zarębski — więc oświata musi być katolicka.

Zaniechałem dyskusji. Lecz oto ks. B. mówi: — Socjalizm zyskał prawo państwowe. Walka z tą zarażą będzie trudna.

— Poradzi sobie z nim ksiądz — zapewnia p. Wasilewski. — W „przeszłą rewolucję“ zwraca się do

nie proboszcz, jako że należę do organizcji(?), o radę, co począć z socjalizmem, który się szerzy, jak choroba. Powiadam: weź proboszcz pod sutannę, krucyfiks, wyjdź do ludu, przemów, potem wyjmij nagle krzyż i krzyknij: Na kolana! Chrystus przelał za was krew! — Ksiądz zrobił, jak mu kazałem i socjalizm wzięli djabli.

Ten zwrot demagogiczny podobał się Radzie. Mnie przejmuje dreszcz na myśl, jakimi drogami ma zamiar kroczyć wydział kulturalno-oświatowy. Wszak dziś nie oddziała się takimi sztuczkami na żołnierza, który szłyszcy na każdym kroku o obowiązku niszczenia starych porządków. Nie zaciągam się więc do czynności określonych. Przyjrzę się naprzód członkom Rady. A gdyby jej działalność miała być nacechowana wstecznictwem, wystąpię. Nie na to pracowało się przez całe życie w duchu podźwignięcia kultury rodaków, by dziś na wygnaniu powrócić do metod średniowiecznych. Czy my naprawdę jesteśmy wszechzłoty, czy też te żywioły starają się zająć wszelkie powstające placówki?

10 Maj 1917

Przeminęły trzy krytyczne dni: 1, 3 i 8, wzbudzające w Królestwie zawsze poważne obawy. Ale rok bieżący zdjął kajdany ze wszystkich tych rocznic. 1 Maj święcono z wielką ostentacją pomimo zawiei śnieżnej i błota. Pod Kremlem gromadzą się setki pochodów i wyruszają stąd na miasto ze sztandarami i orkiestrą. Wśród sztandarów są i amarantowe z polskimi napisami i godłami ku zgorszeniu N. D. Jako kontrdemonstrację postanowiono urządzić pochód w d. 3 Maja z udziałem uczniów, którzy mają zebrać składkę na sztandary. Jednak po długiej dyskusji odwołano pochód. N. D. stara się opanować

młodzież szkolną i zaszczepić jej przekonanie, że poza tą partją niema polskości, że inne partje są zbiorowiskiem zaprzańców, dążących do zburzenia podstaw moralności i życia społecznego. Jaka jest moralność N. D., zostało zdemaskowane na zjeździe nauczycielstwa polskiego. Pan Ewert odczytał tam ustępy z kursu ks. Lutosławskiego, nacechowanego iście średniowieczną nietolerancją, żądającą na heretyków kary śmierci. Cały kurs jest zbiorem absurdów i obskuranckich dowodzeń, opartych na metafizyce i scholastyce.

Wśród nauczycielstwa szkoły C. K. O. nie odważył się nikt poruszyć tych zagadnień na radzie pedagogicznej. Najbardziej oburzał się pastor Tosjo, ale nie chciał jako heretyk występować jawnie. Namawiał mnie. Nie liczę jednak na poparcie nauczycielstwa, które obawia się o swe stanowiska, uważa się za niekompetentne w rzeczach religij i nie chce uznać jej za przedmiot, wykładany w szkole, który powinien być uzgodniony z ogólnym kierunkiem wychowania.

Rok szkolny zbliża się ku końcowi. Uczniowie mają być promowani bez egzaminów na zasadzie stopni. W szkole C. K. O. są ciągle tarcia pouchwale Zjazdu nauczycielskiego, polecającej obieralność dyrektora i nieusuwalność nauczycieli bez decyzji rady pedagogicznej. Kulwieć nie chce poddać się tej uchwale, choć otrzymał zapewnienie, że będzie wybrany. Zasmakował w dyrektorstwie, nie razi go nominacja z woli braci L. K. nie chce jej oddać na niepewne flukta głosowania i stawia nauczycielom, zaproszonym na rok następny, warunek, aby nie poruszali tego pytania. Część nauczycieli zażądała rozważania na najbliższem posiedzeniu kompetencyj rady pedagogicznej. Kulwieć zwłóczył i uważał to za zamach na swą władzę, pochodzącą wprawdzie nie

wprost od Boga, lecz przy pośrednictwie braci L. Oporni nauczyciele postanowili odbyć zebranie w razie dalszej zwłoki bez dyrektora. — Wyniki nauki szkolnej są naogół marne. Wielu nauczycieli nie stoi na wysokości zadania, uważając uległość wobec władzy za najważniejszą. Pozatem masa świąt, przerw z powodu mrozów, zepsucia się kaloryferów, chorób czynią naukę niesystematyczną. Między innymi była dłuższa przerwa z powodu czapek wskazanego kroju, w które chłopcy nie zdążyli się zaopatrzyć, więc za karę duża grupa została usunięta do czasu, kiedy rodzice zdobędą się na ten nieprzewidziany wydatek. Uczniowie nie doceniają powagi chwili. Prędko się przystosowali.

25 Maj 1917

Wciągu dwu miesięcy, stopniały urządzenia caratu. W pałacu generał-gubernatora mieszczą się dziś rozmaite instytucje w Kremlu w pałacach cesarskich — zgromadzenia rewolucyjne, wśród których i jest nasz Związek Wojsk. Polaków. Cyrkuły przerobiono na komisariaty milicji. Sale uniwersytetu i innych wyższych uczelni są miejscem nieustannych wieców, narad, zjazdów, które stawiają rządowi swe żądania i stwarzają nowe kierunki.

Możnaby sądzić, że poddany cara przeobraził się błyskawicznie na obywatela kraju. Dość jednak przyjrzeć się tym ludziom, aby się przekonać, że są oni tylko przemalowani na inny kolor, a istota ich pozostaje niezmienna. Żołnierz jest podawnemu ciemny i niekulturalny; dowiedział się od agitatorów, że kto przewyższa go oświatą, rozumem, zamożnością — ten jest burżuj nienawistny, żywiący się krwią i potem ludu. Taka uproszczona orientacja prowadzi do zakłucenia wszelkich stosunków społecznych. W szpi-

tału zaginęła zupełnie karność. Niema odzwierne go przy drzwiach, telefonisty przy aparacie, posługaczy i dozorców na salach. Chorzy wychodzą samowolnie na ulicę w szlafrokach i pantoflach szpitalnych. Na salach aż ciemno od obłoków dymu tytoniowego. Karcjarstwo trwa od rana do późnej nocy pomimo przestróg i napominań. Chorzy żądają poprawy żywienia, choć jest ono obecnie zupełnie dobre. Chleb, którego brak w mieście, sprzedają, natomiast dopominają się o dodatki. Nieraz żołnierz ma pretensje do doktora, że go źle leczy.

— Felczer dawał mi proszki, — poucza mnie szewc, — było mi lepiej, a pan daje mi lekarstwo, które nie usuwa mi kaszlu.

— To samo lekarstwo można dać w płynie, lub proszkach, a usunięcie kaszlu to nie wyleczenie choroby, lecz nieraz jej wywołanie.

— Niech mi pan da proszki, bo poskarżę się delegatom.

— Tak pan zmądrzał? A cóż byś powiedział, gdybym cię pouczał, jak szyć buty?

— Od butów wara! — woła szewc.

Niejeden chory spędza na mieście dnie i noce i zjawia się tylko na obiad. Jest się bezbronnym. Najhardziej zachowują się żydzi. W niektórych szpitalach usunęli chorzy kilku lekarzy. Praca w tych warunkach jest trudna i przykra. Toteż większość kolegów patrzy przez palce na wszystko. Nawet przewoschodicielstwa ściskają dziś rączki felczerów i delegatów, rozciągających dozór nad przygotowaniem, rozdawaniem jedzenia i biorących udział w komisjach lekarskich.

„Złe jest wielowładztwo. Rządź sam, — poucza Homer. Współczesność zaprzeczyła celowości władzy jednostkowej zwłaszcza nieograniczonej, szczególnej wraze jej ograniczoności. A jednak ochlokracja jest

okropnością. Przerzucanie się od jednej ostateczność do innej nie jest postępem. To też łatwo jest dziś przemawiać, czy za caratu nie było lepiej? A tak pragnęliście go obalić! Oto powstały komitety domowe. Mają czuwać nad porządkiem, czystością, bezpieczeństwem, mają zaopatrywać mieszkańców w chleb, mleko i inne produkty. Myśl słuszna.

A wykonanie?

— Czemu pan nie był na zebraniu lokatorów? — pyta mnie tonem komisarza policji mizerny funkcjonariusz kolejowy. — Niech pan podpisze protokół.

— Nie byłem bo uważam siebie za chwilowego mieszkańca Moskwy. A podpisać nie mogę, bom nie byłem.

— Jest Pan obywatelem wolnej Rosji, więc nie masz prawa uchylać się od obowiązków obywatelskich.

— Jestem obywatel wolnej Polski: swoją obecnością nie chcę krępować panów; dowiedzieliście się do, piero dziś, że śmietnik pod oknami jest szkodliwy — choć walczę o jego usunięcie bezskutecznie od chwili zamieszkania. Miewam po parę posiedzeń na dzień, więc nie mam czasu bywać na waszych. Zresztą radą gotów jestem zawsze wam służyć. Delegatem jest Fiodorow. Czy ma on odpowiednie przygotowanie?

— W wolnej Rosji każdy obywatel jest równy. Dziś my sprawujemy władzę.

— Życzę powodzenia — odpowiem, rozumiejąc, że ci nowi obywatele uważają po dawnemu władzę za przywilej, a nie za trudny obowiązek, wymagający rzetelnego przygotowania. Na urząd do „Prywislania“ było główną kwalifikacją prawosławie. Ale i w Rosji załazili czynownicy za skórę ludności. Poddani pogodzili się, że bez łapówki niemożna nic załatwić, a im

wyższy urząd, tem dochody postronne są większe. Po przewrocie nie uległo zmianie to przświadczenie.

I polscy żołnierze, robotnicy i rzemieślnicy shar-dzieli. W Związku W. P. wypada wysłuchiwać nieraz zabawnych przemówień, jak gdyby niemowlę mogło rozwiązywać najbarłziej zawiłe stosunki społeczne i państwowe z natchnienia, jak... pieluszki. Takimi niemowlętami bywają nieraz chorążowie. Są to wojacy przeważnie z kilkoklasowem wyśzkoleniem. W Związku wodzą oni rej i są zespeleni jakimiś umowami, bo głosowanie wypada zawsze po ich myśli, wbrew najbarłziej przekonywającej argumentacji. W ten sposób zdarza się, że należę często do nielicznej opozycji, albo że na jednym posiedzeniu zapada jedna uchwała, a na drugim — inna.

Oto Zarębski zaproponował, aby nasz wydział kulturalno-oświatowy, dotychczas nieczynny, połączył się T-wem Żołnierza Polskiego, założonem przez N. D. i prowadzonem przez ks. Lutosławskiego. Byłoby to niezgodne ze statutem, ponieważ do Związku mogą należeć tylko wojskowi. Ten rygor można by obejść, zapisując członków T-wa na członków popierających. Ale oni nie chcą się na to zgodzić, bo składka członkowska wypadłaby po 25 rb. rocznie. Z zasadniczych względów jestem przeciwny połączeniu się, ponieważ obowiązuje nas bezpartyjność.

— Gdzie występuje ksiądz L. zjawja się partyj-nictwo.

— Nie obawiam się księdza L. — zapewnia Zarębski. — Jest to dzielny człowiek. cieszący się uznaniem.

— W pewnych sferach. — poprawiam — I ja nie należę do lękliwych. Pracując z nim w paru instytucjach, poznałem go o tyle, że nie życzę sobie spotkać się z nim tutaj.

Żołnierze Wasilewski i Przemyski, junker Orle-

ński, urzędnik Pienkowski powtarzają za Zarębskim frazes, abym się nie bał księdza L.

— Nie boję się nietylko jego, lecz znacznie potężniejszych osobistości. Jednak przeciwny jestem wprowadzeniu do Związku bezpartyjnego osób z obliczem stronnictwem, aby nie wywoływać tarć. Niedawno na posiedzeniu T-wa nauczylskiego musiałem walczyć z księdzem L., który chciał stworzyć klikę nauczycielską pod pozorem jednolitego doboru personelu.

Pomimo nalegań Zarębskiego i jego popleczników zostaje odrzucony wniosek połączenia się z T-wem Żołnierza. A to skłania mnie do pozostania w Związku.

10 Czerwca 1917.

Wrzenie w szkole nie ustaje. Na posiedzeniach wychowawczych wysuwa się coraz częściej pytanie co do kompetencji rady i żądanie opracowania regulaminu. Najbardziej drażni nauczycieli to, że część ich została zaproszona na rok następny, kilku postawiono zastrzeżenia, a o reszcie przemilczano zupełnie. Wobec tego, że wymówienie powinno być uskutecznione przed 1 Maja, wszyscy nauczyciele stoją na gruncie że pozostają na rok następny. Jan Lutosławski i Kulwieć wykręcają się, lecz są pobijani na każdym kroku. Wobec zaproszenia kilku nauczycieli wyglądają nieszczerze argumenty, że nie wiadomo, czy się wojna nie skończy czy szkoła nie będzie przeniesiona bliżej frontu, czy uda się utrzymać lokal na zaułku Milutyńskim i t. p.

Po wałkowaniu sprawy na kilku posiedzeniach wyjaśnia się, że p Kulwieć obstaje przy usunięciu trzech nauczycieli zamiast stawianych poprzednio siedmiu. Motywów nie podaje, lecz rozumiemy je dobrze, bo są to koledzy, stanowiący główną opozycję. Rada nie uznaje takiego stanowiska i postanawia opracować regulamin. Do komisji zaprasza Kulwiccia, który wyma-



wia się brakiem czasu, lecz wreszcie zgadza się przejrzeć elaborat komisji. Jako zasada zostaje ustalone, że rada pedagogiczna jest najwyższą instancją w szkole i że usunięcie, lub zaproszenie nauczyciela nie może się odbyć bez niej.

Spory w tej sprawie są bardzo burzliwe. Jan L. i Kulwieć, podtrzymywani przez księdza L., chcą być wszechwładnymi pracodawcami. W tym samym duchu przemawia pani Jętkiewiczowa, pastor Tozjo i p. Elwertowski. Na to stanowisko naciera p. Leśniowski, ścisły logik, pp. Antosiewicz, Szymański, Vorbrot i Klimowicz. Zwycięstwo moralne jest po stronie nacierających. Ale siła materialna szafarzy grosza publicznego czyni ich pozycję obronną. Pod tą osłonę chronią się przedewszystkiem ci, którzy uważają szkołę za źródło swego utrzymania. Pozoruje się to rozmaicie. Jedni wzywają wprost do zgody i uległości wobec „władzy“, drudzy boją się, aby szkoła nie upadła, inni bronią niesłusznie napastowanych swych przyjaciół, dyrektora i p. Jana. Jeden głos dowodzi, że zwykły nauczyciel nie może dorównać dyrektorowi. Opozycja liczy 19 głosów, a zwolennicy uległości 9 do 12. Jednak nad uchwałami przechodzi się do porządku.

Lecz oto pomiędzy p. Kulwieciem, a Janem L. wywiązuje się spór, z którego wynika, że przynajmniej jeden ze sprzymierzeńców kłamie w żywe oczy. Wyzyskuje to p. Leśniowski z dużą dozą humoru. Kompanja oświeciła się bezprzykładnie. Jednak na tem nie koniec: nauczyciele żądają dodatków drożyznianych, przyznanych w szkołach K. P. I znowu zaczynają się spory i ubolewania nad brakiem funduszy. Nie otrzymawszy odpowiedzi kategorycznej, opozycja postanowiła zwrócić się do St. Grabskiego w Piotrogrodzie.

Gwoli rozbicia opozycji zaprosił Jan L. część

nauczycieli do swego mieszkania na naradę, której chciał nadać charakter rady pedagogicznej. Jednak ten wybieg nie powiódł się, a nawet oburzył kilku nauczycieli obojętnych. Wobec tego urządzono jeszcze jedno zebranie w szkole. Kierunek pojednawczy zaczął przeważać. Gdyby p. Kulwieć cofnął żądanie usunięcia trzech nauczycieli, a przynajmniej przekazał to żądanie radzie, nastąpiłoby pogodzenie. Jeden niepewny opozycjonista, P., który miał być początkowo usunięty, lecz został.. ułaskawiony, wystąpił z wnioskiem wyrażenia Kulwieciowi zaufania. Spotkał się też z ostrą odprawą. Opozycja opuściła zebranie, a zaufanie wyraziło 11 osób: p. Kulwieciowa (mężowil), ks. Lutosławski, pastor Tosjo, p. Elwertowski, pani Jętkiewiczowa, p. Tyszkowa, Polańska, Dąbrowski i Denter.

Opozycja zebrała się w kancelarji. Po chwili zjawił się P., niefortunny wnioskodawca. Powiadam doń:

— Dopóki był pan na liście usuniętych, trzymał pan z nami, gdy zaś zdjeliśmy z pana banicję, jesteś przeciw nam?

— Niby tak wypadło, —odpowie stropiony P.,— ale ja zaraz odwołam mój wniosek. I nie zastanawiając się nad nową niewłaściwością, pobiegł do sali posiedzeń z tem oświadczeniem.

W tym właśnie czasie odbyły się dwa zjazdy nauczycieli szkół średnich i ludowych. Obradowano tu między innymi nad utworzeniem polskiej rady szkolnej. Po rozłamie w szkole stanowisko p. Kulwiecia stało się trudnem. O zajęciu miejsca w radzie nie mogło już być mowy.

Popis w szkole na zamknięcie roku odzwierciedlił rozłam. Przemówienia braci L. i dyrektora przyjęto grobowem milczeniem. Raz tylko zagrzmiały oklaski, gdy Kulwieć dziękował nauczycielstwu za pracę.

Korzystając z nastroju, podziękował Janowi L. i gen. Latourowi za opiekę nad internatami. Ale sala milczała. Tylko parę syknięć było odpowiedzią na nadużycie dobrego imieni Latoura. Tym razem koń trojański, wiozący w swem wnętrzu chytrego Ulisesa, pozostał za murami miasta.

20 czerwca 1917

Wydalony ze szpitala Emiljanow zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy mam co przeciw niemu i oświadczył, że sprawcą jego pohańbienia jest Ławiagin. — A wie pan, co to za ptaszek? Lekarz policyjny, łapownik znawca sądowy, który nie znajdował nigdy uszkodzeń u skazańców politycznych, katowanych w „ochra-nie“, w żandarmerji i w X pawilonie. Jednak jak mogliście go panowie wybrać na delegata?

— Jest on jedyny z Rosjan, do którego mamy sympatję, bo jest dobrze wychowany i koleżeński.

— Lis w owczej skórze! A czy pan wie, że Bogdanow, żąda rozpatrzenia swej sprawy? Powołuje się na uznanie lekarzy, między innymi na pana, który miał mu ofiarować swe książki z dedykacją?

— Przewrotna bestja! Istotnie dałem mu parę moich książek ze zwykłym napisem: od autora. Chodziło mi o wskazanie, że nie przystoi uzależniać mnie od młokosów i przeciążać pracą bezmyślną.

Po kilku dniach zjawił się w szpitalu chorąży Żołnierowicz, prosząc o wyjaśnienie, co lekarze zarzucają Bogdanowowi. Każdy miał napisać własną opinię. Większość kolegów poprzestała na oświadczeniu, że B. był wymagający, niegrzeczny i przykry. Odważniejsi dodali, że nie znał się na sprawach lekarskich, jednak wtrącał się do nich, przez co wywoływał zamęt, że miał swych ulubieńców, których popierał i ofiary, które przesładował. Była to ocena niedostateczna, ze stanowiska rewolucji. Mój memorjał zacząłem tak:

— Prośba d-ra Bogdanowa jest nową próbą zastraszenia ujarzmionych przez niego podwładnych w nadziei, że nie odważą się wystąpić przeciw niemu, czyli chce on dowieść, że oskarżenie było nieszluszne. Wobec tego poprzestaną na przytoczeniu kilku faktów... Po tym wstępie podaję szereg przykładów nadużywania władzy, karjerowiczostwa, korzystania nieprawnie z majątku i funduszków szpitalnych oraz prawdziwie sadystycznego dokuczania podwładnym. Wspomniałszy o pamiętnej komisji, na której uznano d-ra M. za niezdatnego do wojska i o paru podobnych faktach, zaznaczam, że szp. Ujazdowski miał złą opinię w sprawie uwalniania od wojska i że cała działalność B. powinna być z tego stanowiska poddana gruntownej rewizji.

Ten ustęp nie podobał się kilku kolegom. Radzili mi, bym go skreślił, bo narażam się na zarzut oszczerstwa. Najgoręcej przekonywał mnie lekarz policyjny B., którego niedawno przyłapałem na aferze. Chodziło o chorego z tętniakiem aorty i początkami tabesu który dla pewności ułożył się z B. co do wysokości sumy za zwolnienie. Ten chory dostał się na mój oddział, z którego B. przeniósł go potajemnie do siebie. Miałem zamiar zażądać śledztwa. Ale koledzy wymogli, że zgodziłem się na powrót chorego na moją salę. B. przeboleł to, jak wyrwanie zęba trzonowego. Ale chory nie dał łapówki.

Inny z udziałowców przedsiębiorstwa zaprosił mnie na konsyljum, aby tam przekonać o niebezpieczeństwie oskarżenia. Oświadczyłem jednak, że musi się znaleźć ktoś odważny, aby podnieść zarzut, który może zabezpieczyć nas od powrotu Bogdanowa. Jego miejsce zajął chwilowo Łoktiew. Tym razem jest mu mniej przyjemnie, niż przy dawniejszych zastępstwach. Byle żołnierz występuje z żądaniami, pretensjami, skargami, byle delegat podaje ostentacyjnie, brudną

rękę, zapomniawszy o „ruki po szwami“, byle lekarz bez rangi nie pozwala dmuchać sobie w kaszę w zakresie swej specjalności, byle felczer zabiera głos w sprawach gospodarczych i administracyjnych, patrzy na każdy krok kierownika.

Wchodzę kiedyś do kancelarji. Po chwili zjawia się Łoktiew. Nikt nie wstaje. Każdy żołnierz siedzi przy swej pracy, nikomu nie przyjdzie na myśl zerwać się i ryczeć chórem: „zdrowia żelajem waszemu przew...!“ Co za czasy, co za czasy! Cała praca nad karnością i posłuszeństwem rozpadła się, jak mur, w który trafił pocisk wielkiego kalibru. Bo też rewolucja to pocisk olbrzymi. Ma się wrażenie, że w Rosji dobrano niewłaściwy kaliber i że skutkiem tego działo jest zagrożone.

Chorzy i personel szpitalny zajęci są wyłącznie wiecami, naradami, polityką. Służba została zwolniona na lato na roboty w polu. Mieli ją zastąpić zdrowsi. Ale zastępcy nie robią nic. Sale, schody, ustępy są niesprzątane. Kurz, brud, robactwo zagnieździły się w najlepsze; ciężko chorzy są pozbawieni opieki, a lekarz dyżurny jest bezradny. Brak bielizny, ubrania, produktów spożywczych daje się również we znaki.

Wobec tak smutnego stanu rzeczy poruszam ponownie projekt spolszczenia szpitala i oddania go na wyłączny użytek Polaków. Rada Z. W. P. przyjęła mój memorjał i skierowała do władz. Poruszam tę sprawę w „Echu polskiem“ i zwracam się do p. Lednickiego, prezesa Komisji Likwidacyjnej, który obiecuje poprzeć projekt u rządu.

Wielu lekarzy Polaków zaczęło się zgłaszać na stanowiska w szpitalu Ujazdowskim. Jednak jako v.-prezes wydziału szpitalnego Związku postawiłem wniosek, aby narazie tylko rejestrować zgłoszenia a po przeprowadzeniu zmian wybrać najodpowiedniej-

szych kandydatów. O ile by niepowiodło się podciągnięcie szpitala pod kompetencje Komisji Likwidacyjnej, zawsze pozostaje możliwość jego spolszczenia.

Lekarze Rosjanie są niezadowoleni z tego projektu. Ale i część Polaków, zwłaszcza ci, którzy radzili mi zmienić memoriał w sprawie Bogdanowa, napadają na mnie, że wysunąłem ten projekt bez ich zgody. Trudno! Korzyść Polski była mi drogowskazem.

30 Czerwca 1917

Przed dziesięcioma dniami zakończył się pierwszy ogólny Zjazd wojskowych Polaków w Piotrogradzie. Nie mogłem niestety w nim uczestniczyć, bo szpital nie chciał mnie zwolnić. Nasz Związek jest licznie reprezentowany. Delegatami są: Zarębski, Bisping, Sobański i Wasilewski. Uczestniczy również p. Dybczyński. Na ostatnich posiedzeniach Rady poparł on kilka moich wniosków, wykazując dużo zrozumienia obecnych warunków. Co więcej jest to jedyny członek Związku, który pracuje z prawdziwym przejęciem.

Na Zjeździe zarysowały się rozbieżne kierunki co do zagadnienia grupowania wojskowych Polaków. N. D. chciałaby stworzyć armję polską. Socjaliści, rewolucjoniści i bardziej lewicowe stronnictwa są przeciwnie samej idei wojska. Lewica opuściła obrady i użyła swych wpływów, aby przeszkodzić wyodrębnieniu Polaków.

Zjazd powziął następującą uchwałę: „Rewolucja rosyjska, ojczyźnie naszej obiecując świetne jutro niepodległości i zjednoczenia, zniewala nas spieszenie do zniszczenia pozostalości carskiego ucisku i zebrania wojskowych polaków, rozproszonych na olbrzymich obszarach państwa rosyjskiego w oddzielną jednostkę wojskową. W myśl tego Zjazd Polaków

wojskowych zwraca się do Rządu Wolnej Rosji, by uznając żywiołowe dążenia polaków ku zrzeszeniu się, przystąpił niezwłocznie, do złączenia polaków wojskowych w oddzielną siłę zbrojną przez odnośne władze wojskowe łącznie z Komitetem Wykonawczym Wojskowym przez Zjazd wyłonionym.

„Komitetowi Wykonawczemu Wojskowemu Zjazd nakazuje, aby sposób wykonania tego złączenia był oparty na zasadach następujących:

1) Siła ta winna być sformowaną drogą dobrowolnego przenoszenia się i wstępowanie do niej polaków.

2) Przy nowych ogólnych poborach w Rosji mają być do niej wcieleni ci rekruci polscy, którzy na to wyrażą swoją osobistą zgodę.

3) Użyta być może jedynie na froncie austro-niemieckim i w żadnym razie nie może być użyta do jakiegokolwiek akcji wewnętrznej w Rosji.

4) Winna pozostawać pod rozkazami dowódców polaków i Zwierzchniego Wodza Rosyjskiego i winna stanowić jednostkę nierozdzieloną.

5) Winna się składać ze wszystkich rodzajów broni, posiadać polski korpus oficerski, własny sztab, własne części i zapasowe od tego sztabu zależne i własne organizacje pomocnicze, sanitarne i zaopatrzenia“.

Pozatem Zjazd: 1) „wyraża najwyższą cześć i uznanie Tymczasowej Radzie Stanu za podjętą w niesłychanie ciężkich warunkach pracę ku stworzeniu podwalin państwowości polskiej...” 2)... zwraca się z braterskim pozdrowieniem do Rewolucyjnej Demokracji Rosyjskiej, która, głosząc prawa każdego Narodu do samookreślenia, pierwsza szczerze i bez osłonek wypisała na swoim sztandarze hasło niepodległej i zjednoczonej Polski i oświadcza, że wojskowi polacy, wierni tradycji swych Ojców i Dziadów

wszystkimi siłami popierać będą Demokrację Rosyjską w jej walce o prawa człowieka i wolność narodów“ 3),..... uważa, że wszelka samodzielna polityka prowadzona przez emigrację w imieniu Narodu polskiego jest szkodliwa dla sprawy Niepodległość Polski, że politykę polską może prowadzić tylko kraj i 4),..... uważa, że armja polska narodowa na emigracji może być stworzona za zgodą uznanych przez Naród władz krajowych.“

Te uchwały zjazdu, powzięte w Piotrogradzie dnia 6 (19) Czerwca 1917 r., są niewątpliwie wyrazem kompromisu, zawartego pomiędzy stronictwami. Razi w nich nieznamość języka polskiego, a to wskazuje, że autorami musieli być ludzie, zamieszkali przez dłuższy czas w Rosji. Jakkolwiek oceni wartość tych uchwał przyszły dziejopis, należy już dziś uznać, że w atmosferze rewolucji, która jest dopiero w okresie rozwoju, obrady były trudne i niebezpieczne, a to tembardziej, że polskie żywioły socjalistyczne i rewolucyjne wysuwały doktrynę, której chciały podporządkować żywe życie, a całe nasze wstecznictwo dbało przede wszystkim o pochwycenie w swe ręce władzy. Jeżeli zdołało się przeprowadzić deklarację uczuć dla Kraju, dla rewolucji rosyjskiej, wypowiedzieć się przeciw prowadzeniu samoistnej polityki przez wychodźstwo, przeciw tworzeniu na własną rękę armji polskiej w Rosji, to jest to wielkie zwycięstwo.

Jeżeli dodać, że Lednicki, mający w tych sprawach głos nieomal decydujący, wobec stosunku przyjacielskiego, który go łączy z Kiereńskim, skłaniał się do stanowiska lewicy, to staje się zrozumiałe, że uchwały Zjazdu były skazane na... włożenie pod sukno podług wyprobowanych metod carskich. Trzeba



było więc zrobić przynajmniej gest sympatii dla rewolucji, aby można było liczyć na jej poparcie.

Narazie każda organizacja wojskowa, przystępująca do Związku W. P. O. M., obowiązana jest złożyć deklarację o brzmieniu następującem: „Nn., przyłączając się do uchwał, powziętych na Ogólnym Zjeździe Delegatów Polaków Wojskowych w Piotrogradzie, wyłoniony przez tenże Zjazd Naczelny Polski Komitet Wojskowy uważa za jedyne go prawowitego przedstawiciela wszystkich wojskowych Polaków i dyrektywy tegoż Zarządu uważa dla naszego Związku za obowiązujące. Prezes Związku. Członkowie Zarządu. Sekretarz..... „Czerwca 1917 r.“

Mamy więc już Naczelny Polski Komitet Wojskowy. Przewodniczącym jest chorąży Raczkiewicz. Z członków Moskiewskiego Związku należą: Bisping i Sobański.

3 Lipiec 1917

Opozycja szkolna zebrała się w mieszkaniu prywatnem i postanowiła opuścić szkołę oraz zwrócić się z odezwą do społeczeństwa i Komitetu Centralnego w Piotrogradzie. Tą sprawą ma się zająć specjalna komisja. Zebranie uchwaliło zgłosić swe ustąpienie p. Kulwieciowi. Uważałem to za niewłaściwe, ponieważ on właśnie wywołał zajście. Radziłem więc zwrócić się do rady pedagogicznej i ogłosić uzasadnione postanowienie w pismach, jako wyraz odważnej akcji przeciw niezdrowym stosunkom w szkole C. K. O.

Na posiedzeniu T-wa nacuczycieli szkół średnich uprosił mnie p. Szymański, abym wniósł interpelację w sprawie szkoły, wyjaśniając, że sam tego zrobić nie może, jako członek zarządu. Wzbraniałem się, lecz w końcu uległem, aby nie grzebać sprawy. Zre-

dagowałem zapytania: Czy T.wo. nauczycieli wie o rozłamie w szkole C. K. O. i jego przyczynach? Jakie zajmie stanowisko wobec tego faktu? Co może uczynić dla kolegów, usuniętych bez uzasadnienia i dla tych, którzy w ich obronie ustąpili dobrowolnie? Jak zachowa się wobec tych kolegów, którzy nie wystąpili w obronie pokrzywdzonych i pozostali w szkole?

Przed złożeniem tych zapytań uzgodniłem je z pp. Szymańskim, Vorbrotem i Klimowiczem, inicjatorami interpelacji. Jestem więc zaskoczony wyjaśnieniami, jakie dają ci panowie.

Są one bardzo powierzchowne nie dotyczą spraw zasadniczych, nie obrazują walki, ciągnącej się oddawna. Niejeden słuchacz musi wynieść wrażenie, że chodzi o zwykły zatarg z władzą, rozdmuchany dla względów osobistych. Wybrano komisję, która ma zredagować odpowiedź. Wypada ona rzeczowo i potępia Kulwiecia i braci Lutosławskich.

Pokrzywdzonych kolegów ma się zaprosić do innych szkół, bez wskazania jednak, do których i kiedy. Radzono im, aby dochodzili swych krzywd sądownie. Poruszono też pytanie założenia nowej szkoły, w której 18 ustępujących nauczycieli znalazłoby oparcie. Popierałem gorąco ten projekt ze względu na młodzież, której należałoby dać szkołę bezpartyjną. Jednak kilka głosów sprzeciwiało się zakładaniu szkoły „konkurencyjnej” (!), a G. stawiał zastrzeżenia aby ona nie była filologiczną (!) Mam wrażenie, że obrażają kupcy towarów łokciowych, a nie nauczyciele.

Przeciwno ostatniemu punktowi oponuje najgoręcej p. Szymański i Vorbrot, choć uprzednio byli zwolennikami bojkotu kolegów, trzymających z Kulwieciem. Najgorętsi agitatorzy przywdziewają teraz skóry baranków, zaskoczonych mojem zapytaniem,

które przed chwilą ze mną uzgodzili! Teraz przypuszczają, że może przeciwnicy mają również słuszość. Co to ma znaczyć? Czy ci panowie nie mają jeszcze wyrobionego zdania o sprawie, o której gadają od roku? Czy może chcą na wszelki wypadek pozostawić sobie furtkę? Nie brałem udziału w organizacji walki z p. Kulwieciem; ustąpienie swe ze szkoły uzależniłem od konsekwentnego przeprowadzenia akcji. A jednak cofnięcie się dziś uważałbym za rzecz niegodną. Nie rozumiem więc stanowiska głównych aranżerów. Czy nagle zbrakło im odwagi? A może nie chcą palić za sobą mostów?

Aby wyjaśnić te wątpliwości wnoszę jeszcze jedną interpelację: „Czy znana jest T-wu pedagogiczna działalność ks. Lutosławskiego, który jako nauczyciel religii szerzy wśród dzieci nietolerancję, partyjnictwo i wsteczniectwo?” W szanownem zgromadzeniu zawrzało, jak wśród tercjarek, które ujrzą bezbożnika, jedzącego befsztyk w piątek. Naprzód młody prawnik Wróblewski oświadczył, że T-wo nie może poruszać spraw religijnych. Odpowiedziałem, że jest to zagadnienie wychowawcze, które mają obowiązek rozpatrzyć nauczyciele. Gdyby nauczyciel gorszył uczniów, zaprawiał ich do kłamstwa, rozbudzał w nich chuci, każdy rodzic, a nie tylko T-wo nauczycielskie, winien by na to oddziaływać. Niemoże tu być mowy o wyjątku, że chodzi o księdza. Na to odpowiedział p. Wróblewski, że katolicyzm jest nietolerancyjny w swej istocie, a ksiądz nie może być za to odpowiedzialny.

— Jednak stąd nie wynika — zaprzeczam — aby nauczyciel religii miał szerzyć nienawiść wyznaniową i partyjną podobnie, jak nauczyciel francuskiego nie ma prawa szerzyć pornografji, chociaż piśmiennictwo francuskie jest nią przesycone.

Parę głosów było za zwróceniem się w tej sprawie do biskupa. Vorbrot oświadczył, że jest protes-

tantem, jednak uważa, że T-wo nie ma prawa rozstrzygać takich pytań. Wreszcie zebranie uchwaliło pozostawić interpelację bez odpowiedzi.

Tak rozumuje nauczycielstwo. Nie wyprzedza ono zawodów, dla których najważniejszymi zagadnieniami są... zarobki: trzymanie się dróg ujeżdżonych, powoływanie się na szczytność swego posłannictwa i operowanie frazesami. Czy tak wygląda ogół nauczycielstwa, czy też tylko grupa, którą strach przed Niemcami rzucił na bruk Moskwy? Wszak nikt nie zmuszał ich do wyjazdu z Kraju. Wielu opuściło go sami. Czy zachowawczość i wsteczność łączą się nierozdzielnie z tchórzliwością?

Tak niestety wygląda życie. A kto nie umie poznać się na gromkich frazesach, kto da się unieść zapalem naprawy stosunków społecznych, pozostaje zwykle osamotniony, nieraz ośmieszony, często rozczarowany.

Niedawno brałem udział w zebraniu organizacyjnym „Uniwersytetu dla wszystkich“. Wysuwano te same zasady, które przyświecały tej instytucji w Warszawie. Jednak czuć, że tu chodzi o jakieś cele uboczne. Oto skupiła się już grupa ludzi zainteresowanych osobiście. Formalnie robi się wszystko, jak należy: dobór wykładowców na kursie wyższym został przekazany T-wu naukowemu, na średnim — T-wu nauczycielskiemu, na niższym — T-wu nauczycieli ludowych. Jednak faktycznie okazuje się, że młody prawnik Wróblewski ma wyklądać rozmaite przedmioty, wymagające czegoś więcej niż ukończenia uniwersytetu. Literaturę ma objąć człowiek również niewyspecjalizowany. Na wykładowcę zoologii zaproponował p. Klimowicz botanika Kulwiecia, którego miało się pomijać. Wogóle kurs wyższy przedstawia tak słaby zespół wykładowców, że zapewne nie zbierze dużo słuchaczy.

Znacznie lepiej zapowiada się kurs niższy. Nauczanie elementarne robi duże postępy od wybuchu przewrotu, choć prowadzi się je przygodnie. Obecnie mają być powołani nauczyciele wykwalifikowani. Mam wrażenie, że jest wśród nich sporo ludzi oddanych szczerze sprawie oświaty. Wyróżnia się tu panna Kopytowska. Jednak nauczycielstwo szkół średnich nie żywi do swych kolegów ludowych sympatji i uważa ich za... wywrotowców, socjalistów, szkodników. A to wyjaśnia wiele wątpliwości, jakie nasuwały się przy rozwiązywaniu trudności w szkole C. K. O. Ma się wrażenie, że ci przeciwnicy na terenie walki o władzę w szkole są związani wspólnotą... partyjną. Kruk krukowi oka nie wykole. Ale bezbronnego ptaszka gotów zawsze napastować. Oto zatrzymuje mnie przechodzień słowy: — Pan mnie nie poznaje?

Wpatruję się w jego zapadłe policzki, bladą twarz, przygasłe oczy, spoglądające z poza ciemnych okularów.

— Czy redaktor Malinowski?

— We własnej osobie. Tak mnie urządzili rodacy. Solą w oku było im „Zaranie“, więc postarali się o jego zamknięcie. Mnie więziono przez dwa lata. Dopiero rewolucja przywróciła mi wolność.

Zapraszam więźnia do siebie, gawędzimy długo o przeszłości, o metodach walki prawicy z ruchem ludowym, o perspektywach na przyszłość. M. wierzy w lud, jest pewien, że oprze się on wpływowi wstecznictwa i pójdzie własną drogą. Jednostkę można uwięzić, zgładzić; lecz idea jest niezniszczalna.

10 Lipca 1017.

Two Żołnierza Polskiego pała żądzą połączenia się związkiem dozgonnym ze Zw. Woj. Pol. Wobec nowych propozycji odbyliśmy wspólną naradę na Kremłu z udziałem ks. Lutosławskiego i trzech innych

członków T-wa Dr. Sobański wysuwał głównie rozrachunki pieniężne, żądają 25 rb. składki od każdego członka. Zarębski parł do połączenia się bez zastrzeżeń. Bisping był tegoż zdania. Wobec tego wysunęłam zastrzeżenia zasadnicze:

— Jesteśmy Związkiem bezpartyjnym i nie możemy łączyć się z ludźmi, mającymi wyraźne stronnice oblicze. Partyjność nie jest zbrodnią, jednak utrudnia oddziaływanie na żołnierza, będącego pod różnorodnymi wpływami. Na herbatki z przekąskami zbierają się żołnierze chętnie, lecz na agitacją partyjną odpowiadają rozdrażnieniem i partyjnictwem lewicowym. Tych niepokojów nie życzymy sobie w Związku.

Moje stanowisku zostało przegłosowane. Ks. L. sformułował warunki połączenia: zarząd T-wa miałby pozostać w komplecie, a nasz wydział kult-oświatowy delegował by czterech członków z prawem „veto”. Ten projekt miał być rozpatrzony przez Radę Związku. Zarębski wniósł go wprost na zebranie ogólne. Wobec tego zażądałem cofnięcia wniosku, co też spełniono.

Zarębski jest w wyraźnym porozumieniu z żywiołami reakcyjnymi i przeciąga coraz bardziej Radę na prawicę. Związek stał początkowo na stanowisku demokratycznym, jednak już w Maju zaznaczyły się wpływy N. D. Paru członków Rady kręci się ciągle w „Gaz. Polskiej”, gdzie pojawiają się rozmaite wiadomości, które trzeba potem odwoływać. Postawiłem wniosek, aby ogłosić, że Związek odpowiada tylko za własne Komunikaty.

Namiętne polemiki wywołała sprawa zwrotu Pol-sce sztandarów z Kremla. Mężem zaufania rządu był Lednicki ku wielkiemu zmartwieniu N. D., która przyzwyczaiła się wciągu dziesięciu lat, że jej przedstawiciele reprezentują naród w dumie.

Niedawno odbyło się walne zebranie sprawozd.

wcze ze Zjazdu. Zarębski mówił o przebiegu obrad. Min. Guczkow nie pozwolił na ten zjazd, który odbył się dzięki Kiereńskiemu i Lednickiemu. Na 1-em posiedzeniu wybrano do prezydjum 11 osób. Gen. Jacyna został skarbnikiem, gen. Dowbor-Muśnicki — członkiem honorowym. Na honorowego prezesa powołano komendanta Piłsudskiego. Zjazd otwarto z udziałem ambasadorów. Przemawiali oni za zgodą i bezpartyjnością, które zapewnią Związkowi siłę. W imieniu Kiereńskiego zapewniał gen. Romanowski, że sztab uzna za obowiązującą uchwały zjazdu. Tosamo powtórzył Lednicki. Przedstawiciele stronnictw wypowiedzieli się w duchu partyjnym i agitacyjnie a to wywołało nastroj podniecenia. Chor. Matuszewski i 10 członków lewicy złożyli deklarację przeciw tworzeniu armji i opuścili zjazd, oświadczając: „uznajemy tylko międzynarodówkę“. Ta grupa zwróciła się do robotników zakładów Putiłowskich, aby zjazd rozpuścili, ale robotnicy odmówili, Zarębski poddał wiele momentów ostrej krytyce, wypowiedzianej, jak zwykle, jakimś żargonem. Między innemi, przytaczając znane słowa z „Pana Tadeusz“, powołał się na... Sienkiewicza. Najsilniej napadał na Lednickiego, że stoi na stanowisku stronnictwem i oświadczył, że on chorąży Z. we własnej osobie zmusi prezesa Komisji Likwidacyjnej do przyłączenia się do uchwał zjazdu. „Gaz. Pol.“ umieściła ten ustęp z wielką skwapliwością.

Bisping wyjaśniał znaczenie uchwał i odczytał listę wybranych członków Nacz. Pol. Kom. Okazało się, że nie wszystkie miejsca są obsadzone. Zażądałem wyjaśnień, które wskazały, że jedno pozostawiono dla kapelana, wyznaczonego przez... biskupa (!) na życzenie jednego z księży, obecnych na Zjeździe. A więc i wojskowi uznają księży, podobnie jak i nauczytelstwo, za obywateli innych kategorii.

Zapytywałem jeszcze, co Zjazd uczynił aby Nacz.

Pol. Kom. był bezparsyjny? Jeżeli jego dyrektywy mamy uważać za obowiązujące, musimy mieć pewność, że nie są one stronnice. Sobeński zapewniał, że to pytanie było podnoszone i nie nastęcza obaw. Na inne zapytania wyjaśnia, że lewica opuściła zjazd skutkiem wstawienia do jej rezolucji poprawki ks. Olszewskiego: „armja narodowa“. Co się tyczy zajścia swego ze Zdziechowskim, który występował w duchu N. D., Sobański przedstawił je zjazdowi, aby wskazać, że nie ulega temu stronnictwu.

Po Zjeździe przenieśli się chor. Bisping i dr. Sobański do Piotrogradu, jako członkowie N. P. K. W. Wpłynęło to na osłabienie żywotności Związku i na zjawienie się nowych członków. Zarębski wysuwa się coraz bardziej na widownię zwłaszcza w czasie nieobecności jen. Latoura. A poczynania Z. są nieraz niezrozumiałe. Oto na jednym zebraniu zażądał on wyjaśnień od żołnierza Wasilewskiego, który został wydalony ze Zjazdu za niewłaściwe zachowanie się.

Publcyjne badanie miało cechy inkwizycji i było tak denerwujące, że pułkownik Konosewicz zażądał jego zaniechania. Zarębski pozwala sobie nieraz na podobne występy. Zwłaszcza dotyczą one chor. Milkowskiego, sekretarza Rady. Pozatem Z. załatwia rozmaite sprawy na własną rękę, poprzestając na komunikowaniu Radzie rzeczy dokonanych.

Wobec niewyraźnych nieraz sytuacji, zahaczających o łamanie statutu i uchwał I-go Zjazdu staram się dociec, kto jest Zarębski. Ale wiadomości są niepewne. Jedni uważają go za obywatela z Litwy, inni za przemysłowca. Jest on dyrektorem biura komisowego „Goniec“ w Moskwie u członka Rady Z. W. P. Ossowieckiego, dostawcy benzyny na potrzeby armji.

Z odpowiedzialnych członków Rady niema teraz nikogo: gen. Latour i p. Dybczyński są na urlopie. I oto Zarębski zawiadamia, że uzyskał dla Związku



1.500 rb. na wydawanie własnego pisma. Rada jest zachwycona zwłaszcza wobec obietnicy, że otrzyma jeszcze 10,000 na ten tak pożądaný cel. Jako Tomasz niewierny pytam:

— Czy na Z. W. P. nie spadają za to jakie obowiązki?

— Żadne — odpowie Z. — To są sprzymierzeńcy. — Jednak na następnem zebraniu oświadcza Z., że Z. W. P. nie chce połączyć się z T-wem Żołnierza P., choć ono daje pieniądze.

— A więc są zobowiązania! — robię uwagę.

— Nie rozumiem, — odpowie Z. — czemu dr. przeszkadza. Sekcja kult. oświatowa nie zrobiła dotychczas nic, tylko wydała kilkaset rb., a T-wo daje nam pieniądze, stosunki, pracę.

— Za bezczynność naszego wydziału kult. oświatowego odpowiada ksiądz Bujewicz. Nie należę do tego grona. Jednak protestuję przeciw wszelkiej robotcie partyjnej w Związku.

Przemyski, Wasilewski, Pieńkowski napadają na mnie, że przeszkadzam połączeniu się z tą zasłużoną instytucją. Głosowanie wypada rzecz prosta na moją niekorzyść. Uzyskuję tylko tyle, że zarząd nowego T-wa ma się składać z równej liczby członków obu instytucyj. Wyczuwam tu robotę zakulisową. Jakaś podejrzana ręka pcha nas na prawo. Dokąd dojdziemy?

30 Lipiec 1917.

Rosja przeżywa nowe przesilenie. Od chwili przewrotu marcowego zaznacza się w rewolucji coraz wyraźniej kierunek utopijny, który zmierza stanowczo do... utopienia państwa. Społeczeństwo, które przeżyło tysiąc lat w zupełnej niewoli, nie zadawała się już nowem położeniem, lecz mści się przede-

wszystkiem za przeszłość. Każdy kto nie docłaga do tonu: „ludu gniew“, uchodzi za kontrrewolucjonistę. Stronnictwo K. D., które było uważane w dumie za nadmiernie liberalne, kwalifikowane jest dziś jako czarna reakcja. Bo też Milukowowi marzą się plany Katarzyny II, Mikołajów i Aleksandrów: zawładnięcie Konstantynopolem i złączenie wszystkich słowian pod wodzą Rosji. Nawet wśród socjalistów zaczęła się licytacja na najdalej idące programy, wśród których wysuwają się maximalistyczne (bolszewicy), dążące do rzeczypospolitej komunistycznej. Twierdzą ich jest pałac baletnicy Krzesińskiej, bylej nałożnicy Mikołaja II, na której poparcie, jako Polki, liczyła ongi nasza ugoda... O jak zmienne są koleje losów! Pałac ten został zdobyty przez wojska, wierne Kiereńskiemu 5 lipca po zdemaskowaniu zdrady Lenina i Zinowjewa, zaprzędanych Ludendorfowi. Zdemaskowani przedawczycy zbiegli do Finlandji, skąd prowadzą agitację.

Cała ziemia, wszystkie warsztaty pracy mają przejść w ręce robotników. Chłopi, nie umiejący wykorzystać kilku dziesięcin ziemi, patrzą z niechęcią na obszarnika, opływającego w dostatki, chociaż jego ziemia jest również zaniedbana. Robotnik rosyjski, mający wartość tylko siły mięśni, niezdolny do pracy inteligentnej, nie ma żadnych danych na podźwignięcie się ze stanowiska najmity, kupiec pochłonięty zbieraniem majątku, którego nie umie użyć na lepsze cele, niż zbudowanie sobie „osobniaka“, na hulanki z cygankami i wzniesienie w starości jeszcze jednej cerkwi, nie może dostosować się do nowego programu. Pop, wysadzony z siodła, zdeзорjentowany już nie tem, że nienaruszalny tron zapadł się bez śladu, ale tem, że rola jego, popa, jest dziś dziwaczna, bo cała jego działalność poszła w kąt, a nawet po skreśleniu cesarza i jego rodziny, niema się już za kogo modlić,— jest w zupełnej rozterce. Czynnikiem rozumie, że skoń-

czyły się dobre czasy, kiedy łupiło się poddanego, zasłaniając się carem, jako parawanem bezkarności; dziś trzeba drzeć przed pierwszym lepszym komisarzem.

Powracają zesłańcy z Syberji i emigranci, żywiły najbardziej anarchiczne. Z Niemiec przyjechał Lenin w wagonie zaplombowanym. Występuje on przeciwko rządowi tymczasowemu, uważając go za burżuazyjny, co stało się już nazwą obelżywą, podobną do „skórodiora“.

Taka sama robota prowadzona jest na froncie. Wiecem w okopach niema końca. Towarzysze zaczynają się bratać z Niemcami, namawiać ich, aby strącili z tronu Wilhelma i zawarli pokój, nie oglądając się na rządy. A że Niemiec dostarcza moskalowi wódki, wymieniając ją na chleb, to już najlepszy dowód w oczach „mużyka“, że nie jest wrogiem, lecz najlepszym przyjacielem: wszak nawet na stypie i weselu daje się gościom chleba, ile wlezie, a wódkę — pod miarę. Żołnierz rozumuje, że tylko burżuje mają porachunki z Niemcami i dlatego z nimi wojują; a towarzysze mogą zawrzeć odrazu pokój.

Karność znikła z wojska. Dawniejsi zwierzchnicy zostali usunięci albo zgładzeni, a nowi uprawiają propagandę. W dodatku na front wysłano za karę polioję i żandarmów, którzy pracują nad powiększeniem zamętu, w imię przywrócenia czasów carskich.

Wojsko na froncie jest zdemoralizowane przez klęski, utratę amunicji i zapasów, bezładną ucieczkę z szeregów w pełnem uzbrojeniu, nawet z kartaczoownicami i mitraljezami. Na drodze powrotnej rabuje się ludność osiadłą. Głód ma swoją etykę. Te szeregi dezertersów przyłączają się do zamieszek, zorganizowanych przez bolszewików w Piotrogradzie, Niżnim, Kijowie, Kazaniu. Bolszewicy walczą z rządem i żądają dla siebie pełni władzy i natychmiastowego za-

warcia pokoju. Zamęt powiększa żądanie uciemiężonych narodów przyznania im niezależności na wzór Polski. Stanowisko Finlandji jest zrozumiałe. Ale dawna Kozaczyzna chce dziś stworzyć samodzielną Ukrainę od morza Czarnego, Kaukazu aż do Podlasia. Syberja myśli również o niezależności. Kraje i narody, jednoczone i zespalane z takim wysiłkiem przez wieki, zachowały swą odrębność i żądają praw. Jest to cios nietylko już dla państwa, lecz przede wszystkim dla wojny. Front przestał istnieć. Wobec tego zamętu tworzy się nowy rząd Kiereńskiego, poparty przez Piotrogrodzką Radę Ż. i R. Hasłem jego jest ratowanie rewolucji przy poparciu klas uprzywilejowanych i zwołanie Konstytuanty na 15 października 1917 r.

Carowie żądali ofiar krwi i mienia w imię przysięgi na wierność tronowi. Poległych nazywano bohaterami i śpiewano im „wieczną pamięć“, choć grzebano ich bezimiennie w bratnich mogiłach, lub pozostawiano na polu, gdzie nie Antygona, lecz dzikie zwierzęta oddawały im ostatnią posługę. Rewolucja wzywała świeżo wyświęconych obywateli do ratowania ojczyzny. Ale wzywani oświadczyli, że do Moskwy jeszcze daleko, do Wołogdy, Wiatki Niemcy nie dojdą, a gdyby się zapędzili, to pomarzną. Dziś wzywają czynniki agitujące do ratowania rewolucji, która może być zgładzona przez „białogwardzistów“, popieranym przez burżujów. A wolni obywatele sądzą, że nikt nie zdoła pozbawić ich swobód zdobytych, bo ucisk był wynikiem nieświadomości.

W takim chaosie chce N. D. stworzyć armję polską. Rząd tymczasowy sprzeciwia się temu, bo nie może liczyć na własną armję. Oto przy ustępowaniu z Galicji pierzchły wojska rosyjskie, a polscy ułani zdobyli wawrzyny bojowe. Pod Stanisławowem stacza pułk. Bolesław Mościcki walkę z moskalami, grabiącymi to miasto. 24 lipca szarżuje on na czele 1-ego

pułku ułanów na dywizję piechoty niemieckiej, którą odrzuca na wieś Krechowce, ratując armję od okrążenia. Głównodowodzący zaszczycił bohaterów telegramem i krzyżami św. Jerzego. Ten czyn starano się wyzyskać do uzyskania zgody na tworzenie armji polskiej.

Na zebraniu ogólnem Z. W. P. odczytujemy depeszę o bitwie pod Krechowcami. Zarębski wzywa do składek na pozostałe rodziny. Doraźnie zebrano około 200 rb- Wnoszę o przyspieszenie spolszczenia szpitala Ujazdowskiego, aby Polacy mogli nie tylko walczyć i ginąć za cudzą sprawę, lecz i odzyskać zdrowie we własnem środowisku. Wniosek został gorąco przyjęty. Zarębski proponuje uroczyste nabożeństwo za poległych ułanów.

Wstęp do kościoła za biletami. Zaproszenia otrzymują rozmaici dostojnicy, dowodzący wojskami okręgu Moskiewskiego, dyplomaci, magnaci, dziennikarze, słowem występ na wielką skalę, który daje pole do popisu kilku osobistościom. Członek Rady P. zbiera bez upoważnienia i bez kontroli datki w czapkę przed kościołem. Pociąga to za sobą przykre dochodzenia z powodu niemożności wyliczenia się.

W tym czasie zaprasza Lednicki Radę do siebie na posiedzenie w sprawie komisji z ramienia rządu do formowania oddziałów polskich. Zarębski dowodzi, że jest to jeden z zaniechanych projektów. Zarazem czyni Lednickiemu gorzkie wymówki za jego sympatje do lewicy, która opuściła Zjazd, obradowała oddzielnie i wyłoniła własną organizację: „Komitet główny Związku Wojskowych Polaków“, uznany przez rząd. — Jak pan mógł pozwolić na zatwierdzenie tego Komitetu! To są ludzie bez czci i wiary. Wszędzie gdzie zaczęli swą działalność, wybuchły rozruchy i zaburzenia. Chorąży

Szczęśny to łotr, któremu wstyd podać rękę, Weychert zdrajca...

Lednicki powstrzymuje oskarżyciela od zbyt jaskrawych określeń ale na próżno. O propozycji, aby lewica pogodziła się z prawicą nie chce on słyszeć.

— Jeżeli Kom. gł. W. P. pragnie się z nami połączyć, musi się przedewszystkiem rozwiązać, a potem poszczególni członkowie mogą się ubiegać o przyjęcie do naszych Związków, ale nie wszyscy doznają tego zaszczytu. Kilka organizacji wypowiedziało się już przeciw nim. Liczba odszczepieńców maleje i stanowi dziś nikłą garstkę.

Zarębski robi wrażenie głęboko przeświadczonego o słuszności sprawy. Oczy jego pałają jak, u Cyserona, demaskującego Katilinę: „guid est causae, Catilina, cur tam tarde venias?... A jednak w tym zapale brzmi jakaś nuta nieczysta. Czy to już oplakana polszczyzna, czy zamaskowane wstecznictwo? Dość że powiadam sobie: może ma trochę słuszności, ale to nie Cysero, raczej... ks. Lutosławski.

Na zarzut, że Kiereński nie chce uznać Nacz. Kom. W. P. odpowiada Lednicki, że prezes ministrów nie może zatwierdzić naraz dwu organizacji, mających sprzeczne cele.

— Jak pan mógł się zgodzić na uznanie lewicy! — woła Zarębski:

— Stało się to bezemnie.

— Pan powinien był zgłosić sprzeciw. Tłomaczyłem to panu na Zjeździe. Gdyby nie to, mógłby pan spać spokojnie. Pan sprzyja lewicy, ponieważ ona jest przeciwna armji.

— Będąc ministrem bez teki jestem poza stronnictwami, — tłumaczy Lednicki.

— A jednak jest pan stronnicy! Jak mógł pan zaprosić na rauf do siebie przedstawicieli lewicy i nas?

— Chyba do siebie mam prawo zaprosić kogo mi się podoba?

— Nie! Gdzie są ludzie porządni takich łotrów się nie wpuszczal

— Daruje pan. Ale ja mam własne zdanie w tych sprawach. Rzecz dziwna że rozmaici mówcy wiecowi pozwalają sobie dawać mi nauki nie tylko na zebraniach publicznych, lecz i w moim własnym domu,

Nastrój stał się przykry. Chcąc go załagodzić, proponuję Zarębskiemu, aby poruszył sprawę spolszczenia szpitala Ujazdowskiego. On na to: — Nie poruszę. Nie mam zaufania do Lednickiego! — Wobec tego wyjaśniam sam tę sprawę i uzyskuję obietnicę L., że postara się ten plan urzeczywistnić.

Żegnamy gospodarza po skończeniu narady. Raptem Zarębski wydobywa arkusz z nagłówkiem: „Ofiary na rodziny ułanów, poległych pod Krechowcami” i zachęca L. do datku.

— Nikt jeszcze się nie zapisał? — pyta L.

— Pierwsze miejsce dla pana prezesa.

— A po ile dają ofiarodawcy?

— Po 400, po 600 rb, i więcej, — łże Zarębski jak z nut.

— To nie na moją kieszęń, mówi L., — podając Zarębskiemu 200 rb. i zapisując się na arkuszu.

Doznaję wrażenia, jak gdybym uczestniczył w napadzie bandyckim i słyszał głos herszta „ręce do góry!” Z tymi ludźmi nie mogę się solidaryzować. Pozostaję więc z pp. Dybczyńskim i Milkowskim jeszcze przez kilka minut na rozmowie z Lednickim, zanim trzej pozostali członkowie nie opuszczą domu prezesa.

Po kilku dniach podały pisma wykaz składek na rozmaite listy. Na listę Zarębskiego wypadło okrągło 200 rb.! A więc brałem udział w napadzie. Zasz-

czytna rola! Ogółem na kilkanaście list zebrano drobnymi datkami kilkaset rubli.

Stanowczo muszę zbadać, kto jest Zarębski...

15 Sierpnia 1917.

Na memoriał, wysłany przez ustępujących nauczycieli do ex posła, Stanisława Grabskiego, nie doczekaliśmy się odpowiedzi. W liści prywatnym Grabski oświadczył, że rozpatrzy sprawę przy sposobności i strofował nauczycieli, że nie umieją ocenić inicjatywy i dobrych chęci Jana L.

Nie była to niespodzianka. Znam p. Stanisława z czasów szkolnych. Uczyliśmy się razem tańca. Ja byłem w 7-ej klasie, Staś w 5-ej, a Władzio w 3-ej. Nasz mistrz, Kuhne, kiwał głową i dowodził, że ze Stasia nigdy nic nie będzie, bo nogi się pod nim załamują, a ruchy w tańcu wykonywa, jak w bokowaniu. O, krótkowzroczności baletmistrzowskiej! Nawet w najlepszych swych rolach nie umiałeś, p. Kuhne, skakać na scenie tak zwinnie i zręcznie, jak twój uczeń w rolach społecznych: wszak wykonał on nawet salto mortale bez szkody dla zdrowia z socjalizmu do N. D. i zakasował wszystkich twych uczniów.

Nie we wszystkim można wierzyć baletowi. Wakacje dobiegają połowy. Należy więc zdecydować, jak wypełnić zobowiązania względem nauczycieli, namówionych do ustąpienia ze szkoły. Ponownie wypływa projekt założenia szkoły filologicznej. W tej sprawie zostaje zaproszony na posiedzenie do p. Liberta, prezesa Wydziału szkolnego Kom. Pol.. Zastaje tam panów Szymańskiego, Vorbrota i Antosiewicza. Po pewnej dyskusji ustalono potrzebę nowej uczelni. Libert obiecuje poprzeć sprawę w K. P. Mam napisać motywowany memoriał. Na



następnem zebraniu uchwalamy na mój wniosek zaprosić jeszcze kilka osób spośród nauczycieli. Po naradzie z paru kolegami przychodzę do wniosku, że skompletowanie ciała nauczycielskiego nie nastęrczy trudności. Spisaliśmy 36 nazwisk. Najtrudniej było o łacinnika i kaligrafa.

Pełen otuchy zasiadam do pisania memorjału. Wskazuję w nim na korzyść założenia szkoły filologicznej i na możliwość znacznego napływu do niej uczniów wobec zniesienia okręgu naukowego Warszawskiego. Budżet szkoły wyniosłby około 35.000 rb. z czego wpisy pokryłyby około 25.000, czyli faktyczna zapomoga K, P. wyniosłaby około 10.000 rb.

Na następne posiedzenie zebrało się 8 osób. Rej wodził p. Szymański, zaprosiwszy na przewodniczącego młodego prawnika, Wróblewskiego. Mój memorjał spotkał się z formalną napaścią. Gdy mówimy o składzie nauczycielskim, p. Szymański pyta z ironją, czy on jest na tej liście 36 kandydatów, a Vorbret — w czyjem imieniu ich zapraszałem?

— Nie rozumiem przedewszystkiem nastroju, jaki tu panuje,—odpowiem—Zanim szkoła powstanie, wnosicie panowie zaczyn niezgody, tarć, walki. Skutek ich może być poronny dla całego przedsięwzięcia.

— Proszę d-ra, aby nie mówił o poronieniach,—strofuje mnie Wróblewski.

— Jeżeli to jest dowcip, — odpowiem, — to nie odpowiada powadze zebrania.

— Z jakiej wogóle racji był pan [na zebraniu w Liberta? — zapytuje mnie Vorbrot.

— A pan z jakiej? — odpowiem.

— Byłem zaproszony. Projekt szkoły wyszedł ode mnie i Szymańskiego. My ją zakładamy.

— I ja nie wchodzę do cudzego domu bez zaproszenia, więc pańskie pytanie jest conajmniej nie na

miejscu. A o projekcie szkoły może pan sobie przeczytać protokół z czerwca. Tam jest zaznaczone, kto obawiał się, aby nowa szkoła nie była współzawodniczką C. K. O.

Zrozumiałem. Jeszcze ryby przed niewodem, a już rybacy mącą wodę w obawie, aby kto inny poza ich grupą nie sięgnął po zdobycz. Pachną im już dziś posady, zaszczyty, dochody. Pierwsza myśl była — usunąć się. Jednak znaczyłoby to — zaprzęścić sprawę.

Szymański odczytał własny memoriał. Zebranie przyjęło go bez dyskusji; wyłoniono delegację, złożoną z pp. Wróblewskiego, Szymańskiego i mnie, która przedstawiła memoriał p. Libertowi. Przyłączył się do nas p. Antosiewicz pomimo sprzeciwu p. Szymańskiego. Udaliśmy się do Zarządu K. P. na naradę. Członkowie zarządu, pp. Darowski i Purski, uznali projekt za niewykonalny dla K. P. Rząd odmawia pieniędzy na najżywotniejsze potrzeby, a K. P. ma już olbrzymie długi.

Całe przedsięwzięcie doznało zawodu. Można było postarać się jeszcze o założenie szkoły na rachunek nauczycielstwa. Jednak myśl oparcia się o instytucję zakorzeniła się już zabardzo. Szymański oświadczył na odchodnym, że zwróci się do nowopowstałej Macierzy Szkolnej o protektorat nad szkołą filologiczną. Zarząd K. P. popierał tę myśl.

Po paru tygodniach zostaje zaproszony na posiedzenie Macierzy Szkolnej. Honory robi p. Szymański, dopomaga mu Vorbrot. Na przewodniczącego zaprasza p. Szymański p. Liberta. Zebrało się około 50 osób, prawie wyłącznie nauczycieli. Odczytano i przyjęto statut Macierzy. Potem odbyły się wybory, z których musiałem wyjść na posiedzenie Rady Z, W, P.; wybrano pp Liberta, Szymańskiego, Vorbrotę i Wróblewskiego. Jako pierwszą działalność nowej in-

stytucji postanowiono otworzyć 8-io klasową szkołę filologiczną.

Po ogłoszeniu w gazetach zaczyna się zapis. Uczniów zgłasza się mało. Jednocześnie szkoła C. K. O. ogłasza zapisy i poszukuje nauczycieli „na skutek zmian, przeprowadzonych w ich składzie“. A więc 15 nauczycieli, którzy opuścili szkołę w obronie trzech usuniętych, zaliczono do wyrugowanych przez szkołę! Mam nadzieję, że inicjatory ustąpienia wystąpią teraz jasno, otwarcie, bez rękawiczek, bo chodzi nie tylko o cześć ich, lecz i o powodzenie nowej uczelni. Jednak, jak dotąd — cicho, głucho. Zdolności organizacyjne to nie tylko dobre chęci. Tu trzeba być przygotowanym na stoczenie poważnych wałek. Niemożna opierać powodzenia na... języku. Prowadzi to do przykrych zawodów.

Oto w przeddzień Zjazdu politycznego, zwołanego przez N. D. do Moskwy (rzekomo ogólnopolski, bezpartyjny zjazd) odbyło się zebranie lewicy P. P. S. przy udziale około 800 socjalistów, aby... zaprotestować przeciw zjazdowi. Z przemówień wynikało jasno, jak na nowiu, że N. D. stwarza wielkie niebezpieczeństwo dla sprawy polskiej. Jeden z mówców dowodził, że uchwały I-ego Zjazdu W. P. stanowiły pierwszą zdobycz N. D. Zjazd obecny ma być utrwaleniem jej stanowiska. Po paru dalszych przemówieniach przeplatanych porachunkami z rozmaitemi odłamami partyj socjalistycznych, wydawało się, że los Zjazdu N. D. jest przesądzony: nie odbędzie się, lub będzie rozpedzony siłą. Język święcił tryumf. Ale nazajutrz Zjazd zaczął się w zapowiedzianym czasie, przebiegał bez wszelkich przeszkód i powziął daleko idące uchwały w imieniu całego wychodźstwa. Mianowicie: żądał zjednoczenia wszystkich ziem polskich z dostępem do morza, chociaż N. D. marzyła jeszcze niedawno o autonomji pod pa-

nowaniem cara; odrzucił rozwiązanie sprawy polskiej w myśl deklaracji niemieckiej z d. 5 Listopada 1916 r. i pochwalił Rosję demokratyczną za jej czyn 27 Marca; zagroził utratą zaufania w jego szczerość jeżeli Rząd nie zgodzi się na tworzenie samodzielnej armji polskiej; żądał prawa głosu dla Polski na przyszłym kongresie pokojowym i uchwalił powołać coś w rodzaju rządu polskiego na emigracji p. n, „Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego“ w liczbie 75 członków z prawem kooptacji przedstawicieli organizacyj, nie biorących udziału w Zjeździe, z Rusi, Inflant, Litwy i osób, których udział w Radzie będzie uznany za pożądany.

Cóż na to mówcy lewicy P, P. S.? Zapewne oniemieli z oburzenia? Mają więc dowód, że język może zawieść. A że mury niejakiego miasta Jerycho rozpadły się w proch przy dźwiękach trąb narodu wybranego, nie wynika stąd, aby można było zwalczyć językiem najbardziej szkodliwą organizację. Cudów jerychońskich nie robi się bez przygotowania a dobra organizacja każdego przedsięwzięcia zapewnia mu powodzenie.

W zjeździe brały udział nieliczne organizacje Między innymi świeżo zawiązana przez ks. Lutosławskiego chrześcijańska demokracja. Związek W. P. wymówił się od udziału pomimo nalegań pp. Pieńkowskiego i Wasilewskiego. Swoją drogą Zarębski preferował powitanie Zjazdu. Prosił przytem o zapomogę na Związek W. P. Dziwna logika: stronimy od was, bo jesteście partyjni, ale wasze pieniądze weźmiemy, bo są... bezpartyjne.

Stanowisko Zarębskiego w sprawach pieniężnych jest zagadkowe; każdy pieniądz, skąd kolwiek pochodzi „non olet”. Podobne stanowisko zajmują sprzymierzeńcy Z., Nieraz sam muszę zwalczać sprzysiężenie większości, Z. dopuszcza się zuchwałych obelg publicznie. Najczęściej dostaje się p. Milkowskiemu któ-

tego strofuje Z. jak dzieciaka. Razu jednego próbował zaczepić i mnie. Przywołałem go natychmiast do porządku z zastrzeżeniem, że zażądam umieszczenia tego w protokule.

31 Sierpień 1917,

Zgłoszenia uczniów do szkoły Macierzy są bardzo małe. Zapewne zostaną uruchomione tylko niższe klasy. Wbrew planom szkoła będzie nie w biurze Wydz. Szkolnego, lecz w drugim końcu miasta w pobliżu przeniesionej szkoły C. K. O. Prócz ogłoszeń w piśmiech nie robi się nic w celu zainteresowania kolonji polskiej nową uczelnią. P. Szymański oświadcza na jednym z posiedzeń, że Macieź nie ma żadnych zobowiązań względem b. nauczycieli C. K. O, i że każdy kandydat musi być przyjęty przez zarząd. Vorbrot jest nawet zdania, że każdy z b. nauczycieli C. K. O. może starać się o powrót do tej szkoły.

Posiedzenie nowej rady pedagogicznej zagał p. Libert, zaznaczając, że mamy wybrać dyrektora i że najodpowiedniejszym jest na to stanowisko p. Szymański. Jednak p. S. uchylił się wobec plotek, że po to krzątał się koło założenia szkoły, aby zostać jej dyrektorem.

Za najodpowiedniejszego ze swej strony uważa p. Br. Wróblewskiego, który ma posiadać dużo stanowczości i zimnej krwi. Wobec tego, że ciało nauczycielskie było w komplecie, że p. Jakubowski, który miał być zaproszony, jako domniemany kandydat na dyrektora, odmówił udziału, a p. Karpowicz jest uważany za teoretyka, oświadczyłem:

— Szkoła C. K. O. dowiodła, że stanowisko dyrektora powinien zajmować wytrawny pedagog. Kulwiec jest tylko nauczycielem botaniki, lecz nie posiada uzdolnień pedagogicznych, skutkiem tego popeł-

nia masę błędów wychowawczych. To smutne doświadczenie winno być dla nas nauką. P. Sz. powołuje się na jakieś plotki, dotyczące jego osoby. Nie wiem, o jakich plotkach mowa. Zainteresowanie się osobą domniemanego dyrektora jest zupełnie zrozumiałe. Sam rozmawiałem o tem z kilku osobami. Jeżeli te głosy doszły do p. Sz., to zastrzegam się, by ich nie zaliczał do rzędu plotek. Pan Sz. wykazał dużo energii przy założeniu szkoły, ma więc zasługi. Jakie jednak są jego kwalifikacje pedagogiczne — nie wiem. Pytałem go nawet, czem jest z zawodu? Odpowiedział mi: literatem. Tego zamało. Co się tyczy p. Wróblewskiego, młodego prawnika, nie znam również jego działalności pedagogicznej. Z tych względów nie mogę głosować na obu kandydatów, chyba że otrzymam potrzebne wyjaśnienia.

Na moje uwagi odpowiedział p. Jachno, że p. Sz. zajmował się sprawami wychowawczymi ze zmarłym niedawno ojcem swoim. Sz. powtórzył, że stanowczo dyrektorstwa nie przyjmie i poleca p. Wróblewskiego, jako jedyne kandydata. Jakoż przy głosowaniu p. W. dostał 12 głosów, Sz. 1, ja oddałem kartkę czystą.

Nowo obrany dyrektor zaprosił na inspektora p. Szymańskiego. Po paru przemówieniach posiedzenie zamknięto. Na mój wniosek, aby wpłynąć na zwiększenie napływu uczniów, zaproponowano mi napisanie artykułu do „Echa“. Nazajutrz umieściłem tam rodzaj odezwy p. n.: „Miejsca wolne są jeszcze“, wskazując, że szkoła Macierzy uważa za główne zadanie przyjście z pomocą uczniom, którzy uczęszczali do szkół rosyjskich i nie władają dobrze językiem polskim.

Na następnem posiedzeniu głosujemy nad programami 4-ch klas. Okazuje się, że stanowią one nowe zagadnienie i że trzeba przyjąć za podstawę

programy C. K. O. z dodatkiem godzin z geografii (Szymański) i przyrody (Klimowicz). Zaproponowałem lekcje dodatkowe z polskiego, które przyjęto. Natomiast wniosek co do pogadarek z higieny nie znalazł uznania. Vorbrot wyraził obawę, aby takie pogadanki nie wywołały nieporozumień pomiędzy szkołą a domem (!) Odpowiadam, że ta dziedzina jest w domu przeważnie zaniedbana i że szkoła winna te sprawy uzupełnić. P. Klimowicz twierdzi, że nauki biologiczne są niedostępne dla młodszych uczniów, choć dla siebie żąda zwiększenia liczby godzin z przyrody. Uświadamianie w zakresie zdrowia chce również pozostawić domowi. Mój wniosek upada. A więc szkoła pójdzie po udeptanej drodze prababek. Zdaje mi się, że chodzi tu o względy materialne, a nie zasadnicze. Tak kra-wiec kraje, jak mu materji staje. Czemuż jednak zamilcza on stan rzeczy i ucieka się do śmiesznych uzasadnień?

Okazuje się, że łacinnik będzie miał, zaledwie 4 godziny tygodniowo w 3-ej klasie, bo 5-a obejmuje dyrektor, który musi też czegoś uczyć, a jako prawnik nie ma odpowiedniego przedmiotu. Nauczyciel niemieckiego może mieć 3 godziny, choć miał w C. K. O. 22. Żadnemu nauczycielowi szkoła nie zapewni utrzymania, bo będzie miał najwyżej 12 godzin tygodniowo, czyli 120 rb. miesięcznie. Budżet szkoły wygląda zagadkowo. Zobaczymy, czy będzie on ujawniony, czy też ukryty. Kto wie, czy błędy, jakie nas raziły, nie powtórzą się tu ku wielkiej radości i trjumfowi przeciwników.

Na jednym z posiedzeń Rady Z. W. P. wniósł Zarębski nieśmiertelne pytanie połączenia się z T-wa Pol. Żołą. Jestto konieczne dla Związku, bo T-wo jest bogate i czynne, a my biedni i nie robimy nic. Jutro sprawa musi być załatwiona. Wprawdzie otrzymałem list od p. Dybczyńskiego, aby odłożyć ją

o kilka dni do powrotu jego z Piotrodrodu, ale zwlekać niemożna.

Zorganizowana kompanja uznaje to za zupełnie słuszne, wbrew mojemu sprzeciwowi. Nowo przyjęty członek, dr. Świętochowski, mówi: — ludzi niezastąpionych niema. D. postępuje niedelikatnie, żądając, aby T-wo P. Z. miało nań czekać. Inni członkowie Rady pozwalają sobie nawet na docinki. Przy głosowaniu za zwłoką wypowiedział się tylko ja i chor. Milkowski, reszta—przeciw. Wobec tego żądam podania w protokule głosowania imiennego. Kilka członków sprzeciwiło się temu, a Świętochowski powiada:—może D. zechce potem wyzwać nas wszystkich na pojedynek?

Poruszono jeszcze parę spraw drażliwych, między Innemi niedoszłą do skutku wyprawę mającą ze Świętochowskim do Mińska, gdzie mieliśmy poprzeć sprawę spolszczenia szpitala Ujazdowskiego. Św. porozumiał się cichaczem z Zarębskim i wziął tę sprawę w swoje ręce, zapewniając, że załatwi ją z prezesem Ledickim, z którym ma być w zażyłych stosunkach. Zaprotestowałem przeciwko takiej bezceremonjalności. Nie mam nic przeciw temu, aby prowadziło ją jeszcze paru ludzi. Projekt jazdy do Mińska do kol. Łubińskiego wydawał mi się nie dość uzasadniony, bo nie wiem, czy Ł. jest kompetentny. Jednak na życzenie Rady zgodziłem się na jazdę. Świętochowskiemu było to widocznie nie na rękę, bo wpłynął na Łoktiewą, aby nam odmówił delegacji. Zażądałem więc jej tylko dla siebie. Sprawa musiała oprzeć się o inspektora okręgowego.

Zarębski zrobił mi publicznie wymówkę, że nie spełniłem polecenia Rady. Kiedym wyjaśnił sprawę, powiada nowopowołany sekretarz Górski:

— Dr. Świętochowski mówił właśnie coś całkiem innego, że pan odmówił jazdy do Mińska.

Wydostaję więc odpowiedź z Łoktiewa, która



głosi: „Dr. Św. uchylił się od jazdy do Mińska, przeto pozwolenie dla d-ra M. należy uzyskać od inspektora okręgu.

— Cóż na to panowie? — pytam Zarębskiego i Górskiego, pewnych, że mnie przyłapią na zaniedbaniu. Są zdetonowani, jednak przechodzą prędko do innego tematu.

Przed kilku dniami zwrócił się do mnie obywatel z Płockiego z listem Zarębskiego, prosząc o pomoc. Korzystam z tego, by się dowiedzieć, kto jest ten: „dobry znajomy”,

— Jest v.-Prezes Z. W. P. — mówi obywatel.

— Jednym z czterech. Tyle wiem i ja,

— Znam go mało, wiem, że stara się nawiązać z Tw. P. Z. bliższe stosunki. Nie mamy jednak doń zaufania.

— Czemuż tak? — pytam.

— Z. pracował jako kancelista u jednego z naszych członków w Warszawie i został wydalony za jakieś niedokładności. Potem wyjechał do Rosji, gdzie przed kilka laty przyjął prawosławie...

— Czyż to prawda?! — wołam. — Udaje gorliwego katolika.

— Podobno w celu otrzymania rozwodu.

— Czyż niemożna było przejść na protestantyzm? Prawosławie przyjmowali tylko karierowicze, zdrajcy, przedawczycy! Taki osobnik nie powinien mieć wstępu do polskich domów i instytucyj!

— Jednak trzymacie go panowie w Z. W.?

— Przez niewiadomość. Ale ten błąd naprawimy, o ile wiadomość jest ścisłą.

— On jest jeszcze nie najgorszy. — Jest usłużny, ofiarny, wesoły. Taki dr. Sobański np. roztrąbił na Zjeździe W. P., co Zdziechowski powiedział po pijanemu, że armja polska jest potrzebna do walki z legjonami Piłsudskiego. Taki Dvbczyński sprzeciwia się dążnościom narodowym...

— Taki dr. Miklaszewski — podpowiadam tym samym tonem — zwalcza w Polsce klerykalizm i popiera wolną myśl...

— My wszyscy nie jesteśmy zwolennikami księży — zapewnia obywatel — nie wierzymy w ich gadaninę, ale bronimy ideałów polskich.

— Każdy rozumie je po swojemu, albo podług wskazań swego stronnictwa. Dlatego to pan napada na Sobańskiego i Dybczyńskiego, a ja na ks. Lutosławskiego, którego jezuityzm uważam za zgubny.

— Ależ on nie jest klerykałem! — prawi rozmówca. — Na jednym zebraniu przemawiał do żołnierzy, jak żołnierz, a p. Pstrokoński — jak ksiądz.

Te wynurzenia zaborwione są stronnictwością. Jednak dają duży materiał do charakterystyki Zarębskiego.

Jest to awanturnik, na którego poczynania trzeba patrzeć krytycznie. Oto Z. zakomunikował nam, że nawiązał stosunki ze związkiem kawalerów S-tego Jerzego i chce wejść z nim w porozumienie w imieniu Z. W. P. Odbyła się już narada z udziałem Świętochowskiego i Górskiego. Statuty obu Związków mają być podobne i bezpartyjne. Połączenie się jest wskazane z uwagi na przyobiecane przez hr. Bobryńskiego... pomieszczenie dla Z. W. P., który ma opuścić Kreml. Odezwy do społeczeństwa o udzielenie pomieszczenia pozostały bez odpowiedzi. Trzeba więc skorzystać z tej oferty. Również Świętochowski popiera połączenie się z tym Związkiem, chociaż uchodzi on za ostoję czarnej seciny, ma za zadanie walkę orężną z Radami delegatów żołnierskich i włościańskich, które dochodzą coraz bardziej do władzy,

— Sprzeciwiam się stanowczo temu zamiarowi. — oświadczam. — Nie mamy prawa mieszać się do spraw obcego państwa i zawierać sojusze z żywiołami partyjnymi, walczącymi z rządem, od którego je-

steśmy uzależnieni. Całą naszą ostoję jest nasza neutralność.

Chor. Szpindler dowodzi, że każdy Związek w Rosji jest partyjny, że więc nie mamy racji łączyć się z jakimkolwiek. Górski uważa sprawę pomieszczenia dla Związku za tak ważną, że niemożna odrzucać korzystnej propozycji. Świętochowski popiera również połączenie się, godząc się jedynie ze mną, żeby nie brać żadnych datków. Przy głosowaniu wypowiada się za wnioskiem Zarębskiego 8 członków (zawsze ci sami) a przeciw niemu 4. A więc Z. W. P. wchodzi na śliską drogę. W Rosji mówi się coraz więcej o kontrrewolucji, o ciemnych siłach, pragnących powrotu caratu, o walkach, które mają niezadługo wybuchnąć. W takich warunkach łączyć się z jakąś niewyraźną organizacją znaczy narażać nie tylko Z. W. P., lecz całe nasze wychodźstwo na zarzut wstecznictwa i sprowadzić na nie okrutną zemstę ciemnych mas.

Wobec tego żądam znowu imiennego zaprotokulowania głosów. Rozumiem jednak, że nie mogę pozostawać nadal w Z. W. P. i redaguję uzasadnione oświadczenie złożenia mandatu. Czekam jeszcze. I oto okazuje się, że wbrew uchwale Związki nie łączą się. Nie mogę się dowiedzieć, co stało na przeszkodzie. Może Zarębski zrozumiał, że gra jest zbyt hazardowa? Może zasięgnął opinii Nacz. Pol. K. W., ponieważ jego przedstawiciel na naszym zebraniu, pułk. Jasiński, dawał odpowiedzi wymijające? A może to był tylko zwrot taktyczny w celu pozbycia się opozycji z Rady? Po takim graczu można się spodziewać różnych rzeczy. Ha zobaczymy!

18 Września 1917

Rosja przeżyła szereg silnych wstrząsów. Po zajęciu Rygi przyjętem z pewną obojętnością, która zna-

czyła, że do Moskwy jest jeszcze daleko, a Piotrogród niech sobie radzi, jak umie, przyszedł zamach Kornilowa, przygotowywany jeszcze przed powołaniem go na głównodowodzącego. Kiedy wyjaśniło się, że Kornilow, żąda ustąpienia rządu tymczasowego i ogłoszenia dyktatury, grożąc zdobyciem stolicy przy pomocy oddanej sobie armji, obóz zachowawczy powiedział, wreszcie! Ale zwolennicy rewolucji podnieśli alarm: że jest ona zagrożona przez zdrajców, chcących przywrócić carat. Pokazało się że inteligencja, która sympatyzowała początkowo z rewolucją, ma jej już dosyć. Rządy rad del. żołą. i robot., rozzuchwalenie żołdactwa, zamęt we wszystkich dziedzinach życia, drożyzna, głód, widmo ciężkiej zimy, przeludnienie miast i wyludnienie wsi, rozruchy agrarne rabunki i rozboje dały się tak we znaki wolnym obywatelom, że wzdychają, jeżeli nie do powrotu caratu, to przynajmniej — do dyktatury.

A rewolucja ulękła się o swój własny byt bardziej niż o ojczyznę. Zaniechano sporów partyjnych i przystąpiono z całą energją do zjednoczenia sił, które przeciwstawiłyby się zdrajcom. Kiereński wykazał dużo stanowczości. Uderzono w czułą strunę. Kornilow był zwolennikiem przywrócenia kary śmierci; rewolucja wystąpiła w obronie tej swojej zdobyczy i zyskała odrazu posłuch żołnierzy. Impreza Kornilowa została szybko zdławiona. Ale czy nie jest to wstęp do dalszych zamachów? Kornilow będzie sądzony przez sąd wojenny, jego współnik Krymów popełnił samobójstwo, Kalenin, generał kozacki, oddał się pod opiekę kozactwa i nie zdradza ochoty zostać uwięzionym. Prasa uważa kadetów za współzdrajców. Zaczęły się ich aresztowania i przesładowania.

Nacz. Pol. Kom. Woj. wplątał się w jakąś kałalę: dokonano rewizji, zabrano księgi i korespondencję pod zarzutem działania na szkodę rewolucji. Ini-

cjatywa miała wyjść od Kom. Głów. Zaczęła się gorsząca polemika w prasie polskiej. Jest to dla nas pewne ostrzeżenie. Gdyby impreza Zarębskiego ze Zw. ś-go Jerzego była doszła do skutku, może siedzielibyśmy już wszyscy na Butyrkach. Podobno Korniłow miał sympatję w Związkach wojskowych. Gdyby jego zamach powiódł się, wiele Związków odsłoniłoby swe przyłbice. Nasze położenie byłoby przykre. Wprawdzie i teraz nie jest ono przyjemne, Działalność jest nikła i polega na... gadaninie raz na tydzień na posiedzeniach i na czynnościach reprezentacyjnych. Spodziewana owocna praca wydz. kult.-oświatowego po połączeniu się z T-em Z. P., zawiodła oczekiwania. P. Dybczyński po powrocie przekonał się, że nowi członkowie wydziału nie zjawiają się nawet na posiedzenia, a członkowie T-wa rządzą się po dawnemu pod naszą egidą pod wodzą ks. Lutosławskiego. Wynik pracy jest nikły. A fundusze? Kasa jest pusta, posiada tylko skromne składki Z. W. P. Z T-wa Ż. P. nie wpłynęło nietylko ofiary i zapomogi, ale nawet składki członkowskie. Co więcej: nowy wydział rości sobie pretensje do dochodu z przedstawień, urządzonych na rzecz Związku. Wyglądamy więc teraz jak zięć bogaczy, którzy zapewniają go, że nie wezmą majątku z sobą do grobu.

— Czy wpłynęło 1,500 rb. na biuletyn i kiedy wpłynie obiecane 10,000? — pytam Zarębskiego na posiedzeniu.—Z. zmieszał się, wykręcał, wreszcie przyznał, że to była tylko przynęta. Na to oświadcza Przemyski, że nietylko 1.500 rb. ale nawet 150,000 nie były by dlań przynętą.

— Należało to oświadczyć wówczas, — odpowiem.—Dziś stwierdzam, że Z. wprowadził Radę w błąd i żądam śledztwa, czy to było zrobione umyślnie, czy tylko lekkomyślnie. A pan Przemyski, który popierał

gorąco, Z., nie ma dziś prawa opowiadać o swej bezinteresowności.

Gen. Latour, powrócił niedawno z wywczasów. Zgrana klika, głosująca pod batutą Z., znikła. Wprawdzie kilku członków ma wyraźne zabarwienie N. D., jednak przemówienia i głosowania nie są już nużącym unisono. Teraz dopiero pojmuję, czemu to tak często stawiali sprzymierzeńcy Z. zarzuty Latourowi, że nie orientuje się w sytuacji i nie ma dość energii do prowadzenia Związku. Powaga prezesa przeciwstawia się awanturniczości karjerowicza. Po raz pierwszy od 3 miesięcy oddycham inną atmosferą. Natomiast Zarębskiemu zaczyna być duszno. Teraz on „nie ma czasu“ bywać na posiedzeniach. Zapowiadam interpelację co do przeszłości Z. i jego prawosławia. Górski jest uderzony tą wiadomością, jak piorunem. Czy aby szczerze?

Wobec ogłoszenia VI-ej listy prowokatorów z Polski, na której figuruje nazwisko W. Wojciechowskiego, zdemaskowanego przezemnie w 1906 r. w ochronie, mam twardego grunt do interpelacji. Piszę z tego powodu artykuł do „Echa“, podkreślając, że choć dziś są inne czasy, niż po pierwszej rewolucji, jednak za jutro ręczyć nie możemy. Zwracajmy więc uwagę na rozmaite osobniki, kręcące się w stowarzyszeniach: żądajmy w razach wątpliwych wyjaśnień co do ich przeszłości.

Rada W. P. podziela te wątpliwości i postanawia nie przyjmować do polskich formacyj byłych żandarmów i tajnej policji oraz ludzi o niewyraźnym obliczu, np. prawosławnych, podających się za Polaków. Przy tej dyskusji Zarębski siedzi cicho, udając zajętego przeglądaniem papierów.

Na czoło Związku wysuwa się p. Dybczyński. Właśnie zajął się on jeńcami Polakami na podstawie rozporządzenia ministra wojna z d. 30.VI.17, które

zapewnia jeńcom i inwalidom pewne poparcie i pomoc, Zarębski jest usposobiony nieprzychylnie dla D. i utrudnia mu dostanie się do prezydium. W ciągu lata przechodzili zawsze kandydaci Z. Jednak przy wyborach na komisarza Związku przeszedł pułk. Konosewicz, choć zdawało się, że Z. ma wybór zapewniony. Zmieszał się, dowiedziawszy się o wyniku. Ale czekają go jeszcze nie takie zawody.

30 Września 1917.

Od wiosny ciągną się układy co do przeniesienia lekarzy z tyłu na front. Początkowo wywołało to popłoch. Ale lekarze oswoili się z tem niebezpieczeństwem. Na jednym zebraniu okręgowem w uniwersytecie wybrano komisję, która miała zająć się sprawdzaniem kwalifikacyj uchylających się. Miano naprzód powołać lekarzy poniżej 45 lat. Jednak połów był marny. Do siedmiu grubszych ryb, które zatrzymały się w oczkach sieci, zastosowano inne środki oceny. Rachmanowa uznano za niezastąpionego specjalistę pomimo 37 lat życia i 8-u praktyki administracyjnej. A więc metody pozostały carskie, choć kierownicy przemalowali się na kolor czerwony.

Byli radcowie stanu stali się grzeczniejsi, nie wtrącając się do rzeczy, na których się nie znają i nie przeciążają nas formalnościami.

Natomiast rej wodzą dziś małe rybki, dowodząc: wyrzuciliśmy Bogdanowa, nasza górą!

Razu pewnego mówi do mnie Erykson. — U pana w sali umarł chory, u którego jest podane w karcie choroby w dzień śmierci: „Status idem“ (stan, jak poprzednio). Mam już wyjaśnić, że agonja u chorego na mocznicę trwała od kilka dni, gdy ogłusza mnie chichot: — Ha, ha, ha! St. idem i — umarł! Obracam głowę. Śmieje się lekarz policyjny B.

—Proszę dbać raczej o to—przerywam jego wybuch radości — aby chorzy na zapalenie płuc i kiszki ślepej nie dostawali się do oddziału tyfusowego.

B. poczerwieniał i zamilkł. Czuje się dziś mniej pewny, bo brak mu poparcia; żołnierzom niewolno wymyślać i niema już komisji zwalniających. Ale dawna szkoła basowonia zwierzchnikom pozostała.

Zmiany w szpitalu odbiły się na pracy lekarzy niekorzystnie, chociaż wymagania zmniejszyły się, dyżury wypadają co 7 do 10 dni, i raportowanie zostało zniesione. Trzyletnia niewola wdrożyła nas do bata, bez którego brak porządku.

Największe wpływy ma Ławiagin, jako pogromca Bogdanowa. Komenda chciała go pusować na stanowisko lekarza głównego. Jednak on zaproponował narazie Łoktiewa. Dostawszy się z wyborów do rady 80 przedstawicieli okręgu, jest dokładnie powiadomiony o biegu spraw, referuje je na posiedzeniach i przeprowadza uchwały wbrew życzeniu trzech innych radców stanu, którzy nienawidzą go z całego serca. Właśnie przeciw Ławiaginowi wyciągnięto dwie sprawy.

Lekarz Walerstein, chcący uchodzić za wielkiego praktyka, pokłócił się, z Ł. i doprowadził przez swą arogancję do ostrego zajścia. Uważając się za niezważonego „podczas pełnienia obowiązków służbowych”, podał on skargę do Łoktiewa. Ławiagin, powiadomiony w okręgu o skardze, napisał na imię inspektora dwa raporty, zarzucając Walersteinowi oszczerstwo. Wszystkie te akty przesłano Łoktiewowi do wyjaśnienia. Na naradzie szpitalnej odczytał on je, zaznaczając, że jest dotknięty, iż go pominięto przy składaniu raportów. Również Ławiagin uznał się za obrażonego, ponieważ Łoktiew nie pokazał mu skargi przed wysłaniem do okręgu. Po długiej, przykłej dyskusji, w której Łoktiew i jego zwolennicy chcieli uznać postępek Ławiagina za niekoleżeński, przyjęto mój



wniosek, że Łoktiew postąpił formalnie prawidłowo, lecz nie po koleżeńsku, a że Ławiagin—formalnie nieprawidłowo; niema jednak przeszkody, aby się pogodzili. Przeciwnicy podali sobie ręce. A sprawa Walersteina, wałkowana na paru posiedzeniach, została wreszcie umorzona, ponieważ pokrzywdzony nie zdobył się na przysłanie swych zastępców w ciągu tygodnia.

Druga sprawa Ławiagina była następstwem usunięcia Emiljanowa, który zasypywał okręg listami anonimowymi, że Ławiagin, jako lekarz polcyjny, powinien być wysłany na front, że brał udział w zakładaniu domów schadzek, że tolerował bicie w ochranię socjalistów i t. p. Zarzuty były sformułowane niedość ściśle. Ławiagin zaprzeczał im stanowczo.

Sprawa spolszczenia szpitala Ujazdowskiego utknęła znowu z powodu nieporozumienia pomiędzy Lednickim, a dr. Łubińskim, zastępcą członka Nacz. Pol. K. W., który miał zreferować mój memoriał. Wobec tych nieporozumień Lednicki uznał, że sprawa jest „nie na czasie“. Komisja Likwidacyjna zajęła się ponownie tą sprawą. Rosjanie patrzą na nią niechętni. Ale i Polacy z Ujazdowa są nią niezbyt zachwyceni, obawiając się wszelkich zmian w składzie osobowym szpitala. Świętochowski zmienił już mój projekt o tyle, że personel szpitala ma pozostać poprzedni, gdy ja zamierziałem zebrać tu najlepsze polskie siły lekarskie, Ale i na tą zmianę nie godzą się lekarze.

3 Październik 1917.

Dalsze prowadzenie wojny wydaje się niemożliwym. Rosji grozi głód, choroby i wszelkie inne niedole. Nigdy jeszcze zaludnienie Moskwy i innych miast nie było tak gęste, nigdy nie było takiego braku produktów spożywczych i tak wysokich cen. Zarobek robotnika podniósł się kilkakrotnie, dochodzi do 600 rb. miesięcznie, jednak nie wystarcza na

utrzymanie. Pobory wojskowych i lekarzy pozostały dawne. Skarb jest pusty, niemoże być mowy o poprawie warunków bytu urzędników i wojska, Niech sami sobie radzą!

Wojna wewnętrzna zaczęła się na dobre. Już w Czerwcu wystąpili zbrojnie bolszewicy. Na zjazdach i naradach pokazało się, że rząd nie ma pewnego gruntu pod nogami. Zamach Kornułowa, niewyjaśniony jeszcze dostatecznie, nasuwający podejrzenie co do czynnego udziału w nim Kiereńskiego, wskazuje, że rząd nie wie, jak wybrnąć z kłopotów. Nawet zapowiedź konstytuandy na jesieni nie dodaje wiele otuchy, bo nikt nie jest pewien dnia i godziny. Najbardziej popularne hasło chwili jest: „precz z wojną“. Nikt nie zastanawia się, jakie byłyby następstwa wprowadzenia go w życie. Moskał otrząsnął się tak szybko z łowajszczyzny, że dowodzi, że oni pięćdziesiąt ziem rosyjskiej nie została jeszcze zajęta. Wobec hasła semookreślenia narodów i stworzenia Stanów Zjednoczonych Europy Wschodniej cel dalszej wojny staje się niezrozumiały i uchodzi za burżuazyjny imperjalizm, za imprezę dla korzyści Anglii.

Kłopoty rządu rosą z każdą chwilą. Oto odbył się sobór cerkiewny, na którym wygwizdano protojereja Dobronrawowa i biskupa podolskiego Mitrofona. W Kijowie żołnierze rozgromili sąd wojenny w Orle wybuchł bunt, na Podolu zaczęła się agitacja czarnosecinna, w Turkiestanie — powstanie, w Moskwie bezrobocie telefonów i aptek, kolei. Wypływają jakieś nieznane osobistości, żądają dla siebie władzy. Słowem zamęt we wszystkich dziedzinach życia państwowego i społecznego.

Bezrobocie kolejowe zaniepokoiło mnie. Żona spędza lato z dziećmi w guberni Wołogodzkiej w okolicy m. Suchony, dokąd zorganizował nauczyciel Drelszner wyprawę uczniów na roboty leśne, Pojechało

kilkunastu chłopców. Część ich rozpiezchła się, ponieważ warunki pracy i żywienia były zupełnie nieodpowiednie. Syn przeszedł od wyrębu lasu do ładowania tratw, wreszcie do fabryki pocisków. Dzięki temu cała rodzina dostała kartki na chleb, kaszę, cukier i sól. Utrzymanie kosztowało drożej, niż w Moskwie. Chłopiec zarabiał 5 i pół rb. dziennie, dorośli do 20 rb. W Toćmie pracuje cała szkoła miejscowa i parę przyjezdnych przy ładowaniu drzewa. Rad jestem, że mój syn próbuje poraz pierwszy własnych sił i jest opiekunem matki i sióstr. Żona wzywa telegraficznie o przysłanie 200 rb. A tu wypadł strejk. Poczta i telegraf nie ręcą za dostarczenie przekazu. Wysyłam na pierwsze potrzeby 100 rb. Na szczęście bezrobocie zostaje zawieszona. Rodzina wraca. Dzieci są mizerne, obdarte. Żona jest wyczerpana. Wynik wyczasów letnich jest nieszczególny, a koszt ich wynosi 1200 rb.

Z dawnego naszego mieszkania na Dokuczajewie pozostał jeden pokój, bo dwa inne oddaliśmy państwu B., których usunięto z pokoju w tym samym domu. Pan B. jest nauczycielem we Lwowie i jeńcem wojennym. Pracuje w C. K. O. Dostałem pokój w sąsiednim domu u dawno zamieszkałej tu rodziny polskiej. A więc rozdzielamy się znowu: żona z dwójkiem młodszych dzieci pozostaje w jednym pokoju z prawem używania kuchni, a ja z dwójkiem starszych dzieci przenoszę się do sąsiedniej kamienicy.

Moi letnicy powracają nie sami, lecz z żoną i dzieckiem zawiadowcy z Suchony, która chce zasięgnąć w Moskwie porady lekarskiej. Całe towarzystwo wędruje z dworca na piechotę; przygodny żołnierz niesie pakunki, bo dorożki strejkują. Wchodzimy do dawnego mieszkania. B. smaży właśnie racu-

chy na oleju. Gryzący dym wypełnia całe mieszkanie B. przyzwyczaiła się tak w ciągu lata do pomieszczenia, że nie może się pogodzić z oddaniem jednego pokoju. Oponuje też przeciw otwieraniu okna w obawie przeziębienia. Od pierwszej chwili wytwarza się przykra atmosfera. Moi podróżni są zmęczeni. Goście są chorzy. Gospodyni jest rozdrażniona. Scena prawie Dantejska. Jednak po godzinie piekło zamienia się w niebo. Dym ulatnia się przez otwarte okno: goście rozkładają się na łóżku, córeczki na sienniku na podłodze, reszta rodziny — w moim pokoju. Sen łagodzi zgryzoty. Dzieciaki mają twarzyczki pogodne i spokojne, jak gdyby leżały na puchach.

Po trzech miesiącach jesteśmy znów razem. Jednak zaszły u nas duże zmiany: żona jest zdenerwowana, rozgoryczona, chęra. Zbierało się to już od roku. Liczyłem na odpoczynek letni. Ale i on zawiódł. Grażyna przebiła stopę szkłem i cały czas przechorowała. Gdybyśmy dostali lepsze mieszkanie i służącą, sprawy ułożyłyby się pomyślniej. Ale o tem niema co marzyć. Wypadnie wynieść się z Moskwy, a przynajmniej wysłać żonę z Aldoną. Proponowano mi miejsce w Szczygrach, ale narazie nie mogę wycofać się ze wszystkich obowiązków. Namawiają mnie na Murman, obiecując 800 rb. miesięcznie i mieszkanie przy budowie kolei. Nie chcę jednak skazywać rodziny na pas polarny i pół roku nocy. Przedewszystkiem jednak mam wrażenie, iż wielu czeka na mój wyjazd, aby potem gospodarzyć... bez przeszkód. Zwłaszcza muszę przypilnować spolszczenia szpitala Ujazdowskiego.

Sprawa ta wikła się znowu. Z Mińska nadeszło wezwanie na zjazd lekarzy. Niewiadomo kto ten zjazd zwołuje, jaki ma być jego program: kto może w nim uczestniczyć. Jednak Rada postanowiła wysłać dwu delegatów. Z ich sprawozdania wynika, że kol.

Łubinski dobrał sobie grono lekarzy i zamierza ująć w swoje ręce kierownictwo całą działalnością sanitarno-lekarską. Między innymi chce szpital Ujazdowski obsadzić podług własnego planu i żąda uznania tego ciała za naczelną władzę sanitarną.

Zaoponowałem przeciwko takiej organizacji samozwańczej. Uznać możemy tylko taką władzę, którą powoła ogół lekarzy wojskowych. Wrazie przeciwnym nie mielibyśmy rękojmi, aby nie powstały podobne organizacje w różnych dzielnicach Rosji. Rada nie zgadzała się ze mną. Jednak udało mi się ją przekonać. A szpital Ujazdowski ma już trzeciego orędownika i może wyjść na tem, jak dziecko, chowane przez kilka ciotek. A że kol. Łubiński naraził się prez. Lednickiemu, zaś Nacz. Pol. K. W. nie jest dotychczas zatwierdzony, przeto jedyna droga do społeczenia szpitala prowadzi przez Komisję Likwidacyjną. Dziwne jest, że koledzy, którzy ukrywali się przez całą wojnę w Czerw. Krzyżu, chcą dziś kierować tymi, którzy musieli dźwigać ciężary poboru przymusowego.

Obchodzimy setną rocznicę zgonu Kościuszki Komitet z braćmi Lutosławskimi na czele demonstruje swe fizjognomje 3,000 widzów, zgromadzonych w cyrku. Naprzód parada kościelna z udziałem dyplomacji i kazaniem ks L., potem obchód odczytowo-wokalno-muzyczny. Mówcy podnoszą wielkie zasługi bohatera dla kraju i ludzkości, artyści składają mu hołd, dyplomaci „kują żelazo gorące”. Łoże dyplomatów uświetniają swą obecnością bracia L. Ale oto w głębi błyszczą jakieś szlify. Wymierzam na nie lornetkę. Uwierzycie? Zarębski we własnej osobie! Karjera rozpoczęta w Z. W. P., podtrzymywana w „Kole Pań” w „Lutni”, opłacona zaprzędaniem się T-wu P. Ż., doprowadza dziś tego prawosławnego do demonstro-

wania jego wpływów wobec tłumu. Co za plugawie-  
nie pamięci naszego bohatera narodowego!

11 Październik 1917

Rozejrzawszy się w sprawach Z. W. P., gen. Latour ogłosił na posiedzeniu Rady swe ustąpienie. Przeciw temu wypowiedział się gorąco p. Dybczyński. Paru innych członków odradzało tego kroku niezbyt szczerze. Kapela Zarębskiego zachowywała milczenie. Musiałem więc oświetlić sprawę:

— Podczas lata miałem zamiar sam ustąpić, wyczerpany walką z grupą członków, którzy głosowali zawsze za p. Zarebskim, często wbrew statutowi. Jednak obawa, że Związek wyjdzie na bezdroże, kazała czekać na powrót prezesa i p. Dybczyńskiego. Dziś gdy to się stało i gdy na sam wasz widok rozleciała się zorganizowana grupa, nie macie panowie prawa ustąpić, chyba że rozwiążecie Związek.

Pan Dybczyński podtrzymał moje stanowisko.

— Bronięm bezpartyjności Związku i jego neutralności. Sprzeciwiałem się więc propozycjom p. Zarębskiego, aby się połączyć ze Zw. kawalerów św. Jerzego i T-em, Pol. Żoł., choć p. Z. kusił nas wielkimi korzyściami materialnymi, które jednak były kłamliwe. Dziś żądam nietylko pozostania gen. Latoura lecz i przeprowadzenia rewizji zapadłych podczas lata uchwał, przeciw którym protestuję w dalszym ciągu.

Latour dał się przekonać. Natomiast napadał na mnie Przemyski. Drugi mój przeciwnik, Pieńkowski, dowodzi, że T-wo byłoby rozwinęło zbawienną działalność, gdybym ja nie stanął temu na przeszkodzie. Przedstawia też projekt statutu. Ale pokazało się, że jest to elaborat nawskroś N. D. i klerykalny: jako główne zadanie kulturalno-oświatowe wysuwane

są to posługi religijne dla katolików wyłącznie, zorganizowane w taki sposób, że T-wo jest tylko narzędziem pomocniczym dla księdza. Praca nadrozbudzeniem polskości jest postawiona na miejscu pośrednim a zakres jest wyraźnie wsteczniczy i partyjny. W stosunku do Z. W. P. nowe T-wo zachowuje wbrew umowie samodzielność i prawa niezależnego występowania nazewnątrz. Pomimo niezatwierdzenia tego statutu ks. Lutosławski przystąpił w imieniu wydz. kult.-oświatowego do Związku Międzypartyjnego, czyli wciągnął Z. W. P. do akcji wyraźnie stronnicy. Przeciw temu maksjawelizmowi musiałem za protestować nie tylko w Radzie, lecz i w prasie.

Ze sprawozdania p. Dybczyńskiego wynika, że działalność wydz. Kult.-ośw. była w ciągu lata nader nikła. Żołnierze stronili wyraźnie od jego wpływów. Bo też żołnierz przejął się tak gorąco ruchem rewolucyjnym, że o powodzeniu metod wsteczniczych nie może być dziś mowy. Wszak nie oto chodzi, aby zebrać grupkę dewotów i ludzi skołatanych, pragnących nadewszystko spokoju i dogodności osobistych, lecz — aby podtrzymać w tych wielkich rzeszach polskości, chęć powrotu do kraju.

Wyodrębnianie Polaków idzie opornie. Pobrękiwanie szabelką przez N. D. nie ma wśród tułaczów powodzenia. Mają oni dość wojaczki i przelewu krwi za obce sprawy. Żołnierzom nie podoba się rygor w formacjach polskich, który rozwił się całkowicie w wojsku rosyjskiem. Natomiast oficerzy polscy napływają w takiej liczbie, że tworzy się z nich specjalne oddziały. Bo też położenie oficera stało się nader przykre. Musieli pogodzić się z zależnością od rad. żoł. i z samosądami. To też mamy dużo zgłoszeń nie tylko Polaków, lecz i Rosjan do formacji polskich. Jest to niebezpieczna gra, bo nasze oddziały są traktowane coraz bardziej niechętnie przez rząd.

Mam wrażenie, że Nacz. B. K. W. nie sformułował jeszcze dość jasno celu wyodrębniania Polaków. Żołnierz ma dość wojaczki. Hasło pokoju natychmiastowego jest popularne. Wobec tego perspektywa tworzenia armji do walki z Niemcami nie może się podobać. I nasza Rada nie stawia pytania jasno. Na jednym z zebrań okręgowych przemawiało paru członków Rady za potrzebą łączenia się dla celów kulturalnych i łatwiejszego powrotu do kraju. Nastrój na sali był przychylny i żołnierze wyrażali gotowość przenoszenia się masowo. Ale Zarębski przemówił, jako nieskazitelny patriota, że Polak nie uchyli się i od obowiązku wojowania. Nastrój rozwiązał się odrazu i zaledwo paru żołnierzy zgłosiło przystąpienie.

Niektóre zarządzenia gen. Dowbora-Muśnickiego wzbudzają wielkie niezadowolenie. Pułk Białogrodzki, skazany na 5-io dniową głodówkę, wypowiedział Dowborowi posłuszeństwo. Jest to fatalny brak poczucia rzeczywistości u starego cesarskiego generała, który uważa siebie snąć za potężniejszego od wielu innych kolegów, nietylko usuniętych ze stanowisk, lecz nawet uwięzionych i rozstrzelanych. Dowbora otaczają partyjni doradcy. W roli jego adjutanta występuje p. Sadzewicz, redaktor „Gazety Polskiej”, która zwalcza Radę stanu, napastuje komendanta Piłsudskiego, walczy z Radą Regencyjną i popiera ekspozytury, tworzone przez Romana Dmowskiego w stolicach Europy. Podobno nastąpiło porozumienie pomiędzy sztabem polskim a państwami sprzymierzonymi, skąd miały wypłynąć miliony na cele wojskowe. Francja ma żądać żołnierza polskiego do swych szeregów.

Na froncie szerzą się pogromy i rabunki. Obywatelstwo polskie zwraca się do rodaków o obronę wojskową, o przeciwdziałanie rozbestwionemu żołdactwu uchodzący za kontrrewolucję.

W rządzie panuje coraz większy zamęt. Lada chwila



oczekiwany jest upadek Piotrogradu. Przyszłość Rosji wygląda ponuro. Ale i nasz los jest straszny na tej przymusowej tułaczce. Coraz częściej słyszy się głosy, że tylko dyktatura mogłaby tu jeszcze coś poradzić. Ale nie widać męża, któryby był zdolny ująć silną dłoń w wodze rozpadającego się państwa i skupić przy sobie naród, chcący zachować niezależność polityczną. Czy jest w Rosji taki mąż? Czy jest jaki czynnik, zdolny to uczynić?

Przed paru dniami widziałem z tramwaja na ul. Twerskiej procesję. Popi w ryzach, djacy z krzyżami, chorągwiami, świecami, pobożni — z obrazami, posągami świętych. Za nimi ciągnie się szary tłum. Tramwaj staje. Paru jadących zdejmują czapki. Jednego z nich zaciepia żołnierz: — komu się kłaniasz, towarzyszu?

— Niosą św. Jerzego, Twerską bożą matier.

— Kłaniasz się tym bogomazom? I ja kiedyś w nie wierzyłem. Chodziłem z prośbą do Kazanskiej Materi, do Twerskiej, do Iwerskiej... Stawiałem świeczki, biłem pokłony. I co? Nic się nie zmieniło. Więc posłałem je wszystkie „k jeb... mater”. Na tem tylko żerują i bogacą się popi.

— Zawszeć to świętości, — tłumaczy się nabożny.

— Malowane i złocone przez żydów, — śmieje się żołnierz. — Poprosz, może ci ten cudowny obraz da z funt chleba!

Przyglądam się procesji. Ramy obrazów kapią od złota. Chorągwie mieniają się różnobarwnymi tkaninami. Popi uginają się pod ciężarem ryz. A tłum nabożnych składa się prawie wyłącznie ze starych kobiet w wyszarzanych okryciach i z trochę zgarbionych starców. Ci ludzie odejdą w tym pochodzie. Pozostanie żołnierz w szarym szynelu, wyzwolony ze starych

wierzeń, wierzący w nową rewolucję... A może i ta wiara go zawiedzie?

2 Listopad 1917.

Zapowiadany oddawna ruch maksymalistów wybuchł gwałtownie pod hasłem: „cała władza dla komitetów żołnierskich, robotniczych i włościańskich”. Za przykładem Piotrogradu wystąpiły wojska do walki z burżujami, kontrrewolucją i rządem tymczasowym. Obalenie caratu dokonało się spokojnie, poważnie, wykazując moc długotajonego gniewu i słabość samodziierzcy. Natomiast walka w łonie odnowicieli ustroju państwa nabrała od pierwszej chwili cech bezlitośnego tępienia się wzajemnego. Takiej nienawiści nie żywił żaden moskał do Niemca. Rozagitowane tłumy żołdactwa wystąpiły w imię natychmiastowego zakończenia wojny, oddania chłopom całej ziemi, upaństwowienia wszelkiej własności i zaprowadzenia komuny. Cztery dni i noce grzmia nad Moskwą działa, mitraljezy, karabiny. Pociski przelatują nad miastem i godzą w Kreml i przyległe dzielnice. Tam kryją się stronnicy Kiereńskiego. Oblegana jest poczta, telegraf, szkoła podchorążych, telefony. Straty w ludziach są podobno duże. Na Kremlu uszkodzono kilka świątyń i baszt, między innymi — zegarową i bramę nikolską. Cudowny obraz z napisem, że oparł się Francuzom, legł potrzaskany kulami rodaków, a kapliczka rozpadła się w gruzy. Kto wie, czy za kilkadziesiąt lat, gdy pomrą świadkowie walk, nie zrodzi się znowu legenda o cudownym ocaleniu Kremla przez obraz, który ukrył się u jakiejś cnotliwej niewiasty i przeczekał okres zamętu.

Po kilku dniach strzelaniny ludność przyzwyczaiła się do huków i wstrząsów. Pogodzono się z tem, że są bombardowane pamiątki narodowe i pałace burżujów, byle zostawiono w spokoju resztę miasta.

Natomiast w centrum ludzie nie wychodzą z domów, zasłaniają okna i drzwi deskami. I oto wbrew dawniejszym zapewnieniom, że Niemcy nie dojdą do Moskwy, widzą ją dziś zbombardowaną. Bo niebezpieczne są nie tylko prochy, zgromadzone w twierdzach i arsenalach, lecz i w umysłach ludności. Gwardja czerwona, złożona z rozmaitych szumowin, uzbrojona w karabiny i rewolwery, dopuszcza się gwałtów i rabunków pod pozorem poszukiwania broni. Oficerowie nie wychodzą na ulicę. Najlepiej widziany jest szynel żornierski bez wszelkich oznak. Zaopatrzyłem się w takie okrycie przed kilkoma miesiącami i wyglądam w niem na „towaryszcza”. Szlify lekarskie rażą wielu czerwonogwardzistów. Nieraz ulegam przez nie rewizjom ulicznym, mając przystawiony bagnet lub rewolwer do piersi.

Wczoraj miała się odbyć rewizja w mem mieszkaniu. A więc „szaszka“, wisząca spokojnie w kącie od 9 miesięcy, świadek moich walk z Bogdanowem, nieudolności mej w raportowaniu, twórczyni... dziur w moim mundurze, szaszka, nabyta w czasie popłochu wojennego od policjanta, szaszka, którą miałem złożyć w muzeum domowym, ulegnie konfiskacie. Pozatem nie mam nic do ukrycia, chyba rękopisy, z którymi niepisemni rewidenci nie będą robili wielkich ceremonij. Czekam. Ale rewidenci nie zjawiają się. Właśnie otrzymuję wezwanie do chorego w sąsiedztwie. Idę. I oto przed chwilą dokonało tu rewizji 22 uzbrojonych drabów.

— A szaszki państwu nie wzięli? — pytam, spostrzegłszy siostrę rodzoną mojej, stojącą w kącie.

— Jej nie ruszyli, — odpowie gospodyni, — ale pieniądze z komody, srebro i zegarek znikły w jednej chwili.

— Czy mieli rozkaz dokonania rewizji?

— Nie dopuścili mnie do słowa. Cóż mogłam poradzić z taką bandą?!

Działo się to u praczki, zajmującej 3 izby w wałącym się drewniaku. Najczerwieńszy rewolucjonista nie zarzuciłby jej burżujstwa. A więc i ja muszę poukrywać zupełnie inne przedmioty.

20 Listopad 1917.

Niepewność jutra, obawa o życie i mienie skłoniły wysiedleńców do zjednoczenia się. Rząd bolszewicki zapewnił nam prawo samookreślenia narodowego. Staramy się uzyskać eksterytorjalność. Komisja Likwidacyjna w Piotrogradzie zaczęła wydawać Polakom zaświadczenia, które miały zapewnić nietykalność ich osobom i mieszkaniom. Podobną instytucję zamierzamy założyć w Moskwie. W tym celu zbieramy się w „Echu Polskim“, uważając ten moment za korzystny z uwagi na zasadniczy cel i na możliwość porozumienia się rozbitych obozów. Jednocześnie inne grono z p. Karpińskim na czele zwróciło się do T-w. aby przysłały nazajutrz na zebranie po dwu delegatów. Podobne zaproszenie otrzymał p. Darowski i organizacje demokratyczne i lewicowe. Ułożyliśmy się z kilku instytucjami, że to zebranie będzie miało charakter informacyjny, następnie zaś w „Echu“ — organizacyjny. Wobec zniszczenia stacji telefonów, zawieszenia ruchu tramwajów, barykad i gruzów z domów zbombardowanych, zebranie mogło mieć charakter przypadkowy.

Obawy były słuszne: na 1-em zebraniu wodziła rej N. D. w osobach trzech braci Lutosławskich i ich zwolenników, zaś przedstawiciele grup demokratycznych byli bardzo nieliczni. Przeciwno naszemu warunkowi oponowano gorąco. Przy odczytywaniu listy zrzeczeń, które wysłały delegatów, dowiedzieliśmy się

o istnieniu zupełnie nieznanym. Między innymi musiałem zaprotestować przeciw dwu przedstawicielom Tw. Żoł. P., ponieważ to T-wo przestało istnieć, łącząc się z Zw. W. P. Na to zrywa się ks. Lutosławski i oświadcza, że jest prezesem tego T-wa, więc jest to najlepszy dowód, że ono istnieje; a łączność ze Zw. W. P. zostanie niebawem zerwana. W tej chwili Zarębski, autor tego połączenia, znikł z sali obrad, a gen. Latour pokiwał tylko głową. Zależy nam na podziwieniu nie tylko płodność ks. L., jako ojca nieznanego T-w, lecz i łatwość rozwodzenia stada już zawiązanych.

Wobec metod zapewnienia N. D. przewagi nie dopuściliśmy do wniosków i głosowania. Jednak pod koniec zebrania, gdy dużo uczestników opuściło salę, zjawiała się nieoczekiwana lista kandydatów do komisji, mającej ułożyć program następnego zebrania. Wobec partyjnego składu listy i obecności na niej nazwiska ks. Lutosławskiego, zaproponowałem głosowanie na każdego kandydata oddzielnie. Wniosek upadł, co było do przewidzenia.

Następne zebranie jest reprezentowane przez 50 T-wa. Sprawozdanie komisji wypada dość kulawo. Od początku stracono dużo czasu na ustalenie nazwy T-wa, ponieważ N. D. sprzeciwiała się nazwie, nadanej przez Kom. Likwid. Jestto dalszy ciąg walki, prowadzonej przez pp. Grabskich, Zdziechowskich, którzy opuścili przed paru miesiącami Kom. Likwidacyjną, chcąc obalić Lednickiego. Mówcy w zapale załatwiania porachunków zapominają o celu zebrania. Najgłośniejszym grzmi ks. Lutosławski. Chce ująć sprawę we własne ręce i utworzyć ambasadę polską, pomijając stanowisko kraju. Nagle zabierają głos przedstawiciele socj. demokracji Polski i Litwy, chłoszcząc w sposób nieparlamentarny całą burżuazję, niezależnie od jej odcieni i zapowiadając krwawą z nią walkę. Wysłu-

chujemy czterech mów jak na sejmie grodzieńskim. Ale i ta nauczka nie jednoczy nas. Gdy s-d. opuścili salę, ks. L. dowodzi, że musimy być przeciwnikami rewolucji, jako katolicy. To demagogiczne stanowisko spotyka się z ostrą odprawą. Ale oto wypływa lista kandydatów do Rady Bezpieczeństwa. Redaktor Kierski nie godzi się na jedno nazwisko jako zbyt partyjne. A gdy na zapytanie, o kogo chodzi, wymienia ks. Lutosławskiego, kilku innych mówców podziela to stanowisko, między innymi, p. Darowski zaznacza, że niebezpiecznie jest drażnić byka czerwoną płachtą. Większość delegatów żąda skreślenia z listy ks. L. W obronie występuje b. burmistrz Kalisza, Bukowiński; jako katolik nie może pozwolić na uchybianie księdzu. Sala przywołuje niefortunnego mówcę do porządku. Ks. L. wygłasza parę mów w swej obronie. Przekonawszy się jednak, że nie utrzyma się na liście, żąda skreślenia z niej przedstawicieli trzech stronnictw mianowicie: ks. M. Radziwiłła, red. Ruga i Szymańskiego. Po długich debatach zgromadzenie robi to ustępstwo, przyjmuje resztę listy o zabarwieniu wyraźnie zachowawczem i partyjnem. Niebawem nowa organizacja stara się o nawiązanie ścisłej łączności ze Związkiem W. P.

10 grudnia 1917

Rewolucja bolszewicka napędziła strachu klasom uprzywilejowanym. Pierwszą myślą było uciekać z Moskwy. Ale dokąd? Wszędzie komuniści zwyciężają i przychodzą do władzy, głosząc, że wojna musi być skończona, cała ziemia oddana włościanom, wszystkie warsztaty pracy—upaństwowione, własność—zniszczona, pełnia władzy — oddana w ręce tych, którzy nie mieli dostępu nawet do... rewirowego.

U steru państwa stanął Uljanów, używający pseu-

donimu Lenin, i Borënstein, przerobiony na Trockiego, starzy, wytrawni rewolucjoniści. Lenin spędził wojnę w Szwajcarji. Niemcy przewieźli go w wagonie zaplombowanym do Rosji. Niech ją rozsadzi może skuteczniej, niż ich okupacja. Ale tłum nie pyta o ich rodowód; zahipnotyzowany owocami przewrotu. Klasy uprzywilejowane biadają, że miast cara zasiadł na tronie żyd, że żydzi chcą zniszczyć Rosję za swe dawniejsze prześladowania, za sprawę Bejlisa. Jednak ten oręż jest dziś stoczony przez rdzę.

Popi przyzwyczaili się już do zmian w ceremonjach cerkiewnych i siedzą cicho. Ale władza jest stroną zaczepną. Zapowiada oddzielenie cerkwi od państwa i zrównanie praw bezwyznaniowców. Jest to najcięższy cios, wymierzony klasom, utrzymanym w niewoli popa. A stanowią one 99<sup>0</sup>/<sub>0</sub> społeczeństwa. Moskał, wychodząc z domu i siadając do wagonu, wybijają pokłon i żegna się; w każdym pokoju pali się lampka przed „ikoną“, na piersiach nosi rozmaite amulety; spełnia nawykowo setki obrzędów; zachowuje liczne posty, choć na popa patrzy zwykle krzywem okiem. Dopóki więc mowa o przetrząsaniu worków duchowieństwa, o zaborze jego ziem i bogactw, przeciętny prawosławny nie oponuje. Gdy jędnak rozeszło się, że świętości mają być usunięte, wiara—sponiewierana, podniósł się lament, pobudzony przez kadetów, którzy, dawniej uważali cerkiew za ostoję wstecznictwa. Sprawdza się więc po raz tysięczny, że religja jest dla polityków narzędziem walki, a bynajmniej nie źródłem moralności, jak to głoszą obrońcy jej przywilejów państwowych.

Bolszewicy zagarnęli wiele instytucyj. Urzędnicy uchylili się przeważnie od wykonywania rozkazów nowej władzy. Skutkiem tego oporu, zwanego „sabotażem“, są nieczynne: poczta, telegraf banki, rada miejska, a to odbija się na całym życiu fatalnie. Brak

gotówki w obiegu i drożyżna powiększają rzesze głodnych. Dekret o upaństwowieniu domów dochodowych i zakaz płacenia komornego właścicielom wywiera wielki wstrząs. Kamienicznicy układają się pospiesznie z mieszkańcami o zniżkę komornego. Naraz zjawilo się sporo mieszkań do odnajęcia pod grozą umieszczenia w nich bezdomnych. Wielkie restauracje sale, publiczne, gmachy są do zajęcia zadarmo przez instytucje, mające mir u bolszewików.

Dzięki temu Związek W. P. otrzymał duży lokal restauracji „Elita“ na linii Piotrowskiej. Nawet na Kremlu nie mieliśmy takiego komfortu. Obszerna sala, przedzielona kolumnadą, meble wyściełane, zasłone gabinetu wyglądają po pańsku.

Posiedzenie Rady odbywamy w małym gabinecie. Pod ścianą szeroka otomana dywanowa, naprzeciw — pianino, wielkie zwierciadło, po bokach kilka krzeseł miękkich, okno zasłonięte ciężką portjerą, której dwie połowy spięto naprędcę agrafką. Na oknie — słoik z waseliną i buteleczka po perfumach, w kącie parasolka z połamanymi drutami, za otamaną opróżnione butelki szampana.. Nie byłem nigdy w t. z. gabinecie. I oto pierwsze posiedzenie Rady pozwala mi zaznajomić się z zamiłowaniem klas uprzywilejowanych. Wszystko, co widzę tchnie jeszcze niedawną orgią.

Dotychczas wyodrębnianie Polaków wykonywali komisarze, wybierani przez Związki i zatwierdzani w myśl rozkazu Nr. 1 z d. 10/VII 17 przez Nacz. Pol. Kom. Wojsk. W naszym Związku komisarzem był puł. Konosewicz. Byliśmy więc bardzo zdziwieni, gdy zjawił się na walnem zebraniu związku 8/XI 17 chor. Skobejko, podając się za wysłannika Nacz. Pola. Poleca on kap. Podgórskiego na stanowisko komendanta. Przeciw temu wypowiedziało się kilku członków Rady, dowodząc, że prowadzimy tę akcję sami i nie może-



my zgodzić się na narzucenie nam kandydatów z zewnątrz. Po burzliwej dyskusji Podgórski zwyciężył i ujął w swe ręce organizację oddziałów wojskowych.

Na następnym zebraniu ogólnym podzielił między siebie tematy przemówień w celu zachęcania żołnierzy do wstępowania do polskich formacji. General Latour mówił o potrzebie łączenia się Polaków, Po nim wypadło mi mówić o potrzebie ochrony naszego mienia. Wskazałem więc, że wojna nauczyła nas skromności i poprzestawania na małym. Jednak jest jedno dobre, którego niewolno nam stracić na obczyźnie. To największe nasze mienie jest nasza mowa ojczysta, skażona tak strasznie na tułaczce, że nie rozumie już nieraz brat brata. W imię uratowania tego skarbu powinniśmy się łączyć. Dalej mówił p. Dybczyński o potrzebie obrony pamiątek narodowych, wywiezionych z Polski w okresie porozbiorowym i podczas wojny, wiele z nich posiada ogromną wartość i powinny wrócić do kraju. Między innymi jest tu „Grunwald“ Matejki. Potem przemawiał Zarębski, jak zwykle chaotycznie i nieszczerze. W końcu odczytałem moją odezwę do wojskowych Polaków o brzmieniu następującem:

Żołnierzu — tułaczule! Za cenę twojej krwi przelanej, za cenę udręki i cierpień milionów naszych współbraci, tysiące poległych, okaleczonych i zmarłych przedwcześnie, za cenę tych ciężkich ofiar zmartwychwstała nasza Ojczyzna. Dziś więc, gdy ziściły się marzenia praoojców i przepowiednie wieszczów, gdy wróg odwieczny musiał odwalić kamień grobowy naszej Polski, gdy upadł carat, który czuwał przez półtora wieku, aby Ona nie powstała z trumny, dziś oddajmy cześć kilku pokoleniom bojowników za jej wolność, lecz zarazem rzeknijmy: dość ofiar, cierpień, niedoli, krwili!

Wojna zbliża się do końca, ale trud i mozół czeka nas jeszcze wielki. Bój mamy stoczyć ciężki, ale orężem walki będzie już nie miecz. Kraj wzywa nas z tułaczki, abyśmy się jęli pracy przy tworzeniu nowego życia. Spełnijmy ten rozkaz i powróćmy jako jeden mąż, pomnąc, że im większa będzie

nasza liczebność, tem skuteczniej obronimy nasze prawa narodowe.

Niech świadomość, że jesteśmy Polakami, niech przynależność do narodu, który tyle przecierpiał, usunie u nas wszelką waśń i niezgodę. Gromadźmy się w rzesze wielkie, gotowe do powrotu do Kraju przy pierwszej możliwości.

W pierwszym szeregu skorzystaj z tej możliwości żołnierzu polski! 40 miesięcy spędzić na obczyźnie. Zjadała cię tęsknota do Kraju, zabijał cię niepokój o rodzinę. Zapomniałeś mowy ojczystej, pogodziłeś się z obcymi zwyczajami, wdobyłeś się do cudzego przewodztwa. Spójrz: dziś jesteś inny, niż ten, który wywędrował z Kraju!

Przed powrotem musisz znów otrzeć się między rodakami, abyś w Ojczyźnie nie czuł się wśród swoich obcym i aby twoi najbliżsi nie pytali: tenże ci jest, do którego wzdychaliśmy przez długie lata? W tym właśnie celu, aby ci pomódz, tworzą się oddziały polskie. Wstępuj rażno do ich szeregów, Niech cię nie powstrzymają podszepty i agitacje tych, którzy chcą cię zrazić do nich. Nie obawiaj się karności, która tam panuje, wszak widzisz, do czego prowadzi samowola, wszak wiesz, że Polska pokutowała przez półtora wieku za nadużycie wolności. Dziś, gdy Ojczyzna zmartwychwstaje, my którzyśmy doczekali szczęśliwie tej chwili upragnionej, ślubujemy przed Jej Majestatem, że nie splamimy się grzechempraojców!

Niech szeregi polskie będą przedsiönkiem, w którym otrząśniemy prochy z nóg naszycch, aby wkroczyć godnie do ukochanej naszej Ojczyzny.

Żołnierzu-tułaczu! Bacność. Do szeregów polskich!  
Naprzód!

Odezwę napisałem na życzenie Rady, która uznała ją za swoją. Uczestnicy zebrania zrozumieli jej cel i zaczęli się zgłaszać do komendantury. Ale „Gazeta Polska”, umieściła napastliwy artykułik J. L. (Józef Lutosławski) p. n.: „Demagogiczna odezwa”. Partijnictwo nie pozwoliło autorowi przyznać, że Polska zmartwychwstaje, kazało żądać, aby żołnierze skupiali się w celu jej odwojowania. N. D. paraliżuje znowu naszą pracę nad wyodrębnianiem żołnierzy, pragnąc powrócić za wszelką cenę na czele hufców zbrojnych. Na tę napaść odpowiedziałem zupełnem

milczeniem, wiedząc, że nie przemówi ona do żołnierza, nastawionego dziś zupełnie inaczej.

Oto zjawiają się inne odezwy. Nacz. Pol. pisze pod datą 29 Listopada 1917 r.: „...Czując się obywatelami Niepodległej Polski, nie możecie się wtrącać do spraw wewnętrznych Rosji... Musicie szanować wyłącznie prawo stanowienia o sobie narodów innych i nakazać milczenie Waszym sympatjom partyjnym... Gdy władze Niepodległej Polski będą mogły objąć kierownictwo Polskich Sił Zbrojnych, musicie być gotowi, aby się rozkazom tych władz poddać jako karne i zorganizowane wojsko, zdolne Niepodległości swej Ojczyzny bronić... Jeśli nie chcecie w bezładzie, nieświadomości drogi, bez opieki, o głodzie i chłodzie długie dni do domu wędrować... jeśli chcecie, by Was Polska witała jako wiernych swych synów, natychmiast spieszcie do szeregów polskich sił zbrojnych”.

Zarząd gł. Narod. Zw. Robotniczego pisze w odezwie: „...Na bagnietach i szablach legjony polskie wyniosły znów przed forum międzynarodowe imię Polski... Polska zbiera swoich synów. Sygnał nas wzywa do szeregów polskich. Tam w kraju — armja narodowa, tu na emigracji natychmiast wycofajmy się z szeregów zdezorganizowanych pułków rosyjskich... Przecież nierządem, zdradą magnatów, brakiem poczucia obowiązków u szlachty — Polska zginęła... Niewolno nam marnować sił w bezprzykładnej wazjemnej rzezi rosyjskich rewolucjonistów... musimy zachować neutralność...

Komitet wyk. frontu poł.-zachodniego wzywa: „...Dość już mozołu i krwi dla celów obcych! Nastal czas, aby wszelkie siły skupić dla Polski... Wojskowi polacy winni wrócić do kraju, a tylko skupieni w zwarte szeregi, będą mogli zapewnić sobie rychlejszy powrót do Ojczyzny...”

Prawa, przyznane nam przez bolszewików, są starannie ograniczone przez zarządzenia, normujące nasz stosunek do Kom. Gł. Wojsk P. (lewicy) i do Soc.-Dem. Polski i Litwy. Uważamy to za wtrącanie się do naszych spraw wewnętrznych. Ale władze patrzą na to ze stanowiska obrony rewolucji od niechętnych jej żywiół. Dowodzący wojskami Okr. Mosk., żołnierz Murałow, poleca nam chorążego Braulińskiego w charakterze swego adjutanta i referenta do spraw wojskowych. Na Radzie przemawia Świętochowski za tym kandydatem, obiecując, że ułatwi on nam wiele spraw i zorganizuje straż bezpieczeństwa nad zabytkami. Sprzeciwiam się temu, ponieważ kontrola Związku przez specjalnego wysłannika rządu jest wyrazem nieufności do nas i ograniczeniem naszej niezależności. Statut nie przewiduje takiego dozoru. W dodatku nie znamy chor. Braulińskiego, a i tak otoczeni jesteśmy podejrzanymi osobistościami. Zarębski poczerwieniał i oświadczył, że zna Braulińskiego z „Koła Pań” i daje o nim referencje nieprzychylnie. Kandydatura upada. Swoją drogą Brauliński kręci się ciągle w komendanturze, załatwia rozmaite sprawy, ułatwia stosunki z Murałowem i innymi dostojnikami. Niebawem komisarzem do spraw Z. W. P. O. M. zostaje wyznaczony znany S.-D. Bobiński. Rada oponuje przeciw temu narzuceniu, lecz dostaje odpowiedź Murałowa, że żadna sprawa Związku nie będzie załatwiona bez p. Bobińskiego.

Posiedzenia Rady odbywają się teraz codziennie. Pewnego razu oglądam pismo, wystosowane przez Zarębskiego do Bobińskiego po rosyjsku (?) o treści następującej: „Do obywatela S. S. R. p. B... Wobec wyznaczenia pana na komisarza Z. W. P. proszę przybyć na posiedzenie Rady jutro o 6-ej pp.” Zaprotestowałem przeciwko takiemu stanowisku. Pismo poszło do kosza.

Na ulicach Moskwy spotyka się oficerów z polskimi oznakami: amarantowe obwódki na maciejówkach z białym orłem. Są oni przy szabli, zabronionej w wojsku rosyjskiem. Jest to zupełnie niewłaściwe. W dodatku spotkałem paru, mówiących między sobą po rosyjsku. Wobec tego żądam na Radzie rozciągnięcia kontroli nad oficerami, zaopatrzenia ich w legitymacje Komendatury, bowiem możliwa jest prowakacja.

Pomimo całej usilności napływ żołnierzy jest niewielki. Brak nam koszar, które mieliśmy otrzymać, brak zaopatrzenia, odzieży, obuwia, pieniędzy. Broni nie możemy uzyskać, więc zabytki nasze, umieszczone w Nieskucznym, nie są strzeżone. Z tego powodu mamy nieporozumienia z Radą Bezpieczeństwa, która domaga się siły zbrojnej, ponieważ sprzeciwiliśmy się wciąganiu do służby bezpieczeństwa uczniów szkół, harcerzy, sokołów, niezdolnych stawiać oporu napadom tłuszczy.

Rada Bezpieczeństwa wkwaterowała się do naszego pomieszczenia w „Elicie“, podobno na skutek układu z Zarębskim. Wydaje ona oznaki polskie do wywieszania na drzwiach po 5 rb. Mają one zapewniać... eksterytorjalność. Ruch w interesie jest duży. Fundusze zebrane mają być oddawane Komendantowi na potrzeby wojska. Wytwarza to dziwny stosunek jakgdyby zależności od R. B. Jej członkowie starają się otrzymać stanowiska członków R. Z. W. P. Oponujemy przeciw tym zakusom, ponieważ R. B. jest w swym składzie N. D. W dodatku nabiera ona wrzaskliwego tonu i chce się stać przedstawicielką całego uchodźstwa, powołując się na kilkadziesiąt zrzeszeń, które ją rzekomo wybrały. Są to stare, dobrze znane kawały wyborcze. Czy nasza demokracja nie poznała się na nich, czy też tolerowała w imię zachowania stanowiska mniej niebezpiecznego? Ma się nawet

wrażenie, że szereg osobników, których wartość moralną i metody działania zdołaliśmy już poznać, popierają cicho takie stanowisko R. B. Podgórski w roli komendanta działa poza kontrolą. Wobec tego musimy go powołać na członka naszej Rady.

Na II zjeździe delegatów Zw. (2—4 Grudnia) obecnych jest 18 delegatów oraz przedstawiciele Czecho-Słowaków, Ormjan i Gruzinów. Orschak życzy w imieniu Czechów zjednoczenia Polski, Asłanow przemawia w imieniu Ormjan. Zarębski zawiadamia, że: 1) s. d. Leszczyński wzywał pułk Białgorodzki, aby przyłączył się do rewolucji rosyjskiej, 2) że kom. Bobiński żąda, aby Polacy walczyli o wolność ludu rosyjskiego, 3) że S. D. Polski i Litwy żąda wprowadzenia w oddziałach polskich organizacji rewolucyjnych, 4) że kom. Bezpieczeństwa żąda połączenia się ze Zw. W. P. w celu skutecznej obrony życia i mienia. — Kap. Podgórski zawiadamia, że otrzymał apro wizację dla 1,200 żołnierzy, a broń może dostać dopiero za zgodą zjazdu lewicy. Na oddanie koszar nie zgodził się Próchniak i proponuje, aby żołnierze umieścili się razem z pułkiem Białgorodzkiem. — Ciechanowicz zawiadamia, że w Niżnim Nowogrodzie zgłosiło się 500 Polaków, z których 200 poszło do Dorohobuza. Por. Rahman mówi, że związek w Tambowie jest lewicowy, jednak dąży do wyodrębnienia Polaków. — Postanowiono wysłać delegację do Białogrodu w celu zbadania na miejscu przyczyny rewolucyjnego nastroju pułku. Na zakończenie Zarębski powiedział: „Może zastaniemy w Polsce na tronie jakiego Niemca, którego trzeba będzie wykurzyć wspólnymi siłami“. A może chciałbyś obsadzić na tronie w Warszawie jakiego... prawosławnego? Nie chce się jakoś wierzyć w szczerłość twych słów...

Szpital Ujazdowski jest nieczynny od sześciu tygodni z powodu dezynfekcji i dezynsekcji. Zanieczyszczenie jest tego rodzaju, że zdrowi nabawiają się tu chorób dzięki owadom, kurzowi, brudowi, wyziwom. Nie tylko te uchybienia sanitarne, lecz nade wszystko wyzywająca postawa żołnierzy, uniemożliwia dalsze prowadzenie szpitala. Czyszczenie miało zająć miesiąc. Ale komenda rozjechała się do domów. Na jej miejsce umieściliśmy dzięki p. Dybczyńskiemu około 300 jeńców Polaków, którzy stanowią element naprawdę kulturalny. Nasi rodacy, wydostawszy się z obozów koncentracyjnych, czują się zadowoleni nawet z jedzenia, dużo gorszego obecnie.

Opieką nad jeńcami zajął się specjalny wydział P. K. Za caratu jeńcy Niemcy i Czesi cieszyli się pewnymi względami, a Polacy byli zawsze w warunkach najgorszych. Stan rzeczy nie zmienił się po przewrocie bolszewickim, chociaż jest mowa o zupełnem uwolnieniu jeńców. Część ich nie spieszy się do kraju przed zawarciem pokoju w obawie ponownego wysłania na front. Ale Czesi i Słowacy zaciągają się chętnie do pułków, walczących przeciw Austrii. Polacy są odcięci od świata. Niemożna przedostać się do obozu bez specjalnego pozwolenia. Na miasto wypuszczani są tylko pod strażą. Za pracę w fabrykach otrzymują ledwo część wynagrodzenia. Wielu jeńców wstąpiłoby chętnie do naszych formacyj. P. Dybczyński rozwinął szeroką działalność co do zapewnienia im stanowisk: nauczycieli, urzędników, sanitariuszów, służby.

„Wydział zdrowotny“ w Mińsku pod wodzą d-ra Łubińskiego zamierza obsadzić nasz szpital swoim personelem, jednak nasi ordynatorzy nie godzą się na to. Samozwańczy organ nie ma do tego żadnych praw.

Łubiński przyjechał w tej sprawie do Moskwy, lecz na naradzie w szpitalu doznał zupełnej porażki, choć zasłaniał się rzekomym nakazem Nacz. Pol.

Na specjalnem posiedzeniu szpitalnem zdawał Świętochowski sprawę z wyników akcji. Rosjanie byli zadowoleni, że pozostaną na swych stanowiskach. Łoktiew ucieszył się nawet, bo już był wyznaczony ktoś na jego miejsce. Rachmanow odgrywał rolę wielkiego przyjaciela Polski. Tylko Erykson nie godził się, aby zmiana miała być korzystną dla szpitala. Ławiagin zachował się dwuznacznie. Niebawem dowiedzieliśmy się, że podmówił on komendę szpitalną, aby złożyła protest przeciw spolszczeniu. Gdy ta krecia robota została ujawniona, bronił się, że jako członek Związku wielkorusów, nie może godzić się na oddanie Polakom majątku szpitalnego. Zwłaszcza leżały mu teraz na sercu: kaplica, ikony, ryzy, dzwony. Rosjanie byli oburzeni tem postępowaniem. Zgodzono się też chętnie na odwołanie Ławiagina jako delega Zarządu sanitarnego. Gdy jednak wypadło wysłać w tej sprawie protokół, Łoktiew schował go w obawie o własną skórę.

Sprawa spolszczenia szpitala upadła z kretesem. Było to do przewidzenia. Zamiast działać przez Kom. Likwidacyjną, która jedynie mogła tu mieć głos, Świętochowski spiskował potajemnie z Braulińskim. Dziś Św. znikł ze szpitala w obawie porachunków z podjudzoną przeciw sobie komendę. To utopienie sprawy stanowi poważny zawód dla wielu Polaków, którzy mieli znaleźć to oparcie. Wydział sanitarno-lekarski Z. W. P. zaciągnął nawet pewne zobowiązania. Położenia wielu sióstr stało się ropaczkliwe, bo zostały bez wszelkiego zarobku. Niektóre wzięły się do innej pracy. Jednak dostać ją dziś jest bardzo trudno. Bolszewicy pchają wszędzie swoich zaufanych, a masa oficerów, pozbawionych pensji, sprzedaje gazety na ulicy,



nosi ciężary, stróżuje, bierze się do handlu, biurowości. Wiele fabryk jest bezczynnych dla braku opału i surowca. Robotnicy wstępują masowo do gwardji czerwonej. Fabrykantom, oficjalistom i inteligencji dzieje się bardzo źle.

Położenie tułaczów jest rozpaczliwe. Rząd odmówił zapomóg komitetom ratowniczym, a o pomocy z zasobów prywatnych niema mowy. Na fundusz powrotu do kraju płaci się od paru lat składki, które do sięgają milion rubli. Co się z nimi dzieje niewiadomo. Można by je użyć już dziś na najpilniejsze potrzeby uchodźców, bo nie ulega wątpliwości, że pieniądze tracą swą wartość. Bolszewicy zajęli wszystkie banki. Szybko znikła cała gotowizna, złoto srebro i obce waluty, a zjawily się świstki 20—40-rublowe, drukowane w postaci całych arkuszy o wyglądzie marnych etykiet na spirytus. Z takiego arkusza wycina się poszczególne sztuki, ulegające łatwo zniszczeniu, bo są na marnym papierze. Prócz tego są w obiegu papierki dawnego wzoru, lecz z tą samą numeracją, kupony od pożyczek wojennych i od serji, znaczki pocztowe 10, 15. i 20 kop. i inne surogaty pieniędzy. Złota, srebra bilonu nie widuje się; za 5-io rublówkę złotą płacą dentyści po 40 rb. Ceny wszystkich produktów powiększyły się kilkakrotnie. Przekupnie nie są kontrolowani. Dostawcami jedzenia są przeważnie żołnierze, korzystający z bezpłatnego przejazdu kolejną. Każdy z nich dzwiga po parę pudów towaru, spienięża go na stacji lub rynku za bajeczną cenę, np. pud mąki żytniej 100 do 160 rb., funt słoniny 5--8 rb., chleba 1—5 rb., kiełbasy 4—7 rb. Milicja urządza obławy na przekupniów, zabierają im worki, ale to pociąga za sobą tylko podwyższenie cen rynkowych. A głodna ludność nie pyta już, skąd pochodzą produkty, jaka jest ich cena, jaka wartość odżywcza, lecz chwytają wszystko, co się zdarzy.

Zakwitł handel wymienny. Wieś odczuwa brak towarów łokciowych, skór, obuwia, odzieży, a miasto — pożywienia. Pośrednik wozi towary na zamianę i zarabia podwójnie. Cena perkaliku wynosi 3 — 5 rb. za arszyn, ale sprzedawca da chętnie kilka arszynów za pud kartofli, który kosztuje 20 rb, a na wsi 4 — 6 rb. Pośrednicy bogacą się. Jeden z artykułów, którego brak odczuwa zarówno miasto, jak i wieś, to wyskok. Cena wiadra dochodzi do 1500 rb. a za butelkę wódki można dostać 10 funtów cukru, który otrzymuje się tylko na kartki po 2 funty na miesiąc, po 68 kop. Ludność jest spragniona wyskoku i wytwarza go domowym sposobem pod nazwą: samogonka, handża; pije też spirytus skażony, którego zjadliwość ma usuwać przecedzanie przez liście Tymon-teusza; w rzeczywistości zaś zbrakło składników do każenia i zabarwia się go tylko barwnikami anilinowymi. Pożądanie wyskoku jest wielkie. Jeden z moich chorych, dotknięty cukromoczem, wykombinował, że jego cukier nie powinien się marnować, poddaje więc swój mocz fermentacji i sporządza z niego... napój zawierają około 10<sup>0/0</sup> wyskoku.

Trzy lata wstrzemięźliwości to nieco za dużo dla Rosji! Burżuj tego nie odczuje. A „krestjanin“ i „raboczyj“ nie zdołają się dziś upić należycie nawet za 100 rb. Trzeba skończyć z tym burżujskim wymysłem. Początek zrobiła armja na froncie: zrabowano i spalono gorzelnie w majątkach obszarników, potem składy monopolowe w miastach, wreszcie piwnice cesarskie w Płtrze w pałacu zimowym. Załoga piła na umór, jak podczas koronacji. Bo też czego, jak czego, ale „oczyszczonej“ nigdy nie było brak za cara. Co to były za czasy!...

Święta minęły głucho. Składaliśmy sobie życzenia: oby ostatnie na tułaczcel Urządzono wigilję dla załogi w Bazarze Nikolskim. Nakryć było 800, jednak

nie wszystkie, miejsca zostały zajęte, chociaż, dla żołnierzy wstęp był bezpłatny. Z grupy gospodarzy wysuwają się na pierwsze miejsce członkowie Towarzystwa Żoł. P. Ks. Lutosławski przemówił pierwszy przed zupą grzybową o potrzebie stworzenia armji polskiej. Inni mówcy, więc Józef Lutosławski, Radwan przemawiali również w tym tonie. W imieniu wojskowych dziękowali za przyjęcie chorąży i żołnierzy.

W całym nastroju niema ani promienia pogody, wesela, radości. Jedni zastawiają sidła, aby w nie pochwycić żołnierza. Drudzy zdają się mówić: wojowaliśmy dość, może byście wy, panowie prezesi, pełnomocnicy, organizatorzy, gaduły, agitatorzy powąchalili z kolei prochu? Nas wzywa dom i rodzina w ojczyźnie. Wyście się tu wybrali z całym inwentarzem i dobytkiem, a działo się wam niezgorzej. Czas na was!

Nastrój jest posępny, głowy pospuszczane na talerze z małą porcyjką ryby i trochą jarzyny. Rozmowa się nie klei, Każdy jest pochłonięty nie tą wieczną wigilijną, nie temi planami na przyszłość, nie nadzieją odrodzenia Ojczyzny, lecz własnym bólem, własną tęsknotą, własną beznadziejnością. Póki jesteśmy w rozsypce i przy pracy codziennej, nie odczuwamy tak silnie naszego wygnania. Ale tu w dniu tradycyjnego zespolenia, zda się, że od każdego naszego „ja“ ciągnie się jakaś straszna smuga cierpienia i że wszystkie te smugi łączą się gdzieś w przestrzeni w jeden wieniec cierniowy...

Chwilę zadumy przerwał kap. Podgórski. Mówi że nie czas pobrzękiwać szabelką, której nie ma przy naszym boku. Przemówienie jest słabe co do formy, jednak mocno przeciwstawia się partyjnictwu. Wojsko może powstać tylko w kraju, a nie na obczyźnie. Takie wojsko powstaje w Polsce pod wodzą

Komendanta Piłsudskiego. Niech żyje Komendant Piłsudski!

Ten okrzyk przyjmują wojskowi owacyjnie. Głowy wznoszą się do góry, wieniec czerniowy znika, z oczu bije nadzieja i energia. Tylko gospodarze mają miny kwaśne. Teraz oni nosy spuścili w talerze, a żółć w nich kipi. Wyhodować żmiję na sercu! A wojskowi intonują: Jeszcze Polska nie zginęła. I przeważająca część zebranych jest w tej chwili przekonana, że „póki my żyjemy“ nie zdoła nas zdławić nie tylko obca przemoc lecz i własne partyjnictwo.

Ks. Lutosławski czuje się, jak mucha w ukropie. Gdy przebrzmiał mazurek, organizuje naprędce kolendy. Ale ta potrawa już nie smakuje. Rozchodzimy się nienasytzeni jadłem, ani złączeni wielkimi ideałami i nadziejami, lecz przekonani, że tam w kraju jest Ten, kto wskrzesza Ojczyznę ze snu wiekowego.

Kończy się rok pełen przewrotów, wstrząsów, lecz i nadziei. Rok był ciężki. Wielu wygnańców nie zniosło jego brzemienia. My, którzy przetrwaliśmy, nie jesteśmy pewni jutra dla siebie. Ale jutro Polski nie nastrocza już nam wątpliwości. Może jeszcze wiele walk czeka nas. Może wypadnie jeszcze dużo przecierpieć. Jednak jest już wyłom w murze, który nas więził. I niech narzucający się na wodzów nie łudzą nas, że trzeba się rzucić przez ten wyłom z mieczem podniesionym. Bo zda się, że odwieczny oręż grubej przemocy traci już swą moc.

15 stycznia 1918.

Kilkokrotnie odkładana konstytuanta ma wreszcie być zwołana. Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że los jej jest zawczasu zdecydowany: bolszewicy przygotowali nie opinię publiczną, bo z nią się nie liczą, lecz szeregi najmitów i bojowców, aby

zapewnić sobie rządy. Rozstać się z władzą jest trudno nie tylko „pomazańcowi“, lecz i zwykłemu smoluchowi, skoro zasmakuje w jej roskoszy. Patrząc na walkę o zdobycie i utrzymanie rządów, można stać się anarchistą, bo przychodzi się do wniosku, że każda władza pochodzi od... przemocy. Ta sama walka z rządzonymi raz pod pozorem ich rewolucyjności, drugim razem kontrrewolucji; ta sama podstawa tworzenia większości przez nadawanie pewnym grupom przywilejów, to samo: „divide et impera“, kneblowanie ust jednym przez ucisk prasy, związków, i popieranie propagandy innych. Każdy czyn powinien być nacechowany rozumem i poczuciem wspólnoty; przeto tylko ludzie o wysokiej kulturze i uczciwości godni są piastować władzę, a „profanum vulgus“ i machiawele będą zawsze przyczyną łez i cierpień rządzonych.

Oto pomiędzy 29/XII a 1/1 18 został rozbrojony przez marynarzy i czerwoną gwardję pułk Biełgorodzki. Oficerów osadzono w wężeniu, a dowódcę Jackiewicza zamordowano. Przeciw temu gwałtowi wystąpił z ostrą odezwą Komitet Główny Z. W. P. (lewica), podnosząc zasługi pułku, który dostąpił zaszczytnej nazwy pierwszego rewolucyjnego za walki z Kornilowem. W parę dni potem na rozkaz Murałowa dokonano aresztowania w polskiej Komendanturze bez podania powodów. Wywołuje to rozdrażnienie i niepokój. Bolszewikom nie podoba się to, że zachowujemy neutralność. Chcą nas wciągnąć gwałtem w swoje walki, rozumując po prostu: nie idziecie z nami, więc jesteście przeciw nam.

Na czasie wypadła odezwa metropolity ks. E. Roppa. Brzmi ona odważnie: „Obecne przewroty w Rosji, które gwałcą wszelkie prawa Boże i ludzkie, zaciemniły w głowach władz naszych i święte obowiązki, wzięte na siebie przez państwo rosyjskie...“

A dalej odezwa mówi, „Mam nadzieję, że społeczeństwo nasze weźmie do serca straszne położenie żołnierza-Polaka w rozkładającym się wojsku rosyjskim“.

Jak fałszywie brzmi w porównaniu z tym głosem pasterza odezwa Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego! Głosi że, nie uznaje pertraktacyj bolszewików z Niemcami, że będzie z nimi prowadziła nadal wojnę i wzywa polskie formacje wojskowe do czynnej akcji oraz zwalcza dążenia kraju do stworzenia armji. Dzieje się to w chwili, gdy rząd polski wypowiada się ustami J. Kucharzewskiego o 300 tysięczną armję, „Echo Polskie“ mówi o tem d. 4/1 18 w artykule: „Prowokacyjna odezwa“ tak: „Taka jest polityka logiczna ludzi, którzy powziawszy daleko idące zobowiązania wobec czynników obcych, więcej myślą o interesach tych czynników, niż o interesach Polski“.

Im bardziej bolszewicy „pogłębiają“ rewolucję, tem więcej zniechęca się do niej inteligencja i klasy uprzywilejowane. Nie żywiły one nigdy miłości do ludowładztwa. Ale dziś, gdy uzbrojona czerń rozbija, rabuje, łupi, gdy nieznani, lub ludzie z notoryczną przeszłością kryminalną wyrokuja o życiu i mieniu tych, którzy dali się poznać przez swą działalność obywatelską, — dziś, gdy głód jest następstwem nietylko gospodarki niepowołanych, lecz i popierania akcji żołnierzy, zbiegłych z frontu, — dziś przeciętny mieszkaniec gotów zgodzić się na przywrócenie caratu, byle położyć kres okropnościom.

Bolszewicy zapowiedzieli zawarcie pokoju i obdarzenie ludności „ziemią i wolą“. Tych atutów nie wygrał żaden rząd poprzedni. A jednak wydaje się, że karta nie dopisze graczowi: pokój ma być bez aneksyj i kontrybucyj, jak po wojnie japońskiej. Jednak Niemcy napewno nie zgodzą się na to. Ziemie,

odebrane obszarnikom i popom, mają niby usunąć głód chłopu. A przecież majątki są zniszczone, nieobsiane. Wola, czyli wolność, jest problematyczna, bo utrzymany jest szereg carskich zakazów, np. picia wódki. Czerń, której rzuca się hasła w rodzaju, „pokój chałupom, walka z pałacami!“ zażąda wyjaśnienia, czemu obietnice są niedotrzymywane.

Bolszewicy stosują terror. Wiele miast zbombardowano, tysiące ludzi rozstrzelano. Ale są partje, którym tego jeszcze mało: anarchiści chcą przelicytować komunistów. Samo pojęcie władzy wydaje się im ograniczeniem swobody. Związek anarchistów zagarnia gmach klubu kupieckiego, stoczywszy walkę armatnią. Na nadwyrężonym budynku powiewa czarna chorągiew. Zapis członków idzie rażno, bo zwolennicy otrzymują jedzenie prawie darmo z produktów, wywłaszczanych codziennie. Pozatem anarchiści nacierają domy zamożnych obywateli i wyrzucają całe ich mienie na ulicę, a potem rozdają je nędzarzom okolicznym przy hasle: „rabuj zrabowane“. Rzecz prosta, że przynajmniej połowa przedmiotów zostaje zniszczona. Nim jednak dotrą one do chałup, pozostają z nich tylko szczątki. W dodatku kanapa mahoniowa nie chce wieźć przez wąskie schody, więc ociosuje się ją siekierką, stół jadalny jest za wielki, więc przepiłowuje się go na połowę, pościel jest za miękka, więc nasiąka prędko dziegciem z butów i brudem z odzieży. A to wszystko przekonywa „biedotę“, że „inteligenty“ są głupcy skończeni, burżuje!

Bolszewicy założyli kilka jadłodajni dla ludności. Z konieczności muszą z nich korzystać, by nie wytwarzać współzawodnictwa w domu. Czasem zaprosi mnie p. Dybczyński do stołowni Czerwonego Krzyża, gdzie ma zawsze jakieś obiady zapasowe.

Jest to prawdziwa uczta, złożona z talerza zupy i kawałka mięsa z jarzyną. Po takim obiedzie,

dającym około 1000 ciepłostek, czyli  $\frac{1}{3}$  normy dziennej, jestem syty przez dwa dni. Wspominam też z rozczuleniem, jak to za czasów studenckich jadało się w taniaku co drugi dzień porcję sztuki mięsa za 12 groszy i pieczeni za 28 gr. a w razie przyływu gotówki jeszcze czarkę zupy za 10 gr. i kromkę chleba za 2 gr. Co to były za świetne czasy! I jak nie umiało się ich cenić! Często powtarzało się sobie przysłowie: „księżę oczy, popie gardło, co zobaczy to by żarło“, bo żołądek, ten niepoprawny socjal-demokrata, pożądał obiadu co dnia, a z 15 rb. dochodu miesięcznego trudno było pozwolić sobie na taki zbytek. Ale zato nie opuściło się nigdy w taniaku czwartku, bo były kotlety wieprzowe z kapustą. Jeszcze dziś czuje się ich smak... Takich przysmaków nie jadałem już nigdy potem., O, gdybym mógł dziś dać wam jedną porcję takich kotletów, zgłodniałe dzieci mojej!

Oto stoję dziś w kolejce na bulwarze przed jałdodajnią. Przedemną czeka ze 300 kandydatów. Wchodzą partjami po 30 co 5 minut. Sypie gęsty śnieg, wiatr wieje w oczy. Ręce i nogi zgrabiały. Tupię na rozgrzewkę i macham rękami po dorożkarSKU. Jakaś obdarta kobiecina chce dostać się przed koleją, lecz towarzysze odtrącają ją do szeregu, pouczając, że w państwie praworządneM nie może być przywilejów. Generał z wyprutą podszewką, z torbą skóry na miejscu dawnego podbródka, w szynelu, mogącym pomieścić dwa razy większą bryłę, próbuje również wcisnąć się do szeregu. Jednak żołnierz tłumaczy mu:—towarzyszu, to nie dawniejsza kasa teatralna, ani kolejowa i niema tu żandarma, który by pilnował przywilejów carskiego generała. Ruszaj do szeregu! — Oczekujący śmieją się rubasznie, a zestrofowany wynosi się chyłkiem, zwiesiwszy głowę i klnąc na czasy.



Po godzinie dostaję się do garnkuchni. W kilku dużych salach, zastawionych stołami i ławkami na krzyżakach, roi się od jedzących. Trzeba zdobyć miejsce i złożyć 2 rb. zastawu za łyżkę, widelec i czarkę, wreszcie stanąć z niemi w szeregu, aby otrzymać za rubla czarkę zupy i kawałek mięsa. Zajmuje to znowu 1/2 godziny. Czyszcze łyżkę i widelec.

— Towaryszcz burżuj: - mówi mój sąsiad, bo nie może się obejść bez pomywaczki.

— Brudne nakrycie szerzy choroby.

— Jerunda! (głupstwo) przepłucz żołądek oczyszczoną (wódka) i możesz jeść widłami od gnoju.

Sąsiedzi śmieją się, a ja powiadam sobie: więcej tu nie przyjdę. Lecz wonne potrawy biorą górę. Zjadam kapuśniak, potem jakąś rybę na oleju i mówię:— nie tak to, jak w czwartki w taniaku, ale zawsze największemu socjaldemokracji zatkałem gardło. Jeszcze z 10 minut trwa wycofanie zastawu i otrzymanie kartki do wyjścia. Cała przeprawa zajęła dwie godziny, jak obiad dyplomatyczny.

Coraz trudniej dostać się do tych garnkuchni. Trzeba zadawałać się i skromniejszymi, np. na rogu Dominikówki i Sucharówki, gdzie nawet wydają obiady do domu. Lepiej nie badać, co one zawierają. Znalazłoby się napewno i podkowę konia, jakich leżą całe dziesiątki na ulicach, ponieważ ludność i psy usuwają padlinę bez kosztu, a oprawca każe sobie za to płacić. Ale że właściciel padłego konia rozkuwa go, uważając podkowę za najcenniejszą pozostałość, więc stołownik z Dominikówki nie może zbadać, czy kawałki mięsa, pływające w „szczy”, pochodzą z leżącego w pobliżu habeta, czy też z psa, kota, lub innego czworonoga. To pewna, że nie jest to zając, po czytywany podawnemu za zwierzę nieczyste, ani gołąb, otoczony czcią.

Minęły czasy, kiedy można było zaopatrzyć się

w sklepach Czyczkina Blandowa w pieczywo, nabiał, jaja, wędlinę. Dziś pełnią rolę dostawców komitety domowe. Dostają przez nie na całą rodzinę około 1/2 funta jakiejś lepkiej miazgi, w której widać gołem okiem sieczkę i trociny, węchem wyczuwa się woń nawozu końskiego, a smakiem—jakiś kwas cierpki. Baba która przynosi mi ten twór, powiada: „na wam kałabaszkę” (oto bułeczka dla pana). W tej kielbasce jest wszystko oprócz mąki. A jednak dzieciaki są tak zgłodniałe, że zjadają ten wytwór natychmiast.

Muszę zdobywać sam produkty spożywcze. W jesieni zaopatrzyłem się w kilkanaście pudów kartofli, przyciągnąwszy je własnoręcznie. Nie grozi im zepsucie w moim pokoju, bo ciepłota wynosi 8-stopni, a wilgoć jest nie mniejsza, niż w piwnicy. Temi ziemniakami zapychało się głód przez parę miesięcy. Żona sporządzała z nich pyszną zupę dziadowską z dodatkiem grochu, brukwi, kapusty i słoniny. Gospodyni moja pożyczyła parę pudów i nie zamierza ich zwrócić, choć jej mąż, kolejarz, sprowadza jarzyny i tłuszcze. Ostatni mój worek jest już na opróżnieniu. Co będzie dalej?

Pan D. ustąpił mi część swego przydziału z Czer. Krzyża. Obładowany temi kosztownymi produktami podążam do tramwaja. Lecz oto spada obfity śnieg. Tramwaje grzęzną. Muszę więc dźwigać w pocie czoła 1½ puda na plecach i w rękach, tonąc po kolanach w śniegu. Po dwugodzinnej męczarni docieram wreszcie do domu, gdzie się dowiaduję, że „sołonina” są to zwykle gnaty, a nie mięso solone, zaś „treska” — nie ryba, lecz ości, które niech licho trzaśnie!

Przed paru dniami otrzymuję posyłkę, wysłaną przed ½ rokiem z Proskirowa przez wdzięczną pacjentkę. Wędrowała, jak żółw, ale doszła. Otwieram. Parę funtów kielbasy, parę boczku, słoniny, a wszyst-

ko pokryte grubą warstwą pleśni, jak watą. Choć nie jestem rozrzutny, kwalifikuję posyłkę.. dla psa. Ale żona skrobie i gutuje mięsiwo. Jemy je ostrożnie, przygotowani na śmierć z zatrucia. I, o dziwo! Po tygodniu trucia się dowiadujemy się z przykrością, że zapasy mają się ku końcowi. Podkpiwamy też sobie z jadu kielbasianego, który nie jest tak straszny, jak go malują.

Już się nie wybredza. Olej rzepakowy, na który patrzyło się dawniej, jak na smarowidło do wozów, smakuje dziś, jak najprzedniejsze masło śmietankowe. A że jest jełki i gorzki, więc przesmaża się go z cebulą i zjada z kartoflami, jak najprzedniejszy majonez.

Za 4 litry spirytusu, który wydaje mi szpital z urzędu, otrzymuję w handlu wymiennym 1½ puda cukru. Dzieci są uszczęśliwione. Od miesiąca go nie widziały. Uczujemy: herbata słodzona, kartofle z olejem i cebulą, 2 łuty kołbaszki; a na obiad, jak się uda: krupnik, ryż, czasem kawałek mięsa, albo coś z garnkuchni... I pcha się biedę.

Są jednak i tacy, którym dzieje się dobrze. Jeden z chorych częstuje mnie po każdej wizycie kawą z przekąskami: biały chleb z masłem, kielbasą, serem, kawiozem. Skąd? jak zdobywa się te przysmaki? — Z własnych majątkości. Szczęśliwi posiadacz! Ale to się też prędko zmieni. Wszelkie miemie będzie upaństwowione. A to znaczy, że wszelkie dobra zagarną bolszewicy. I u ciebie, bogaty pacjencie, nie dostanę już smacznych przekąsek, które chętnie schowałbym do kieszeni dla dzieci.

Niektórym naszym uchodźcom dzieje się też nienajgorzej. W szkole C. K. O, chłopcy dostają na śniadanie gorzką herbatę. Ale wskazują palcami baterje słoje z konfiturami na oknach mieszkania dyre-

która, zapewniając: z naszego cukru. Schowalibyście je, wychowawcy, aby nie drażnić tych uczniów.

Co będzie dalej? O powrocie do kraju niema mowy. Z Niemcami nie zawarto jeszcze rozejmu. Czy uda się przetrwać zimę? Przemoc, głód, mróz podały sobie ręce. Chcą zgładzić burżujów sposobem bezkrwawym.

Nie możemy walczyć, bo nie posiadamy broni. Naszem orężem jest eksterytorjalność. Gdybyśmy się przyłączyli się do walk orężnych, stracilibyśmy tę jedyną ostoję. Tego nie chce zrozumieć N. D. Uległa do służalczości caratowi, uprawia obecnie jakąś politykę awanturniczą.

Coraz bardziej przekonywam się, że stawiałem słuszny opór przeciw łączeniu się Z. W. P. z partyjnemi organizacjami. Zużyło się wprawdzie masę energii na walkę z pp.: Zarębskim, Świętochowskim, Pieńkowskim, Orleańskim, Górskim, Przemyskim i resztą. Mam jednak pociechę, że zakusy partyjne zawodzą i osobistości niepewne odpadają. A chodzi tu nie tylko o stronnictwo. Niedawno Rada umorzyła dla braku dowodów sprawę P. o nielegalne zbieranie składek pod kościołem. Dziś wydała Górskiego za ujawnione nadużycia, zastrzegając, że nie ma on prawa wstąpienia do wojska polskiego kiedykolwiek. W Komendanturze snują się też jakieś podejrzone osobniki, wśród których są byli rewirowi, kilku ruchliwych żydków. Coraz bardziej zaznacza się, że dobór członków odbywa się bez koniecznych ostrożności.

Zarębski został uznany w szpitalu Ujazdowskim dzięki Świętochowskiemu za niezdatnego do służby wojskowej. Skład osobowy Rady ulega ciągłym zmianom. Nowi członkowie przybywają na zasadzie przypadkowej znajomości. Tak dostał się niejaki Dąbrowski, żonaty z rosjanką, Turlej, notoryczny bolsze-

wik, biorący czynny udział w sprzysiężeniu przeciw Radzie. Do tej podziemnej roboty należało kilku członków Rady z Zarębskim, Świętochowskim, Przemyskim na czele. Chodziło o rozwiązanie obecnej Rady i zagarnięcie władzy. Spisek miał zapewnić powodzenie. Lecz oto w Związku dokonali bolszewicy rewizji. Paru zamachowców schowało się odrazu w mysie jamy. Pozostało nas tylko kilku, zdecydowanych prowadzić dalej pracę. P. Dybczyński, który spełniał dotychczas najodpowiedzialniejsze przedsięwzięcia, został za zgodą Zjazdu W. P. komisarzem do spraw polskich zabytków. Dzięki niemu udało się zgromadzić dużo pamiątek i zabezpieczyć je od grabieży.

Po rewizji w Związku zbieramy się na naradę w mieszkaniu p. D. na Wozdwiżence. Gospodarz dodaje nam otuchy, obiecuje zbadać powód rewizji, żąda jednak zachowania całkowitej neutralności, i potępił spisek, knuty przez kilku członków Rady. Zarębski zapiera się udziału w spisku i zwała winę na nieobecnego Świętochowskiego. Oświadczam, że nie mam do Z. zaufania za całą jego niejasną działalność i zapytuję go publicznie o jego przeszłość i prawosławje. Z. zaręcza, że jest dobrym Polakiem i nie zamierzał nigdy wtrącać Z. W. P. w drażliwą sytuację. Jest za- możliwy. Nie poszukuje korzyści osobistych, ani nie zależy mu na stanowisku. Prawosławje przyjął pod groźbą rozstrzelania. Wyjaśnienia są gołosłowne. Potwierdza je p. Ossowiecki. Członkowie Rady przyjmują to do wiadomości. Przystępujemy do porządku dziennego. Praca idzie rażno, bo niema już kliki. Cel nasz jest jasny. Z agitacją prawicową nie mamy już teraz trudności. Żołnierze odparli ją stanowczo.

10 Lutego 1918.

Związek W. P. przeniósł się do pałacu Morozowa na Wozdwiżence. Jestto piękny gmach z ornamentacjami z fauny i flory morskiej. Na posiedzenia Rady zbiera się po kilku członków. Reszta nie daje znać o sobie. Usunęli się przedewszystkiem jawni i ukryci prawicowcy. Jestem z tego rad. Nasza akcja jest niebezpieczna, jak w prochowni. Gen. Latour rzeka się znowu prezesostwa. Nie chcemy o tem słyszeć i przekładamy mu, że musi wytrwać, bo Związek ma obowiązki, które musi spełnić. Niebawem odbędzie się II Zjazd Ogólny Związków W. P., na którym mają zapasć ważne uchwały.

Na jednym z posiedzeń zdaje sprawę żołnierz Józefowicz z delegacji do Białogrodu, gdzie miał uspokoić pułk, w którym zarządzenia jen. Dowbora-Muśnickiego spotęgowały wrzenie. Żyd Blok zorganizował ruch zbrojny i zamordował w sposób bezstjal-ski dowódcę Jackiewicza. Dużo wojskowych poległo. Wreszcie bolszewicy byli zmuszeni rozbroić ten pułk i rozbić go na małe oddziały. Z 14,000 żołnierza, pochodzącego w pewnej mierze z legionów Górczyńskiego, rozpierchło się dużo ludzi. Reszta utworzyła oddział p. n. pierwszego polskiego rewolucyjnego pułku.

Położenie jest groźne. Chodzi już nie o to, że Białogrodzcy przejęli się bolszewizmem, że wielu z nich pozostanie w Rosji i będzie ginęło dla obcej sprawy; lecz hasłem ich stało się zbrojne wkroczenie do Polski, aby w niej wprowadzić rządy żołnierskie i włościańskie. Co na to p. Zdziechowski, który chce też wkroczyć do Polski na czele bitnej armji? a raczej pragnie przyjechać I-ą klasą, gdy to armja zbije Niemców na kwasne jabłko? Co za jedność programu z bolszewikami!! Trudno przewidzieć, ile ludu ciem-

nego, niezadowolonego, podjudzanego może się tu zgromadzić. To pewna, że zbożna działalność T-wa Żoł. P., wygląda przy tym ruchu śmiesznie. Tu słyszą żołnierze o starych grzechach szlachty i magnatów, o ich przedajności, zdradach, chciwości, o pańszczyźnie, jakgdyby istniała ona tylko w Polsce, i jakgdyby konstytucja 3 maja nie pragnęła jej usunąć, o Targowicy, łączeniu się szlachty i magnatów z najgorszymi stupajkami carskimi, o zdradzie, podłościach...

Wobec doniosłości sprawy należało wysłać do Białogrodu ludzi wyrobionych, i pewnych. Czy odpowiada tym wymaganiom p. Józefowicz? Ten młodzieniec przemawia do Rady, jak carski pułkownik do roty. Pozwala sobie na takie zwroty: — proszę nie rozmawiać, bo panowie mi przeszkadzacie. — A treść przemówienia to opowieść o wielkiem powodzeniu wyprawy, o tem, jak przekonał żołnierzy, że są na złej drodze, jak to zachęcił ich do wstąpienia do Z. W. P., i jak skłonił ich do wysłania delegatów na Zjazd 10.II.18 do Moskwy. Przemówienie robi wrażenie, samochwalstwa. Zobaczymy niebawem, czy wynik delegacji jest tak pomyślny.

Lecz oto na posiedzeniu Rada dn. 4/II 18 pęka największa... bomba: odczytujemy oświadczenie Zarębskiego, że składa on mandat v--prezesa i członka! Co zaszło?! Od czasu spowiedzi publicznej, którą Z. wykonał na moje żądanie, pokazywał się on w Związku bardzo rzadko. Czyżbym dołknął jego godności, wywłócząc sprawy natury osobistej? Już żałuję mego kroku gdy p. Ossowlecki wyjaśnia:

— Staralem się powstrzymać Zarębskiego od tego kroku. Ale na próżno. Powiada, że jest zrujnowany, ma długi honorowe... Ofiarowałem mu pomoc. Odmówił: potrzeba mu masy pieniędzy. Więc... przyjął miejsce komisarza przy safesach bankowych...

— Jakto?! Jeden z założycieli Związku W. P.,

osobnik o nastawieniu prawicowym, wsteczniczem idzie na służbę do bolszewików?! Co się dzieje?

— Odradzałem mu, — ciągnął p. Ossowiecki głosem złamanym. — Zagroziłem, że zerwę z nim przyjaźń. Nie Pomogło. Rozstaliśmy się na zawsze. Przekonałem się, że jest to nietylko aferzysta, lecz... opuścił mój dom w mojem palcie i nie zamierza go zwrócić.

— Marna osobistość, — mówi Latour — Niedawno chciał odnająć u mnie pokój dla swej utrzymanki, choć wie, że mam żonę i córkę.

Tak skończyła się epopea Zarębskiego. Jest on teraz na właściwym stanowisku. Rewidowanie safeśców, w których bogacze przechowują złoto i kosztowności, to zyskowniejszy zawód, niż przewodzenie w Związku. Nawet udział w komisjach poborowych nie może się z tem porównać. Tam idzie okup od zwolnionego do podziału pomiędzy kilku pośredników, a tu... otwiera się skrytkę w obecności właściciela i daje mu się zamiast kilku procent zawartości kilkanaście, tyleż bierze się dla siebie a resztę — na skarb bolszewicki. Ryzyko przy sprycie i znajomości ludzi — niewielkie, a zdobycz — niczem na carskiem polowaniu w Spale, gdzie nagoniano jelenie, pod same strzelnice.

Czyż można było oczekiwać takiego finału? Można. Należało. Zarębski jest jeden z wielu, którzy przylłączają się do gromkich hasła, stają pod popularnemi sztandarami, byle na przedzie, choćby w motłochu, byle licznym. Ławą do... karjery. A jeżeli zwątpi się o możliwości osiągnięcia celu, prześiada się na inną ławę. Czy nie taki sam jest Bogdanow? Zagorzały zwolennik cara i prawosławia, ubiega się dziś o stanowisko u bolszewików. Takież też jest Rachmanow. Niedawno wpływał na nas, abyśmy nie stosowali się do rozporządzeń bolszewickich, bo są



niemoralne. Odpowiedziałem, że my Polacy nie mamy prawa wstrzącać się do wewnętrznych spraw Rosji. Nie lepszy jest Łoktiew, Erykson, Ławiagin. Każdy z nich, służy temu, kto więcej płaci. Jestto moralność niewolnika.

Związek jest zaniepokojony o swój los, bo Zarębski zna wszystkie jego sprawy. — Nie obawiajcie się, — pocieszam kolegów. — Posiadamy pewną broń; wniosek Z. aby się połączyć z kawalerami Ś-tego Jerzego. Nazwiska są zaprotokołowane na moje żądanie. Kawalerowie polegli przy zdobywaniu koszar. Dla ich zwolenników nie zbraknie napewno ołowiu i stryczka.

Afera Z. pociąga za sobą ustąpienie kilku członków Rady, między innymi Świętochowskiego. (7.II)

Spotykam go u p. D. Radzi nam, jak kierować Związkiem. Oświadczam, że Św. nie ma tu gosu, bo się usunął tchórzliwie. Św. protestuje i wygraża mi pięścią. Spoglądam na niego z politowaniem: — tak to pan wywiązał się ze zobowiązań co do spolszczenia szpitala Ujazdowskiego?

— Zrobiłem, co mogłem! Kolega nic nie zrobił!

— Nie knowałem z Zarębskimi, Braulińskimi i. t. p. to pewno! Ale nie łudziłem też obietkami lekarzy, pielęgniarzy i nie usunąłem się lekliwie, gdy zjawiło się niebezpieczeństwo...

Patrzę na srożącego się Św, gotów do samoobrony. Jego buńczuczność ginie, pięść opada. Po chwili jest on już za drzwiami. Pewnie przyśle mi swych zastępców. Upłynęło 24 godziny. Nie przysłał. Ha trzeba się będzie mieć na baczności w ciemnych zaułkach...

Na posiedzeniach Rady wyróżnia się teraz chor. Skobejko. Ma on być delegatem Nacz. Pola, który przekształcił się i przeniósł do Mińska. Przemówienia Skobejki mają tak niepolski ton, że wystę-

puję przeciw niemu z całą stanowczością. Podtrzymują mnie pp. Dybczyński i Latour, zaś kap. Podgórski dowodzi, że musimy słuchać zleceń Skobejki, występującego w imieniu Nacz. Pola. Oświadczam, że obowiązują nas uchwały I-go Zjazdu. Żądam też, aby Sk. złożył dowód wiarygodny, że jest delegatem naszej władzy zwierzchniej. Efekt przemówienia jest nieoczekiwany. Skobejko mówi: — jestem socjalistą i to nie byle jakim, bo rewolucjonistą, i nie chcę mieć nic wspólnego z burżujami i wstecznikami!

Po tej spowiedzi Sk. wychodzi aby nie pokazać się więcej. Tak uwolniliśmy się od wciągnięcia Związku do agitacji lewicowej. Jednak te wstrząsy skłaniają członków do głosowania za rozwiązaniem Związku. Opieram się temu stanowczo. Przy nowych wyborach prezesem zostaje gen. Latour, a na v-prezesów powołano p. Dybczyńskiego i mnie, na sekretarza p. Chudzickiego. Czeka nas ciężka praca, lecz ożywia nas nadzieja, bo wypłynęliśmy wreszcie na czyste wody. Może pochwyć burza naszą łódź. Trudno! Z żywiołem niezdolni jesteśmy walczyć. Jednak być wciągnięci przez ciemne postacie w nurty Świtezi i tam ginąć marnie, to jest zaprzeczenie rozumu, który ma nas wynosić ponad ciemny tłum.

Dochodzą nas niepokojące wieści: Nacz. Pol. Kom. Woj. rozwiązał się po przeniesieniu do Mińska! Paru członków wystąpiło z ostrym protestem, wskazując, że instytucja, powołana z wyboru, obowiązana jest złożyć mandaty wyborcom, przedstawić sprawozdanie ze swej działalności i motywy ustąpienia. Zjazd może powołać innych ludzi, odważniejszych, bardziej oddanych sprawie. Ale protesty przebrzmiały bez echa. Prezes chor. Raczkiewicz, ani nasi delegaci pp. Bising i Sobański, nie zawiadomili nas o tym nieusprawiedliwionym kroku. Dowiadujemy się o nim ubocznie. Pułk. Konosewicz otrzymuje pismo z d.

15/118, głoszące że:... wszyscy przedstawiciele. Nacz. Pola podlegają rozkazom jedynie Wyd. Mobilizacyjnego... Znosi się polską Komendanturę w Moskwie, pozwalam jednak P. Pułk. pozostawić 100 do 120 ludzi do ochrony zabytków. Wszystkich oficerów należy natychmiast wysłać do Mińska, a żołnierzy do Rochaczewa do 1-ej dywizji strzelców polskich. (—) gen. Leśniowski.

Rada przyjmuje te wiadomości z przerażeniem. Znowu są głosy za rozwiązaniem się. Jednak górę bierze wniosek, że teraz właśnie niewolno nam myśleć tylko o własnym bezpieczeństwie. Nacz. Pol. nie spełnił swego obowiązku. Związek Moskiewski musi naprawić ten błąd i skupić przy sobie inne okręgi, aby dotychczasowa praca wyodrębniania Polaków, ochrony zabytków, opieki nad jeńcami i inwalidami nie poszła na marne. Stanowisko nasze jest bardzo trudne. Jednak poczucie obowiązku każe nam wytrwać. Jeżeli nałoży się głowę, to za dobrą sprawę.

W tym samym czasie nadchodzi pismo Rady Regencyjnej z dn. 15/I.18. „Do J. W. P. Lednickiego w Piotrogradzie. Szanowny Panie! W myśl wysłanego przez Nas telegramu prosimy J. W. P. o zajęcie się losem wychodźców z Królestwa i przygotowanie projektu powrotu ich stopniowego do Kraju (legitymacje). Równocześnie prosimy o dalsze prowadzenie rozpoczętych przez Kom. Likwidacyjną prac, przyczem zaznaczamy, że dołożymy wszelkich starań, by fundusz na ten cel wydany, licząc po 36.000 rb. miesięcznie, od chwili zniesienia przez rząd rosyjski urzędu Prezesa Kom. Likw. przez Sejm polski uznane i z funduszu Państwa Polskiego zwrócone zostały. Nadmieniamy również, że opierając się na przeważnej opinii kraju, стоимy niewzruszenie na stanowisku, zajętem przez Nas, że wojsko polskie tylko w kraju, tylko

w porozumieniu z rządem polskim tworzyć się winno, że uzależnienie polskich oddziałów wojskowych od Rosji (fundusze), od mocarstw postronnych, zwłaszcza w chwili obecnej, za niedopuszczalne uważamy. Prosimy również o działanie w kontakcie z p. Wacławem Skibniewskim w Kijowie i p. Józefem Ziabickim w Finlandji i o przysyłanie nam stałych i wyczerpujących informacji. (—) Aleksander Kakowski, arcybiskup, Zdzisław Lubomirski, Józef Ostrowski, Jan Kucharzewski."

A więc w Ojczyźnie zaczyna się przygotowania do powrotu tułaczów! Stanowisko nasze co do wyodrębnienia wojskowych Polaków jest zgodne z życzeniem Kraju i jego obecnego rządu. A cóż na to bracia Lutotławscy? Nie do was, lecz do Lednickiego, zwraca się Rada Regencyjna. Może ks. dr. L. rzuci anatemę na arcybiskupa, że zaprzedał się Niemcom? Bunt przeciw hierarchji. Rewolucja w kościele, podjęta przez zdecydowanego kontrewolucjonistę? Oj, księżo, czyż nie właściwiej byłoby ci pilnować kropidła i ampulek?

20 luty 1918

Okręgowy Zjazd Zw. W. P. nie przyszedł do skutku z powodu zaszłych zmian w Radzie. Natomiast odbyło się liczne zebranie delegatów garnizonów i związków Okręgu Moskiewskiego w dn. 10 i 11 lutego. Przeważają przedstawiciele pułku Białgorodzkiego. Zebranie zagaja gen. Latour i proponuje wybór przewodniczącego. Zostaje nim por. Zbikowski z pułku Białgorodzkiego.

P. Dybczyński wypowiada się w imieniu Rady za trzymaniem się porządku dziennego, który ma na względzie danie wskazówek delegatom na 2-i ogólny Zjazd W. P. w Smoleńsku dn. 20 Lutego 1918 r. Co do p. 1 stosunka wychodźstwa do kraju, D. stawia wniosek, aby wyrazić obecnemu rządowi polskiemu

votum zaufania. Na to wypowiada przewodniczący w rozdrażnieniu bardzo ostrą krytykę, „rządów Lubomirskich, Kakowskich, i Ostrowskich“, odmawia im zaufania i zapewnia, że w Polsce będzie porządek dopiero przy radach robotniczych i żołnierskich.

Dybczyński zwalcza stronnictwo stanowisko przewodniczącego, wyjaśnia, w jak trudnych warunkach działa Rada Stanu i Rada Regencyjna i wskazuje, jak oplakane byłyby skutki votum nieufności. W tym samym duchu przemawia dr. Stępniewski, delegat Nowogrodu. Wniosek Żbikowskiego zostaje odrzucony, przyjęto zaś wniosek kompromisowy Stępniewskiego: „Zjazd w przekonaniu, że Tym. Rada Regencyjna, w swojej ciężkiej i niezmiernie odpowiedzialnej pracy, stojąc na straży interesów całej Polski, opiera się na woli większości narodu i z tego stanowiska nie zejdzie, wyraża votum zaufania Radzie Regencyjnej. Jednocześnie Zjazd wita bezrobocie, protest ludu Królestwa, jako wyraz woli tegoż ludu, widząc w niem potężną oporę do osiągnięcia naszych dążeń narodowych.“

Sala wre od agitacji i sprzecznych zamierzeń. Stronnictwo przewodniczącego, który sam stawia i preforsowuje swe wnioski, dopuszcza do głosu białgorodczan po zapadnięciu uchwał, stanowi krzyczące nadużycie. Oto białgorodczanin Ścibor mówi o walee proletariatu z „nikczemną burżuazją“. Myśli są zaczerpnięte z elementarza bolszewickiego, język jest łamany, skażony, przesiąknięty wyrażeniami „po matuszkie“, że aż strach bierze na myśl, że taki osobnik o wyglądzie i umyśle zbója może powrócić do Polski.

„Panie Józefowicz! Tak to referowałeś nam o swych sukcesach delegata Komendantury?”

Księżę Lutosławski. Taki to wpływ zbawienny daje twoja akcja kulturalno-oświatowa?!

Poza porządkiem dziennym zdaje p. Przemyski sprawę z tragicznego położenia I-ego korpusu. Przewodniczący uznaje to za prowokację i pozbawia mówcę głosu. Wobec tego członek prezydium Piotrowski składa mandat. To wywołuje ustąpienie całego prezydium. Białgorodczanie usuwają się od dalszych obrad pod nowem przewodnictwem dr. Stępniewskiego. Dowiadujemy się o krwawych starciach I korpusu pod Żłobinem. Obrady toczą się teraz spokojnie. Ale lada chwila mogą wkroczyć bolszewicy.

Nazajutrz gen. Latour otwiera drugie posiedzenie, wyrażając ubolewanie z powodu nieobecności białgorodczan. Przewodniczy Stępniewski, zastępcą jest Dybczyński, sekretarzem Ciechanowicz. W obradach uczestniczą delegaci Nowogrodu, Jarosławia, Tweru, Tuły, Razania, Borysoglebska, Sierpuchowa, I-go bataljonu w Moskwie, Rady i Komendantury. Inne formacje nie przysłały delegatów skutkiem trudności komunikacyjnych. T. Miciński odczytuje obszerny i nieco prawicowy projekt odezwy do wojskowych Polaków. Na wniosek Dybczyńskiego zjazd uchwała wezwać Radę do zwołania przedstawicieli organizacji polskich w celu ogłoszenia protestu przeciw uciskowi ich przez rząd. Dalej Dybczyński oświetla stosunek obcych państw do Polski i wskazuje, że w chwili, kiedy Niemcy dopuścili się gwałtu nad kom. Piłsudskim i zachowują się nieżyczliwie dla Polski i gdy koalicja stoi również na stanowisku samolubnem, musimy zachować bezwzględną neutralność, zgodnie ze stanowiskiem prawowitych władz polskich. Wnioski te przyjęto. Następnie Dybczyński oświetla działalność J. Piłsudskiego i przedkłada projekt rezolucji:

„Uznając brygadiera Piłsudskiego za naszego wodza ideowego narodu, zebranie pragnie utrzymać z Nim, jak również z jego organizacją stosunek bratni.“

Zjazd przyjmuje tę rezolucję przez aklamację

i powołuje do Rady jednego jeńca Piłsudczyka z wyboru.

Wódz ideowy narodu. Zaszczytne godność! To nie chorąży, dzierżący sztandar jakiegoś tam stronictwa i gardlujący, że ono jedno wyobraża sobą naród. To nie sprytny i rzutki agitator, mający na uwadze tylko własną karierę. Lecz to jest ten, kto stwarza epokę dziejową, kto mocen jest tchnąć w naród myśl, zdolną żyć i odradzać się przez wieki.

Czemu na naszym tułactwie nie zjawił się człowiek, któremu moglibyśmy zaufać? Bo tacy ludzie zjawiają się raz na kilka wieków i nieraz dopiero potomność rozezna, że byli i przeminęli zapoznani. Ale ten wódz żyje. W jego szeregach nie było tych, którzy pragnęli się ukryć, lecz wszyscy szli, jak ów Zygmunt, poległy pod Krzywopłotami. Dziś jeńcy głoszą o czynach Komendanta, jak tamci z przed 106 lat:

„...nieraz nowina, niby kamień z nieba  
Spadała w Litwę. Nieraz dziad, żebrzący chleba,  
Bez ręki, lub bez nogi, przyjąwszy jałmużnę,  
Stanął i oczy w koło obracał ostrożne.  
Gdy nie widział we dworze rosyjskich żołnierzy,  
Ani jarmółek, ani czerwonych kołnierzy,  
Kim był, wyznawał: był legionistą,  
Przynosił kości stare na ziemię ojczyzną,  
Której już bronić nie mógł...  
...On opowiadał, jak generał Dąbrowski  
Z ziemi Włoskiej stara się przyciągnąć do Polski,  
Jak on rodaków zbiera na Lombardzkim polu;  
Jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu...“

Będziemy mieli Piłsudczyków w naszym gronie. To pozwoli nam pojąć, co się dzieje tam. A muszą to być rzeczy doniosłe, skoro wsteczność piorunuje na Komendanta, łącząc się w zgodnym akordzie nienawiści, w której czuć lęk, aby ten działacz nie wysunął się na czoło narodu.

Obrady toczą się dalej. Zjazd uchwała: potrzebę

skupienia wojska w formacjach polskich, wypowiada się przeciw partyjnym bataljonom polskim w pułkach rosyjskich, przeciw wprowadzeniu komitetów żołnierskich, uchwała wniosek zaufania do instytucyj, rozstrząsających opiekę nad wygnańcami i wniosek: „Zjazd, stojąc na stanowisku, że jedynie zarząd bezpartyjny, obejmujący przedstawicielstwa, może mieć prawo objęcia wszystkich spraw, związanych z emigracją i powrotem do kraju, jak również opieką nad majątkiem i zabytkami narodowemi, protestuje przeciw uzurpowaniu tego prawa przez poszczególne partje polityczne“.

Nie zadowolili to was, panowie, którzy chcieliście zawsze i wszędzie reprezentować Polskę, choć godziliście się dla bezpieczeństwa osobistego na stanowiska deńszczyków u przewoschoditielstw, albo ukrywaliście się w organizacjach ziemskich, Czerwonym Krzyżu i t. p. Ale dziś musicie wreszcie skwitować z wyłączności. Wszak ta wasza wrzawa i stronnictwo znalazły swój wyraz w czynach białgorodczan, w ich stosunku do całej sprawy polskiej. I jeżeli my walczymy dziś o dobre imię Polaka, jeżeli chcemy ustrzedz go od przewrotu, który gubi Rosję, to bronimy i was, choć słuszniej byłoby przyznać otwarcie, że nie mamy z wami nic wspólnego. Czas jeszcze się opamiętać. Zerwijcie z zasadą, że Polak musi być wstecznikiem, i z metodą, która uważa za godnego poparcia i pomocy tego tylko, kto się wam zaprzedał za rządowe pieniądze. Wszak nawet w okresie upadku Polski kupował magnat głosy szlachty za własny grosz. Czyżby przy jej zmartwychwstaniu miał się cofnąć? I zrozumieście, że ci, co się wam zaprzędali, są niepewni. Może ktoś zapłacić więcej i zwolennik opuści was, jak Zarębski, może zjawić się niebezpieczeństwo i — zaprą się was. Spójrzcie, ilu ich uklekło z Rady!



Zaprawdę powiadam wam: zwróćcie źrenice w stronę Kraju. Tam dzieją się wielkie rzeczy. Zjawił się Mąż, ku któremu bije serce szlachetnych rodaków. Jego legjony dziesiątkuje wróg, a one rosną i potężnieją, jakgdyby każda kropla krwi, złożona szczerze na ołtarzu Ojczyzny, rodziła zastępy bohaterów. Tam w Warszawie, a nie tu w Moskwie, ani w Paryżu, rozstrzygną się losy Polski. Uderzcie się pokornie w piersi, przyznając: zblądziliśmy, pycha nas uniosła, żądza władzy zaślepiła... Dziś jeszcze czas. Jutro może być za późno.

Wy jednak zdajecie się tego nie rozumieć, zaślepieni żądzą władzy. Zadnego czynu nie zaniechacie, jeśli prowadzi do tego upragnionego celu. Oto przed kilku dniami przywiózł por. Łojkiewicz pismo Dowbora-Muśnickiego do komendantury i Rady W. P., Za wskazówkę ks. Zielińskiego zwrócił się do ks. Lutostawskiego, który kopertę odpieczętował, a pismo zatrzymał, ponieważ zawierało wiadomość o zerwaniu stosunków pomiędzy I-ym korpusem a Radą Międzypartyjną. Takich postępów dopuszcza się ks. L. dla korzyści... swej partji. Dopiero pod grozą odpowiedzialności służbowej zdołał por. Ł. odebrać pismo i doręczyć je naszej Radzie. Chodziło o zatajenie wiadomości pierwszorzędного znaczenia, że I-y korpus zerwał z organizacją partyjną, zamaskowaną mianem zwodniczem Rady Międzypartyjnej.

Na jej czele stoi Stanisław Wojciechowski b. socjalista, przyjaciel komendanta Piłsudskiego. Poznałem go po rewolucji 1906 r. jako zdolnego kooperatystę, redaktora pisma, „Społem”. Skorzystał z amnestji i powrócił z Anglii, zerwawszy z socjalizmem, oddał się współdzielczości. Nie wiem, jakim sposobem znalazł się na tułaczce. To pewna, że zbliżył się bardzo z ex-socjalistą, Stanisławem Grabskim, i jest dziś w szeregach N. D. Dawna działalność jest szyldem, któ-

ry ma przyciągnąć łatwowiernych. Tak przekształca partyjnictwo działaczy na... statystów.

2 Marzec 1918 r.

Na południu zaszły wydarzenia pierwszorzędnej doniosłości. Część II-ej brygady legionów polskich, rozłożonych przez zimę pod Czerniowcami, stoczywszy walkę z armją austriacką pod Rarańczą w d. 15 Lutego, przedarła się na Ukrainę.

Nie możemy się zorientować w położeniu. II-a brygada legionów złożyła w jesieni ub. r. przysięgę na wierność Austrii i Niemcom, nie poszedłszy za przykładem I-ej brygady, która odmówiła przysięgi.

A więc II brygada, wcielona formalnie do armji austriackiej, nie musiała się czuć tam dobrze, skoro porwała się na tak ryzykowny czyn, jak złamanie przysięgi żołnierskiej i przedarcie się przez front. Śnać nie miała wyboru. A może wpływy propagandy bolszewickiej poczyniły takie postępy, że brygada zapragnęła połączyć się z armją rewolucyjną. Nie! Ci, którzy się przedarli, nawiązali stosunek z polskimi formacjami wojskowymi, a nie z pułkiem białogorodzkim, ani z czerwoną armją.

Wiadomości o tem przejściu są nader niedokładne. Zdaje się wszakże, iż zachodzi związek pomiędzy niem, a świeżo zawartym w Brześciu pokojem z Niemcami i Austrią. Mocą tego pokoju została odstąpiona część ziem polskich z Podlasiem, Chełmszczyzną, z Polesiem i Wołyniem nowo powstającej Rzeczypospolitej Ukrainskiej. Przeciwno temu nowemu podziałowi Polski zareagowała podobno Rada Regencyjna i rząd polski złożył swe mandaty. Jest więc możliwe, że jedyna formacja wojskowa na terenie państw centralnych uznała za wskazane wyrazić swój sprzeciw wobec złamania deklaracji z d. 5 Listopada 1916 r., zapowiadający wskrzeszenie Polski.

Nie ulega wątpliwości, że jest to poważne załamanie dla państw centralnych. Może ono być bodźcem do wyzwolenia się narodów, znoszących jarzmo austriackie. Od czasu śmierci cesarza Franciszka Józefa przeciwieństwa wyzyskiwanych narodów zaostrzyły się. Może II brygada da przykład innym formacjom wojskowym i wskaże, iż wielki już czas pomyśleć o narodowych korzyściach i przestać pracować dla nowego cesarza, Karola,

20 Marca 1918 r.

Żyjemy w dziwnym nastroju. Z jednej strony ucisk bolszewicki, przekraczający wszelką miarę z czasów caratu, połączony z nieokiełznanem rospasaniem czerni i żywiołów zbrodniczych; z drugiej strony otwarta walka z komunizmem, głosząca rychły jego upadek. Nie chce się pomieścić w głowie, aby władza, wykonująca bez wyroku sądowego, albo na zasadzie parodji wyroku, tysiączne rozstrzeliwania swych przeciwników i to nietylko notorycznych wrogów, burżujów, „białogwardzistów“, „kontrewolucjonistów“, lecz i socjaldemokratów, rewolucjonistów, nawet mieńszewników, aby władza, wydająca oficjalne dzienniki, utrzymane w stylu samochwalstwa, patrzyła obojętnie na pima w duchu wręcz przeciwnym. Oto wychodzi tygodnik „Myśl“ Adres redakcji i drukarni podany, pod artykułem wstępnym autor podpisany, a chociaż nazwisko redaktora nie wiadome, jednak niema trudności pociągnięcia go do odpowiedzialności w razie uchybienia. I oto w Nr. 10 tego wydawnictwa „inteligencji pracującej“ czytamy ni mniej, ni więcej, tylko takie wiadomości: „Wczoraj odbyło się w kremlu posiedzenie rady komisarzy narodowych tak konspiracyjne, że nie dopuszczono na nie na obrady niektórych znanych członków rady moskiewskiej... W związku z ratyfikacją pokoju

nastąpiło załamanie rządu. Różnica poglądów jest tak wielka, że możliwe jest ustąpienie wszystkich komisarzy ludowych, nie wyłączając Lenina... Albo: Rada jest zupełnie zgębiona. Siła lewych socjalrewolucjonistów i umiarkowanych bolszewików niepokoi lewych bolszewików, wykonywujących władzę. Z kraju dochodzą wiadomości o zwycięstwie przy wyborach do rad S.-Rew. i mieńszewników... Niemcy szykują się do zajęcia Moskwy... zamierzono przenieść stolicę do Nizniego... Wiadomość o ratyfikacji pokoju wywarła w Piotrogradzie protest robotników, którzy żądają zwołania konstytuandy i nowych wyborów do rad... Jeńcy niemieccy i austriaccy świetnie uzbrojeni, zajęli Rostów. Władze bolszewjckie zostały w części aresztowane, w części uciekły. Jeńcy oddali władzę dawnej radzie miejskiej, pod kontrolą swych przedstawicieli. W Kijowie niemcy oddali władzę dawnej radzie miejskiej. Bolszewicy są prześladowani". Władze bolszewickie uciekły z Odesy jeszcze przed zajęciem jej przez niemców. Czerń zniszczyła i zrabowała miasto, rozprawiła się z burżuazją i urzędziła pogrom. Niemcy zabrali olbrzymie zapasy węgla, żelaza, mąki i poszukują bolszewików, krasnoarmiejców i rozstrzeliwują ich". W Błagowieszczyńsku bolszewicy rozstrzelali 190 japończyków,.. Możliwa jest wojna z Japonją". Widmo monarchii zawisło nad Rosją; jego zarysy są coraz wyraźniejsze a demokracja może oczekiwać całkowitego swego pogromu..."

Jak na jedną stronę tygodnika to dość wiadomości, wskazujących na bezsilność bolszewików. Nie mogą oprzeć się natarciu Niemców, którzy posuwają się wciąż dalej pomimo zawarcia pokoju. Z własną ludnością, która ich szczerze nienawidzi, nie mogą również dać sobie rady. Dlatego to zapewne wychodzi i „Myśl“, nie obawiając się na razie kary. Może również dlatego pozwalają sobie na kroki ryzykowne

rozmaite instytucje i jednostki. Tem dziwniej wygląda na tem tle samowolne rozwiązanie Nacz. Pol. Kom. Wojsk, gdy żołnierz polski potrzebuje największej opieki i pomocy.

1 Kwiecień 1918.

Likwidacja wojny dokonywa się z pośpiechem. Z okopów powracają „towarzysze“, zbratawszy się z wrogiem. Trzy lata przelewało się z nim krew, potem słowa pojednania i wódkę na bruderszaft. Oddało mu się na pamiątkę armaty, karabiny i inny sprzęt wojenny. Trudno było ciągnąć go z powrotem, bo zjadło się już znaczną część koni. Handel wymiany był korzystny: za działo, bezwartościowe w socjalistycznej rzeczypospolitej rad, można było dostać parę butelek „oczyszczonej“. Kto oprze się takiej pokusie?! Towarzysze wzięli z sobą tyle tylko broni i amunicji, ile potrzeba do zaopatrywania się w żywność w drodze. Jadący koleją poprzestali na karabinach z bagnietami. Inni ładowali zapasy intendentury na wozy, jadąc grupami od wsi do wsi, od dworu do dworu, od miasta do miasta. Na wszelki wypadek mieli karabiny maszynowe. Bo wiadomo: „ziemlak“ (rodak) jest serdeczny i gościnny, lecz tylko dla swoich najbliższych. Któżby tam troszczył się o przybysza z innego powiatu, lub gubernji? W okopach żyło się z musu w zgodzie nawet z tatarzem, żydem, chrześcijaninem. Ale teraz inna sprawa. A tu ci, którzy nie wachali prochu, kryjąc się po wsiach i miastach, nie chcą nakarmić i napoić powracających bohaterów, którzy mieli zgładzić z powierzchni ziemi Niemca, wroga cara, a zgładzi cara, wroga wolności...

W pasie frontu dzieją się straszne rzeczy. Już w okresie walk w okopach była cała okolica zrabowana. Dziś pas zniszczenia ciągnie się na kilkadzie-

siąt mil w głąb kraju. Pozatem zniszczenie posuwa się wzdłuż linii kolejowych, szos, dróg kołowych. Armja powraca. Gdzież są dla niej bramy tryumfalne, gdzie radość w rodzinach, że ojciec i syn znajdują się wreszcie wśród swoich? Nie widać ich. Nie jeden żołnierz, który wrócił do swej chałupy, musi walczyć dziś orężnie z towarzyszem, uważającym jego sadybę za dom zajezdny. Uszedł kuli i bagnetu w okopach, gdzie bronił cara. I legł od nich, broniąc swego własnego domostwa. Fortuna variabilis...

Wojsko się zdemobilizowało. Wobec tego władze oświadczają nam, że nasze obowiązki lekarskie w armji są skończone. Jesteśmy zwolnieni. To znaczy, że od prima aprilis nie będziemy dostawali poborów. A jak z powrotem do kraju?—To nas nic nie obchodzi. Starajcie się sami. Szpital pozostaje w Moskwie pod kierunkiem zawodowych lekarzy wojskowych, a przybysze niech myślą sami o sobie. Jeżeli umrą z głodu, to ich rzecz. Teraz umiera z głodu dużo obywateli S. S. R. Takie czasy.

Co począć dalej? Jak uzyskać prawo powrotu? Dopóki nie zjedzie do Moskwy przedstawicielstwo niemieckie, niemoże być mowy o wyjeździe. Chodzi się od urzędu do urzędu, aby usłyszeć po godzinie czekania: — towarzyszc, naprzód do komisarjatu okręgowego po dowody, potem do komisarjatu dla obcych, potem do komitetu do spraw polskich i t. d. Wszędzie zasiadają w wielkiej liczbie żydzi. Rozmowa toczy się nieraz w żargonie, a przeciętny burżuj czeka i czeka.

Po raz pierwszy przekroczyłem progi komisarjatu do spraw polskich. Pan Mandelbaum obiecuje wszelkie ułatwienia, pp. Szczęsny i Weyhert są również bardzo przychylni. Wypełniam kwestjonariusze i mam być zaliczony do grup, którym przysługuje prawo szybkiego powrotu bezpośrednio po inwalidach,

sierotach, bezdomnych, których powrót ma być wyrazem dbałości o najbardziej pokrzywdzonych, jednak wygląda na chęć wprowadzenia do Polski najbardziej rozgoryczonego elementu. Niewielki to zaszczyt być zaliczonym do tych grup. Jednak ma się już tak dość Rosji, tak trapi nostalgia, że wróciłoby się chętnie nawet z żebrakami i zbójcami.

Czekanie to stan, a nie działalność. Trzeba więc jać się pracy nie tylko społecznej, lecz i zarobkowej. O praktyce lekarskiej niema co myśleć, ponieważ do zdrowia potrzeba zabezpieczenia najpierwszych potrzeb życiowych. A o to coraz trudniej. Cały handel jest w rękach b. żołnierzy. Na Sucharowce można nabyć od towarzysza pud mąki za 200 do 400 rb. Nie przejdzie się wszak że kilkadziesiąciu kroków, gdy inny żołnierz zapyta:—towaryszcz, co niesiesz? — Jestto wstęp do rewizji i konfiskaty. A rewident, posiadający legitymację w postaci rewolweru lub karabina z bagnetem, albo noża za cholewą, sprzedaje po chwili przechodniom produkty, odebrane burżujom.

Ten bieg spraw skłonił bolszewików do surowych zarządzeń. Pozwolenie na demokrażny handel otrzymają tylko inwalidzi. Czerwona armja otacza nieraz place i dokonywa rewizji przekupniów. Często dochodzi do strzelaniny, a nacierający zawsze zabierają dużo zegarków, sreber, kosztowności, których posiadania nie umieją sprzedawcy wyjaśnić. Ale nazajutrz zaczyna się wszystko po dawnemu. Spotykam żołnierzy, sprzedających bieliznę ze stemplami szpitala Ujazdowskiego. — Skąd? — pytam ich. — Wzięli moją, wypuścili w szpitalnej, więc teraz jest moja. — To dali wam sześć par bielizny na grzbiec? — Nie. Resztę dokupiłem od towarzyszów. — I prześciraćda wam dali?

— Nie, to własne. Oglądam: stemple powycinane, a na ich miejscu łaty,

Tak likwiduje się szpital, który mógł być być spolszczony i powinien był powrócić do Warszawy, gdyby strach na wróble nie był tylko drążkiem, owieszonym łańchmanami, i gdyby gryzonie nie uciekały z zagrożonego okrętu,

Dziś w okresie upaństwowienia własności prywatnej towarzysze uprywatniają własność państwową.

W biały dzień na ulicy otacza się przechodnia i wywłaszcza z pugilaresu, zegarka, ubrania. Niedawno jednemu z przechodniów zaproponowano, aby zamienił swe futro na szynel żołnierski. Pod groźbą rewolweru zamiana została dokonana. Burżuj dziękował Merkuremu, że tak łatwo się wykręcił; gdy jednak włożył zmarznięte ręce do kieszeni szynela, zastał w niej parę pugilaresów i złotych zegarków. Cud? Bajka wschodnia? Nie to brak pamięci podpitego żołnierza, który zapomniał zabrać łupy poprzednie.

Wobec tego, że w mieszkaniu nie jest się bezpiecznym, złożyłem jeszcze przed przewrotem oszczędności przywiezione do banku państwa. Dziś niemożna ich wydobyć. Skąd więc zdobyć środki do życia? Po dłuższych poszukiwaniach dostaję się do przychodni Komitetu Polskiego, gdzie płaca wynosi 100 rb. miesięcznie za godzinę pracy dziennie. Skład osobowy Wydz. Lekarskiego zmienił się znacznie. Miejsce budowniczego Kontryma zajmuje lekarz Hryszkiewicz, który prowadzi akcję z energią i znajomością rzeczy. Pracuję 2 godziny dziennie zapobory prawie takie, jak w szpitalu; w dodatku mam do czynienia z wychodźcami i mogę przyrzec się ich życiu. Nikt nie przewodzi nade mną, nie imponuje rangą nie wtrąca się do mej pracy. Czuję się teraz na właściwym miejscu. Jestem znów lekarzem i społecznikiem. Jednak stwierdzam z przykrością, że czteroletnia tresura zrobiła swoje. Nie doszedłem jeszcze do poziomu



Pustogółowcewa, jednak wytworzyło się zbyt wiele schematyzmu, zwęził się zakres ujmowania zjawisk, nabrało się manjery pośpiechu i chęci natychmiastowego rostrzygnięcia rzeczy, wymagających dłuższego badania. Jestem jak ten baryton, który przerobił się na tenora i nie może poradzić sobie z Jontkiem. A coż musiało się stać z zupełnie młodymi lekarzami? Ich uzdolnienie spadło do poziomu felczerów i prawdopodobnie nie podniesie się nigdy. Są to też ofiary wojny, inwalidzi zawodowi. Większość ich będzie musiała pozostać w wojsku, gdzie wymaganie od lekarza są rzeczywiście inne. A może rewolucja poruszy i tę stęchłą sadzawkę? Może lecznictwo wojskowe nie zatrzyma się na objawowym stosowaniu: kastorki, salicylki, chininy, kropli lnoziemcowa, proszków Dowera, paru narkotyków, ścisłej diety, a u chorych bardzo opornych, kozy, „pod rużjo“, lub zabiegu dentystrycznego a la Szumski. Bądź co bądź lekarze, którzy ukończyli medycynę w okresie wojny, nie dorównają nigdy starszemu pokoleniu co do przygotowania zawodowego. Dawny sekretarz, Wiśniewski, jest dziś dostojnikiem bolszewickim. Odbił dobrą praktyka przy Kontrymie.

Chorzy, przychodni są bardzo skolatani. Dużo jest wśród nich wdów, sierot, ludzi samotnych. Mieszczą najczęściej kątem na jakimś brudnym zaułku, żywią się niewiadomo czem i żyją nadzieją powrotu do kraju. Z dawnej świetności pozostały nieraz jeszcze plóra na kapeluszu, złoty łańcuszek, pierścionek, broszka, jakiś stanik jedwabny.

— Za pieniądze, przeznaczone dla nas, rozbijają się ci dobroczyńcy samochodami, żyją zbyt koźnie, wspomagają swoich partyjników. A ty — zdy haj z głodu, — słyszy się oskarżenia.

Przykro słuchać tych zarzutów. Przewidywałem to na początku naszej tułaczki. Jednak pełnomocnicy i prezesi mieli własny punkt widzenia, które wysie-

dleńcy określają lapidarnie; „dorwaliśmy się“. Ale zda się, że „kreska przyszła na Matyska“. Działalność Komitetów podlega Kontroli Komisarjatu do spraw polskich. To też zakres pomocy dla uchodźców zmniejsza się szybko i wielu funk. ustępuje. Mówi się o przyływie nowych funduszów z Francji. Ma to być 38 milj. franków na wojsko dla Koalicji. Część tych pieniędzy ma być podobno użyta przez. ks. L. na propagandę i pomoc dla prasy prawicowej. Jednak tych rzeczy sprawdzić dziś niemożna.

Odwiedziłem kilkunastu chorych. W Parku Piotrowskim, dokąd jedzie się godzinę tramwajem, a jeszcze pół godziny brnie się na piechotę, zastaję suchotnicę. Wilgoć, głód, chłód, przeludnienie drewniaka, zapadającego się w ziemię.

— Trzeba przenieść chorą do polskiego szpitala w Marinoj roszcze, — powiadam rodzinie.

— Byłam tam, — szepcze chora. — Ale nie chcę wracać. Nie dbają o chorych. Lekarz wpadnie na ½ godziny, pośmieje się z siostrami, podpisze papiery i ulatnia się. Głodzą. Siostra rządzi samowolnie...

— To niemożliwe! Przecież są tam lekarze Polacy.

— Ten lekarz policyjny postępuje, jak z aresztantami. Zawsze spieszy się mu...

Daremnie namawiam chorą. Godzi się raczej na szpital rosyjski, nie chce korzystać z dobrodziejstw C. K. O. Podobne niezadowolenie wyrażają inni chorzy. Nie cieszą się dobrem imieniem lekarze, którzy schronili się w Czerwonym Krzyżu i organizacjach ziemskich. Jeden z lekarzy policyjnych, świeżo ochrzczony G., podpora Bogdanowa w komisjach poborowych, zajmuje się... skupem złota, brylantów, listów zastawnych. Może w innych zawodach dzieje się nie lepiej. Oto leczyłem przemysłowca K., przy-

byłego z Warszawy. Uwolnił się od wojska, bo miał pracować dla armji. Po roku dorobił się dużego majątku. Byłem u niego na sutych chrzcinach z udziałem generałów. Mówiono tylko po rosyjsku i osuszano taką liczbę butelek, że w tem towarzystwie było mi duszno, jak w ruskiej łaźni. Przewrót bolszewicki podział z gubnie na fabrykę. Trzeba było zwinąć ją. A stypa była sucha, pełna goryczy,

W szeregu Polaków, osiadłych w Moskwie, odznaczał się dużą ruchliwością rzeźnik G. Wyjechał z Warszawy przed kilkunastu laty, jako czeladnik miasarski. Dziś jest wielkim przemysłowcem. Na wielkanoc sporządził takie szynki, że nawet mój tabetyk R., ex obywatel z Kijowszczyzny, żonaty z rosjanką, poczuł się dzięki tej szynce takim nieodrodnym Polakiem, że postanowił przenieść się do... ojczyzny. Tam też podąża rzeźnik G. Ma zamiar wyrwać w Warszawie handel z rąk żydowskich.

— Czy wędlinami? — pytam go na posiedzeniu organizacyjnem związku, który ma podźwignąć Polskę moralnie i materialnie?

— Nie, cały handel — zapewnia G, — Polska ma dotychczas tylko przekupniów. Brak jej hurtowników i stanu kupieckiego.

— A jeżeli carat powróci? — pytam.

— I my wrócimy. Niewiadomo, jak tam będzie w Polsce. O wielkim handlu nie mają pojęcia.

Poznałem kilku Polaków, osiadłych od dawna w Moskwie. Pan W., dyrektor banku, żyję myślą powrotu do kraju. Jest serdeczny, gościnnie, zjawia się na przyjęciach w kontuszu, pasie litym z karabelą u boku. To chwyta za serce. Ma środki, stosunki; wyjedzie pierwszym pociągiem. A co da krajowi?

Inny znajomy S. jest dyrektorem niemieckiego oddziału budowy maszyn. Dorobił się przed wojną dużego majątku. Przewrót bolszewicki podciął go.

Więc gotów jest pojechać do Polski, choć ma wątpliwości, czy w tak małym kraiku będzie można prowadzić dobre interesy. Takich przemysłowców i kupców, inżynierów, prawników, lekarzy jest tu gromada. Wielu z nich bierze czynny udział w życiu kolonji polskiej. Inni zjawiają się tylko na terenie kościoła i Domu Polskiego. Zrobiło się im ciasno i nie swojsko..

Najbardziej wykolejeni są Polacy na urzędach; sędziowie, prokuratorzy, kolejarze, inżynierzy, lekarze. Rzucić, czy przeczekać? — oto jest pytanie Hamletowskie. A bije z niego brak wiary w Polskę i obawa bolszewizmu w Rosji. Co dadzą Polsce ci ludzie, gdy ją uszczęśliwią swemi osobami?

Najchętniej powróciliby urzędnicy rosjanie i zgodziliby się nawet na niższe stanowiska. Oto podczas zamieci śnieżnej widzę sędziego sądu okręgowego, jak ciągnie saneczki ze skromnym dobytkiem i dwójkiem dzieci. Sędzina popycha od tyłu. Wielki dostojnik, zajadły polakożerca, spadł do poziomu... wyrobnika. Co za poniżenie istinno ruskawo! Stanał. Sanki ugrzęzły w śniegu. Ogląda się na przechodniów, aby mu pomogli. I oto oberwus w szynelu sołdackim pyta: — Towaryszcz! co wieziesz?

W wylękłych oczach przedstawiciela sprawiedliwości czytam:— Prywislanje, jak piękne jesteś i szczęśliwe. Jak chętnie wróciłbym do ciebie!!

20 Kwietnia 1918.

Po rewizji w Komendanturze położenie Z. W. P. stało się przykre. Za kilku osobników, którzy dopuścili się nadużyć, musiała pokutować cała organizacja. Dobór urzędników Komendantury był nieszczerzy. Coprawda i przez Radę przesunęły się rozmaite podejrzone osobniki, jednak byli oni nam narzu-

cani przez zebranie walne. Dalszy pobyt kap. Podgórskiego był w Moskwie niebezpieczny. P. Dybczyński pomógł mu wyjechać do Mińska, a stamtąd do kraju; sam zaś przyjął na siebie obowiązki komendanta. Posiedzenia Z. W. P. odbywają się u p. D. Są one coraz mniej liczne. Stosunek bolszewików jest coraz bardziej nieżyczliwy. Oczekujemy lada chwila aresztowań. To też wielu członków Rady żąda jej rozwiązania. Dnia 4. IV 18. pułk Bartosza Głowackiego został rozbrojony. Zabrano ogółem 26 karabinów, przeznaczonych dla warty przy zabytkach. Więcej broni nie było. Bolszewicy zamierzali zniszczyć pułk całkowicie, podobno za podszeptem Niemców. Należało zająć się żołnierzami. Na jednym z posiedzeń żądał pułkownik Majewski pomocy pieniężnej dla tego pułku. Kasa Rady była opróżniona przez bolszewików. Nie mogło być mowy o zebraniu kilkunastu tysięcy rb. Otóż p. M. oświadczył, że pozwał pana, który obiecał pomóc, jeżeli pułk zgodzi się na wysłanie na front południowy.

— Co to za pan?— pytam p. M.

— Nazywa się, zdaje się Grabski. Ma duże pieniądze. Zresztą co to panów obchodzi? Nie macie pieniędzy, więc muszę wyczekać kogoś, kto je posiada... To moja rzecz.

— Jak to pan rozumie? To obchodzi Radę bardzo żywo. Wszak to nie wojsko najemne, lecz wysiedleńcy, których mamy obowiązek wrócić do kraju.

— To mają umrzeć tu z głodu?

— Lepiej uwolnić ich z wojska. Niech każdy stara się znaleźć zarobek na własną rękę. Ale niemożna oddać ich pod opiekę jakiegoś nieznanego pana. A nuż jest to prowokator, kub szpieg, który wyda ich bolszewikom, jako białogwardzistów.

M. upiera się, zdradzając zupełną nieznajomość stosunków i żołnierską pewność siebie.

P. Dybczyński stara się przekonać M., potem poleca, jako komendant. Ale napróżno.

Członkowie Rady szykują się do wyjazdu. Ułatwia im to p. Dybczyński, który sam jeden nie zająknął się jeszcze o powrocie do Kraju:

— Kto zajmie się dalszem gromadzeniem żołnierzy, kto wyprawi jeńców polskich, kto obroni zabytki?

— Jeszcze pomyślę, że się pan zakochał.

— Jestem niezonaty, nie mam poważnych obowiązków, rodzeństwo zaopiekuje się ojcem. Mam niewielkie wymagania osobiste, dobrze orjentuję się w położeniu, więc mogę prowadzić dalej sprawę Z. W. P.

— A czy nie mógłby, pan przekazać ich polskiemu przedstawicielstwu w Moskwie? Przecież Lednicki uzyskał mandat od Rady Regencyjnej, Część pracy winni wykonać pełnomocnicy C. K. O., bracia Lutosławscy, którzy nie powrócą chyba pierwsi do kraju. Zbierali przez parę lat fundusz na powrót i dziś muszą się zająć celowem użyciem tej wielkiej sumy.

— Wątpię, czy bolszewicy uznają przedstawicielstwo Lednickiego, bo nie uznają R. R. za rząd Polski. A co się tyczy Lutosławskich, obawiam się ich akcji na własną rękę.

Obawiam się o p. D., gdy zostam sam. Rozumiem jednak że chodzi tu o ważne sprawy, które on właśnie może przeprowadzić najpomyślniej, bo umie porozumiewać się z bolszewikami, nie oddziałując odruchowo na ich grubiaństwa i prowokacje. Ja tego nie umiem. Gdyby więc nawet nie troska o dzieci, które mam obowiązek wrócić na ojczyznę łono, to i tak nie byłoby ze mnie wielkiego pożytku w Moskwie. Wymogłem więc na p. D., zobowiązanie, że pozostanie tyle tylko czasu, ile będzie potrzeba, aby zakończyć zaczęte sprawy i że wyjedzie w każdej chwili, gdyby mu groziło poważniejsze niebezpieczeństwo.

Na ostatniem posiedzeniu Rady z udziałem gen. Lattoura, który, wyjedzie niebawem, postawiłem wniosek

aby uczcić zasługi p. D. Zawczasu przygotowałem dyplom odręczny. Głosi on: "Non sola virtute militari, sed etiam studio civili, meritor bene pro Patria. Rada Zw. W. P. O. M. powołuje Włodzimierza Dybczyńskiego na członka honorowego w uznaniu jego wielkich zasług na tułaczce w Rosji." Członkowie rady podpisali ten dyplom tymczasowy.

D. był wzruszony do łez. Zawiesił dyplom na poczesnem miejscu, nie bacząc, że przez jego mieszkanie przesuwiają się setki ludzi i to nietylko takich, którzy są dlań z wielkiem uznaniem, i nietylko tych, którym trzeba dać nocleg, posiłek, zapomogę, pożyczkę, radę, lecz i takich, którzy rozglądają się dookół, czy nie dojrzą czegoś „przeciwrewolucyjnego“. A taki dyplom będzie w ich oczach dowodem knowania z białogwardzistami.

Zostało nas ledwo kilku. Zbieramy się często na narady. Paru członków nie zgłosiło formalnie ustąpienia, ale trzymają się zdala. Natomiast p. D. pracuje teraz za wszystkich, jako prezes Rady, komendant, kierownik obrony zabytków, T-wa opieki nad jeńcami. Należę do wielu z tych organizacji, jednak mój udział polega tylko na bywaniu na posiedzeniach, on zaś bierze na siebie wykonawstwo: oto przewiózł do podziemi kościoła na Gruzinach zabytki, narażone na rozkradzenie, kilka tysięcy jeńców ma w nim dzielnego opiekuna, niedawno jeździł do N. Nowogrodu, aby zarejestrować dzwony polskie, załatwia tysiące formalności przy wyrabianiu prawa wyjazdu. Jednak nasi tułacze nie doceniają jego działalności. Sądzą, że pieczęć, którą się posługuje do zabezpieczenia pamiątek narodowych, powinna być użyta również do pieczętowania skrzyń z ich własnym dorobkiem. Jeden z wyjeżdżających, zabrawszy dzięki p. D. całe swe mienie aż do kanarków włącznie, jest dotknięty, że pozostałe naczynia nie mogą być zabezpieczone

pieczęcią urzędową. Inny wzywa p. D. do siebie na wskazaną godzinę, aby opieczętował jego skrzynię.

— Czemu nie korzystacie panowie z Rady Bezpieczeństwa?

— To banda spekulantów! Wydawali za opłatą kwitki, nalepki, znaczki, paszporty, których nikt nie uznaje, — tłumaczą wygnańcy.

— Jednak zastrzeżono, że pieczęć p. D. nie może być używana do celów prywatnych.

— Czy można liczyć się z bolszewikami? Żadne zobowiązanie wobec nich nie jest ważne! Wszak wszystko, co wywożę stąd, wzbogaci kraj.

— Masz pan zamiar oddać to na skarb polski? Nie? To wiedz, że w okresie rozbiorów Polski była w kraju bieda, chociaż kikulset magnatów i szlachty posiadało wielkie skarby. Zobowiązań zaś winno się dotrzymywać w wyższej mierze wobec tych, którymi się gardzi, niżli tych, których się czci.

Liczba niezadowolonych z odmowy pieczęci wzrasta. Ale p. D. jest twardy. Cenię go za to bardzo. Ho, ho! Taka pieczęć w ręku Zarębskich i podobnych im braci byłaby złotodajniejsza, niż kamień filozoficzny, ruletka i wódka. Może trwałoby to krótko, Ale cóż; życie jest krótkie i... ciężkie.

3 Maj 1918.

Powrót do kraju zaczął się nadobrze. Z Moskwy odchodzą dwa pociągi tygodniowo. Dwa pociągi.. po 20, może 30, nawet 40 ciepłuszek, mieszczących po 25 ludzi z gratami. To znaczy około 6000 ludzi miesięcznie. Aby przewieść 2.000.000 wysiedleńców, milion uciekinierów, i 2 miliony tych, którzy dopiero dziś poczuli się Polakami, trzeba by około 17 lat. Ładna perspektywa! I znowu najbardziej spieszą się ci, których wypędził strach, i ci, którzy przywieźli tu



swe bogactwa, albo dorobili się ich na spekulacjach, i ci, którzy wyrobili sobie wpływy podczas długoletniego urzędowania. A reszta? Ci, których wygnali koźacy, paląc wsie i dwory, ci których powołano do armji, gdzie stracili zdrowie, te rodziny po poległych i zmarłych? Dla nich zastrzeżono pierwszeństwo powrotu. Tak orzekł komisariat do spraw polskich z pp. Mandelbaumem, Wejhertem, Szczęsnym, tak głośiły odezwy C. K. O., wzywające do składek na powrót. Zebrano miliony. Co się z nimi teraz dzieje? Gdzie jest ten aparat, który ma doprowadzić powrót do skutku? Niema go? A może tylko nie umiem go dojrzec?

O nie! Widzę. Wyjeżdżają ludzie zasobni, wywożą stosy kufrów, pak, sprzętów,, Ale to tacy sami, jak tamci, którzy pierwsi uciekali na początku wojny. Każdy naród ma swoich Zawadzkich, Bogdanowów, Szumskich. Oni mu zawsze przodują... w ucieczce z niebezpiecznego środowiska. Nazywa się to spryt, obrotności, zręczności. Tłum nie posiada tych przymiotów. Nic dziwnego: trzeba na to całych pokoleń, pracujących mózgiem, — powiada inteligent, — a ten tłum to... mięśnie.

— Dlatego to pierwsi, — powiadam, — zapisali się, jako lekarze sanitarni pociągów, żydzi. Oni mają poza sobą najwięcej pokoleń, pracujących mózgiem. Dlatego to taka pani Jętkiewiczowa wyjechała już podobno przez Szwecję. Ale dlaczego p. Kulwiec zamknął szkołę i wyjeżdża, choć teraz właśnie powinien rozwinąć szeroką akcję przy pomocy funduszu powrotu do kraju, tego zrozumieć nie mogę; wszak jego ród wyprowadza się nie od mózgu, lecz od mięśni. Muszą tu więc działać jeszcze jakieś inne czynniki.

Takie myśli nastroczają się, gdy obchodzę rozmaite urzędy bolszewickie, gdzie składa się podania. Przed poselstwem niemieckiem stoją tłumy. Do wnętrza

przepuszcza żołnierz tylko dostojników, a podania, uzasadniające przyczynę powrotu, miejsce stałego zamieszkania petenta, jego zawód, środki do życia, przyjmuje żołnierz przez kratę. W niemieckim urzędzie sanitarnym dowiaduję się, że opieka lekarska pociągów z re-emigrantami zapewniona jest już na kilka miesięcy. Na liście lekarzy przeważają lekarze policyjni, urzędowi oraz żydzi. Mózg ma pierwszeństwo. A ty poczekaj!

Nie mając nadziei na szybkie załatwienie sprawy, decyduję się na wyjazd, zorganizowany przez inżyniera S... Powrócił on niedawno z powiatu Prużańskiego, gdzie jego żona posiada majątek. Mamy wyruszyć z jego rodziną pod opieką kurjera niemieckiego w d. 10 Maja. Załatwiam formalności, wyprzedaję sprzęty.

Przyżyliśmy nowy wstrząs: pod Sokolnikami podpalono pociąg, naładowany amunicją. Pociski armatnie wybuchały, szerząc przez cały dzień postrach, jak podczas oblężenia. Byliśmy pełni niepokoju o Grażynę, dopóki nie doszła wiadomość telefoniczna, że jest ona pod opieką pani Stokowskiej i Wiśniewskiej, i że pociski nie dosięgają szkoły.

Zajęcia szkolne kończą się. Syn przeszedł do 6-ej klasy z dobrą cenzurą. Grażyna skończyła drugi oddział. Reszta dzieci uczy się po trochu w domu. Po długim głodzie, brakach dostaniecie, moje dzieciaki, za parę tygodni prawdziwego chleba zamiast „kałabaszek“, może mleka i masła, zamiast oleju z cebulą. Co to będą za przysmakil i jaka będzie radość patrzeć na was, że przestaniecie odmawiać sobie jedzenia w obawie, aby nie zbrakło do dla reszty domowników.

Pozostało kilka dni. Spędzam je w przychodni K. P. i szczepię ospę tysiącom tułaczów, bo na granicy nieszczepieni muszą odbyć kwarantannę. W przychodni ustala już wszelka inna praca. Chorych

zglasza się mało, jednak od rana wyczekują długie szeregi kandydatów do szczepienia. Wyszedłem na dostojnika, na którego czekają tłumy, a jest mi niemiło w tej roli. Czuję się w obowiązku załatwić te czynności najspieszniej. Po kilku dniach muszę jednak zmienić system, ponieważ wielu szczepionych uważa ten rękoczyn za zwykłą formalność. Otrzymawszy świadectwo, scierają oni szczepionkę. A władze pograniczne wymagają stwierdzenia, że ospa się przyjęła. Wobec tego praca staje się bardziej przewlekła, bo szczepiony musi zjawiać się powtórnie po 3 dniach. Strony oceniają to, jako szykanę biurokratyczną. A jednak wolę to, niż by mnie złorzeczyli po przyjeździe na granicę, że wydałem im papierek bezwartościowy. Ten szary tłum nie wierzy jeszcze w zapobieganie ospie, bo nauczono go wierzyć w co innego, a wiedzieć — bardzo mało. Godzi się więc z tem, że trzeba wyczekiwać godzinami przy opłacie podatku, kupieniu biletu do teatru, lub na pociąg, przy kupnie chleba, mleka, że nieraz wypadnie przesiedzieć kilka miesięcy w więzieniu, aby się potem dowiedzieć, że się władze pomyliły. Ale wystawać w kolejkach po... świadectwo szczepienia ospy?! — to nieco za wiele...

W tym systemie, ogarniającym cały ustrój państwowy, młści się i moja kolejka ospowa. Kierownicy życia społecznego i państwowego, udoskonalcie ten system. Ja mogę wprowadzić tylko jedno ulepszenie: wejście do przychodni przez jedne drzwi. A kolejki w szeregu pilnuj sam, obywatelu. Jeżeli przepuścisz po za nią panią w klejnotach i pana z sutym podbródkiem i grubym złotym łańcuszkiem, to twoja rzecz! Ja ich nie przepuszczę inaczej, niż za kolejnymi numerami, bo równość obowiązków i praw jest podstawą ustroju, w którym nie będzie już wystawiania w szeregach.

System jednych drzwi i kolejnych numerków nie wystarcza. Trzeba zasłonić jeszcze okna, przez które polecają się znajomi i nieznajomi. A że na to nie reaguję, więc uważają mnie za... niegrzecznego. Nietylko jednak nie mogą się pogodzić z równością obywatelską klasy uprzywilejowane. To samo dzieje się w tłumie: silniejszy toruje sobie drogę pięścią. W poczekalni i na ulicy wybuchają nieraz zajścia, a stale dochodzą złorzeczenia. Patrząc na te kolejki powaśnione, myślę, że pojęcia nietylko bliźniego, lecz i rodaka, są jeszcze zupełną utopją. Niektórzy interesanci zachowują się wyzywająco i grubiańsko. Nie jest to już zdenerwowanie i znużenie, lecz nieraz brzmi obca nuta.

— Towaryszcz!---woła osobnik w szynelu,—dawaj kartku, bo ciebie obżałuju u sowieckich deputatów.

— Kiedy miał pan szczepioną ospę? pytam.

— Jak brały w moskali.

— Trzeba zaszczepić, bo tamta nie przyjęła się.

— Ja nie pozwolę się kaleczyć.

— Mogą panu w wojsku zaszczepić i wydać świadectwo.

— Jak trzeba było wojować za cara, wszystko było dla armji, a teraz nas przegnali k.... materi!

Ledwo zdołałem prze'ozżyć zdemobilizowanemu, że ze mną postąpiono akurat tak samo, jednak pracuję dla wygnańców, zanim przyjdzie na mnie kolej wyjazdu. Do formacyj polskich niema zaufania, bo to białogwardziści. W Rosji nie chce pozostać, bo jest z Chełmszczyzny.

O, ziemo Chełmska! Tyleś przeszła cierpień i poniżeń, tyleś wydała męczenników, tylu twych opornych poszło na Sybir z modlitwą na ustach i słowem przebaczenia dla oprawców. Dziś wraca na twe łono jeden z twych synów. Czy go poznasz?

Niezadowolonych jest wielu. Każdy głos rozdra-

źnienia podniesła całą poczekalnię. Są to już nie skołatani tułacze, lecz pokrzywdzeni przez t. z. bliźnich, zaczawszy od carskich kozaków, kończąc na polskich komitetach, które były obowiązane zająć się ich losem, jednak...

Czy nie widzicie, panowie, którzy dorwaliście się do rządu wysiedleńcami, na placach publicznych w najprzedniejszych dzielnicach miasta ustawianych mównic? Wiecie na co? Zbliża się 1-y Maj. Posłuchajcie. Z trybun przemawiają setki mówców do setek tysięcy... obywateli. Grzmią zarzuty przeciw zgniłej burżuazji, przeciw porządkowi, opartemu na przemocy i ciemnocie. Mówcy zapowiadają zatopienie tych pozostałości barbarzyństwa w potokach krwi burżujów, panów, popów, carów, królów. Skończyło się panowanie przywilejów. Zaczną się rządy żołnierzy i robotników. Tłum słucha. Jest zachwycony i pełen nadziei na lepszą przyszłość. W tłumie są i Polacy. Pamiętają, jak to u nas zabraniano świętować 1 Maja, jak kozactwo i żołdactwo mordowało. A tu? Święto rządowe: niczem galówka. Idą pochody z czerwonymi sztandarami. Orkiestry grają marsyljanekę, dubinuskę, warszawiankę... Stójcie! Idzie pochód polskiej partji socjalistycznej. Sztandar dzierży... Przecieram oczy: Prz..., były członek Rady Z. W. P.!! wielki zwolennik ks. Lutosławskiego. Badam oczami innych uczestników. Może ujrzę Zarębskiego? Nie widać. Pewnie kroczy w pochodzie bankowców...

I zda mi się, że żołnierz z przychodni mówi do mnie w tej chwili: — Skończyły się porządki burżuazyjne. Nawet wasi idą teraz z nami! A wasi dobroczyńcy z cudzej kieszeni niech się strzegą! Znajdziemy ich nawet w Polsce...

20 Maja 1918.

Ukończyłem na czas przygotowania do wyjazdu.

Nie pozostawiam żadnych zaległości, zobowiązań, długów. Mogę odejść i nikt mi nie zarzuci, abym czego zaniedbał. Rzeczy nie zajmą dużo miejsca. Dwie walizki ręczne, z którymi objechałem całą Europę i kawał Afryki, tłomok z pościelą i futrami, parę drobnych paczek. Oto i wszystko. Resztę gratów, odzieży, pościeli sprzedało się na Sucharowce. Wywożę z Rosji mniej, niż przywiozłem, jednak — najważniejsze: rodzinę przy życiu, imię nieskazitelne i świadomość, że nie dałem się złamać ani stupajkom carskim, ani rodzimym partyjnikom, ani mścicielom za wszystkie krzywdy, doznane od burżujów.

Najtrudniej rozstać się z Radą W. P. Wszystkie sprawy załatwia p. Dybczyński. Jest on dobrej myśli, chociaż walą się coraz nowe nieszczęścia. Właśnie dochodzą wieści o stoczeniu na Ukrainie pod Kanio-wem przez II gi korpus polski bitwy z Niemcami. Była ona krwawa i zakończyła się rozbrojeniem. Szczegółów jeszcze brak. Jednak jest to zwrot fatalny, którego następstw nie da się przewidzieć. Niemcy są dla wojska polskiego usposobieni wrogo zwłaszcza po bitwie pod Rarańczą.

Rachunki zakończone. Mogę odejść z takim spokojem, z jakim chciałbym zakończyć rachunki życia. Raz jeszcze rzucam okiem na Dokuczajewski zaułek, który dokuczał mi przez trzy lata. Domy jego są bardziej odrapane, dużo szyb wybitych i zastąpionych papierem lub poduszkami, tynki i grzymsy spadają, dachy podziurawione. Kto ma to naprawiać? Domy wywłaszczono na rzecz państwa, a ono zajęte jest walką z kontrrewolucją. Na Spaskiej cerkiew zamknięta, dzwony nie brzęczą. Niema już nabożnych którzy stawiali świece. Snać i tutejszą kłitor zламаł karierę... jak Ujazdowski.

I nagle przychodzi mi na myśl: trzeba się z nimi pożegnać. Zachodzę do szpitala. Chorych niema.

W kancelarji odbywa się narada gospodarcza. Rachunki są w stanie opłakanym, inwentarz w znacznej mierze rozkradzony. Z lekarzy pozostał: Łoktiew, Rachmanow, Erykson i Parizik. Prócz nich martwi się paru felczerów i urzędników. Radczenko rozwodzi kękami i zapowiada, że za cudze winy nie będzie pokutował.

— Nie będzie nas pan źle wspominał? — pyta Łoktiew. — Jeżeli były, jakie nieporozumienia, to natury służbowej.

— Nie mogło być innych. Dziś wracam do mojej Ojczyzny. Panowie pozostajecie w swojej i może wypadnie wam cierpieć więcej, niż ja znośiłem.

— Jesteśmy dla pana z prawdziwym szacunkiem, — mówi Łoktiew. — Jest pan jedynym z lekarzy rezerwy, który wykazał charakter nieugięty a prawy.

— Miło mi to dziś słyszeć. Ale nie poruszajmy rzeczy przebrzmiałych. Życzę panom lepszego jutra. A co słyhać z Ławiaginem?

— Tego policjanta pozpylił się nareszcie. Jako zdemobilizowany musiał ustąpić z rady sanitarnej i dziś podobno założył jakąś pracownię analityczną.

Podaję rękę na pożegnanie. — Może kiedy odwiedzicie panowie Warszawę; proszę o mnie pamiętać.

— O, gdyby tam powrócić! — wzdycha Łoktiew, jak Achilles, zapewniający Odyseusza, że wolałby być ostatnim niewolnikiem włóścianina na ziemi, niż królować nad wszystkimi cieniami w hadesie.

— Zostawiłem tam kredens z zbiorem filiżanek porcelanowych... Każda inna i każde dzieło sztuki — biada Radczenko. — Podlec Bogdanow nie pozwolił mi ich wywieźć. Sam zabrał nietylko swoje, lecz i cudze. Teraz odda. Ale ja je muszę odzyskać!

Rozstałem się z towarzyszami pracy. Pierwszy raz mówili ze mną szczerze, a może i dziś dopiero

zrozumieli, że ani rangi, ani ordery, ani pensje i przywileje nie stanowią o wartości człowieka, i że opór, jaki stawia się samowoli zwierzchników nie jest zawsze wyrazem nieposłuszeństwa, lecz może być również przejawem godności osobistej.

Zachodzę raz jeszcze do inżyniera S., aby się upewnić, czy nie będzie jakich przeszkód.

— Jadę z kurjerem niemieckim, może więc pan być spokojny. Zresztą jedzie i moja rodzina.

Pomimo to mam jakieś wątpliwości. Czemu? Czy nie wyjechało kilku kolegów, znajomych? Wprawdzie byli to t. z. obrotni. Jeden z nich, ów infamis, należący do grupy policyjnej, uległ nawet dokładnej rewizji, bo było wiadomo, że wywozi duże pieniądze, „zarobione” w komisjach poborowych. Część rzeczy zabrali mu bolszewicy. Wyprosił pudło narzędzi chirurgicznych, do wodząc, że to jego warsztat pracy. Zwrócono mu je. A tam pod podszewką znajdowały się poszukiwane pieniądze. Czy nie dowcipnie? Taki człowiek ma kwalifikacje na... dyplomatę. Nietylko wzbogaci Polskę pieniędzmi rosyjskimi, lecz udowodni moskalom, że pomawianie niektórych Polaków o dochody nieprawie to zwykle oszczerstwo! To jak z popadjaną, która: „ciełomudrze sobluła i kapitał nażyła” (pozostała cnotliwą i zrobiła majątek).

— Bawisz się w złe przeczucia, — przekładam sobie. — Trudy tułaczki przekształciły się na starą ciotkę. A może byś tak położył kabałkę?

W braku kart mógł byś spróbować stukania w palca: „tak — nie”. Żart na stronę. To nie złe przeczucia, lecz wielkie szczęście! Wszak przed 18 laty, kiedy wracałem z dobrowolnej podróży po Afryce, trawiła mnie nostalgia, jakgdybym nie widział kraju całe lata. Pisałem wtedy: „Dość mam już życia, którego nie rozumiem, dość przyrody, która nie bu-



dzi nic, prócz zachwytu! Tak dawno czuję się samotnym wśród ludzi!”

W domu panuje radość. Żona krząta się koło ruskiej pieczki, skąd zalatują dawno nie wachane przysmaki. Siadamy na pakunkach. Na podłodze staje sagan z krupnikiem, okraszonym słoniną, przesmażoną z cebulą. Łyżki są w ruchu, jak koła lokomotywy, która ma nas wieść do kraju... Niebawem sagan jest próżny, i zjawia się drugi z ryżem, potem herbata z cukrem; chętnie przekąsiłoby się jeszcze kromkę chleba. Jednak brak go już od kilku tygodni. Nie ma nawet kałabaszek. Świetna ostatnia wieczerza! Byłoby nie zjawił się jaki Judasz. Ale skąd ty się tu wziął?

— Zużyłam resztę zapasu, — mówi żona. — Trochę gotowanego ryżu weźmie się na drogę.

— Resztki zapasów! więc musimy wyjechać, bo inaczej... śmierć głodowa! — myślę.

Zegnają nas sąsiedzi i znajomi. U jednych czytamy w oczach zadowolenie, u innych — zazdrość. Zajeżdża fura, naładowana kuframi pani Z. Wkładam na nią nasze zawiniątka. Chłopcy siadają przy rzeczach, pani Z. z Halinką i ukochanym pieskiem Bobciem, na którym nie znać nostalgji, zajmują doróżkę, a drugą — matka i córka pani Z. Reszta idzie do tramwaja. W ostatniej chwili oddaję na wszelki wypadek państwu B. klucz od mego pokoju z prośbą, aby go doręczyli właścicielom mieszkania za dwa dni, o ile bym nie wrócił. Od czasu zwrotu pożyczonego worka kartofli stosunki z p. L. zaostrzyły się tak znacznie, że nawet nie mogłem się z nimi pożegnać.

Jeszcze jeden rzut oka na miasto. Wieża Sucharowska jest ogołocona z rusztowania, które użyto na opał. Cerkwie na Spaskiej i Sretience wtuliły się pokornie pomiędzy szeregi domów; ich kopuły stra-

ciły swe jaskrawe barwy, a ze ścian opadają tynki. Popów nie widać. Prawosławje przekształciło się z wojującego na pokorne. Tu oto w domach zapadłych mieszkają moi pacjenci. Tam widnieje wieża ciśnień. Ot i dworzec. Wsiadamy. Kasa nie wydaje biletów bez specjalnego pozwolenia Komisarza Komunikacji. Wszystkie posiadane dowody uznaje „towaryszcz” kasjer za niewystarczające. Radzi zwrócić się nazajutrz do urzędu na ul. Basmanną. Nawet interwencja p. Dybczyńskiego, który zjawił się na pożegnanie, pozostaje bez skutku. Cała nadzieja w panu S. Ale go jeszcze niema. Zbliża północ. Dzieci zdrzemnęły się na łomokach. Nagle zajeżdża pociąg. Siedzi w nim p. S. z postawnym młodzieńcem. Służący znosi pakunki. Zbliżam się i przedstawiam stan rzeczy.

— Nic na to nie poradzę—woła S.

Pan obiecywał pomoc wszak jedzie i pańska rodzina. Może kurjer dopomoże?

— Nic tu niemam do zrobienia!

Pociąg rusza. Świst. Ciężkie chrapanie lokomotywy... W głowie mi się kręci. Dzieci pospuszczały smutnie główki. Panie płorują na swego krewnego...

Bije północ. Skończył się ten najcięższy dzień mego życia 10 Maja 1918 r., dzień nadziei, pragnień i okropnego zawodu! Minał. Minać muszą i rozczarowania. Trudno. Muszę czekać. Wszak potrzeba 17 lat aby wrócili wszyscy Polacy. Nie jestem z tych, którzy są od wieków tylko... mózgiem.

— Towaryszcz, zabieraj swoje manatki, — oznajmia odzwierny, — bo zamykam poczekalnię.

Budzę się z odrętwienia. Zostaliśmy w pustej sali. Staruszka dostaje napadu duszniczego. Dzieci płaczą. Panie są złe i czynią sobie nawzajem wymówki. Tylko Bobl rozłożył się wygodnie na łomokach i sapie. Jakże ma nie sapać? Życie jest ciężkie, peł-

ne niespodzianek: przywykł do wygodnego posłania, do gorącej kolacji. A tu musi leżyc na jakimś tłomoku i wracać o północy do opuszczonego domu, jak jaki zwykły kundel... Psia dola!

Z wielkim trudem znalazłem wóz, a dla pań dwie dorożki. Siadam z synem na wóz. Jedziemy przez ciemne ulice na obwodzie miasta. Ma to być krótsza droga. Jechałem nią jesienią z furą drzewa. Pod parkanem snują się jakieś postacie. Lada chwila mogą zjawić się towarzyszcze. Woźnica zatrzymuje się pod odrapanym płótem. Gwizdał. Wyłazi paru drabów. A więc kufry pójdą tu prawdopodobnie na... przechowanie, a może, ja sam zostanę poddany szczegółowej rewizji. W tej ciemności nie rozpoznam napewno jutro zaułka. Ściskam syna za rękę i polecam mu, by zobaczył napis na domu. Raptem robi się widno. Słup ognia bucha w pobliżu. Powstaje wrzawa i krzyk. Dach stanął w płomieniach. Zapominam o niebezpieczeństwie i chcę biec na pomoc. Lecz droga jest zagrodzona. Woźnica skrobie się w głowę i uskarża, że będzie musiał objeżdżać, a za to muszę dopłacić. Zgadzam się. Włem już nazwę ulicy.

Jestem teraz spokojny. Po godzinie docieram do domu. Pani Z. jest niezadowolona z opóźnienia. Zaznaczam ubolewanie, że jej syn wolał powrócić dorożką, niż towarzyszyć nam przy rzeczach. Staryszka dusi się, a Bebcio kręci się koło mych łydek i warczy, czując urazę za zakłócony spokój nocny. Bebciu powiedz swej pani, gdy cię ułoży w łóżku, że zawinił jej krewny i że ta lekkomyślność jest dla całej mojej rodziny może wyrokiem śmierci głodowej.

Resztę nocy spędziliśmy na tłomokach na podłodze. Miałem ciężki sen. Ale rano zabłysnął ożywczym promieniem słońca. Wstaję więc i ruszam

do zwykłych zajęć. Żołnierz przynosi pod połą pół puda mąki i kawałek słoniny. Płacę za nie 450 rb. Ale co za radość będą miały dzieciaki, gdy się obudzą! Powszedniość ma wiele czynników ukojenia. Życie likwiduje zapaly, pragnienia i przykuwa do taczki codzienności. Wracam do niej. W przychodni przyjmują mnie z radością. Zasiadam do stolika przy zasłoniętym oknie, znowu do pokoju prowadzi tylko jedno wejście, znowu pocieszam rodaków, że przyjdzie wreszcie dzień wyjazdu, że cierpliwości i sił musi starczyć, bo najgorsze już się przebrnęło. Odwiedzam paru chorych, wracam do pracy w Z. W. P. i ochronie zabytków. Życie przybiera dawny tryb, choć jest bardziej Diogenosowskie. Jednocześnie przedsięwzięję jeszcze staranniejsze zabiegi o załatwienie formalności wyjazdowych. Jest ich coraz więcej: ograniczenia co do osób i rzeczy. Podróżni są rewidowani wielokrotnie i nieraz rabowani doszczętnie. Prócz linii na Baranowicze uruchomiono drugą z Kijowa. Zamożni jadą przez Szwecję, a biedni suną piechotą lub wozami byle na zachód. Tworzą się towarzystwa wyjazdowe. Zakupuje się wagony i całe pociągi do Mińska. Ale tu Niemcy przetrzymują powracających w barakach, sprawdzając ich dowody, prawomyślność, stan zdrowia. Dowody C. K. O. nie są uwzględniane, a swoją drogą są wydawane nadal za opłatą.

Coraz trudniej o produkty spożywcze. Jadłodajnie rządowe są dostępne wyłącznie dla bolszewików. Sklepy i spożywcze i restauracje są pozamykane. Za pieniądze niemożna już nic dostać. Chłopi mają pełne worki „kierenek“ i nie wiedzą, co z nimi robić. Jedna chłopka schowała do worka z żytem kilka tysięcy rb. i zmieła kierenki wraz z ziarnem przez zapomnienie.

Otrzymuję od jednego z pacjentów, pracujących

w fabryce, kartki na chleb. Jadę półtorej godziny tramwajem, czekam w kolejce 2 godziny i dostaję 3 funty. Chleb jest doskonały. Będą go zajadały moje dzieciaki.

Szczęśny zapisał się do arsenału w Kremlu. Nie chciano go początkowo przyjąć, bo miał ręce burżujskie. Ale chłopak ruszył dowcipem: — Towaryszcz, umyj ręce, a będą, jak moje. — To przekonało kaprała. Chłopiec pracuje po kilka godzin dziennie, zarabia po 10 rb. i dostaje obiad i kolację, złożone z zupy, mięsa i chleba. Wraca od roboty wesół i syty, nieraz przyniesie jeszcze coś z jadła do domu. Pomoc syna napelnia mnie otuchą, że nie pozwoli zginąć rodzinie, gdyby mnie zbrakło. Tułaczka powinna zahartować was, moje dzieci, na całe życie. Odporni potrzebni są w kraju bardziej, niż spryciarze. Niech wam dzieci moje pozostanie ten dorobek z tułaczki na wszystkie dni żywota. Wszak wasze pokolenie będzie musiało walczyć o odbudowę Polski.

1 Czerwca 1918 r.

Wstrząsająca wiadomość nadchodzi z Bobrujska: I korpus rozbrojony! Nie do wiary! 24.000 wojska polskiego, doskonale uzbrojonego, poddaje się bez wystrzału na haniebnym warunkach! W Mińsku dn. 21 maja podpisuje umowę gen. Karnicki w zastępstwie gen. Dowbora Muśnickiego i za zgodą byłych członków Nacz. Pol. Kom. Wojsk, który rozwiązał się już przed kilku miesiącami.

Gdzież są zapowiedzi pp. Lutosławskich, Zdziewichowskich, Zarębskich! Kiedy za zgodą Rady Związku W. P. w Moskwie ogłosiłem odezwę do żołnierza — tułacza, zakrzyczeliście mnie, wielcy politycy  
Dla was był żołnierz uosobieniem wojowniczo-

ści, a nie pracownikiem, oderwanym przymusowo od rodziny i warsztatu pracy, aby służył obcej sprawie. Chcieliście go przyjąć od okupanta, by służył waszemu partyjnictwu. Ale on odpowiedział brakiem zaufania do waszej roboty stroniczej i wołał pozostać w armji moskiewskiej, by się nauczyć nienawidzić białogwardzistów, burżujów, imperjalistów. Was nie wzruszało, że ten Polak wynaradawia się i wyrodnieje. Niech zginie, jeśli nie chce poddać się waszym rozkazom! Stać was na utworzenie szeregów z chorążych, poruczników i innych oficerów waszego pokroju. Obejdziecie się bez żołnierzy...

I obeszlście się! Te szeregi oficerskie, karmione hasłami prania Niemców, złożyły broń pokornie na wezwanie Ober-Ostu, który składał się w dużej mierze z inwalidów wojennych i ozdrowieńców. Czy nie mogliście zdybyć się na czyn legjonistów z pod Rarańczy, na bohaterstwo Kaniowa, Krechowców? Dwa-dzieścia cztery tysiące wypoczętej młodzieży mogło stawić czoło czterokrotnej armji wrażej, częściowo tylko zdolnej do boju. Będziecie dziś dowodzili, że to my prosimy odpowiedzialności za utratę ducha tego wojska, ponieważ uważaliśmy za główny jego cel powrót do ojczyzny w stanie tężyzny moralnej. Jestto piłatowskie umycie rąk. Myśmy zwracali się nie do tych paniczek, dbających o błyszczące szliwy i guziki, lecz do tych rzesz szarych, które na czteroletniej tułaczce zapomniały mowy ojczystej. Wprawdzie gen. Dowbor-Muśnicki nie pielęgnował jej nigdy, bo była-by dlań przeszkodą w świetnej karierze wojskowej w armji rosyjskiej, jednak „co wolno wojewodzie...”

Od czasu pokoju brzeskiego było zrozumiałe, że Niemcy nie zgodzą się na istnienie w Rosji wojsk polskich. Już 26 Lutego staje umowa pomiędzy Ober-Ostem a Dowbor-Muśnickim, mocą której I korpus ma uczestniczyć w okupacji Białorusi przez Niemców,

którzy obejmują kierownictwo nad kolejami, mostami, drogami. A więc nie pranie Niemców, lecz współdziałanie z nimi pod ich komendą! Propozycja co do powrotu do Polski I korpusu z bronią w rękę zostaje kategorycznie odrzucona. Porozumienie z Radą Regencyjną jest bezcolowe, bo jest odsunięta od spraw wojskowych. Na naradzie jej przedstawiciela J. Radziwiłła z Dowbor-Muśnickim i majorem Wullffem w Brześciu w d. 9 marca zostaje ustalone, że Rada Regencyjna nie ma prawa rozkazywać I-mu korpusowi, który ma być stopniowo zdemobilizowany. Jestto wyrok, który mógł być jeszcze być odparty orężnie. Każdy dzień gonuśności przyspiesza tylko moment poddania wojska. Przypieczętowuje to Rada Reg. w piśmie do Dow. Muśnickiego w początku maja, zwalniając I korpus od złożonej przysięgi i oświadczając: „Wszelkie układy dalsze z władzami niemieckimi Pan Generał musi prowadzić samodzielnie... W interesie narodowym leży, by pomimo wszystkiego.., do ostrego konfliktu nie dopuścić. Polecając P. Gen. i podległe mu bohaterkie (!) wojsko opiece Boskiej, zapewniamy o niezmiennej naszej życzliwości.”

Stwierdza to wymownie, że Polska nie ma ani jednego męża stanu, zdolnego pokierować jej losami, Doświadczona ugoda ostrzega w „interesie narodu przed ostrym konfliktem.“ A obłuda, niemoc i bezradność posługuje się średniowiecznym plastrem kojącym: „niech Pan Bóg opatrzyl“

Ale nie wszyscy żołnierze polscy godzą się na taką odprawę żebraczą. Kapitan Lis-Kula i podpułkownik Barta protestują przeciw rozbrowieniu i aresztują gen. D. Muśnickiego. Jednak nie spotykają się z poparciem towarzyszy broni, którzy... składają ją pokornie w d. 21 maja. I korpus poddaje się bez zastrzeżeń rozkazom Ober-Ostu, zostaje oddany pod komendę 10-ej armji, niemoże brać udziału w tworzeniu ka-

drów Polsk. Siły Zbrojnej. Wszelkie stosunki pomiędzy korpusem a Radą Reg. są wzbronione. Zabrania się I-mu korpusowi przekraczać granicę rejonu rozlokowania i linię demarkacyjną bez upoważnienia władz niemieckich, jak również prowadzić jakąkolwiek działalność polityczną i przedsięwziąć próbę polonizacji urządzeń społecznych, kościoła i szkoły.

Haniebne warunki kapitulacji bez boju! Są one ciosem dla prawicy z ks. Lutosławskim na czele. Chciała ona uczynić z tej gromady narzędzie swych celów władczych. A tu pierwsze niebezpieczeństwo wskazuje, że to nie armja, lecz jacyś statyści teatralni, albo gwardja od parady. I oto „Gazeta Polska“ zaczęła oblewać gen. Muśnickiego i I korpus, swych ukochanych pupilków, potokiem cuchnących pomyj. Załamanie na całej linii!

10 Czerwca 1918 r.

Moskwa wyludnia się. Wyjeżdżają nietylko przybysze, lecz i dużo ludności stałej przenosi się na wieś lub na południe, gdzie łatwiej jest się wyżywić. Można teraz dostać porządne mieszkanie pod warunkiem kupienia sprzętów nawet za przystępną cenę. Jednak amatorów brak, bo napady na mieszkania i rabunki są na porządku dziennym. Nazywa się to wspomaganie ubogich, a polega na wyrzucaniu na ulicę całego umeblowania, nie wyłączając fortepianów, porcelany i dzieł sztuki i na podziale ich pomiędzy towarzyszy. Nieraz dochodzi przytem do sprzeczek, kłótni i bijatyk, jak zwykle przy podziale łupu. Tak było od najdawniejszych czasów: już b. p. Achon po zdobyciu Jerycha został ukamienowany wraz z całą rodziną, a nawet jego bydło i mienie—spalone na rozkaz Jozuego, że poważił się wziąć płaszcz babiloński, srebro i złoto, które winny być oddane kapłanem... na



chwalebę Pana. Ale naogół podział łupów po burżujach odbywa się dość spokojnie, ciszej niż na licytacji. Pamiętam pogromy żydów, organizowane w Warszawie przez policję. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Trzy dni grasowały rozmaite szumowiny, rabując i paląc domy żydowskie. Zgiełk, stuk, płacz, krzyk, jęk, a pierze z rozprutych betów padały w mieście, jak śnieg. Pamiętam i drugi taki pogrom, zorganizowany przez policję podczas rewolucji 1906. Ofiarami były nierządnice. Znowu łoskot, stuk, brzęk. Tu w Moskwie dokonywa się to spokojnie, ciszej, niż podczas przeprowadzki ś-to jańskiej. Sam właściciel mieszkania pomaga niekiedy wynosić własne sprzęty, zastrzegając sobie prawo pozostawienia niektórych. Czy to nie szczęśliwa Arkadja, gdzie wilki żyją w przyjaźni z owcami? I czy to nie dowód, że opowieści o gwałtach i bezprawnościach bolszewickich są tylko złośliwym oszczerstwem, aby zniechęcić burżuazyjną Europę do porządków komunistycznych. Kto wie, czy to nie najlepszy sposób spopularyzowania kultury. W domu biedaka stanie pianino, by wypchnąć wrzaskliwą harmonję i brzękliwą bałabajkę. Na ścianie zawisnie jaki Rubens, Siemiradzki, Orłow i wypchnie jarmarczne bogomazy. Czy to nie lepiej, niż trzymać je w jakichś muzeach Rumiancewa, Aleksandra, Ermitażu, dokąd niema dostępu biedota? Porządne nakrycie porcelanowe i srebrne zwalczy skutecznie wspólną miskę glinianą a książki i księgozbiory, dostawszy się pod strzechę, mogą obudzić skuteczniej myśli, niż te które chłodną kurz w bibliotekach.

Że niesłusznie pomawia się ubogich o niskie instynkty zawiści i nienawiści wynika choćby z tego, że towarzysz nie chce korzystać z mieszkania burżuja, lecz poprzestaje na własnym, uważając, że lepiej jest, aby gryzła go swoja pluskwa, niż obca. Niektórzy próbowali zająć mieszkania generałów, kupców. Ale

trudno w nich wytrzymać: okna ogromne, światło razi w oczy, drzwi ciężkie, pokoi tyle, że można zaślądzić i zmarznąć; siądziesz na kanapie, to się zapadnie, że kolana masz pod brodą, położysz się na niej kilka razy, zaraz skóra z niej oblizie, stukniesz jakie naczynie i zaraz przemienia się w skorupę. I tak wszystko! A zajdź do kuchni: piec, jak lustro, a nic w nim nie zgotujesz, bo ruski człowiek przywykł do „ruskiej pieczki“.

A że tam kogo na ulicy ograbią w biały dzień, zastrzelą, to wszak zdarzało się i za caratu i zdarza się w burżujskiej Europie i Ameryce. Dużo żołnierzy przywiozło sobie na pamiątkę rewolwery i karabiny, nawet mitraljezy. Taka to już natura ludzka: przywiązuje się do pamiątek. Tych narzędzi niemożna trzymać bez użytku, bo zardzewieją; trzeba od czasu do czasu przetrzeć luźną kulką.

Słowem tylko oszczerca może dowodzić, że przy rządach bolszewickich dzieją się bezprawia. Towarzysz jest kulturalny, uczciwy obywatel. A że własność została zniesiona, bo wszystko jest nieprawnie zdobyte, więc porządny obywatel powinien pomagać rządowi przy doprowadzeniu państwa do należytego stanu i zniesienia własności prywatnej. Słucha też nakazu: rabuj to, co zrabowali posiadaczel. Ta zasada jest stosowana w całej pełni. Fabryki i warsztaty zostały upaństwowione, a robotnicy potworzyli komitety, czuwające nad dochodami. Pokazało się, że produkcja kosztuje zbyt drogo. Wobec tego przeszło się początkowo na zarząd wspólny, a gdy i to zawiodło, zaczęto zamykać fabryki, jako zbędne po ukończeniu wojny. A co mają robić robotnicy? Niech wstąpią do armji czerwonej, która jest ostoją rewolucji. A kto niezdatny nosić broń, niech idzie do szkoły agitacyjnej, która ma rozestrać po całym świecie agentów. Takiej fabryki nie wymyślił dotąd nawet

Niemiec, choć „obezjanu wydumał“ (wymyślił małpę). I kto teraz zaprzeczy, żeby ruski człowiek nie był zdatny do wszystkiego? Wszak „Dubinuszka“ głosiła już od kilkadziesiąt lat: „Chytry angiłk wynalazł szereg maszyn, aby ulżyć sobie w pracy. A nasz ruski chłop, gdy nie może podołać robocie, bierze się do pałki dębowej...“ Rzecz oczywista, że szerzenie komunizmu jest dziejowem posłannictwem narodu rosyjskiego i że fabryka agitatorów jest ważniejsza, niż wszystkie inne fabryki burżuazyjne. A więc, robotnicy, wstępujcie masowo do szkół propagandy!

Słucham tych wywodów: ceratnika, kolejowe, prezesa domowego komitetu, b. kaprała, podupadłego domokrażcy, którzy obradują co wieczór pod memi oknami. Nieraz dochodzi do sprzeczki, nawet bójki na tle przekonañ. Cóż dziwnego? Wszak pierwsze tysiąclecie chrześcijaństwa upłynęło na sporach o przekonania, w walce z sektami, heretykami których musieli przekonywać królowie i cesarze, gdzie jest prawda... siłą orężną. A i dzisiaj ks. Lutosławski zachęca do powrotu do wypróbowanej metody — do stosów. Nic więc dziwnego, że „nowa ewangelja“ bolszewicka nie może znaleźć odrazu zgody, bo „quot capita, tot sensus“.

Spory pod memi oknami kończą się zwykle na grze na harmonji i kozaczkę. To dowodzi, że praca jest harmonijna. Ale nie porusza się jednego pytania: czemu całym ruchem kierują żydzi, zajmujący wszystkie stanowiska naczelne?—Wszak wyznania zostały zrównane... Nikomu niemożna wytykać, że się urodził żydem. Dziś każdy porządny obywatel wyznaje tylko jedną religję: bolszewizm.

— A cechy rasy już się zatarły?—pytam.—Wszak żyd, gdziekolwiek go badałem, jest najniższy z pośród ludności, ma najkrótszy siąg, najkrótsze ręce, największą klatkę piersiową, największą głowę, daje najwię-

cej typów ciemnych i ma zawsze pewne cechy umysłowe i moralne, które badacze wyprowadzają od talmadu, a które przekazują się nawet przy krzyżowaniu z innymi rasami w 5-em, 6-em i dalszych pokoleniach.

— Bolszewizm nie uznaje tych przesądów,—odpowie pan z orlim nosem, odstającymi uszami, kędzierzawą czarną czupryną. — Kto się urodził w Rosji jest Rosjaninem. A kto przyjął naukę komunistyczną, jest przez to samo wolny od obarczenia przekazanym mu światopoglądem i wyznaniem.

— A że Żydzi zajmują stanowiska naczelne, a Rosjanie — podrzędne, — kończę, — jestto następstwo wyższości mózgu nad mięśniami?

— Bezwarunkowo, — potwierdza rozmówca.

Nie moja to sprawa. Mam obowiązek zachować neutralność. Rosja niech rządzi się, jak umie i jak chce. Jako obserwator mam jednak wrażenie, że bolszewizm jest zemstą Żydów już nie za carat, nie za pogromy, które organizowała policja i żandarmerja, lecz za wszystkie prześladowania, jakich doznali Żydzi od czasów niewoli egipskiej i babilońskiej, aż do diaspory po zburzeniu Jerozolimy i za... umęczenie Chrystusa. Rasa, która była od tysięcy lat mózgiem, musi zapanować nad narodami, które są jeszcze tylko mięśniami.

20 Czerwca 1918.

Pułkownik Majewski został uwięziony. Pułk Bartosza po rozbrojeniu jest w rozsypce. Wielu wojskowych dostało się do więzień za kontrrewolucję, między innymi i dwaj cywilni: Marjan i Józef Lutosławscy. Moja przepowiednia z przed kilku tygodni sprawdza się. Niedługo cieszył się pułk. Majowski pomocą pieniężną nieznanego mu bliżej orędownika. Wciąganie wojska do roboty partyjnej mści się.

Rada W. P. robi wysiłki, aby uwolnić uwięzionych. P. Dybczyński zwraca się osobiście do komisarza i przyjmuje część odpowiedzialności na siebie. Jednak sprawa przedstawia się poważnie, ponieważ popiera ją poseł niemiecki, Mirbach, który ma olbrzymie wpływy. Chodzi o formacje polskie, wysyłane na pomoc Fracji, co uważane jest za złamanie neutralności. Poszukiwany jest i ks. Lutosławski. Jednak zdołał on się ukryć i podobno przedostał się już w przebraniu za granicę. A to pogorszyło położenie jego braci. Zresztą T-wo P. Żoł. musiało mieć swoich Zarębskich, więc bolszewicy są niewątpliwie powiadomiani. Ksiądz L. wykazywał pewność siebie w wystąpieniach wiecowych i potajemnych, lecz gdy należało stanąć w obronie własnych braci, stracił naraz odwagę. Jako kawaler i jako wyznawca inkwizycji, nie powinien był ulać się nawet śmierci, która byłaby wprawdzie niemęczeńska, jednak nadałaby skazańcowi uroku ofiary, walczącej szczerze. Ucieczka i pozostawienie bez opieki braci i grona współpracowników dowiodły, że jestto ten sam człowiek, który nie oczyścił się z zarzutu zdrady drużyn strzeleckich na początku wojny. Teraz dopiero przekonują się pozostali członkowie Rady, jak niebezpieczne było łączenie naszej akcji z partyjnikiem, gotowym na wszystko pod osłoną sutanny. Niewątpliwie wprowadziła ona w błąd wielu łatwowiernych, niezdolnych oddzielić człowieka od stanowiska,

Zowu widzimy przewagę mózgu nad mięśniami, jak w bolszewizmie. Tam pierwiastek semicki w połączeniu z pierwiastkiem niewolniczym, wytworzonym przez carat, dał bodźca do zniszczenia czynników niewoli aż do gruzów; tu zaś stwarza on wojujące wsteczństwo. W obu razach góruje nad wszystkim nieokiełznana żądza przewodzenia i wiara w skuteczność gromkich hasła, obliczonych na ciemny tłum.

Ks. L. wypłynie napewno na powierzchnię w Polsce, aby „mącić narodową kadź”.

Działalność C. K. O. ustała. Czwarty z braci, Jan, znikł z Moskwy. Inni drobniejsi działacze rozpierzchli się również. O funduszu powrotu do kraju brak wszelkich wiadomości. Komitet Polski jest pod kontrolą Komisarjatu do spraw Polskich. Położenie A. Lednickiego jest przykre, ponieważ bolszewicy nie uznali jego pełnomocnictw. Swoją drogą w jego domu powstało coś w rodzaju konsulatu. Narazie rejestruje się pretensje do Rosji o należność i stratę. Między innymi b. urzędnicy kolej Wiedeńskiej żądają zwrotu swych składek emerytalnych w ilości kilku milionów, ale bolszewicy nie poczuwają się do obowiązku płacenia zobowiązań carskich. I ja złożyłem wykaz moich pretensyj do szpitala Ujazdowskiego i strat skutkiem przeszkodzenia wyjazdowi d. 10-V-18.

Wiem z góry, że nic nie wskuram, lecz uważam to podanie za demonstrację. Nie chodzi mi już o nic więcej, byle mnie wypuszczono z rodziną. Skwitowałem nawet z kilku tysięcy rb., uwięzionych w banku państwa. Wypuście nas wreszcie z niewolil Nie posiadamy przeciw niej oręża w postaci plag egipskich, ani cudownych lasek, przeobrażających się w węża. Każdy z nas musi być swoim wodzem, któryby go wywiódł z ziemi niewoli. Brak nam jednego wodza, prawodawcy, kierownika. Nie napisze on pięcioksięgu, lecz najwyżej znajdzie się kronikarz diaspory.

Pomimo wszystko tułacze wyjeżdżają. Najprościej załatwia się to w drodze kupienia miejsca w tieptuszce za 300 do 400 rb. od osoby. W ten sposób dociera się do Mińska. A potem? Potem czeka się na załatwienie formalności tygodnie, miesiące. Setki tysięcy powracających oboznją „sub Jove” Wielu musi wracać do Moskwy po żądane dowody

Jednak ludzie jadą. Wyjechali pp. Z. z Bebclem, który zapomniał już o trudach nieudanego powrotu i przestał na mnie warczeć. Zaczne, niezawzięte serce. Jakże go nie kochać?

Jeden z pacjentów, p. Szt., organizuje powrót wspólnym wagonem w połowie lipca. Przejazd będzie kosztował 3.000 rb. Ułatwienia na granicy mają być zapewnione. Jestem zdecydowany na tą kombinację. Lecz oto ma być specjalny pociąg nauczycielski.

Zgłaszam więc swą kandydaturę, która zostaje przyjęta bardzo życzliwie przez organizatorów z panną Kopytowską na czele. W tych kołach ciesze się dużym uznaniem za artykuły w prasie, wykłady i wystąpienia w Związku nauczycieli. Lista ma być przesłana do Warszawy do zatwierdzenia. Wyjazd 5 Lipca.

Rodzina przyjmuje tę wiadomość z niedowierzaniem. Ale szykujemy się do drogi. Przygotowań robić nie trzeba. Sprzęty wyprzedaliśmy przed paru miesiącami. Podłoga służy nam za łóżko i stół. Mój gospodarz również się wyprzedaje i chce jechać do Połtawy, gdzie łatwiej się wyżywić. Zabierają więc z mego pokoju resztę gratów, na które znajduje się o dziwo jakiś nabywca, gdy można dostać bez kłopotu porządne sprzęty za darmo przy podziale „dla ubogich”. Snać człowiek jest z natury zachowawcą i wierzy bardziej starym, wyprobowanym sposobom, niż nowym wymysłom. A śmieliście się z sentymentalnej wdowy, która, dowiedziawszy się o postępach chemji, zdolnej otrzymać syntetycznie mleko, jajko, mięso i obiecującej sobie, że będzie tworzyła syntetycznie ludzi, miała rzec (wdowa nie chemja):—więc ten stary, wyprobowany, dobry sposób ma być całkiem zaniedbany?

Zaopatrzyłem się w trochę mąki i słoniny. Żona przygotowała zapasy na drogę, która może trwać pa-

rę tygodni. Będziemy mieli drugą ostatnią wieczerzę, byle tyń razem bez Judasza.

Nastia, służąca p. L. przestała przynosić mi rano wodę gorącą. Uważa, że burzuje wyzyskują ją, niech więc gotują sobie sami herbatę. Opuszczona przez męża matka dwu dorosłych synów, przyjmuje wizyty zdemobilizowanych żołnierzy, którzy przynoszą jej upominki i przepijają do niej wódkę. Zaniedbana kobiecina zaczyna się nagle stroić, na wzór p. Rachmanowej, i czesać pretensjonalnie. Wzrok jej nabiera blasku. Spotykam ją jednego wieczoru na skwerze z wybranem w czułych uściskach. I któżby śmiał dziś jeszcze zaprzeczyć, że rewolucja zdolna jest tchnąć nowe życie w... stare formy?? Forma jest bezsprzecznie stara. Jakie będzie nowe życie nie zdołam chyba już sprawdzić.

Zgłasza się lekarz policyjny N. N, który nie chciał mi ustąpić przed trzema laty jedynej okazji odnalezienia rodziny przy poborze w Kobryniu. Ten pan chce dziś zabrać się pociągiem nauczycielskim. Odmawiam poparcia: — wszak pan nie miał nic wspólnego ze szkolnictwem? Myślę zaś, nużby przy rewizji znaleziono sumę, z której nie umiałby się wytłomaczyć? Zresztą czy Polsce zależy na szybkim powrocie takich panów? A głos przekory mówi: mścisz się za własną krzywdę, a zasłaniasz się po jezuicku dobrem sprawy. Ten ukryje swe kapitały nie gorzej, niż jego kolega K, pod podszewkę skrzynki z narzędziami chirurgicznymi. A jakby wzbogacił Polskę!

4 Lipca 1918 r.

Wyjeżdżamy jutro napewno! Wszystkie formalności załatwione. Lista zatwierdzona. Obejmuje 600 nauczycieli i ich rodzin. Jestem lekarzem pociągu.

Zakończyłem pracę w przychodni, w Radzie Z. W. P. i innych instytucjach. Pożegnałem resztę cho-



rych i pozostawiam u jednego z nich trochę rzeczy, których niewolno wywieść, a więc aparat fotograficzny i skarby powinowatej, którą zaskoczyła wojna przed trzema laty przy otrzymaniu spadku po siostrze generałowej. Czyż można było go wyrzec się? Samych orderów miał szwagier 23, prócz nich medale, srebra, biżuterję, kilkanaście zegarków, a sprzętów, bielizny, sukien — bez liku. Po pani generałowej pozostał tylko ukochany... pinczorek, pulchny, jak ona, obsługiwany dawniej przez specjalnego deńszczyka, a potem przez pokojówkę.

Wziąć rękopisy, czy pozostawić? Jest ich kilka: podręcznik higieny dla szkół, materiały do dwu prac naukowych o stanie cielesnym i moralnym oficera armji rosyjskiej, kilkanaście tysięcy badań antropometrycznych żołnierzy i uczniów. Szkoda byłoby rzucić, te materiały, zebrane z wielkim nakładem pracy, — na los szczęścia. Niech idą do walizki. Wreszcie moje „Memorabilia“ i ten oto rękopis „Diaspory“, w które przełałem przeżycia z lat wielkiej wojny i których dopisuję właśnie ostatnią kartę. Czy mógłbym się rozstać z niemi? Może będą dla mnie w dni pozostałe, jak fotografie z podróży, robione własnoręcznie. Może staną się pamiątką rodzinną dla mych dzieci, które przypomną sobie z nich niejedno własne przeżycie, i nauczą się z nich, że mądrość życia polega nie na tem, aby je ułożyć sobie najdogodniej i najprzyjemniej. A może trafią i do rąk szerszego ogółu, by z nich się on dowiedział, że kto nosi Ojczyznę w sercu znajdzie właściwą drogę na obczyznę i pozostanie sobą. Może wreszcie zajrzy do nich kiedy dziejopis, aby stworzyć charakterystykę naszej tułaczki podczas rozproszenia.. Niel Tych pamiątek pozostawić nie mogę. Niema ich już w moim mózgu. Przełałem je na papier, gdzie zatarł się już ból, zginęły żale, niechęci, gniew, a króluje uśmiech pobłażliwy człowieka, patrzącego z wy-

zyn na mrowie ludzkie, krzątające się gorączkowo, aby zdobyć dla siebie, byle dużo...

Zasiadamy do ostatniej wieczerzy. Jest zupa dziadowska. Potrawa świetna! Pozazdrościłby jej nie jeden król na wygnaniu. Mikołaj II zapomniałby napewno o swem pomazaństwie i przysiadłby się do naszej misy, bo bolszewicy trzymają go na djecie odtłuszczającej. Para bucha z talerzy kłębami, Miła woń wypełnia pokój. Wtem Grażyna mówi:—gdyby tak jeszcze kawałek chleba do przekąszenia? A Aldonka prosi: daj, mamusiu, oładka...

Oładki zjawiają się. Dzieciaki są zachwycone. Szczęsny wyciąga ostatni funt chleba, zarobiony w Kremlu. Znakomita, królewska ta ostatnia wieczerza. Byle nie zjawił się znowu Judasz! Nie, dziś się nie zjawi. Nasz powrót nie jest grzecznością rodaka z obczyzny, lecz nagrodą za pracę dla swoich.

Para z talerzy kłębi się i wypełnia pokój fantastycznymi zwojami. Zrazu wznosi się strzelisto do powały, potem, zetknąwszy się z belkami, opada powolnie po ścianach ku podłodze, wreszcie, zoczywszy okno wyrывa się na swobodę i wzbija w przestworza.

To krążenia tej pary z naszego sagana jest, dzieci moje, jak krążenie nas samych w dziejach tej ciężkiej wojny. Zrazu zrywaliśmy się pełni zapału, ufni, że przezwyciężymy wszelkie trudności. Ale twar-da rzeczywistość odepchnęła nas i strąciła z wyżyn polotu. Opadamy zniechęceni, zawiedzeni. W ścielących się kłębach nie widać już myśli przewodniej. Natoż było odrywać się od koryta rzeki, — mówi woda, — na to znosić katusze ognia, aby spłynąć po brudnej ścianie i zbrukać się w pyle podłogi? A potem zgarną mnie łachmanem, wyleją do ścieków i spłynę brudnymi rynsztokami wśród mierzwy i padliny do kanałów i do rzeki, która pytać mnie będzie:

ty żeś jest kropla z kropli naszych, ciało z ciała naszego? Jam jest! Przeszłam przez tułaczkę udręk i poniżeń, wzbijałam się w zapale młodocianym w środowisku brudu i nieprawości, które zabrały mi mój zapal i żar. Omyłam plugastwo i oczyściłam je pierśią własną, bo takie moje posłannictwo. I dziś wracam do was, siostrzyce, jaką byłam. A że niosę na grzbiecie brud i pokalanie, zgniliznę i zarazę, nie utraciłam przez to mej kryształowości. Pochłonie mnie ziemia i wypłynę znowu dziewiczo czysta, i perlić się będę rosą na trawach, i ozdobię widnokrąg tęczą barwną, i spadnę na ziemię płatkiem śniegu. Wszak i wy, wody rzeki, jesteście mętne i cuchnące, bo przepłynęłyście przez miasto nieprawości. Męty i zgniliznę zaniesiecie w otchłanie mórz, a same wzbijecie się pod rozpostarcie niebieskie i zaćmicie sobą słońce. A gdy zaczerpniecie w przestworzach nowych blasków, wróćcie na matkę ziemię, aby się przekonać, że brud i nieprawości są nawet na spalonej od słońca pustyni i zamarłej w ciemnościach północy...

To są dzieje kropli wody. Wsłuchajcie się, dzieci moje, w jej mowę. Powie wam, że jej rodziciele krążyli w olbrzymiej, promienistej bryle, od której odrywały się mniejsze bryły i ulatały w przestworza. Wreszcie zawarły trwały związek dwa ciała lotne: wodór i tlen. A ten związek jest nierozzerwalny. Z niego się ona zrodziła, przenikła całe przyrodzenie, weszła w skład każdego tworu ożywionego. I wędruje przez nie kolejno, przechodzi przez ich ciała, stanowi część ich jestestwa, przenosi się z krainy w krainę, z nizin — w góry, z gór — w doliny, płynie potokami, tryska źródłami, zbiera się w rzeki, uchodzi do mórz, wzbija się w chmury, pędzi z wiatrem w obce strony, znowu opada, by przejść tysięczne wejelenia... I w tej nieskończonej wędrówce, na tej tułaczcze,

nieustannej, bez nadziei na powrót do swego prabytu, jest zawsze i wszędzie sobą, tą kulką przezroczystą... Chyba że piorun, który niosła w swem łonie, strzaska ją i rozerwie ją na pierwiastki. Lecz niebawem połączą się one w nowem wcieleniu.

W tej nieskończonej tułaczce, bezgranicznej pracy, w tem zetknięciu się z obcemi żywiołami przychylnymi i wrogimi pozostaje ona zawsze sobą. Człowiek dał jej własne nazwy i sądzi, że ją sobie przywłaszczył. Mówi, że jest jego szarą Wiselką, szumiącym Dunajem, matka — Wołga, błękitną zatoką Neapolitańską, morzem gościnnem (euksejnos); a ona powiada: — jestem tułaczem; dziś tu, jutro tam, lecz wszędzie jestem sobą.

Cóż na to my tułaczce? Wędrownka nasza krótka, trud—poziomy, cierpienia i radości—przemijające. Cóż one wszystkie ważą na szali przyrody? Jęczymy:

„Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany  
Deptać musiałem obcych ludzi łany  
I zdola słyszeć tych tyranów wycia,  
Co moję ziemię okuli w kajdany.  
Jak Dant przez piekło przeszedłem za życia”

I pocieszamy się, że:

...„pieśń, co nie skona,  
Powróci kiedyś wierna mnie i tobie,  
By jak stróż aniół strzec nas śpiących w grobie...”

i tem, że...

... „przyjdzie chwila, gdy wskrzeszeni  
Już nie w ciał ludzkich, lecz w ducha przestrzeni,  
Powrócimy tej pieśni znów związani łańcuchem  
I żyć będziemy w serc ludzkich pamięci,  
Jak duch zbawiony ze zbawionym duchem  
Oboje czyści, świetlani i święci...”

A na to kropla wody odpowie: — Przebyłam tułaczkę nieskończoną, idę w tułaczkę dalszą i pozostaję zawsze czysta, świetlana i święta, choć otacza mnie podłość, brud, przestępstwo... Słucham jej, rozumiem i mówię:

„Czem jest me czucie? Ach, iskrą tylko.  
Czem jest me życie? Ach jedną chwilką.

Lecz te, co jutro, rykną czem są dzisiaj gromy?

Ach jedną chwilką!

Tyś to, Wieszcz nasz, powiedział. I to jest Prawda!

Tyś pytał Niemna: „gdzie są wody,

Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,

Na których potem w dzikie pływałem ustronie,

Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swej urody

Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie...”

A choć mówisz: „wszystko przeszło, czemu nie przejdą łzy moje?” wiesz, że te łzy, to też Niemen, Wilja, Łaba, Bałtyk, Atlantyk... Były niemi, albo niemi będą, zanim spadły, lub gdy spadną z oczu Twoich. Tylko pod Twoimi powieki były one gorące i serdeczne, a wszędy indziej są po stoicku... tylko sobą.

I gdybyś, Wieszczu, mówił o węglu, pewno byś opiewał jego moc: oto przeleżał w więzieniu bezpowietrznem miliony lat, lecz nie utracił energii, w którą wyposażyło go słońce, gdy był jeszcze paprocią wysokopienną. A kiedy zgorzał, nie zginął bezpowrotnie, lecz zaczął znowu tułaczkę poprzez rośliny i zwierzęta, poprzez wody, góry, doliny. I w całej tej wędrówce był zawsze sobą, gotowym do najcięższej pracy, do tworzenia najzawilszych związków. W Twoich łzach, wieszczu, w Twojem ukochaniu: Laury, cichej szlacheckiej zagrody, towarzyszków, wysyłanych kibitkami na Sybir, w Twych uniesieniach nad przyrodą Krymu, wszędzie gore węgla — tułacz, który Ci nie powie, skąd przyszedł i dokąd pójdzie, lecz że trwa odwiecznie i trwać będzie nieznikomo. W swej wędrówce przez glob ziemski zdolny jest utworzyć lśniący djament, czarny grafit, rudy pokład, wcielić się w żywe jestestwa, dając gorąco ich uczuciom i będące ostoją w ich cierpieniach. I w całej swej tułaczce nie jest on niczyją własnością, niczym

niewolnikiem, choć uwięzi go bogacz w złote kajdany, albo, — choć przeleży pod warstwą ziemi setki tysięcy lat. Bo czem jest to życie? — Ach jedną chwilką.

Dziś, dzieci moje, kończymy naszą tułaczkę. Wracamy do Ojczyzny, w której czeka nas nowy trud, nowy wysiłek, nowe cierpienie. Tam nie jest głód zwierciadłana wód, którą musknie czasem liść, spadający z drzewa, lub dziób żarłocznej rybitwy. Z oddali błyszczą nam ona, jak kryształ węgla w diademle, lecz, gdy stanjemy tam na miejscu, pokaże się, że jest to nie brylant, lecz czarna, skamieniała bryła, którą uderza kilof i rozrywa dynamit, aby ją popchnąć do nowych wcieleń, do wędrówki przez cztery żywioły.

Tułaczka nasza nie jest skończona, choć wrócimy na naszą ziemię. Czeka nas jeszcze dalsza wędrówka, jak tę kroplę wody i tę bryłkę węgla. Niech trwają te nowe wcielenia i niech „pieśń, co nie skona,” płynie przez szeregi pokoleń, ucząc ją, że gwałt i przemoc znajdują okrutnych mścicieli, którzy zniszczą cały dorobek kultury, i zgaszą przed narodem oświaty kaganiec; — że mądrość życiowa to nie zdobycie dla siebie prawa i przywilejów, lecz stworzenie warunków bytu, w których możnaby pisać testament:

„Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami.  
...Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny...  
Któż drugi tak bez świata oklasków się zgodzi.  
Iść, taką obojętność, jak ja mieć dla świata,  
Być sternikiem duchami napelnionej łodzi,  
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata.

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,  
Co mnie żywemu na nic... tylko czoło zdobi:  
Lecz po śmierci was będzie gniołła niewidzialna.  
Aż was, zjadacze chleba, — w aniołów przerobi.

Polska po półtorawiekowej swej niewoli powinna być przodownikiem tej idei.

Spoglądam po dzieciach. Widzę z ich oczu, że  
mnie rozumieją. Wierzę, że spełnią to posłannictwo.  
Bądź więc błogosławione nam nasze wygnaniell

Para opada. W pokoju zapada zmrok.

„...Rzeczywistość się pomału

W świat przemienia ideału,

W sen ze srebra i kryształu...

Daj mi tutaj marzyć, daj!”

Powrót jutro!

---

---

## KU UCZCZENIU DZIESIĘCIOLECIA **WSKRZESZENIA POLSKI**

wyszedł pamiętnik z czasów wojny światowej

**d-ra W. MIKLASZEWSKIEGO.**

w trzech tomach (50 arkuszy = 800 stron).

I-y **MEMORABILIA**, poświęcony towarzyszom broni, przedstawia stosunki wojskowe i cywilne, nastroje i orientacje w 1-ym roku wojny.

II-gi **DIASPORA**, poświęcony towarzyszom tułaczki, przedstawia losy wysiedleńców w Rosji, organizacje opieki i szkolnictwa, upadek caratu, powstanie polskich związków za Kiereńskiego i bolszewików.

III-ci **KATABASIS**, poświęcony Komendantowi J. Piłsudskiemu, — powrót do Kraju, ostatnie miesiące okupacji niemieckiej, wskrzeszenie **PAŃSTWA POLSKIEGO** aż do zwołania Sejmu.

---

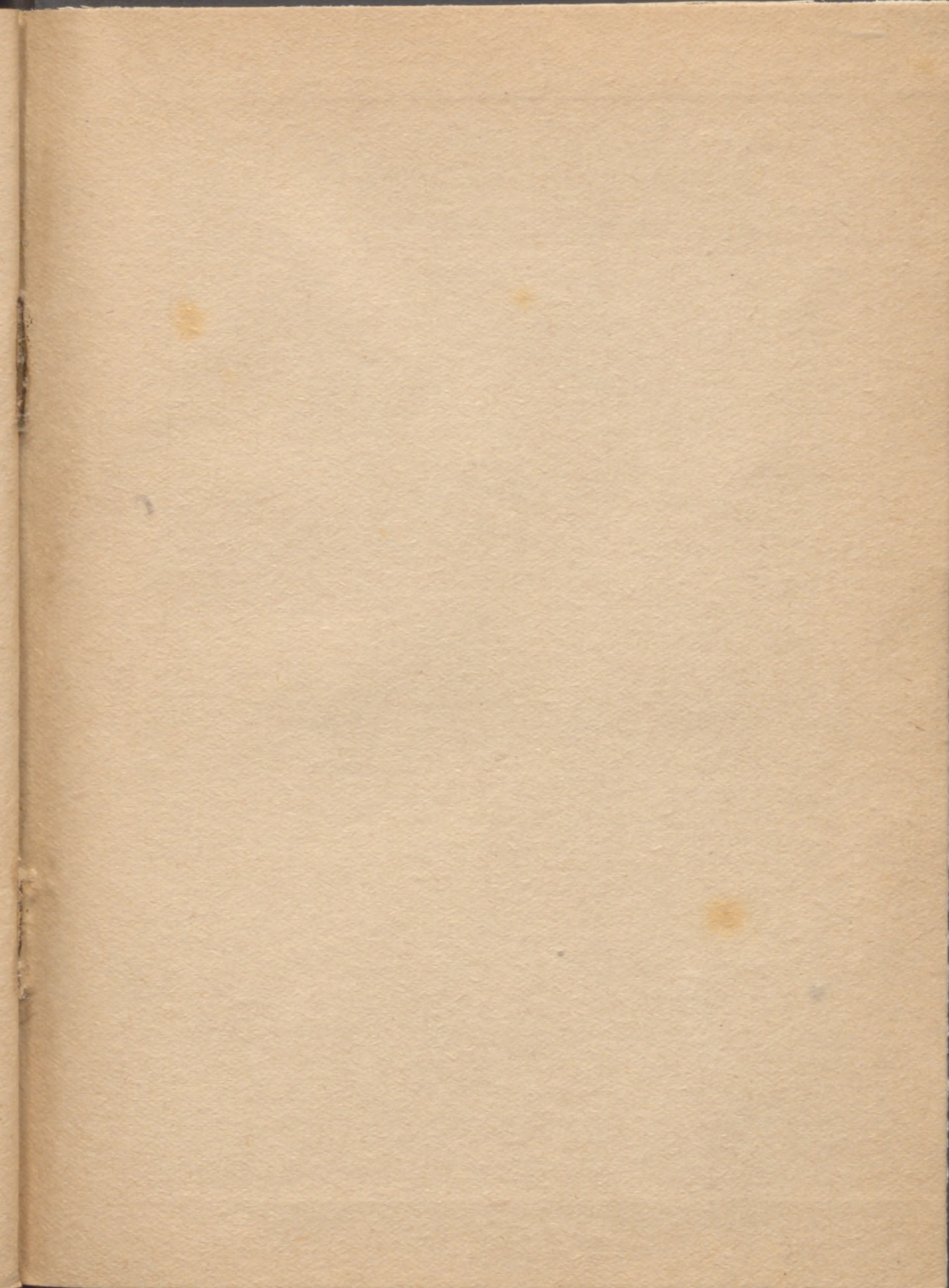
---

Biblioteka Główna UMK

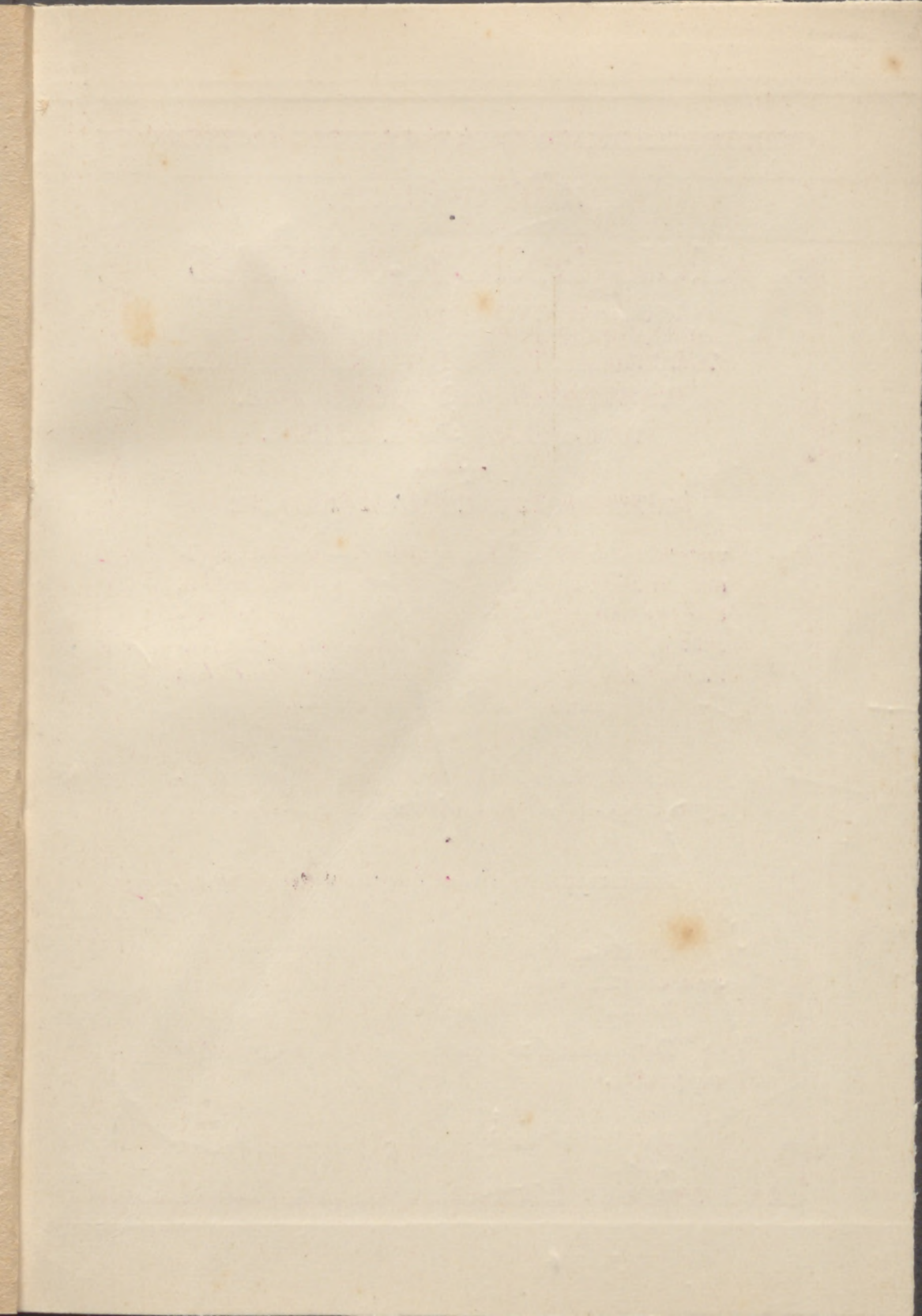


**300042762973**









Biblioteka Główna UMK



300042762973

Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

924864

**KSIĘGARNIA**

SP. AKC.

# KSIĄŻNICA-ATLAS

ZJEDNOCZONYCH ZAKŁADÓW  
KARTOGRAFICZNYCH I WYDAWNICZYCH  
TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN. I WYŻSZYCH

**WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 59.**

Telefon 223-65. — P. K. O. 12.802.

## **POSIADA STAŁE NA SKŁADZIE**

wszystkie wydawnictwa polskie — ze szczegól-  
nem uwzględnieniem wydawnictw naukowych,  
dzieł pedagogicznych i dydaktycznych, także w je-  
zykach obcych, książek dla młodzieży, podręcz-  
ników szkolnych, map, atlasów, globusów oraz  
przewodników turystycznych.

\*

Kompletowanie i zestawianie bibliotek szkol-  
nych stosownie do wieku i rodzaju szkoły.

\*

Prenumerata pism krajowych i zagranicznych.

\*

Druki szkolne dla gimnazjów i szkół po-  
wszechnych nakładu Drukarni Państw. i własnego

\*

Zamówienia z prowincji wysyła się odwrot-  
ną pocztą.

\*

Katalogi i prospekty na żądanie bezpłatnie.

Biblioteka Główna UMK



300042762973

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

924864

KSIĘGARNIA

SP. AKC.

# KSIĄŻNICA-ATLAS

ZJEDNOCZONYCH ZAKŁADÓW  
KARTOGRAFICZNYCH I WYDAWNICZYCH  
TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN, I WYŻSZYCH

**WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 59.**

Telefon 227

**POSIADA**

wszystkie wydawn  
nem uwzględnien  
dział pedagogiczny  
zykach obcych, ks  
ników szkolnych,  
przewod

Kompletowani  
nych stosownie d

Prenumerata

Druki szkoln  
wszechnych nakła

Zamówienia z  
ną pocztą.

Katalogi i pr

